

Kathleen Eagle

INDIAŃSKA KOŁYSKA





Wysoko na niebie gromadziły się ciężkie, ołowiane chmury. Carolina otworzyła drzwi i najpierw wyrzała, a potem wyszła z chaty. Chciała przypatrzeć się nadciągającej burzy, jej pierwszej burzy na prerii. Nad postrzępioną linią horyzontu, pociętą pojedynczymi pagórkami i falistym ciągiem wzgórz, niebo jarzyło się przerażającym żółtoszarym blaskiem. Dziewczyna skrzyżowała ramiona na piersi i niepewnym krokiem ruszyła ku rzece, co chwila spoglądając na niebo.

Wtem zerwał się wiatr. Uniósł jej spódnicę i jak korkociągiem okręcił wokół kibici. Nowy, silny podmuch przykrył twarz Carołiny kosmykami niesfornych włosów, które wydostały się z ciasno upiętego z tyłu głowy koka. Ściągnęła je na bok, by nie przeszkadzały obserwować rozgniewanego wiosennego nieba. Podeszła do rzeki i patrzyła, jak rosnące na brzegu w niewielkiej kępie topole, rozkołysane wiatrem, chwiały się zgodnym rytmem. Nagle szybkość wiatru gwałtownie się wzmożła, taniec topoli stawał się coraz dzikszy, z trzaskiem łamały się gałęzie...

Zaczął padać deszcz. Bez żadnych pojedynczych, ostrzegawczych kropli, od razu lunął z nieba gwałtowną ulewą. Carolina chciała zawrócić do chaty, ale straszliwe uderzenie wiatru omal nie zbiło jej z nóg. Słaniała się niczym zranione zwierzę.

Gdzieś za nią słychać było tętent końskich kopyt. I o eh w iii czuła już dyszenie konia za swoimi plecami.

Przy tej szybkości nie mogła dojrzeć, kim był jeździec. Instynktownie podniosła dłonie, chcąc zasłonić twarz. Przybysz otoczył ją w pasie ramieniem i jednym szarpnięciem poderwał do góry. Brakło jej tchu. Zwiisała przed nim bezwładnie, niczym worek mąki, a poprzez mgłę łez widziała tylko pokryte pianą przednie nogi konia. Wciąż spazmatycznie łapała oddech.

- Trzymaj się mnie, trzymaj, bo cię zgubię!

Usiłowała odwrócić się do mówiącego, ale tkwiła w zbyt ciasnym uścisku. Chwyliła go od tyłu za ramię, pozycja była niewygodna, ale na żaden inny ruch nie mogła się już zdobyć. Mężczyzna otaczał ją ramionami, mimo to miała uczucie, że za chwilę spadnie na ziemię. Kiedy koń, osuwając się po stromym zboczu w głęboki jar, opuścił nisko głowę, Carolina przymknęła oczy.

O Boże! - pomyślała z lękiem — przecież ten człowiek w ogóle nie trzyma wodzy...

Dopiero gdy koń, schodząc w dół po skarpie, zaczął się ślizgać, jeździec ściągnął wodze i osadził go w miejscu, bezceremonialnie upuszczając Carolinę na ziemię. W chwili gdy zwierzę uskoczyło w bok, spróbowała się podnieść i wtedy mężczyzna gwałtownie poderwał ją na nogi i wciągnął w przykrytą głazami wyrwę w skalnym podłożu. Usłyszała przeraźliwe wycie wiatru, jakby najeżdżała na nią z hukiem lokomotywa. Padła na kolana i zwinęła się w ciasny kłębek. Poczuła, że mężczyzna przypiera ją swym ciałem do skały. Wycie wiatru stało się nie do zniesienia. Miała wrażenie, że wichura wymiata z jej mózgu wszystkie myśli.

Napór potężnych mas powietrza był tak ogromny, że trzęsała się cała preria... Instynkt życia, kryjący się w zakamarkach mózgu Caroliny, kazał jej ratować ciało. Dlatego się skuliła, licząc, że je w ten sposób uchro-

ni przed szaleństwem żywiołu. Nie czuła nic, tylko ryczący wiatr w uszach i lęk przed jego siłą.

- Jeśli śmierć mnie dopadnie, gdy będę nieprzytomna, racz, Panie Boże, przyjąć moją duszę! Jeśli śmierć mnie dopadnie... Jeśli śmierć mnie dopadnie... Racz, Panie Boże... - powtarzała wciąż na nowo. Nie-sione falą strachu słowa kołatały się po jej głowie, jak kawałki drewna z rozbitych okrętów krążące po oceanach.

- Już wszystko dobrze! Najgorsze mamy za sobą..-

Głos mężczyzny dochodził do niej jakby z końca długiego tunelu. Powoli wracała do przytomności. Dokoła panował spokój. Miała wrażenie, że się łagodnie kołysze.

- Już wszystko dobrze, proszę pani - usłyszała ponownie - burza przeszła.

Nieśmiało uniosła głowę, otworzyła oczy i spojrzała najpierw na ciemne chmury, które wciąż jeszcze kłębiły się nad jej głową, a potem w stronę, skąd dobiegał głos.

Czarny Jastrząb siedział w kucki na piętach. Był zaskoczony widokiem jej bladej jak śmierć twarzy, która ukazała mu się spod ciasno splecionych ramion i nóg. Mokre włosy oblepiały głowę Caroliny, niebieskie oczy omal nie wychodziły z orbit, a sine usta nie miały w sobie kropli krwi. Z głową wysoko podniesioną na długiej, smukłej szyi, wyglądała jak spłoszona łania, nadsłuchująca, czy nie grozi jej skądś niebezpieczeństwo.

- Zabiorę panią do domu. Jeśli pani chata jeszcze stoi, trzeba będzie zaraz rozpalić w piecu. Teraz trzęsie się pani ze strachu, ale tylko patrzeć, jak będzie się pani trzęsła z zimna. Chodźmy! - Klęcząc na jednym kolanie, pochylił się nad nią i delikatnie wziął pod łokieć, chcąc pomóc jej wstać. Ale Carolina nadal patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami i nie ru-

szyla się z miejsca. Postanowił dać jej trochę więcej czasu i zaczekać, aż oprzytomnieje.

- Widać wiatr wciąż jeszcze szumi pani w uszach - powiedział ze zrozumieniem. - Mnie też - dodał z uśmiechem. Po chwili przypomniał sobie niebezpieczną jazdę, która przywiodła ich- w to miejsce. - Nie jest pani ranna?

Wpatrywała się w niego, starając się zrozumieć, co do niej mówi.

- Ranna? Nie! Nie sędzę.

Powoli rozprostowywała najpierw plecy, a potem jeden po drugim zdrętwiałe członki. Próbowła się podnieść, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Zastanawiała się, czy to aby na pewno jej ręce i nogi, i czy są z nią jeszcze jakoś połączone. W końcu udało jej się wstać, ale zaraz znowu upadła na ziemię.

- Przepraszam! - szepnęła. - Straciłam równowagę... - Nie mogła mówić pełnym głosem. Wciąż drżała na całym ciele i to ją zawstydziało. Pomyślała, że musi postarać się mówić rozsądnie i rzeczowo, gdyż tylko w ten sposób odzyska poczucie godności.

- Nigdy przedtem nie widziałam takiej burzy - stwierdziła.

- Burzy? A czy zwróciła pani uwagę na tę lejewatą chmurę?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Gdy zobaczyłem panią, stojącą na otwartej przestrzeni, pomyślałem, że jest pani chyba niespełna rozumu.

Strząsnęła włosy z twarzy i przyglądała się z zaciekawieniem mężczyźnie, który ocalił ją od śmiertelnego niebezpieczeństwa. Nazwał je „lejewatą chmurą”. Żałowała teraz, że nie przyjrzała się dokładniej tej chmurze. Tyle słyszała o burzach na prerii... Zga-

niła się w duchu za tchórzostwo. Straciła przez nie okazję obejrzenia ciekawego zjawiska.

Człowieka, który ją uratował, znała z widzenia, choć nie zostali sobie oficjalnie przedstawieni. Dopiero od niedawna mieszkała w centrum Północnej Dakoty. Wśród niewielu osób, które zdołała poznać w tak krótkim czasie, nie było Indian. Nawet ją to zdziwiło, bo przecież te okolice stanowiły część rezerwatu Indian w Standing Rock.

Poddał się bez oporów jej wnikliwej obserwacji i jakby ją nawet trochę ignorował. A ona przyglądała się z zainteresowaniem, jak wyciąga z za koszuli z kozłej skóry wiszący na skórzanym rzemyku kapiuch, jak wydobywa z niego tytoń i bibułkę i skręca papierosa. Zapewnił ją, że chętnie poczeka jeszcze jakiś czas, póki ona nie dojdzie do siebie, i dopiero wtedy odprowadzi ją do chaty.

Carolina nie mogła oderwać oczu od brązowej dłoni mężczyzny i niepomiernie się zdziwiła widząc, jak zapalał zapałkę, pocierając ją o paznokiec kciuka. Potem jej wzrok powędrował w ślad za zapałką ku jego twarzy i to, co zobaczyła, zrobiło na niej ogromne wrażenie.

Nie wiadomo, co ją bardziej zafrapowało: ciepły, brązowy odcień skóry czy piękno rysów. Jego twarz była jak wykuta w kamieniu, jak rzeźba w skale, być może nawet tej, która posłużyła im za schronienie. Mokra czarna włosy, splecione w warkocze, spływały mu na ramiona. Przytrzymała je na czole wąska opaska z kozłej skóry. Pałac papierosa, spoglądał na nią ciemnymi oczami o kształcie migdałów i nieodgadnionym spojrzeniu. Odwrócił lekko głowę, by nie dmuchać jej dymem w twarz. Jego oczy łowiły wzrok dziewczyny i przez jakiś czas obserwowali się nawzajem, czyniąc to całkiem otwarcie.

- No i co pani postanowiła? - spytał w końcu.
- W jakiej sprawie? - czar prysnął i Carolina znowu poczuła dreszcze.
- Przecież została pani porwana przez Indianina - mówił to beznamyślnym głosem i bez uśmiechu.
- Jestem panu, oczywiście, bardzo wdzięczna. Chciałabym wiedzieć, jak mam się do pana zwracać.
- Wstał i jeszcze raz zaciągnął się papierosem. Carolina powoli wyprostowała się i próbowała wygładzić na sobie mokre ubranie. Poszukała wzrokiem jego oczu. Miała wrażenie, że on wciąż bacznie się jej przygląda. Wreszcie wolno wypuścił z ust dym i powiedział:
 - Nazywam się Czarny Jastrząb.
 - Wiem, że pracuje pan u Charlesa MacAllistaira i ujeżdża konie. A na imię ma pan Jacob, prawda? - Z radością stwierdziła, że kółka zębate w jej mózgu zaskoczyły i znowu obracają się jak należy.
 - Tak, Jacob to imię, które mi nadano...
 - Czy pan wie, że ja w pewnym sensie także pracuję u Charlesa? MacAllistair jest przecież przewodniczącym Rady Szkolnej. - Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. - Nazywam się Carolina Hammond i jestem nową nauczycielką, to znaczy będę nią, gdy otworzą szkołę. Czy mogę mówić do pana Jacob?
 - Wolałbym Czarny Jastrząb. Czy nie uważa pani, panno Hammond, że to brzmi o wiele ładniej?
 - Tak... - bąknęła, ale poczuła się odepchnięta. Gdy jednak po chwili dodała: - Tak, proszę pana... - wziął jej rękę i spokojnie trzymał w swojej ciepłej dłoni. Cofnęła się z ociąganiem. Czuła, że znowu drży i zaczyna szczerkać zębami. Skrzyżowała ramiona na piersi. - Dziękuję panu za wszystko, co pan dla mnie uczynił. To było straszne przeżycie... Nie byłam na nie przygotowana.

- Przyrowadzę konia. Czy poradzi sobie pani z jazdą na oklep?

- Na pewno lepiej niż przedtem, gdy wisiałam przerzucona przez koński grzbiet...

Uśmiechnął się, jeszcze raz zaciągnął papierosem i zgasił niedopałek, przyduszając go mokasynem.

Okazały gniadosz o białych pęcinach pasł się obok na trawie, ciągnąc za sobą lejce. Gdy podeszli, uniósł łeb, ale nadal stał spokojnie. Jacob przełożył mu wodze przez szyję i dosiadł go ruchem pełnym gracji, przerzucając lewą nogę przez koński grzbiet. Potem podjechał kłusem w stronę Caroliny i zatrzymawszy się u jej boku, opuścił w dół ramię.

- Proszę spróbować wspiąć się na konia po moim ramieniu. Moja dłoń posłuży pani za strzemień.

Chciała tak zrobić, ale udało jej się tylko kurczowo uchwycić jego ramienia. Nie potrafiła przerzucić nogi ponad końskim kłębem, w każdym razie nie z miejsca, w którym stała.

Wyraz bezradności na jej twarzy i nieśmiałe spojrzenie, jakie mu rzuciła, spowodowały, że zmienił taktykę.

- Niech pani spróbuje przerzucić nogę nie przede mną, ale za mną. Pomogę pani!

Tym razem się udało. Unosząc się w górę, nerwowo przytrzymała spódnice. A kiedy już siedziała na koniu, Jacob trącił piętami jego boki i gniadosz ruszył z kopyta. Po chwili, nie wiadomo dlaczego, Carolina zaczęła przechylać się w prawo. Jacob obejrzał się i pomógł jej zachować równowagę.

- Proszę się mnie trzymać, panno Hammond, bo znowu pani spadnie...

Objęła go ramionami w pasie, wdzięczna, że dba o jej bezpieczeństwo.

- Pan nie używa siodła? - spytała, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- To dobrze, że nie wziąłem dziś siodła, inaczej nie mógłbym podnieść pani bez rozbiegu. Miałem koc, ale chyba wiatr mi go zerwał.

Nie rozmawiali, dopóki nie znaleźli się na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się widok na chatę i rzekę. Carolina odetchnęła z ulgą widząc, że jej dom oparł się burzy. Gdyby burza go zniszczyła, musiałyby zamieszkać u państwa MacAllistair.

Obserwując z góry okolicę, przekonała się, jaki los spotkał rosnące na brzegu topole. Leżały przewrócone korzeniami do góry, porzucane w różnych kierunkach. Naliczyła ich z pół tuzina. Podobny los spotkał cały zagon cebuli. Burza wyrwała rośliny z gliniastego gruntu razem z korzeniami. Z przerażeniem pomyślała, że w czasie burzy stała właśnie w miejscu, gdzie rosły topole...

- Widzę, że nie zabraknie pani opału tej zimy, panno Hammond - zauważył ze spokojem Jacob, popędzając konia.

Przed drzwiami chaty ściągnął wodze i wierzchowiec zatrzymał się. Carolina zsunęła się z zadu zwierzęcia i upadła na kolana. Jacob czym prędzej zeskokczył z konia, by pomóc jej wstać.

- Przepraszam pana, Czarny Jastrzębiu. Nie wiem, co się dziś ze mną dzieje... Nie mogę wziąć się w garść.
- W jej głosie znowu dała się słyszeć nuta niepewności.

Pochylił się i wzięwszy ją za ramiona, postawił na nogi. Pozwolił, by oparła się o niego całym ciężarem, i spokojnie czekał, aż się uspokoi. Na próżno. Łzy napęłniły jej oczy i zaczęły wolno spływać po policzkach. Zakryła twarz rękami, jej ciałem raz po raz wstrząsały dreszcze, a z piersi wydarł się rozpaczliwy

szloch. Miała uczucie, że to nie ona płacze, lecz tylko obserwuje niestosowne zachowanie innej osoby. Nie była w stanie opanować tych bezsensownych łez. Nie pomogło zakrycie ust dłonią. Co chwila wyrывało się z nich spazmatyczne westchnienie na przemian z jękiem. Jacob cierpliwie ją podtrzymywał.

Po dłuższej chwili otoczył ramieniem jej plecy i otworzywszy drzwi, wprowadził Carolinę do chaty. Gdy wchodząc potknęła się, objął ją mocniej. Czuł się nieswojo, mając tak blisko siebie ciało białej kobiety. Zamknął drzwi i odczekał trochę, by oczy przyzwyczaiły się do mroku. Obok żelaznego piecyka dostrzegł bujany fotel i w nim posadził roztrzęsioną dziewczynę.

- Proszę spróbować się opanować, panno Hammond! Jeśliby ktoś akurat tędy przechodził i usłyszał pani płacz, mógłby pomyśleć, że zrobiłem pani krzywdę. I na pewno najpierw by mnie zastrzelił, a dopiero potem spytał panią o szczegóły.

Nie wiedział, jak ją uspokoić. Spróbował położyć rękę na jej ramieniu i tym serdecznym gestem podtrzymać ją na duchu. Poczuł, że cała drży pod jego dotykiem. Domyślił się, że czuje się zagubiona i bezradna, i bardzo jej współczuł.

- Pani jest zimno... Nie dziwię się. Wiosenny deszcz przenika do szpiku kości. Napalę w piecu. Gdzie pani trzyma drwa?

Nie była w stanie mu odpowiedzieć, z wszystkich sił starała się opanować płacz. Jacob sam znalazł skrzynkę z drzewem i rozniecił ogień. Potem zapałką zapalił lampę naftową, stojącą na małym stoliku koło pieca. Uważał, że okaże Carolinie szacunek, nie zwracając uwagi na jej roztrzęsione nerwy. W jego odczuciu łzy były czymś głęboko żenującym, nawet dla kobiety.

Postanowił dokładniej obejrzeć sobie to jednoizbo-

we mieszkaniu. Poza piecykiem i bujanym fotelem był tu jeszcze mały stolik, cztery krzesła z prostymi oparciami, kredens i szafka kuchenna. W rogu stało łóżko o rzeźbionych nogach w kształcie szpulek, a przy nim duży kufer; poza tym było też parę półek, wypełnionych głównie książkami, i różne drobiazgi.

Dwa szmaciane chodniki sprawiały, że podłoga z desek nie wydawała się tak bardzo surowa. Małe okna po obu stronach drzwi ozdabiały biało-niebieskie zasłony. Chata tchnęła atmosferą wygody i spokoju, co uspiło zwykłą czujność Jacoba.

- Musi pani zdjąć z siebie mokrą odzież, panno Hammond. Za kilka minut w chacie będzie ciepło. A ja już sobie pójdę...

Głęboko wciągnęła do płuc powietrze i ręką mokrej spódnicy wytarła oczy.

- Jestem taka wściekła na siebie - wyznała. - Zachowuję się jak dziecko. Ale gdy zobaczyłam te drzewa i uzmysłowiłam sobie, że tam właśnie stałam, to... Pan pewnie myśli, że jestem głupia...

- Myślę, że jest pani zimno.

- Nic dziwnego, poczułam chłód śmierci...

- Przemoknięcie do gołej skóry także daje uczucie chłodu. Musi się pani koniecznie przebrać. - Ruszył w stronę drzwi.

Powinna była obrazić się za zbyt śmiałą uwagę na temat jej gołej skóry. Ale w tym momencie wszelkie konwenanse wydały jej się nieważne. Mimo że zawsze ponad wszystko ceniła sobie prywatność i samodzielność, teraz niczego bardziej nie pragnęła jak towarzystwa drugiego człowieka.

- Byłabym panu bardzo wdzięczna, Czarny Jastrzębiu, gdyby pan jeszcze chwilę ze mną pobył. Nie mogę zostać sama. Czuję się oszołomiona, jakby mi

tam na skałach odjęło rozum... - Zamknęła oczy, oparła głowę o fotel i jeszcze jedna łza spokojnie spłynęła po jej policzku.

Jacob nie mógł pojąć, dlaczego te łzy tak go wzruszają. Zwykle nie angażował się emocjonalnie w kontaktach z obcymi. Żył w dwóch całkowicie różnych światach. W domu matki czuł się pełnowartościowym człowiekiem. Wszędzie indziej był tylko Indianinem. Tak go traktowano w Force Yates, gdzie mieściła się Agencja do Spraw Indian, na ranczu, gdzie był zatrudniony, i w osiedlach białych ludzi, których coraz więcej tu powstawało. Ta kobieta była inna: inaczej się do niego zwracała i nie żądała, ale prosiła.

- Czy ma pani kawę, panno Hammond? Dobrze zrobi nam obojgu.

Zerwała się z fotela i zajrzała do kredensu.

- Niestety, mam tylko herbatę. Jeśli pan byłby tak dobry i zechciał mi poświęcić jeszcze parę minut, to prosiłabym, żeby pan przyniósł wody ze studni, a ja się tymczasem przebiorę i zagotuję wodę na herbatę. Już się tu robi cieplej, prawda?

Krzątała się przy szafce, wyjmując po kolei: puszkę z herbatą, czajnik, filiżanki i spodki, które niebezpiecznie drżały w jej rękach.

Jacob wziął wiadro na wodę i wyszedł z chaty. Widząc, że koń stoi tuż za drzwiami, ujął wodze i odprowadził go jak najdalej od przydomowego ogródka, w którym rosły warzywa, wypuszczając już nowe, bujne pędy. Właściwie była to tylko niewielka grządka, otoczona niskim i nierównym płotkiem. Tworzyły go różnej wysokości kijki i paliki wbite w grunt, pochylone w jedną i drugą stronę i niedbale połączone drutem. Chyba sama robiła ten parkan... - pomyślał.

Od razu przyszedł mu na myśl niewielki warzyw-

nik jego matki. Słuchała, co jej mówili misjonarze i próbowała postępować zgodnie z ich radami, mając nadzieję produktami ze swego ogródka uzupełnić zapasy rodziny. Często uprawy spotykało jakieś nieszczęście, niszczyły je szopy czy konie lub nękała susza. Jej wysiłek szedł wówczas na marne. Nigdy jednak nie ustawała w trudzie i nieraz los nagradzał ją skromnymi plonami. No cóż - myślał Jacob - nie jesteśmy rolnikami... Uwiązał konia obok kępy trawy kilka metrów od domu, a potem wziął wiadro i skierował się ku studni.

Ciemne chmury przetaczały się w górze, gnane zimnym północno-wschodnim wiatrem. Wyglądało na to, że jeszcze popada. Sporo deszczów spadło tej wiosny, co było dobre dla trawy i dla koni. Niewątpliwie było to również z korzyścią dla ogródka jego mamy i - dodał w myśli z nieco kwaśnym uśmiechem - także dla ogródka Caroliny. Te dwie kobiety dziwnie do siebie pasowały.

Jedno jest pewne - myślał - prerią rządzi niebo. Wiatr, chmury i od czasu do czasu tornado jedynie nam o tym przypominają. Dobrze, że choć tego biały człowiek nie może zmienić. Może kazać wiatrowi obracać skrzydła wiatraków, by meły dla niego zboże na mąkę i wiatr spełnia te polecenia. Ale gdy trzeba białemu człowiekowi dać nauczkę, wtedy wiatr spuszcza ze smyczy swoją wściekłość i niszczy całe to urządzenie. Jacob wciąż jeszcze uśmiechał się do tej myśli, gdy wyciągał wiadro ze studni i szedł w stronę domu.

- Proszę, niech pan wejdzie, Czarny Jastrzębiu, już się ubrałam. - Carolina zarzuciła szal i otuliła nim dokładnie ramiona i plecy. Mimo to nadal czuła ziąb, tkwiący głęboko w jej ciele. Gdy Jacob stanął w drzwiach, cała się rozjaśniła. On jednak, unikając

jej wzroku, postawił wiadro na szafce i podszedł do pieca, żeby poprawić ogień.

- Powinna pani spędzić tę noc w domu Mac-Allistairów, panno Hammond, ale nie widzę tu konia. Nie dali pani żadnego?

- Charles obiecał, że zbudują małą zagrodę i dadzą mi konia do własnego użytku, lecz jeszcze tego nie zrobili. Chyba wciąż mają nadzieję, że zdecyduję się przenieść do ich domu. Ja jednak wolę mieć swój własny kąt - mówiła dalej. - Uważam, że mi się należy, skoro mam pracę, a właściwie będę ją miała, gdy zaczynają się zajęcia w szkole.

Tymczasem Jacob, nie zastanawiając się, zdjął przemokniętą koszulę z koźlej skóry. Czuł nieprzyjemny chłód i chciał się osuszyć i ogrzać, zanim znowu wyjdzie na zimny, wiosenny wiatr.

Carolina stawiała właśnie czajnik z wodą na piecu i spojrzawszy mimochodem na Jacoba, dostrzegła jego nagi tors. W pierwszej chwili lekko się skrzywiła, ale po chwili wzięła z jego rąk koszulę i powiesiła ją na poręczu krzesła, przysuwając je bliżej pieca.

- Wcale się nie gniewam, że pan zdjął koszulę, Czarny Jastrzębiu. Postąpił pan bardzo słusznie. To właśnie należało uczynić w tych okolicznościach. - Rzuciła mu szybkie spojrzenie, ale natychmiast odwróciła wzrok, widząc rozbawienie na jego twarzy. - Herbata będzie zaraz gotowa, proszę pana. Proszę sobie wziąć drugie krzesło i usiąść blisko pieca, żeby się pan szybciej ogrzał.

- Nie jestem aż tak cywilizowany, żeby pytać kobietę, czy wolno mi zdjąć koszulę - wyjaśnił, uśmiechając się pod nosem. Niemniej wziął krzesło i przysunął do pieca.

To człowiek na poziomie i na pewno postępuje rozsądnie, więc nie ma najmniejszego sensu denerwować się z jego powodu - mówiła sobie w duchu. Byłoby

idiotyczne, gdyby dojrzała kobieta wpadała w popłoch tylko dlatego, że w pobliżu znalazł się mężczyzna.

Tymczasem tak się właśnie zachowywała. Ustawiła na stole serwis do herbaty: czajnik, filiżanki, spodki i sitko, a już po chwili wszystko poprzestawiała, chcąc, by czajnik stał w równej linii z resztą zastawy.

Jacob stanął za krzesłem i cały czas ją obserwował.

Zdobywszy się na odwagę, postanowiła odpowiedzieć mu spojrzeniem. Zauważyła, że choć od niej wyższy, nie był zbyt wysoki jak na mężczyznę. Dostrzegła dwa skórzane kapciuchy wiszące na jego szyi. Rzemiki, na których wisały, układały się na jego brązowej piersi w kształt litery V, co w jakiś sposób pasowało do silnego, muskularnego torsu. Miał na sobie drelichowe spodnie, ściągnięte szerokim skórzanym pasem, zapiętym na mosiężną klamrę. Nosił go nisko, co podkreślało szczupłość jego bioder.

Gdy przeniosła wzrok na twarz Jacoba, ten uśmiechnął się. Uznała ten uśmiech za zbyt poufały i nie na miejscu, więc bez słowa odwróciła się i zabrała za parzenie herbaty.

Nie spuszczać z niej wzroku, usiadł na krześle. Zwykle wiedział, co kobieta ma na myśli, gdy patrzy na niego tak jak Carolina. Tym razem doszedł jednak do wniosku, że będzie potrzebował więcej czasu, by wyrobić sobie zdanie o tej dziewczynie. Wciąż jeszcze była głęboko poruszona niedawnymi wydarzeniami. On też czuł się dziwnie wzruszony. Inaczej trudno byłoby zrozumieć, czemu tak wczuwał się w to, co ona przeżywa, i dlaczego siedział tu i czekał, aż Carolina poda mu herbatę w małej filiżance w kwiatki. Według powszechnie obowiązujących norm Carolina była za stara, by nie być mężatką, i za młoda, by mieszkać samotnie. Jak na kogoś o tak jasnej cerze, wydawała

mu się bardzo ładna. Jacob zarzucał sobie, że jest zbyt ciekawy białych ludzi. Już wielokrotnie w ciągu minionych lat ganił się za to.

- Dlaczego woli pani mieszkać tutaj? - spytał.

- Przecież na ranchu byłoby pani wygodniej i bezpieczniej.

- Czuję się tutaj zupełnie bezpieczna. W ogóle uważam, że na prerii jest bezpieczniej niż na ulicach wielkich miast. - Nie była już tego tak bardzo pewna, odkąd zobaczyła, jak tornado wyrwa drzewa z korzeniami, ale jej wspomnienia z Bostonu też nie były zbyt miłe. - Przyjechałam do Północnej Dakoty, by móc prowadzić samodzielne życie. Charles MacAllister obiecał mi to, gdy się do niego zgłosiłam, szukając posady nauczycielki. Ponad wszystko pragnę być niezależna. Być może jest to zbyt romantyczne pragnienie... Miałam jednak nadzieję, że tu, na Zachodzie, dana będzie kobiecie taka sama możliwość życia własnym, niezależnym życiem, jak mężczyźnie.

Wolał nie powoływać się na znane sobie wyjątki od tej zasady... Przyglądał jej się, gdy siedziała na bujaku, ciasno otulona szalem. Jej włosy jeszcze nie wyschły. Wyjęła z nich spinki i szesała do tyłu; były długie, ciemne i lśniące, jak mokre futro wydry. Wpatrywała się w czajnik z wodą na herbatę, jakby ją chciała zmusić, żeby się szybciej zagotowała. Jacob obserwował profil Caroliny, jej wysokie czoło, długi prosty nos i pełne wargi. Podobały mu się niebieskie okrągłe oczy, obwiedzione ciemnymi gęstymi rzęsami. Dostrzegał w jej spojrzeniu niewinność i uczciwość. To rzadkie cechy - ocenił.

Jak na białą kobietę miała ładną twarz, szczególnie teraz, gdy wróciły jej kolory. Jacob wolałby, żeby była bardziej rumiana. Trzeba by ją wyprowadzać na słońce - pomyślał - żeby się opaliła i straciła tę niezdrową

bladość. Była raczej szczupła. Biali mężczyźni powinni lepiej karmić swoje kobiety... Ona, co prawda, była samotna. Zastanawiał się, dlaczego Carolina zazdrości mężczyznom niezależności. Wydawało mu się to dziwne. Sądził, że tylko biali mężczyźni mają tego rodzaju pragnienia. W jego narodzie ktoś, kogo by wyrzucano poza nawias społeczności, stałby się przedmiotem największego potępienia. A ten, kto by opuścił społeczność z własnej woli, byłby uważany za szaleńca. Jacob pogodził się już z faktem, że biali cenili inne wartości niż jego współplemieńcy. Dążenie do niezależności było pewnie jedną z nich.

Carolina dostrzegła pytanie, malujące się w jego oczach. Na szczęście było to tylko pytanie, a nie opinia mężczyzny, który chce pokazać, gdzie jest jej miejsce.

- Nie chciałam z nikim mieszkać pod jednym dachem. Przywiozłam tu nawet swoje meble; i herbatę też lubię parzyć w czajniku, który mam po matce. Chcę robić wszystko zgodnie z własną wolą, pragnę, by bywali u mnie ludzie, których chcę zaprosić, a omijali mój dom ci, których nie chcę widzieć. Mam zamiar kierować się tylko własnym zdaniem i niczym więcej.

- Obyczaj mojego narodu nakazuje, by dom i całe jego urządzenie należały do kobiety, a nie do mężczyzny - zauważył.

- A czy kobieta ma prawo mieszkać sama, jeśli sobie tego życzy?

Wzruszył ramionami.

- Dawniej kobiety potrzebowały mężczyzn, żeby zaopatrywali rodzinę w mięso.

- Ale mnie to niepotrzebne - stwierdziła stanowczo. - Mogę sama zaopatrywać się w jedzenie.

- Czyżby pani polowała, panno Hammond? - spytał zupełnie poważnie.

- Nie, ale uprawiam ogródek, robię susze i przetwory, a w przyszłości mam zamiar trzymać kurczaki.

- Moja mama też się zajmuje uprawą i coraz lepiej jej to idzie. Czy pani jada ciemne mięso?

- Oczywiście!

- A lubi pani dziczyznę?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Lubię!

- Bo ja poluję, panno Hammond. Moglibyśmy wymienić się z panią na produkty. - Zachichotał, widząc nagły niepokój w jej oczach. - Moja matka nie zawsze zbiera plony ze swego ogródka, ale niektóre produkty suszy. Nauczyłem się lubić konserwy.

- Może więc dojdzie między nami do małego handlu wymiennego - zauważyła, już uspokojona. Pozwoliła sobie nawet na uśmiech.

- Kim jest mężczyzna, od którego pani uciekła? - spytał nagle.

Bezpośredniość tego pytania rozbroiła ją.

- To mój ojciec - odpowiedziała. - Ale wcale nie musiałam uciekać. Nie prosiłam nawet, aby wyraził zgodę na mój wyjazd... Mój ojciec nigdy nie aprobował ani mnie, ani moich pomysłów. Po śmierci matki zgodził się, żebym studiowała, ponieważ wiedział, że w ten sposób łatwiej się mnie pozbędzie. Gdy jego zabiegi, żeby wydać mnie odpowiednio za mąż, spełzły na niczym, wołał, żebym mu zniknęła z oczu.

- Widać zgodnie z waszą tradycją obowiązkiem ojca jest znaleźć męża dla córki; a być może jest to także przejaw troski o nią.

- A ja wcale nie pragnę, żeby mi ktoś szukał męża i narzucał jakiegoś bogatego starucha, który myśli, że mu wszystko wolno; zjawia się w moim salonie i wpycha mi rękę za... - ugryzła się w język, prze-

rażona tym, co chciała powiedzieć. Chyba wzburzenie wzięło w niej górę nad dobrymi manierami. Głęboko westchnęła, a spotkawszy jego pełne zrozumienia spojrzenie, zastanawiała się, czy wyrażało także współczucie... - Przypuszczam, że i u was ojciec może narzucić córce nie chcianego męża.

- To się u nas raczej nie zdarza - odpowiedział, śmiejąc się. - U nas młodzi ludzie stoją w kolejce pod drzwiami dziewczyny, o której rękę chcą się starać. Ona zaś wybiera tego, którego kocha. Udzielenie zgody przez jej ojca i wymiana prezentów między obiema rodzinami to tylko formalność, stanowiąca część ceremonii.

- I słusznie... Tak powinno być! - stwierdziła tonem sugerującym, że zazdrości Indianom mądrego zwyczaju. - Małżeństwo nie powinno być układem handlowym.

- Ciekaw jestem, dlaczego postanowiła pani osiedlić się właśnie w Północnej Dakocie?

- Dlatego, że jest daleko od Bostonu - zażartowała. - A tak naprawdę, to niektóre moje szkolne koleżanki zgłosiły się do pracy misjonarskiej w indiańskich rezerwach na Zachodzie i wiele się u nas na ten temat mówiło. Wysłałam sporo podań o pracę i najbardziej tolerancyjnym wobec moich poglądów okazał się Charles MacAłlistair w Dakocie.

- Czy pani ojciec wie, gdzie się pani podziewa?

- Napisałam do niego. - W jej oczach pojawił się błysk satysfakcji. - Na pewno ojciec, przeczytawszy mój list, powiedział: „Skoro tak, to niech ją diabli porwą...” lub coś w tym rodzaju. Nie potrzebował mnie już ani do opieki nad matką, która wiele lat chorowała, zanim umarła, ani do zajmowania się młodszym bratem, Andrew, który stał się faworytem ojca... Najlepsze jest to, że większość panów, których mój ojciec

upatrywał sobie na zięciów, wcale mnie nie chciała, tak samo zresztą jak ja ich. Nie miałam najmniejszego zamiaru stać się ozdobą ich salonów. Byłam gotowa bronić mojej pozycji do końca.

- Zwłaszcza gdy starsi panowie zaczynali się do pani dobierać... - Znowu się do niej uśmiechnął.

Odniosła wrażenie, że on szczerze się cieszy z jej zwycięstwa. Niemniej podejrzewała, że Indianie chcą dominować nad swoimi kobietami tak samo jak biali, albo jeszcze bardziej.

- Tak! - powtórzyła. - Byłam gotowa bronić się...

Wstała, zdjęła czajnik z pieca i postawiła go na kredensie.

- Przepraszam, że tak się rozgadałam. Nikomu tutaj nie opowiadałam o sobie tyle co panu. Przypuszczalnie powiedziałam więcej, niż chciał pan wiedzieć.

Jacob przeszedł przez pokój i stanął przy oknie. Na dworze znowu lało i chociaż było wczesne popołudnie, zrobiło się całkiem ciemno. Jak tylko deszcz ustanie - postanowił w duchu - trzeba zaprowadzić Carolinę na rancho, zanim ktokolwiek tu się zjawi, żeby sprawdzić, co się dzieje z tą niezależną, nowo przybyłą panną. MacAllistairowie wyjechali wcześniej rano, żeby, jak zwykle w sobotę, odwiedzić rodziców Marissy w mieście. Jeśli deszcz będzie nadal padał, droga wkrótce zamieni się w bagno i przypuszczalnie nie będą mogli wrócić na noc.

Zainteresowały go jej książki na półkach, więc podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się tytułom. Z zachwytem dotykał grzbietów i w pewnej chwili zawołał:

- Widzę, że i pani przyniosła nam słowo boże, panno Hammond!

- Ach, nie! Nie jestem misjonarką. Przyjechałam tu, żeby dać tutejszym dzieciom laickie wykształcenie.

Bardzo bym chciała móc uczyć indiańskie dzieci razem z dziećmi farmerów, którzy mnie sprowadzili. - Zabierając z kredensu filiżanki, odwróciła się i zauważyła, że Jacob z zainteresowaniem ogląda książki. - Zapraszam na herbatę! - oznajmiła i podała mu dymiącą filiżankę.

Spostrzegł, że wciąż jeszcze drżą jej ręce. Słyszał nawet brzęk uderzającej o spodek filiżanki. Carolina usiadła w bujaku, a on wrócił na swoje krzesło.

- Czy pan lubi czytać, Czarny Jastrzębiu? - spytała.

Jego oczy zwięziły się, jakby się poczuł dotknięty.

- Tak, lubię. - Przerwał, żeby skosztować kwaskowej konfitury z róży, którą podała do herbaty. - Czy spodziewała się pani usłyszeć, że nie umiem czytać?

- Ależ nie! Jest pan ciekawą kombinacją dwóch kultur: pana nieskazitelna angielszczyzna, pański strój, praca na ranczo. Pan chodził do szkół, prawda?

- Wiele zawdzięczam pani przyjacielom, misjonarzom, którzy zajęli się mną, gdy byłem dzieckiem. Nauczyłem się angielskiego, bo mojej matce bardzo na tym zależało. Zrobiłem to dla niej. Uważała, że znajomość angielskiego pomoże mi wejść na nową drogę życia. Czytać nauczyłem się sam. Traktowałem to jako zabawę i przyszło mi to z łatwością. Lubię czytać książki, ale, niestety, nie mam do nich dostępu.

- Może pan czytać wszystkie, które mam. Bardzo proszę... Będzie ich więcej, już złożyłam zamówienie.

- Czy pani zawsze mieszkała w Bostonie, panno Hammond?

- Właściwie tak. Wprawdzie chodziłam do szkoły w zachodnim Massachusetts, ale dom mego ojca był w Bostonie. - Carolina zawsze to podkreślała, choć dodawała, że jej matka nie była bostonką. Tak naprawdę nie było dla niej ważne, skąd pochodzi: zewsząd i znikąd...

- Nigdy nie byłem w Bostonie, ale znam dobrze Wschód. - Jacob rzadko wspominał ten okres swego życia i nawet sam się zdziwił, że teraz o tym napomknął.

- Ach, tak? A gdzie pan tam przebywał?

Wydawała się szczerze zainteresowana. Ta kobieta uważała go po prostu za takiego samego człowieka jak ona sama.

- Wysłano mnie do szkoły dla Indian w Carlisle, w Pensylwanii. Byłem tam cztery lata.

- Teraz rozumiem, dlaczego pan mówi jak człowiek wykształcony. Pan chodził do college'u. - Uśmiechnęła się do niego, jakby byli kolegami.

- O nie! To na pewno nie była taka szkoła, do jakiej pani chodziła. Tam ważne było tylko to, żeby mnie nauczyć zawodu, przygotować do solidnej ciężkiej pracy, dzięki której miałem się wyzbyć dzikości. Mówiłem waszym językiem i byłem bardzo ciekaw świata białych. Chciałem zdobywać wiedzę, ale nie miałem najmniejszej ochoty uczyć się murarki czy pracy na roli.

- Tylko tego was tam uczyli?

- Nie - szepnął. - Odebrali nam jeszcze naszą godność. Obcięli nam warkocze, kazali nosić mundury i zmuszali do chodzenia w takich bucikach, w jakich chodzą biali. Powiedzieli nam, że chociaż nigdy nie będziemy białymi ludźmi, powinniśmy przynajmniej próbować upodobnić się do nich. Nic o nas nie wiedzieli, nie rozumieli, że pochodzimy z różnych plemion, o różnych językach i tradycjach. Niektórzy z moich kolegów pochodzili z plemion będących odwiecznymi wrogami mego plemienia. Kiedyś omal nie zabiłem chłopca ze szczepu Czipewejów. Pokłóciliśmy się o konia, ale że mnie uważano za lepszego ucznia, to jego za karę odesłano do domu. - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - Uważali odesłanie chłopca do jego plemienia za karę. Dzi-

wili się, dlaczego niektórzy uczniowie popełniali samobójstwo, właśnie wtedy gdy doszli do mety, gdy znaleźli się po drugiej stronie cywilizacyjnej granicy. Czułem się zagubiony, kiedy mi powiedzieli, że już osiągnąłem założony przez nich cel; patrzyłem w lustro i zastanawiałem się, kim właściwie jestem.

Jego głos chwilami przycichał, ale Carolina nie zauważyła na twarzy Jacoba większej emocji.

- Czy ciągle jeszcze zastanawia się pan, kim pan jest? - spytała.

Spojrzał na nią, jakby zdziwiony tym pytaniem.

- Teraz już wiem, kim jestem. - Przerwał. Dobrze wiedział, że z jej strony nic mu nie zagraża. - Przyznam się pani, że ja nikomu tutaj nie powiedziałem o sobie tyle co pani i, być może, to także jest więcej, niż pani chciała wiedzieć.

- Nie! Wręcz odwrotnie, proszę pana. Mam nadzieję, że będę miała indiańskie dzieci w mojej szkole, a pan jest jedynym, jak na razie, Indianinem, jakiego znam. Jestem pewna, że muszę się jeszcze dowiedzieć wielu rzeczy.

- Przede wszystkim musi pani wiedzieć, że dla dzieci indiańskich są tylko rządowe szkoły z internatem i szkoły misyjne. Rzadko się zdarza, żeby nasze dzieci i białe spotkały się w tej samej szkole.

Carolina była zaskoczona.

- Wiem, że farmerzy i właściciele rancz nabyli tutaj ziemię, ale sądziłam, że to nadal jest teren rezerwatu dla Indian.

- Bo tak jest...

- Jeśli ma tu powstać wiejska szkoła, to czy indiańskie rodziny mieszkające na tym terenie, nie wołałyby posyłać swoich dzieci do niej, zamiast do internatu daleko od domu?

- Dzieci indiańskie są przymusowo zabierane ze swoich rodzinnych domów, panno Hammond.

- Zabierane? To znaczy, że one nie mają wyboru? Czy i pan był zabrany?

- Nie, mnie uczyli misjonarze, którzy przybyli tu, -by żyć wśród nas, ale to było dawno temu. Teraz zimą nasze wsie są opustoszałe i martwe; nie ma w nich dzieci. Dzieci umieszcza się w szkołach z internatem, żeby je odłączyć od życia plemiennego i oduczyć tradycyjnych obyczajów.

Dreszcz przebiegł jej po plecach i dokładniej otuliła się szalem.

- A gdybym je zaprosiła, to mogłyby chodzić do mojej szkoły?

Myślę, że musiałyby to pani przedyskutować z MacAllistaiem, a on z kolei ze swoimi przełożonymi. Albo może pani przedstawić tę propozycję agentowi do spraw Indian, a on ją przekaże do Waszyngtonu. Kto wie, może armia albo Kościół też muszą się wypowiedzieć na ten temat... - Jacob nie miał pretensji, że Caroline tak mało wie o sprawach Indian. Wierzył, że ma dobre intencje. - Wie pani... - dodał po chwili - może się zdarzyć, że zaproszenie zginie gdzieś po drodze.

- Chyba nie wszyscy mają zły stosunek do tych spraw. Zauważyłam, że MacAllistaiowie są bardzo przyjacielscy dla Indian - upierała się.

Jacob przez dłuższą chwilę wpatrywał się w dno swojej filiżanki.

- To dlatego - powiedział wreszcie - że babka Marissy MacAllistair i moja babka były siostrami. Jej matka jest pół-Indianką, a ojciec biały. Dość często się zdarza, że biały bierze sobie Indiankę za żonę. MacAllistair to przyzwoity człowiek. Wprawdzie jestem jedynym Indianinem, jakiego zatrudnia, ale sądzę, że wy-

nająłby ich więcej, gdyby chcieli dla niego pracować. Większość naszych ludzi myśli jeszcze dawnymi kategoriami. Chociaż nasz sposób na życie jest już dawno nieaktualny, innego nie znają.

Patrzyła na niego z zaciekawieniem, szeroko rozwartymi oczami.

- Więc co będzie, Czarny Jastrzębiu? Niech mi pan powie, co się z wami wszystkimi stanie?

To pytanie od dawna go gnębiło, ale jeśli nawet miał jakieś przemyślenia na ten temat, nie uważał za stosowne dzielić się nimi z białą kobietą.

- Nie wiem, co tych ludzi czeka - odezwał się niemal żartobliwym tonem - ale wiem na pewno, że jeśli ktoś przyjdzie sprawdzić, co dzieje się z panią i zostanie mnie tutaj, to moja przyszłość będzie zagrożona.

- Spojrzał na nią znacząco i dodał: - Nie tylko moja, ale pani przyszłość także. Bo jeśli pani przyjmuje u siebie Indianina i jest z nim sama w domu, to na pewno nie będzie pani dobrze widziana jako nauczycielka. Wie pani, co zrobić? Jak tylko ustanie deszcz, wyszczotkuję dokładnie mego konia i spróbujemy oboje przejechać się na nim na ranczo.

- Świetny pomysł! - zawołała i tak gwałtownie wstała z bujaka, że rozhuśtany otarł się o jej spódnicę.

- Niech pan będzie spokojny. Ktokolwiek tu przyjdzie, wyjaśnimy mu, co się zdarzyło. Sądzę, że czeka pana raczej uznanie za uratowanie mi życia niż krytyka za niewłaściwe zachowanie. A teraz, skoro i tak musimy czekać, aż deszcz przestanie padać, proponuję, żeby pan zjadł ze mną kolację.

- Będzie wołowina? - spytał, uśmiechając się.

- Oczywiście! A to upiekłam dziś rano! - otworzyła drzwiczki kredensu i pokazała mu trzy złotobrązowe bochny chleba. - Czy nie wyglądają kusząco?

Pachniały świeżością i oczy Jacoba rozjaśniły się na ich widok. Carolina podała na kolację duszoną wołowinę, która ich oboje rozgrzała. Przy kolacji zastanawiała się, co czuje Czarny Jastrząb i doszła do wniosku, że jeśli nawet ma żal do ludzi jej rasy, to na pewno nie ma żalu ani do niej, ani do Charlesa MacAllistaira. Ona sama zaś była pewna, że nie spotkała dotąd wielu męż- - czynn, z którymi byłoby jej tak dobrze jak z Jacobem. Czuła się przy nim ożywiona i swobodna.

- Jeszcze jedno muszę pani powiedzieć o moim narodzie - zaczął, rozsiadając się wygodnie w krześle i dopijając ostatnie łyki herbaty. - My nie myślimy o sobie jako o Indianach w ogóle. Większość z nas, których spędzono na ten nieużyteczny skrawek ziemi o nazwie Standing Rock, pochodzi z plemienia Lakota. A to plemię dzieli się na siedem wspólnot czy ognisk wielkiej rady, które są jakby dużymi rodami. Ja jestem z rodu Hunkpapa.

Carolina starała się przyswoić sobie jak najwięcej z tego, co właśnie usłyszała.

- A czemu w rozmowie ze mną użył pan terminu Indianie? - spytała po chwili.

- Bo widzi pani, to jest tak: gdy jestem wśród białych, wtedy myślę po angielsku. Używam terminu Indianie po to, żeby biali mnie rozumieli. Jeśli pani chce dowiedzieć się czegoś o ludziach mojego plemienia, to trzeba, żeby pani wiedziała, za kogo oni sami się uważają, a nie za kogo uważa ich. biały człowiek.

Spuściła oczy i powiedziała cicho:

- Ma pan, oczywiście, rację. Chociaż wszystko tutaj jest dla mnie nowe, to niewątpliwie przybyłam tu już z pewnymi uprzedzeniami i wyrobionymi sądami. Słyszałam na przykład, że niektórzy nazywają pańskich współplemieńców Siuksami. Skąd się wzięła ta nazwa?

- To imię nadali nam nasi starzy wrogowie, Czipewejowie. Wcale nie jesteśmy nim zachwyceni, ale wasz rząd chętnie się tym imieniem posługuje.

- Nie lubię, jak się ludziom przykleja etykiety i nie znoszę, gdy mnie nazywają białą kobietą. Boję się, że i pan w taki sposób o mnie myśli... Nie robi mi żadnej różnicy, czy ktoś mówi o mnie Amerykanka, Jankeska czy mieszkanka Nowej Anglii, ale zapytana, kim jestem, nigdy nie powiem, że jestem „biała”.

Uśmiechnął się.

- Chciałbym zawrzeć z panią umowę: nie będę o pani mówił „biała kobieta”, jeśli pani nie będzie mnie nazywała Indianinem. Zgoda?

- Miałabym ochotę nieco rozszerzyć naszą umowę. Pan uratował mi życie i był gościem przy moim stole, sądzę, iż zaprzyjaźniliśmy się już na tyle, że możemy mówić sobie po imieniu.

- Widzę, że pani wciąż nie rozumie panujących tu stosunków.

- Ciekawa jestem, ile się jeszcze muszę nauczyć, żeby mi wolno było zwracać się do pana po imieniu?

Jej naiwność była tak rozbijająca, że nie mógł się na nią obrazić. Nie mógł też oprzeć się czarowi jej uśmiechu.

- Przede wszystkim musisz się nauczyć dyskrecji, Carolino. Tych niewielu białych, których uważam za swoich przyjaciół, mówi mi po imieniu. Ciebie też do nich zaliczam, więc mów mi Jacob.

- Chciałabym dowiedzieć się więcej o ludziach z plemienia Lakota i o rodzie Hunkpapa. Mam nadzieję, że znajdziemy okazję, żebyś mi o nich opowiedział.

Jacob spoważniał.

- Jeśli będziemy się spotykać, ludzie zaczną plotkować na nasz temat. Nie postąpiłbym jak przyjaciel, gdybym pozwolił, by ludzie źle o tobie mówili.

- Może nie doszłoby do skandalu, gdybyś odwiedzając mnie, wkładał koszulę, zamiast świecić gołym torsem - zauważyła nie bez ironii.

- Masz rację! - skrzyżował ramiona na piersi, odchylił krzesło do tyłu i balansował na dwóch nogach.

- Ludzie z plemienia Lakota przywiązują wielką wagę do dobrych manier. Zawsze się starannie ubieramy, gdy idziemy z wizytą. Jestem pewny, że moi wujowie przywołałoby mnie ostro do porządku za dzisiejsze zachowanie.

- Przecież zdjąłeś koszulę, bo była mokra.

- To mnie wcale nie usprawiedliwia. Moja rodzina nieraz mi już zarzucała, że za długo byłem wśród białych i zapomniałem, co to dobre wychowanie. Zwrócono by mi również uwagę, że to wbrew zasadom przyzwoitości, abym przebywał z niezamężną kobietą sam na sam w jej domu...

Spojrzeli po sobie i nagle oboje wybuchnęli śmiechem.

- Cieszę się, Carolino, że dobrze o mnie myślisz. Wolałbym jednak, żebyś na przyszłość nie była zbyt ufna i nie zapraszała obcych mężczyzn do domu, gdy jesteś sama.

- Nie miałam wyjścia. Musiałam ci zaufać. Trudno, żebym wdawała się w dłuższą rozmowę, kiedy wisiłam przytroczone do twego galopującego konia.

- Ale to nie zmienia faktu, że mnie wcale nie znałaś.

Spojrzała mu w oczy i stwierdziła, że jest tym wszystkim naprawdę przejęty.

- Teraz już cię znam, i wiem, że o niewielu mężczyznach mogłabym to powiedzieć. Tych zaś, których chciałabym przyjmować w swoim domu, jest jeszcze mniej.

Spojrzał na nią z takim niepokojem, że poczuła się zmuszona dodać:

- Prawdę mówiąc, nie znam ani jednego takiego mężczyzny...

Gdy zbliżyła się, by wziąć od niego filiżankę, pomyślał, że bardzo wiele czasu minęło, odkąd trzymał w ramionach kobietę, i zastanawiał się, jak by to było, gdyby mógł przycisnąć ją do piersi i wsunąć swoje palce w jej włosy.

Uświadomił sobie równocześnie, że gdy ją zawiezie na ranczo, stanie się dla niego niedostępna. Będzie musiała trzymać się od niego z daleka i nie będzie już mowy o tym, by mogli prowadzić swobodną rozmowę jak dwoje równych sobie ludzi. Szybko się dowie, jakie tu naprawdę panują stosunki. Wyczuje te niewidzialne bariery, zobaczy, jak pogardliwie traktują go inni i będzie musiała zdecydować się, po czyjej chce stanąć stronie. Taki rozwój wypadków wydawał mu się nieuchronny. Chcąc się w jakiś sposób uodpornić na to, co go czeka, odsunął krzesło i raptownie wstał od stołu.

Carolina, która właśnie zmywała naczynia, natychmiast odwróciła się, wyczuwając zmianę jego nastroju.

- Zapal, Jacob, jeśli masz ochotę - zaproponowała spokojnie. - Mam jeszcze trochę zmywania, ale to już długo nie potrwa i wkrótce będę gotowa do drogi.

Sięgnął po swoją koszulę, ale okazało się, że wciąż jeszcze jest wilgotna. Przewrócił ją na drugą stronę i z powrotem powiesił na krześle.

- Czy masz coś takiego, czym mógłbym wyczyścić konia?

Dała mu drewnianą łyżkę na długiej ręczce i parę czystych gałganków.

Był wczesny wieczór, deszcz ustał i niebo rozjaśniło się. Błoto włąziło mu do mokasynów, ale on szedł wielkimi krokami przed siebie, mając nadzieję, że chłodne powietrze ostudzi jego nagą pierś i przywróci mu

przytomność umysłu. Kim była Caroliną? - zastanawiał się. Czy tylko jeszcze jedną bladą kobietą, imigrantką, świeżo przybyłą na tę ziemię i może nawet mniej rozsądną niż większość białych? On zrobił dla niej tylko to, co mu nakazywał dany od Boga instykt, to, co powinien zrobić mężczyzna: uratował ją przed groźną burzą. Potem jednak siedzieli przy jednym stole, jedli razem, dzielili się myślami i wspomnieniami. Przekonał się, że jest wspaniałą kobietą. Wzbudziła w nim pragnienia, które dawno temu, z własnej woli, stłumił. Dobrze wiedział, czego domaga się jego ciało, i gotów był to w sobie zwalczyć, bo pragnął także przyjaźni z Caroliną. Teraz był już pewny, że nie jest taka jak wszystkie, że nie jest jeszcze jedną białą kobietą, że jest całkiem inna... Z tym przekonaniem zabrał się do osuszania sierści konia.

Skończywszy, skrzył papierosa, zostawił gnadosza uwiązane przed drzwiami i wszedł do chaty. Unikał wzroku Caroliny. Podeszedł prosto do krzesła, na którym suszyła się jego koszula, i z przykrością stwierdził, że zostawiał na podłodze ślady błota. Odłożył na chwilę papierosa i wciągnął koszulę przez głowę, cały czas czując, że kobieta go obserwuje. Wziął znowu papierosa do ust i wreszcie, chciwie zaciągając się dymem, spojrzął na nią.

Krzętała się, odkładając na miejsce naczynia i ustawiając je na półce w kredensie. On milczał, a ona czuła przemożną potrzebę mówienia.

- Już skończyłam, Jacob. Możemy wyjechać, kiedy zechcesz. Wiem, że nie trzymam się prosto, siedząc z tyłu na koniu, ale postaram się nie przechylać, żebyśmy oboje nie spadli przeze mnie.

- Nie bój się - pocieszył ją. - Posadzę cię przed sobą i będę na ciebie uważał.

Chwyciła miotłę i sprzątnęła z podłogi grudki wyschniętego błota, a potem przez chwilę zacierała ręce, jakby je chciała oczyścić. Jacob skończył papierosa. Niedopałek wrzucił do pieca, w którym powoli dogasał ogień. Gdy do niej podszedł, snuła mu się jeszcze koło ust smużka papierosowego dymu.

- Lubię cię, Carolino - rzekł. - Staliśmy się w krótkim czasie przyjaciółmi. Ale gdy się znajdziemy wśród obcych ludzi na ranczo, nie będę się zdradzał z naszą przyjaźnią. Za dużo plotek by to wywołało. - Delikatnie położył dłonie na jej ramionach, a ona z uśmiechem spojrzała mu w twarz, wyraźnie akceptując ten gest. - Ale zawsze pamiętaj, że jestem twoim przyjacielem... - dodał cicho.

- Ja też cię lubię, Jacob. Nie nazwałś mnie dotąd dziwadłem ani żadnym z licznych epitetów, do których od dawna jestem przyzwyczajona. Nie mam zamiaru niczego udawać. Niech sobie ludzie myślą, co chcą! - Nie mogła oderwać wzroku od jego oczu. Odбивało się w nich wszystko, co Jacob czuł i co płynęło z najtajniejszych głębi jego duszy. On także nienawidził udawania. Wzruszyła się widząc, jak jego dłonie delikatnie się poruszają, a potem unoszą końce szala i otulają nim ciasno jej szczupłe ramiona.

- Na dworze zrobiło się chłodno po deszczu - ostrzegł ją zduszonym głosem. Gdy zdjął ręce z jej ramion i odwrócił się, poczuła się nagle osamotniona. - Chodź! - szepnął po chwili i poszła za nim jak zahipnotyzowana.

Złożył dłonie, by posłużyły za strzemień. Carolina umieściła w nich stopę i oparła się na niej całym ciężarem. Teraz podciągnęła się w górę na rękach i przeniósłszy drugą nogę łukiem ponad kłębem konia, usiadła na jego grzbiecie.

Jacobowi wystarczył jeden zręczny skok, by *znaleźć* się tuż za nią. Wziął do rąk wodze i trącił gniadosza piętą, by ruszył stępem. Opasał Caroline ramieniem w talii i przycisnął mocno, tak że wyraźnie czuła bliskość jego ciała. Mogła też docenić siłę jego ud. Ścisnął nimi konia, kierując jego chodem, a równocześnie utrzymywał we właściwej pozycji jej nogi. Czuła się bezpieczna, otulona siłą Jacoba niby płaszczem.

- Jak się nazywa twój koń? - spytała.

- Sagi.

- Sagi? - powtórzyła. - Czy to coś znaczy?

- To określa jego maść i znaczy tyle co gniady.

- To dobry koń. Zauważyłam, że zostawiasz go bez pieki, a on nie odchodzi.

Nauczyłem go tego. - Patrzył na różowy blask zachodzącego słońca, rozlewający się szeroko po błękitnoszarym niebie. Jej bliskość napawała go rozkoszą. Chciał, by droga trwała jak najdłużej.

Gdy Jacob przebywał na dworze, ona w tym czasie splótła włosy i spięła je w węzeł na tyle głowy. Na karku, tuż za uszami, wydostało się z niego parę loczków, gdy ich dotknął, wydały mu się miękkie jak puch gołębia. Odkrył palcami drżenie pulsu na jej szyi. Przyglądał się, jak jej piersi przy każdym oddechu podnoszą się i opadają. Miał wrażenie, że oddycha za szybko.

- Czy wciąż jeszcze jesteś zdenerwowana? - zapytał.

- Ależ nie - odpowiedziała pośpiesznie. - Czuję się już zupełnie dobrze.

Uśmiechnął się. Ucieszyło go, że ona czuje się lepiej, bo jemu było cudownie. Jego mięśnie żywo reagowały na bliskość Caroliny. Rozgrzewały się tam, gdzie ona dotykała jego ciała, i szybciej krążyła w nich krew. Mocniej przytulił ją do siebie, a jego palce poruszały się prawie niedostrzegalnie. Był przekonany, że Carolina czu-

je to samo co on, ale bał się, że ona może nie potrafi rozpoznać swoich uczuć. W duchu potępiał się za to, że pożąda białej kobiety, ale nie mógł się powstrzymać od przybliżenia twarzy do jej włosów i wdychania ich zapachu. Pachniały świeżą wodą deszczową.

Carolina odczuwała jakieś dziwne mrowiące przy-
pływy ciepła w swoim ciele i nawet się tym trochę zaniepokoiła. Siedziała na koniu okrakiem i mięśnie jego grzbietu i kłębu pieściły ją w najbardziej intymnych miejscach. Czuła ciepło wilgotnego ciała zwierzęcia i zdawało jej się, że to ciepło przenika ją na wskroś. Jeszcze bardziej ją niepokoiło, że każdy ruch Jacoba, każde jego otarcie się o jej ciało sprawiało, że traciła oddech. W dodatku wszystko to było niezwykle przyjemne.

Zanim dotarli na szczyt wzniesienia, usłyszeli za sobą donośny tętent kopyt i ujrzeni, że zbliża się trzech jeźdźców. Jacob rozpoznał w nich kierownika brygady roboczej na rancho Jima Batesa i jego dwóch pomocników: Tannery'ego i Culleya. Bates pierwszy ich dostrzegł, powiedział o tym pozostałym i wszyscy trzej ruszyli w ślad za Jacobem i Carolina.

- Panno Hammond! - wołał z daleka Bates.
- Przyjechaliśmy zobaczyć, czy u pani wszystko w porządku. Zaniepokoiły nas szkody, jakie wiatr wyrządził w oborze dla cieląt, a Culley przypomniał mi, że pani jest sama w starej chacie, więc pomyśleliśmy, że lepiej zobaczymy, co się z panią dzieje.

- Chacie nic się nie stało, ale topole nad rzeką wiatr wyrwał z korzeniami. - Uśmiechnęła się swobodnie, aby to, że jedzie na jednym koniu z Jacobem, wyglądało zupełnie naturalnie. - Na szczęście Czarny Jastrząb zobaczył, że jestem w niebezpieczeństwie i pomógł mi schronić się przed burzą.

- A jak to się stało, że w ogóle tam się znalazłeś, Czarny Jastrzębiu, co?

Zadając to pytanie, Culley wyraźnie przekroczył swoje kompetencje. Carolina od razu wyczuła rosnące w ciele Jacoba napięcie i poczuła, że w niej także budzi się złość. Mały kowboj z twarzą fretki wysunął się do przodu i widać było po jego minie, że chce obrazić i poniżyć Indianina. Na szczęście Jim Bates zachował się jak na szefa przystało:

- Ja go tam wysłałem - oznajmił i spojrzął zimno na Culleya. - Jeden z ogierów oddalił się od stada i trzeba go było poszukać.

Jacob osadził w miejscu gniadosza i zaczął opowiadać, co się wydarzyło, kierując swoje słowa tylko do Batesa.

- Szukałem schronienia przed burzą, gdy nagle zobaczyłem tę panią, stojącą na otwartej przestrzeni. W tym samym momencie zauważyłem lej zwisający z chmury...

- Szybki refleks i umiejętności jeździeckie Czarnego Jastrzębia uratowały mi życie - dodała Carolina. - Znalazł dla nas schronienie w miejscu osłoniętym skałami, a potem przyszła ta straszliwa wichura... Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Culley patrzył na nich zezem i uparcie powtarzał:

- A myśmy nie widzieli żadnego leja.

- Wobec tego stracił pan niezwykle widowisko, panie Culley - powiedziała Carolina nie bez ironii. Co prawda, ona też nie widziała leja, ale słyszała ten niesamowity ryk, czuła siłę pędzącego wiatru i przeżyła chwile potwornego strachu. Nie miała jednak zamiaru dzielić się swoimi odczuciami z kimś takim jak Culley. Woląла go ignorować i nawet nie patrzyła w jego stronę.

- Czy państwo MacAllistair wrócili bezpiecznie do domu? - spytała Batesa.

- Jeszcze nie i nie spodziewam się, żeby wrócili wcześniej niż jutro. Drogi toną w błocie...

- Ja w każdym razie zatrzymam się na tę noc w ich domu. Wciąż jeszcze czuję skutki szoku.

Bates skinął potakująco głową. Po chwili Culley pochylił się do niego i coś mu szepnął na ucho. Bates wyprostował się i widać było, że mu niezręcznie mówić o tym, do czego skłonił go Culley. Spytał ją jednak:

- Panno Hammond, czy nie wolałaby pani przejąć się na mojego konia? Może w siodle będzie pani wygodniej?

- Dziękuję bardzo, ale Czarny Jastrząb ofiarował się, że zawiezie mnie na ranczo i chciałabym znaleźć się tam jak najprędzej. Po burzy zrobiło się chłodno.

Odwróciła się i widząc kamienny spokój na twarzy Jacoba, spytała:

- Chyba nie masz nic przeciw temu, Jacob?

- Nie, proszę pani! - Trącił konia piętą, a przejeżdżając obok Batesa, rzucił krótko: - Rano poszukam ogiera.

Sagi równym kłusem pokonał strome zbocze, pozostawiając trzech jeźdźców daleko z tyłu. Ci zaś wdali się w ożywioną dyskusję o tym, co się tu przed chwilą wydarzyło.

Potężny gniadosz z łatwością radził sobie z dodatkowym ciężarem na grzbiecie. Po chwili powstał już spory dystans między Jacobem a trzema kowbojami, którzy najwyraźniej postanowili jechać w ślad za nim.

- Culleyowi bardzo się nie podoba, że siedzisz ze mną na jednym koniu - zauważył.

- Pan Culley lepiej by zrobił, gdyby pilnował swego nosa. - Na sam widok tego człowieka Carolinę ogarniała wściekłość. Od kiedy tu przybyła, nieustannie ją

prześladował. - Cały czas nasłuchuje i węszy, żeby za wszelką cenę dowiedzieć się czegoś, co go wcale nie powinno obchodzić. Zawsze się zjawia wtedy, gdy mam jakiś bagaż albo mebel do przeniesienia i oferuje swoje usługi. Czy on nie ma nic do roboty na ranczo?

- Staram się unikać Culleya, jak mogę. Na szczęście moja praca nie ma nic wspólnego z jego osobą. Bates trzyma go z daleka ode mnie, bo wie, że gdybyśmy się znaleźli zbyt blisko siebie, to rozpętałoby się istne piekło. No, cóż... Ja mogę go tylko walnąć w te wypukłe oczy i wystające zęby, ale ty swoim ostrym języczkiem potrafiłabyś może ukrócić tę jego obmierzłą pychę.

- Zaczęłam się już nawet wprawiać - zauważyła. - Nie mam najmniejszych oporów, żeby dawać nauczki tym, którzy na to zasługują, a on aż się prosi, żeby mu utrzyć nosa.

- Mimo wszystko wydaje mi się, że najlepiej trzymać się od niego z daleka - upierał się Jacob.

Wspięli się już na szczyt ostatniego wzgórza. Pod nim właśnie, na płaskim terenie, rozciągało się ranczo MacAllistairów.

- Szkoda, że ta przejażdżka była taka krótka - żałowała Carolina. - I proszę cię, Jacob, nie przejmuj się Culleyem z mego powodu.

Mocniej objął ją w talii, a ona głaskała grzbiet jego dłoni.

- Z łatwością go przekonam, aby nie wsadzał nosa w nie swoje sprawy.

- Boję się jednak, że on może cię nie posłuchać, a wtedy musisz mi... - przerwał w pół słowa.

To byłoby niemądrze - pomyślał - gdybym się wtrącał w sprawy białych. Niech oni między sobą szukają sprawiedliwości...

- Jeśli ci Culley robił przykrości, najlepiej powiedz o tym panu MacAllistairowi.

Wstrzymał konia przed frontową werandą domu MacAlistairów. Ciężko mu było zdjąć rękę z jej talii, ona zaś ze smutkiem myślała o chwili, w której to nastąpi. Będzie teraz musiała sama wejść do domu, a on wróci do swego baraku. Chciała go poprosić, żeby posiedział z nią na werandzie. Mogliby porozmawiać, tak jak u niej w chacie... Podałaby mu kawę, na którą miał przedtem taką ochotę. Zdawało jej się, że nadal czuje leciutkie ruchy jego palców, ale on zabrał rękę, zanim mogła w pełni rozsmakować się w tej delikatnej pieszczocie.

Jacob odepchnął się rękoma, zsunął po zadzie zwierzęcia, skoczył na ziemię i szybko przeszedł na prawą stronę Caroliny.

- Ludzie z plemienia Lakota - wyjaśnił - zawsze z tej strony wsiadają na konia. On jest do tego przyzwyczajony. Chodź!

Przeniosła nogę ponad szyją konia i pochyliła się w stronę Jacoba, kładąc mu ręce na ramiona. Zdjął ją z wierzchowca i - nie wypuszczając z objęć, postawił na ziemi. Przez dłuższą chwilę stali blisko siebie i szukali wzrokiem swoich oczu, by zobaczyć w nich potwierdzenie danej sobie obietnicy.

- Jestem ci wdzięczna za pomoc, Jacob.

- W moim narodzie dobry uczynek przynosi zaszczyt temu, kto go spełnia. Nie ma tu miejsca na wdzięczność.

Zatonęła spojrzeniem w jego ciemnych oczach.

- Mam nadzieję, że będziemy jeszcze mogli ze sobą porozmawiać. Oby jak najprędzej!

Uśmiechnął się do niej, ale usłyszawszy tętent kopyt, oderwał ręce od jej talii. Bez pośpiechu odwróciła się i zniknęła w drzwiach domu.

2

Caroiina zamknęła za sobą drzwi i rozglądała się po salonie, lustrując go od ściany do ściany i od sufitu po podłogę. Duży, stojący na półce nad kominkiem zegar błyskał ku niej z mroku jasną tarczą. Było po ósmej i dom stał pusty. Słyszała, jak podłoga trzeszczy pod jej stopami, gdy szybkim krokiem podeszła do okna i wyjrzała na podwórze. Zza koronkowej firanki widziała Jacoba, zawracającego gniadosza i kłusem wjeżdżającego do zagrody dla koni. Trzej jeźdźcy skierowali się w tę samą stronę. Jednak nie oddaliliśmy się od nich zbyt - pomyślała. Zaświeciła lampę, zapaliła w kuchennym piecu i postanowiła wziąć kąpiel. W domu MacAllistairów była prawdziwa żeliwna wanna. Marissa szczyliła się też tym, że ma pompę, która doprowadza wodę ze studni do kuchni. Caroiina miała wielką ochotę położyć się w wannie i korzystając z tego, że jest sama w domu, długo moczyć się w ciepłej wodzie.

MacAllistairowie mieli tylko jedno dziecko, więc nie przeciążona macierzyńskimi obowiązkami Marissa zajmowała się także gotowaniem dla zatrudnionych na rancho robotników. Caroiina postanowiła, że póki Marissa nie wróci, ona zatroszczy się o jedzenie dla tych ludzi.

Widziała oczami wyobraźni, jak robotnicy zjawiają się rano na śniadanie i rozsiadają na ławach przy długim kuchennym stole. Sądząc po tym, czego się już zdążyła dowiedzieć o mężczyznach z Północnej Dakoty, była pewna, że nawet im przez myśl nie prze-

jdzie, by przyłożyć rękę do jakiegokolwiek roboty w kuchni. Chociaż wiedzą, że Marissa wyjechała, nie ulega wątpliwości, że wbiją łokcie w czerwono-białą ceratę na stole i będą czekali, póki nie zjawi się przed nimi jedzenie.

Musiała dobrze popracować pompą, żeby z kranu pociekła woda, ale w rezultacie napełniła nią dwa czajniki na kawę, zdobne w niebieskie cętki. Sprawdziła, co jest w spiżarni, i znalazła w niej sporo bekonu i ziemniaków. Jeszcze kilka miesięcy temu nie wiedziałyby, od czego zacząć przygotowanie śniadania dla ośmiu mężczyzn. Nie miałyby pojęcia, że trzeba na to co najmniej pięć kilogramów ziemniaków, półtora lub dwa kilogramy bekonu, dwa tuziny jaj i tyleż sucharów, by robotnicy najedli się i wytrzymali do obiadu. W południe dostawali posiłek równie obfity i solidny, natomiast kolacja była lżejsza.

Teraz zaczęła przygotowywać sobie kąpiel. Najpierw wlała do wanny gorącą wodę, zagotowaną w garach na kuchni, a potem zimną z kranu. Zanurzyła się w wannie, umyła włosy pachnącym mydłem i moczyła się, póki woda nie wystygła i kąpiel przestała być przyjemna. W szafie Marissy znalazła dla siebie czystą suknię. Wprawdzie okazała się przykrótka, ale przynajmniej nie było na niej końskiej sierści.

Opróżniła wannę, wynosząc wodę pełnymi wiadrami do ogrodu. Podlała nią kwiatowe grządki Marissy. Tymczasem zapadł zmrok i zrobiło się ciemno, choć oko wykol. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwała się w odgłosy nocy: rechotanie żab, granie świerszczy i odległe wycie kojotów, choć właśnie tej nocy marzyłoby jej się inne towarzystwo...

Wróciła do domu, zamknęła za sobą skrzypiące w zawiasach drzwi do kuchni i zabrała się do obie-

ranią ziemniaków. Gdy trzymała w ręce okrągły ziemniak, przyszła jej ochota obrać go tak zręcznie, by z łupiny powstała jedna długa spirala.

Bawiąc się ziemniakiem, cały czas myślała o Jacobie. Miała nadzieję, że zjawi się rano przy stole i zje śniadanie razem z innymi. Chciała mu pokazać, że nie zawsze jest taka niezaradna, jaką ją widział rano.

Przypomniała sobie śmiałe twarze kobiet, których portrety wisały w szkole. Hol wyższej szkoły dla dziewcząt, do której uczęszczała Carolina, ozdabiały portrety bojowniczek o prawo kobiet do nauki. Odważnie nawoływały młode kobiety, by wzięły swój los we własne ręce, by korzystały z posiadanej wiedzy i niosły ją do najodleglejszych zakątków świata. Carolina wzięła sobie te ideały do serca.

Nudni przyjaciele jej ojca wyśmiewali się z niej. Choć znała niewielu młodych mężczyzn, stanowczo odrzucała awanse starszych, dobrze sytuowanych panów, których jej ojciec przyprowadzał do domu. W ogóle uważała, że z mężczyznami są same kłopoty. Dlaczego więc tak bardzo zależało jej na tym, by zrobić dobre wrażenie na Czarnym Jastrzębiu? Trudno sobie było wyobrazić, co ją w nim pociągało, a jednak rzeczywiście czuła do niego ogromny pociąg... Czytała kiedyś wiersz miłosny, który opisywał taki sam stan podniecenia, jaki ogarnął ją dzisiaj, gdy Jacob znalazł się blisko niej. Być może to, co czuła, było nieprzyzwoite. Ale powiedziała sobie: trudno... jestem panią samej siebie, i czuję to, co czuję. Te uczucia były jej miłe i drogie. Były szczerze. Taki też był Czarny Jastrząb.

Odstawiła garnek z pokrojonymi ziemniakami, zalała je zimną wodą i jeszcze raz poszła do szafy Marissy, tym razem po nocną koszulę. Za oknem w ciemności hukała sowa. Carolina postawiła lampę na to-

aletce w pokoju gościnnym, ale nie mogła się zmusić, by do końca przykręcić knot. Zbyt cicho było w domu. Odległy wiatr zdawał się wciąż jeszcze szumieć jej w głowie. Rzuciła koszulę na łóżko, zaniósła lampę do salonu, postawiła ją na stole tuż przy oknie i wyszła na werandę.

Od razu poczuła się bardziej swojsko niż w tym dużym pustym domu. Lekki wiaterek poruszał liśćmi topoli, żaby nawoływały się miłośnie. Spod schodów wyczołgał się duży, żółty pies MacAllistairów i przypadł do niej, merdając ogonem i kręcąc całym ciałem.

- Witaj, piesku - szepnęła, wdzięczna za jego towarzystwo. Lampa świeciła w oknie, mogła więc sobie wmówić, że ktoś jest w środku, a ona wyszła tylko zaczerpnąć świeżego powietrza i rozkoszować się pięknem nocy.

- Dobry wieczór, Carolino!

W pierwszej chwili przestraszyła się, usłyszawszy ciche zawołanie. Ale pies nie wszczął alarmu, więc z ciekawością wpatrywała się w ciemną sylwetkę mężczyzny, który wszedł na werandę i pochylił się, aby pogłaskać psa.

- Chciałaś, abyśmy się wkrótce spotkali, ale czy to nie za wcześnie? - Gdy podniósł rękę do ust, popiół na końcu jego papierosa rozżarzył się, oświetlając mu twarz.

- Ach, Jacob, nie poznałam cię w ciemności.

- Przestraszyłaś się?

- Nie słyszałam, że nadchodzisz, bo ciągle jeszcze szumi mi w uszach. Strasznie cicho w tym domu. Może usiądziesz i porozmawiamy chwilę - poprosiła, wskazując na drewnianą ławę.

Stapał tak cicho, że nie słychać było jego kroków, gdy wchodził po schodkach. Stanął tuż przy niej, jakby nie słysząc jej propozycji. Oparł się o słup werandy

i wpatrywał w twarz Caroliny, przebijając wzrokiem ciemność.

- Musimy mówić bardzo cicho. Culley już sobie na nas strzępi język.

- Miałeś z nim jakąś scysję po powrocie? - spytała szeptem.

- Culleyowi nigdy nie podoba się to, co ja robię i nie przestaje mnie oczerniać, a mnie szkoda słów dla niego.

- Przerwał. - Byłaś bardzo długo w kuchni, prawda?

- Obserwowałeś dom?

- Tak, bo gdyby Culley zrobił to, co zapowiadał, i stanął u twoich drzwi, ja też bym się tu natychmiast zjawił.

Uniosła brwi.

- I zastalibyście mnie w kąpieli, a ja zdzieliłabym was obu miotłą po głowie. - Jacob zaśmiał się cicho.

- Nie chciałabym - mówiła dalej - żebyś miał przeze mnie kłopoty z Culleyem. Chyba nie będzie mi się już więcej narzucał?

- Nie myślę o Culleyu, myślę o tobie.

- A co o mnie myślisz?

- Że było mi bardzo dobrze z tobą dzisiaj.

- Mnie też było dobrze z tobą - szepnęła. - Nie jesteś taki jak mężczyźni, których dotąd znałam.

- Nie, nie jestem taki i oboje wiemy, na czym polega różnica.

- Ale poza oczywistą różnicą są jeszcze i inne.

- Wiadomo jednak, skąd się biorą... Ja też uważam, że nie jesteś taka, jak inne białe kobiety.

- Miałeś mnie tak nie nazywać...

- To prawda! Ale to było, zanim zacząłem wyobrażać sobie ciebie w kąpieli. A w ogóle to myślę raczej o aksamitnej miękkości twojej skóry niż o jej kolorze.

Westchnęła cicho.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle powinieneś snuć jakieś wyobrażenia na mój temat.

- Nie chciałaś, żebym myślał o tobie jako o białej kobiecie. Ale kiedy Culley zapowiedział, że się tu wybierze, uzmysłowiłem sobie, że jesteś tak samo biała jak on. - Potrzęsnał głową. - Teraz to już bez znaczenia...

- Nie mam nic wspólnego z panem Culleyem, a bardzo wiele z tobą. To, że się różnimy pochodzeniem, uczyni naszą przyjaźń tym bardziej interesującą.

- Być może. - Odwrócił się, spojrzał przed siebie, potem w górę, na gwiazdy. - Większość białych w ogóle nie uważa nas za ludzi, Carołino. Czy możesz powiedzieć, co się stało z plemionami, które dawniej zamieszkiwały Massachusetts? Gdzie się podziały? Białym, pobitym w waszej wojnie domowej, zwrócono potem ich domy, broń, bydło... A co się stało z naszymi?

- Nie mogę być odpowiedzialna za historię, Jacob! Nie odpowiadam też za moją rasę... Nasza przyjaźń nie ma z tym nic wspólnego. - Podeszła bliżej. - Dla mnie jesteś mężczyzną, który uratował mi życie, i jedynie to się liczy. To, że jesteś dla mnie uprzejmy, że jedliśmy przy jednym stole, że rozmawialiśmy o wielu sprawach - tylko to jest ważne. Po cóż wprowadzać między nas jakieś żale?

- Gdy przestaję myśleć o tobie jako o białej kobiecie, widzę tylko kobietę. Przecież jestem mężczyzną - spojrzał na nią z uwagą.

- Wiem o tym - wyszeptała.

- Czy akceptujesz to, że myślę o tobie jako o kobiecie?

- Tak, bo ja też o tobie myślę - wyznała.

- Myślałaś o mnie w kąpielu?

- Spuściła oczy i przytaknęła.

- A także wtedy, gdy się ubierałam i gdy skrobałam ziemniaki...

Podszedł do niej całkiem blisko, a ona się nie cofnęła.

- Pachniesz kwiatami - szepnął. Lekkim muśnięciem kciuka odgarnął jej miękko wijące się włosy, opadające na skroń. - Lubię, gdy masz włosy rozpuszczone... - Wplótł palce w gęste sploty, tak, jak tego wcześniej pragnął. Czuł je między palcami: były chłodne i wilgotne. Drugą ręką pieścił jej ramię, śledząc reakcję Caroliny. Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami, oddychając nierówno.

- Całe popołudnie marzyłem o tej chwili - wyznał. Pochylił głowę i zbliżył usta do jej ust. Całował delikatnie, ale wargi Caroliny pozostały obojętne. Nie umiała całować. Nie była przyzwyczajona... Wycisnął na jej ustach długi, wilgotny pocałunek i cierpliwie czekał, jak zareaguje. Ale jedyne, co odczuł, to ciepło jej oddechu na policzku.

Carolina z przerażeniem myślała o tym, że to coś, co ją dławilo w gardle, teraz gniecie ją w żołądku. Jej zawsze chłodne ręce nagle stały się gorące i spocone, a najgorsze było to, że nie wiedziała, gdzie je podziać. W końcu odkryła bardzo odpowiednie dla nich miejsce: położyła je na plecach Jacoba.

Odczytał ten gest jako znak przyzwolenia i uśmiechnął się do niej.

- Wiesz, Carolino, choć całowanie się jest zwyczajem białego człowieka, bardzo je polubiłem. -I znowu przycisnął wargi do jej ust.

- To może dziwne - rzekła, z trudem łapiąc oddech - ale jeśli chodzi o ten właśnie zwyczaj, mam niewielkie doświadczenie.

Jacob odchylił się do tyłu i spojrzał jej w oczy.

- Niewielkie czy żadne? - spytał. Głaskał przy tym jej ramiona, jakby uspokajał nerwową żrebicę.

- Żadne - powiedziała.

- Uważaj więc, Carolino! Będę cię teraz mocno trzymał w ramionach i całował. - Przygarnął ją mocniej, nie przestając obserwować, ona zaś lekko przycisnęła dłonie do jego pleców. Teraz rozchylonymi wargami objął jej wargi i chcąc dać poznać, jak bardzo jej pożąda, pieścił językiem wnętrze jej ust. I oto gdzieś, w głębi, zrodził się odzew: nieśmiało oddała mu pocałunek.

Oderwał się od niej na chwilę.

- Wiesz już teraz/jak to się robi... co myślisz o tym zwyczaju? - spytał.

- Jestem oszołomiona, brak mi słów - stwierdziła. Pod miękką bawełnianą koszulą wyczuła twarde sploty mięśni na jego plecach i to ją do reszty odurzyło.

- Nie szukaj słów! Lepiej pokaż mi, co czujesz! - znowu ją pocałował, tym razem jeszcze gwałtowniej, i domagał się odpowiedzi. Wędrując dłońmi po jej plecach, coraz mocniej przytulał ją do siebie. Gorąca wilgoć ich ust przenikała się i mieszała. Gdzie tylko Jacob dotknął jej ciała, tam natychmiast przebiegał ją gorący dreszcz. Całowała tak, jakby chciała go wchłonąć w siebie. Przywarła do niego i poczuła się tak samo zagubiona, jak wówczas, gdy porwał ją z ziemi i wiózł na grzbiecie swego konia. Pamiętała, jak zziębnięta i bezradna pogrążała się wtedy w nicości. Teraz rozpalona, ale równie bezradna, znowu miała wrażenie, że spada w dół, lecz tym razem przepełniała ją słodycz i rozkosz. Rozchyliła wargi, by doznać jej jeszcze więcej. Zdała się całkowicie na łaskę instynktu.

Jacob zrozumiał, że jeszcze chwila, a nie potrafi się już opanować. Opanowanie było zawsze jego mocną stroną, ale z tą kobietą w ramionach było mu tak do-

brze... podobała mu się jak nikt dotąd i bardzo jej po-
 żądał. Jej piersi podnosiły się tuż przy jego piersi, czuł
 bicie jej serca blisko swego. W jego wyobraźni ich ciała
 łączyły się ze sobą i krew mieszała. Wiedział już, że
 posunął się za daleko, mimo to przycisnął ją mocniej
 do siebie. " --

Opuściła głowę na jego ramię. Zamknęła oczy i po-
 zwoliła, by miłość, jaką do niego czuła, przeniknęła
 całą jej istotę. Jego splecione włosy przywierały do jej
 czoła, ale nie przejmowała się tym, że on nosi war-
 kocze. Ważne było tylko to, że dotyk tych włosów
 sprawia jej przyjemność.

Pachniał koźlą skórą, koniem i mydłem do prania.
 Być może jej zachowanie było niewłaściwe, ale czuła,
 że nie może się od niego odsunąć, tak samo jak nie
 może zmusić serca, by przestało tłuc się jak szalone
 w piersi. Była tu z nim, bo bardzo tego chciała.

- Jacob - szeptała z głową wtuloną w jego szyję
 - czuję się tak samo bezradna jak podczas tej strasznej
 burzy.

- Jeśli mężczyzna trzyma cię w ramionach, ty nie
 możesz mówić o bezradności. Powinnaś natychmiast
 oprzytomnieć i znaleźć dość siły, by, jak przystało da-
 mie, dać mi w twarz.

- Miałabym cię uderzyć? Nie zrobię tego! Nie
 chciałbyś mnie już potem całować...

Jego ręce ześliznęły się po jej ramionach. Odsunął
 się i spojrział na nią. Napotkał rozmarzone, pełne uf-
 ności spojrzenie i uśmiechnął się do niej.

- Zaskakujesz mnie, pani nauczycielko! Przychodzę
 do ciebie późną nocą, ja, dziki Indianin ze szczepu La-
 kota, w mokasynach i z warkoczami, a ty pozwalasz
 się całować i zgadzasz się oddać mi pierwszy pocałunek
 w życiu. Dlaczego nie uciekasz i nie wołasz o pomoc?

Dobrze wiedział, dlaczego. Ta świadomość sprawiła, że jego oczy lśniły radością. Carolina widziała, jak śmieją się do niej w świetle księżyca i odpowiedziała mu uśmiechem. Odrzuciła włosy do tyłu i mówiła, nie kryjąc wesołości:

- Chyba wyszedłeś z wprawy, Czarny Jastrzębiu, i już nie umiesz straszyć. A może bardzo się starasz, żeby mnie nie nastraszyć? Trzymasz mnie wprawdzie w żelaznym uścisku, ale... - tu się zawahała - to nie ty, to raczej moje własne zachowanie trochę mnie przeraża. Przyjęłam za pewnik, że nie jest możliwe... to znaczy, tak mi zawsze mówiono, że damy nie odczuwają żadnej...

Zachichotał.

- A mnie mówiono, że białe kobiety są zimne jak ryba, ale to taka sama nieprawda jak ta, że „damy nie odczuwają”...

- Skąd wiesz?

- Bo jestem o wiele bardziej doświadczony, niż sądzisz.

Spojrzała na niego, lecz on zignorował pytanie w jej oczach. Wziął ją pod ramię i wskazawszy na schody, zaproponował:

- Chodźmy na spacer. Chcę być z tobą, ale nie tutaj...

Poszła za nim bez oporów. Zeszli z werandy, minęli barak, oborę i rozmaite inne budynki postawione przez białego człowieka. Nie czuła obawy, chociaż wiedziała, że on pragnie znaleźć się z nią w miejscu, gdzie będą zupełnie sami. Szli laskiem, który ciągnął się wzdłuż małego strumienia. Ona skwapliwie kroczyła jego śladami, on w milczeniu torował sobie drogę wśród topoli i wierzb.

Nie była to przechadzka dla samego spaceru. Jacob

chciał odejść jak najdalej od domu i tego, co łączyło się w jego pojęciu z blichtrzem jej świata. Pragnął mieć ją na swoim terytorium. Zdziwił się, że ona go o nic nie pyta. Szła za nim, ufna, że skoro już raz zadbał o jej bezpieczeństwo, to i teraz nie pozwoli, by cokolwiek jej zagrażało. Była niewinna i on dobrze o tym wiedział. Dał poznać Carolinie, że jej pożąda i widział reakcję. Zdecydowała się zostać z nim i to był jej własny wybór.

Lasek się przerzedził, na brzegu strumyka ukazała się mała polanka; rosła tam gęsta trawa i tu, i ówdzie krzaki derenia. Jacob zwolnił. Zbliżywszy się do polanki, obrócił się i czekał, aż dziewczyna do niego dojdzie. Widać było, że się trochę zmęczyła, bo ciężko oddychała.

- Myślałam, że wybieramy się na krótki spacer... może powinnam była wziąć szal - zaśmiała się nerwowo.

- Zimno ci? - spytał trochę szorstkim głosem.

- Nie, właściwie nie. Przy takim szybkim ruchu...

Niewinne spojrzenie jej niebieskich oczu irytowało go. Ufała mu bezgranicznie, jak pies. Nie był pewny, czy zasługuje na tyle zaufania; nawet nie pragnął na nie zasłużyć. Jedyne, czego chciał, to być sam na sam z tą kobietą.

- Szkoda, że nie przyniosłem szaty, jaką wkłada indiański zalotnik - zauważył. To zabrzmiało szczerze i szczerzy był także jego ujmujący uśmiech. Odwzajemniła go, uśmiechając się otwarcie i niewinnie. Absurdalnie niewinnie - pomyślał. Otoczył ramieniem jej plecy i przyciągnął ją do siebie. - Ochronię cię przed zimnem, maleńka. Wiatr osuszył trawę, panuje cudowna cisza.

- Dlaczego tu przyszliśmy, Jacob?

A więc w końcu zadała mu pytanie, na które czekał. Teraz szedł z nią wolnym krokiem, zmierzając w stronę krzaków derenia.

- A dlaczego zgodziłaś się przyjść tu ze mną?

- Bo zaproponowałeś, żebyśmy poszli na spacer.

- Gdy dziś jechałaś ze mną na jednym koniu, oni mieli wątpliwości, czy mam prawo cię dotykać. Teraz także nie mieliśmy innego wyjścia niż to, które wybrałem. Nie mogę siedzieć z tobą na werandzie, aby nas widziano. Choć nie podoba mi się, że musimy się wykradać z domu pod osłoną nocy.

- Nie mam uczucia, że się wykradamy, Jacob. W moim wieku na pewno nie potrzebuję przyzwoitki. Roześmiał się.

- Carolino! Przecież dopiero co pierwszy raz w życiu pocałowałaś mężczyznę.

- Ale to nie znaczy, że nie spotkałam przedtem mężczyzn, którzy próbowali mnie całować - sprostowała. - Po prostu ja ich wszystkich odrzuciłam. - Uśmiechnęła się i jej oczy zalśniły triumfalnie.

- Czy wiesz, że gdyby mnie złapali na tym, że cię całuję, poszłaby w ruch dubeltówka? — Uśmiechnął się trochę smutno. - Przyprowadziłem cię tutaj, bo tu możemy czuć się swobodni.

- Swobodni? Czyżbyś chciał pozwolić sobie na jakieś poufałości?

Dotknął kosmyka jej włosów.

- A czy do tej pory tego nie robiłem?

- Nie! - odpowiedziała spokojnie.

- Niczego nie wezmę siłą, chyba że dasz mi to z własnej woli. Za czasów młodości mego ojca mógłbym wziąć cię siłą. Mógłbym cię porwać, tak jak to zrobiłem rano; zabrać cię do swojej wsi i wtedy byłabyś już moja. Ale te czasy należą do przeszłości i nie

mam zamiaru zdobywać cię w ten sposób. - Zerwał garść owoców derenia i choć wiedział, że są jeszcze niedojrzałe, przytknął jedną śliweczkę do jej ust, a ona chwyciła ją wargami. Zacisnęła powieki, gdy poczuła cierpki smak dereniowego soku. Jacob zaśmiał się, a ona wyciągnęła rękę po więcej.

- Powiedziałeś, że wasze kobiety mają prawo wyboru mężczyzny, więc jak chcesz zdobywać moje względy?

- Jesteś ich kobietą, a nie naszą. - Położył jej parę jagód na dłoni i zerwał jeszcze kilka. - Dawniej, gdy odczuwaliśmy brak koni lub kobiet, zabieraliśmy je naszym wrogom. Z reguły porywaliśmy te, które nam szczególnie wpadły w oko.

- Masz na myśli ładne konie czy ładne kobiety?

Wzruszył ramionami.

- Jedne i drugie...

Wybrał miejsce porośnięte gęstą trawą i usiadł, skrzyżowawszy nogi, a ona usiadła obok. Smakowały jej te kwaśne śliweczki, ale nie bardzo wiedziała, co zrobić z pestkami.

- Dlaczego się nie ożeniłeś, Jacob? - spytała nieoczekiwanie.

- A kto ci powiedział, że nie jestem żonaty?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- A co, jesteś?

- Nie, nie mam kobiety - zaśmiał się. - Nie miałbym jej nawet gdzie trzymać.

- A czy byłeś kiedyś zaręczony?

Wyciągnął się na trawie, wbił w nią łokcie i oparł głowę na dłoniach.

- Kobiety, które miałem w przeszłości, nie mają nic wspólnego z tobą, Carolino. Teraz nie ma w moim życiu żadnej kobiety.

- *Przepraszam. Nie* chciałam być wścibska. - Postanowiła zmienić temat. - Te śliweczki już wkrótce dojrzeją i będą się nadawały na galaretkę. Muszę sobie zapamiętać to miejsce. Mówiłeś, że lubisz przetwory, Jacob. Czy lubisz także galaretkę, bo ja mogłabym...

- Wiem już, że umiesz gotować.

Posmutniała.

- Po prostu głośno myślałam - tłumaczyła się. Zaczęła wygładzać suknię na biodrach i prostować niewidzialne zagniecenia.

Chwycił ją za rękę i przykrył jej dłoń swoją.

- Od kiedy biały człowiek dał nam poznać smak cukru, zaczęliśmy tęsknić za słodyczami. - Podniósł jej rękę do ust i leciutko uchwycił zębami palec. Potem odwrócił dłoń wnętrzem do góry i delikatnie muskał wargami. - Tak, maleńka! Bardzo bym chciał poczuć twoją słodycz... bez reszty...

Przymknęła oczy, przejęta tym, co usłyszała. On zaś przygarnął ją mocno i sam ułożył jej ramiona na swoich plecach, tak by je dokładnie opasywały.

Otworzyła szeroko oczy i jakby zeszywniała.

- Jacob - szepnęła - to chyba nierozsądne z naszej strony. Nie możemy tak leżeć razem...

- Nie było rozsądne to, że dzisiejszej nocy przyszedłem do ciebie ani to, że potem wyszłaś ze mną z domu. Ale nie zrobię ci krzywdy, Carolino. Chcę tylko trzymać cię w ramionach, rozkoszować się zapachem kwiatów w twoich włosach i czuć smak derenia na twoich wargach. *Wipazukan* - tak nazywamy dereń w języku Lakota.

- *Wipazukan* - próbowała starannie wymówić to słowo. Raz jeszcze powtórzył je dla niej, by poprawiając wymowę, wypowiedziała je ponownie. Uspokojona, położyła się na trawie, a on przycisnął ją sobą

do ziemi. Leżąc, uśmiechała się do niego, a on głaskał ją po włosach. Obejmowanie go w tej pozycji sprawiało jej ogromną przyjemność.

- Tracę zmysły, gdy mnie obejmujesz i całujesz. Co gorsza, wcale mi nie żal, że je tracę.

- Nie tracisz zmysłów, maleńka. Chyba czujesz, że cię dotykam i słyszysz mój głos.

- Tak - szepnęła - moim zmysłom dobrze jest z tobą, ale obawiam się, że straciłam rozum.

- Zaufaj mi, Carolino. Chcę tylko rozkoszować się twoimi ustami i nic więcej. - Schylił głowę, smakował soczystość jej warg i pocałunkiem uspokoił ich drżenie. Oddała mu pocałunek, unosząc do góry twarz, a potem całowała go jeszcze wiele razy. Na próżno usiłował trzymać dłonie z daleka od niej. Nie potrafił. Wędrował kciukiem od jej skroni przez czoło, a potem opuszkami palców delikatnie powiódł wokół jej twarzy. Igrał językiem po jej wargach, póki nie rozchyliła ich tak, by mógł dostać się do środka.

Muskał jej ciało delikatnymi, drobnymi, szybkimi pocałunkami. To wydało jej się bardzo podniecające. Z radością przyjmowała każdą nową pieśczoć. Uwodzenie przychodzi mi zbyt łatwo - pomyślał Jacob. Doceniał jej niewinność, uważał ją za coś niezwykle pięknego, ale rozumiał, że fascynacja Caroliny pieśczoćkami wynika stąd, że nigdy przedtem niczego takiego nie doznała. Całował jej powieki, pieśczoćliwie ocierał się policzkiem o jej policzek i szczypał wargami delikatną muszlę jej ucha. Potem długo całował szyję.

- Jacob! - wzdychała cicho. Wnętrzem dłoni pieściła twarde mięśnie jego pleców, a potem zacisnęła palce na jego ramionach.

- Coś bardzo dziwnego dzieje się w moim wnętrzu - szepnęła.

- A czy to boli? - spytał.
- Ach, nie. Jest cudownie...
- Będzie jeszcze piękniej... zobaczysz. - Znowu raz po raz dotykał językiem jej szyi.
- Już teraz nie wiem, co się ze mną dzieje, a ty mówisz, że będzie jeszcze cudowniej.

Uniósł głowę i na jego twarzy zajaśniał pełen uczucia uśmiech.

- Przytul się do mnie mocno i oddawaj mi pocałunki. Coś mi się wydaje, że bardziej boisz się siebie niż mnie.

- Tak, Jacob, bo ty masz tę przewagę nade mną, że wiesz, jak się zachowasz w takich czy innych okolicznościach, a moje ciało sprawia mi na każdym kroku niespodzianki.

- Ssz... Zaufaj mi, *wiwaśteka*, zaufaj, moja piękna. - W chwilach wzruszenia mówił językiem Lakota. Najpierw otarł wargi o jej usta, a potem wpił się w nie głęboko i mocno. Ona zaś chwyciła go za ramiona, licząc na to, że skoro ma go nad sobą i ziemię pod sobą, to na długo zachowa ciepło, wilgotność i cud tych pocałunków. Koniuszkami palców rysował małe kółka na jej szyi, a ona cicho jęczała i myślała, że musi stąd natychmiast odejść. Miała na sobie zapiętą wysoko pod szyją kretonową suknię, ale on wodził palcami wzdłuż jej obojczyka, a stamtąd to w dół, to znów do góry i znowu w dół po małym wzniesieniu jej piersi.

Miał ją tak blisko pod sobą, że mógłby policzyć jej kruche żebra tuż pod swymi palcami. Sunąc wargami wzdłuż drogi, którą utorowały mu palce, miał wielką ochotę rozerwać suknię, okrywającą jej ciało i poczuć je nagie pod swoimi ustami. Krążył ponad wierzchołkami piersi i widział, że wstrzymuje oddech. Niczym

zmęczone dziecko zanurzył twarz w kotlinę pomiędzy szczytami jej piersi. Znowu jęknęła i poczuł, że coraz mocniej uciska jego plecy, a potem wygięła się łukiem i przyłgnęła do niego całą długością ciała.

Widząc, jak bardzo go pożąda, nie mógł się oprzeć uczuciu triumfu. Zaufała mu, pozwoliła, by tchnął nowe życie w jej ciało i sprawił, że jej krew się rozspiewała. Przymknął jej, że dzisiejszej nocy nie posunie się dalej. Przeklinał w duchu tę obietnicę, ale postanowił dotrzymać słowa. Obudziła w nim pożądanie, ale moc danego słowa okazała się silniejsza. Może zachowałaby się inaczej, gdyby miała przed nim innego mężczyznę, ale tak... Gdyby, chcąc zaspokoić swoją żądzę, posiadał ją i nie zaproponował małżeństwa, skazałby się na wieczną hańbę. To nic, że byłoby im dobrze ze sobą tej nocy, ale w świecie, w którym wypadło żyć im obojgu, byłiby przegrani.

Oderwał się od niej, zebrał w sobie i oparł na wyciągniętym ramieniu, pod które Carolina wtuliła głowę. Spróbował uspokoić się i wyrównać przyśpieszony oddech. Patrzył na nią. W świetle księżycy kropelki potu na jej bladej twarzy błyszczały opalizujące. Pragnął jej tak mocno jak ona jego, ale nie zdradzał się z tym, maskując podniecenie uśmiechem. W jego spojrzeniu płonęła namiętność, chował jednak twarz w cieniu. Inaczej niż Carolina, której oczy, oświetlone poświatą, błyszczały jasno jak księżyc.

- Moja ty piękna ptaszyno - szeptał - nim wstanie dzień, muszę cię zanieść z powrotem do gniazdko. - Mówiąc to, czule głaskał ją po aksamitnym policzku.
- Jastrząb poluje nocą. Małe ptaszki powinny się go wystrzegać i trzymać z daleka.

- Ale nie wtedy, gdy jest ich przyjacielem - protestowała.

- Mmm... Boję się, że pieszcząc cię tak jak teraz, nie poprzestałbym na przyjaźni. A przecież jastrzębie nie mogą parzyć się z małymi ptaszkami...

- Tu się kończy analogia, Jacob. Wszak jesteśmy ludźmi - wtrąciła trzeźwo.

Obserwował ją przez chwilę. Oddychała spokojnie, ale jej oczy wciąż były pełne blasku.

- Chciałabyś więc, żebyśmy się pobrali? - spytał. Zamknęła oczy i milcząc, przygryzała dolną wargę.

- Nie, nie chciałybyś... i ja też nie...

Pomógł jej wstać. Kręciło jej się w głowie, ale poprawiła suknię i usiłowała rozeznac się w nowej sytuacji. Miała nadzieję, że on jeszcze coś powie, bo nie wiedziała, jak rozumieć jego ostatnią uwagę i nie była pewna, czego tak naprawdę sama pragnie. Czuła tylko, że cudownie jest być w jego ramionach, ramionach mężczyzny, który nie osądza i nie krytykuje. Wydawało jej się paradoksalne, że Jacob akceptuje ją, tak jak nikt inny dotąd, jako kobietę, a równocześnie nie może zapomnieć o jej pochodzeniu.

Indianin czytał w myślach Caroliny.

- Jesteś wspaniałą kobietą - rzekł - i nie wierz, jeśli ci ktoś powie, że jest inaczej... - Otoczył ją ramieniem i objęci ruszyli w powrotną drogę.

Uśmiechała się.

- Jesteś pierwszym mężczyzną, który mi to powiedział.

- Wydaje mi się, że jestem pierwszym także pod innymi względami. Nie wiem, gdzie twoi znajomi mieli oczy.

- Znałam niewielu mężczyzn i zawsze udawało mi się ich przekonać, żeby trzymali się ode mnie z daleka. Mój ojciec twierdził, że mam zbyt ostry język i że nie robię nic, aby poprawić swoją niezbyt ciekawą urodę.

- Popatrzyła na niego jakby z żalem. - Ty też zauważyłeś, że mam ostry język...

- Tak, ale chodziło mi o to, żebyś ostrym językiem ukróciła pychę Culleya. Dla mężczyzny punktem honoru powinna być skromność, a nie pycha. A jeśli chodzi o twój wygląd... - spojrzał w niebo. - Czy trzeba poprawiać urodę księżycy? Twoje piękno jest równie naturalne.

- Nie wiem, czy mam ostry język, czy nie. Po prostu mówię to, co myślę - wybąkała. - A jeśli chodzi o upiększanie się, to nie mam cierpliwości stroić się w falbanki i flirtować w salonie.

Zaśmiał się.

- Możesz być całkiem spokojna, tu ci to nie grozi.

- A co z moim ostrym językiem?

- Wszystko zależy od tego, przeciw komu go użyjesz.

Zbliżyli się już do granic rancza. Zanim weszli na podwórze, Carolina chwyciła go za rękę:

- Przyjdiesz jutro na śniadanie?

Pogłaskał ją po głowie i uśmiechnął się. Tej nocy nie był w stanie odmówić jej niczego, choć wiedział, że to nierozsądne.

- Tak, przyjdę! - obiecał.

Zaskoczyła go szybkim pocałunkiem w usta, a potem odwróciła się i pobiegła do domu.

3

Zerwała się bardzo wcześnie, jeszcze przed świtem. Niewiele spała tej nocy. Ale cóż tam spanie? Nieważne! Liczyło się tylko to, że Jacob miał przyjść na śniadanie i wszystko musiało wypaść jak najlepiej. Oczywiście, inni robotnicy także dostaną przy okazji szczególnie starannie przygotowany posiłek. Była ciekawa, czy się domyśla, skąd bierze się ta jej gorliwość. Zaświeciła lampę na toalecie i obserwowała swoją twarz w lustrze, chcąc zobaczyć, czy wciąż jeszcze płonie żarem pieszczot, którymi Jacob obsypywał ją tak niedawno.

Tymczasem wyglądała tak jak zawsze, tylko pod oczami pojawiły się lekkie cienie. Umyła się, a potem mocno wyszczypała policzki, żeby się zaróżowiły. Tym razem zaśmiała się do swego odbicia w lustrze. O, tak! - teraz wyglądała znacznie lepiej. Zastanawiała się, czy nie użyć odrobiny mąki, ale doszła do wniosku, że to niewiele da. Nie chciała wyglądać jak oprószony cukrem pudrem pączek. Chciała być ładna. Chciała, żeby Jacobowi, gdy ją zobaczy tego rana, zamarzyło się porwanie jej. Oczywiście, wcale nie pragnęła, żeby ją porwał, ale miała nadzieję, że uda jej się wzbudzić w nim taką chęć.

Suknia, którą wypożyczyła sobie z szafy Marissy, była poplamiona trawą. Postanowiła wziąć się za jej oczyszczenie po śniadaniu, a tymczasem pożyczyła sobie inną. Wszystkie jednak miały za krótki stan. W końcu wybrała szarą spódnicę i białą bluzkę z małym żabotem. Być może ten żabot był zbędny, ale niewątpliwie ją zdo-

bił. A z drugiej strony dobrze maskował to, że bluzka Marissy była na nią za szeroka w biuście.

Uczesała się dzisiaj inaczej niż zwykle. Splotła war-kocze, a potem ułożyła z nich płaski, okrągły kok z ty-łu głowy. Jeszcze raz spojrzała w lustro. Wyglądała czerstwo jak skandynawska dojarka. Dlaczego nie jest łacina? Dawniej zupełnie jej wystarczało, że była za-dbana oraz czysto i praktycznie ubrana. Ale teraz? Niech jej to Bóg wybaczy, ale teraz bardzo chciała być ładna. Bardziej mi do twarzy w niebieskim - pomy-ślała. I znalazła taką suknię w szafie. Gdyby jeszcze udało się przybrać ją jakimś żabotem...

Kiedy kowboje wyszli ze swego baraku i zaczęli się schodzić w domu MacAllistairów, Carolina właśnie smażyła na jednej olbrzymiej patelni kartofle, a na dru-giej jaja. Usłyszała gwar niskich głosów i szuranie butów w sieni. Culley otworzył drzwi do kuchni i stanął w progu. Odwróciła się i zobaczyła kapelusze, wiszące na wieszakach w sieni i wiele par rąk przyglądających bujne fryzury. Culley uśmiechnął się do niej szeroko.

- Dzień dobry, panie Culley.

- Dzień dobry pani. Pięknie tu dziś pachnie, pra-wdziwie po niedzielnemu.

Kowboje powoli wypełniali kuchnię, a Culley sto-jąc przy drzwiach, regulował ruch.

- Nie wiem, czy pani już zna wszystkich naszych chłopców, panno Hammond, Billa Tannera poznała pa-ni wczoraj. - Wysoki, spokojny kowboj właśnie wcho-dził przez drzwi i kiwnął jej na powitanie głową. - Byłem z nim i z szefem, gdyśmy wypatrywali pani po burzy.

- Owszem - przytaknęła Carolina. - Dzień dobry, panie Tanner!

- Ten tutaj to Joe Angus, a ci dwaj to Rufus Prine

i Ben Davis. A oto i Will Ashworth. Powinieneś lepiej wyczyścić buty, Will!

Upomniany kowboj spojrział gniewnie na Culleya. Przed przyjściem tutaj umył sobie ręce i twarz i przyczesał się, wiedząc, że zasiądzie do stołu. Znał tutejsze zwyczaje, tak naprawdę nikt nie oczekiwał od niego, żeby jeszcze martwił się o czyste buty.

- Bardzo proszę do stołu, panie Ashworth - powiedział Carolina.

- Dziękuję! - odparł i rzucił Culleyowi pełne satysfakcji spojrzenie.

- Mam nadzieję, że kawa jest wystarczająco mocna - Carolina obchodziła stół i nalewała napój do filiżanek. - Wiem, że lubicie mocną kawę, panowie...

Aromatowi kawy udało się w pewnej mierze przeć zapach potu, bijący od robotników i woń dawno nie pranych skarpetek. Widocznie wczorajsza burza przeszkodziła im wziąć ciepłą kąpiel, jaką przygotowywali sobie zawsze w sobotę wieczór. Carolina, patrząc na nich, zwróciła przede wszystkim uwagę na ich szerokie bary i przepoczone kraciaste koszule, a potem na świeżo wypomadowane wąsy i włosy.

Szybko się obróciła, gdy usłyszała, jak ktoś z rozmachem otwiera drzwi, i z trudem opanowała rozczarowanie. Jim Bates zawiesił kapelusz na wieszaku i zaglądając do kuchni, uśmiechnął się do niej na powitanie.

- Dzień dobry, panno Hammond. To naprawdę uprzejmie z pani strony, że zrobiła nam pani śniadanie. Bałem się już, że ten obowiązek spadnie na mnie.

- Nie wiem, czy mi się udało dorównać wspaniałym posiłkom Marissy, ale bardzo się starałam.

- Już samo to, że śniadanie ugotowała kobieta, wystarczy, żeby zrobić przyjemność kowbojowi. Czy nie

mam racji, chłopcy? – Odpowiedział mu szmer aprobaty.

Bates zajął miejsce u szczytu stołu. Zmarszczki na jego twarzy ułożyły się w typowy dla niego ponury grymas. W jego obecności kowboje zachowywali się jak karny oddział żołnierzy, czekających na rozkazy. Przestali nawet siorbać kawę, póki Carolina nie napełniła filiżanki szefa.

- Dziękuję pani - powiedział. - Jaja na bekonie nigdy tak dobrze nie pachną jak w niedzielę rano, gdy po śniadaniu nie trzeba śpieszyć się do pracy. Prawda, chłopcy?

Znowu rozległy się potakujące głosy.

Właśnie postawiła na stole półmiski dymiących kartofli, jaj i bekonu, gdy usłyszała, że znowu otwierają się drzwi. Od razu mocniej zabiło jej serce. Nie patrz w tamtą stronę! - nakazała sobie w duchu i sięgnęła po suchary i nowy dzbanek kawy.

- Patrzcie, patrzcie, kto się tu zjawił! - zawołał śpiewną gwarą Culley. - Pewnie doszedł cię zapach dobrej gorącej kawy. Masz znakomity węch, Czarny Jastrzębiu, tyle tylko ci powiem.

Bates rzucił Culleyowi szybkie, twarde spojrzenie i zwrócił się do Jacoba, wskazując na puste miejsce po swojej lewej stronie.

- Siadaj obok mnie, chłopcze! Udało ci się! Nie będziesz musiał jeść dzisiaj posiłku mojej roboty...

- Proszę pani - wtrącił się Culley - może już pani być pewna, że jej gotowanie jest nie do pogardzenia, skoro jego zapach przywiódł nawet Czarnego Jastrzębia. Kto by pomyślał, że przyjdzie tu w niedzielę rano. Zwykle przesypia niedzielne śniadanie.

- To ty zawsze przesypiasz niedzielne poranki, Culley! - zauważył Will.

- Ma zwykle kaca, szczególnie jeśli to koniec miesiąca... - bąknął któryś, a inny dodał ze śmiechem:
- A czy my wszyscy nie jesteśmy tacy sami?

- Nie sądzę, żeby pani chciała słuchać o waszych brzydkich zwyczajach, chłopcy. - Bates także wolał o nich nie słyszeć. Był abstynentem i nienawidził ściągania do baraku swoich schodzących ze ścieżki cnoty podwładnych, co zdarzało się regularnie raz na miesiąc.

Do Culleya nic nie docierało, dalej ciągnął swoje.

- Czarny Jastrząb nigdy się nie zjawia na posiłki, gdy w domu są goście. Chyba tym razem spodziewa się, że dostanie coś od panny Hammond za to, że ją wczoraj wyratował. Pewnie sądzi, że panna Hammond jest mu coś winna.

Carolina miała zamiar dać Culleyowi ostrą odprawę, ale się powstrzymała. Spojrzała na Jacoba, a on popatrzył na nią znad filiżanki. Jego oczy nie zdradzały żadnych emocji. Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Jestem Jacobowi winna coś więcej niż śniadanie. Gdyby nie on - mówiła spokojnie - wichura porwałaby mnie na drugi brzeg rzeki, a wątpię, czy kursuje tam w niedzielę prom.

Niektórzy zaśmiali się, a ktoś grubiańsko zagwizdał. Culley uparcie przygadywał Jacobowi.

- Ach, co ja słyszę? Czarny Jastrzębiu, ta pani mówi, że jest ci coś winna. Szkoda, że to nie ja poszedłem szukać ogiera.

Jacob powoli odstawił filiżankę na spodek, spojrzał ostro na Culleya, i widać było, że gotuje się w nim ze złości. Interwencja Batesa przyszła w samą porę.

- Nie zachowujesz się przy stole jak należy, Culley. Wracaj do baraku, tam skończysz jeść - mruknął niskim głosem.

Culley, najwyraźniej zdziwiony, zawahał się.

- Słyszałeś, zabieraj się stąd! - ponaglał go Bates.
- I jeśli jesteś choć trochę mężczyzną, to przed wyjściem przeprosisz pannę Hammond.

Bulle przelazł przez ławę, mamrocząc pod nosem.

- Nie miałem niczego złego na myśli, mówiąc to, co powiedziałem, proszę pani. Chciałem tylko pożartować sobie z Czarnego Jastrzębia. - Zostawił nie dojedzony posiłek na stole i ruszył do drzwi. - Dziękuję za śniadanie. Było naprawdę smaczne.

Culley wzbudził w niej teraz współczucie, jak dziecko, które odesłano od stołu za nieodpowiednie zachowanie. Bo też zachował się jak dziecko.

- Przepraszam, panno Hammond - rzekł Bates.
- Cugle umie sobie radzić z bydlętem, ale z ludźmi nie potrafi rozsądnie postępować. Nie wiem, co za diabeł wstępuje w niego czasem.

- Culley to głupiec - stwierdził Czarny Jastrząb.

- Dajmy już temu spokój, Jacob. Zadbam, żeby ci więcej nie wchodził w drogę - zapewnił Bates.

- Panowie, bardzo proszę, nie kłóćcie się! Chciałabym, żebyście w miłej atmosferze spożyli ten posiłek. - Starła się mówić beztrąsko. - Nie pozwolę, żeby niegrzeczne odezwanie się Culleya zepsuło mi humor na cały dzień. A miałam ochotę na konną przejażdżkę po południu.

- Wierzchem? - spytał Bates.

- Tak, jeśli znalazłby pan dla mnie odpowiedniego i łagodnego wierzchowca. Wasze siodła są trochę inne niż te, do których przywykłam, ale myślę, że dam sobie radę.

- Sądzę, że moglibyśmy coś dla pani zorganizować.
- Bates skończył kawę i zwrócił się do Jacoba. - Co o tym myślisz? Znajdzie się u nas w stajni wierzchowiec dla panny Hammond?

Jacob nie podniósł głowy znad talerza.

- Może klacz pani MacAllistair byłaby odpowiednia; jest bardzo łagodna.

- Jacob jest naszym ujeżdżaczem. Nie spotkałem jeszcze mężczyzny, który by lepiej od niego radził sobie z końmi. On już pani znajdzie wierzchowca, a ja z przyjemnością zabiorę panią na przejażdżkę.

Caroliną uśmiechnęła się, choć nie przyszło jej to ławo. Wprawdzie nie liczyła na to, że Jacob z nią pojedzie, nie zrobiłby tego już choćby ze względu na złośliwe uwagi Culleya, mimo to poczuła się rozczarowana. Koniecznie chciała przekonać obecnych tu mężczyzn, że można jej powierzyć konia. To by umocniło jej poczucie niezależności. I już dla tego samego postanowiła, że pojedzie na konny spacer z Jimem Batesem.

Mężczyźni rozmawiali o koniach, budowaniu zagród, o wczorajszym tornado i rozkoszując się smacznym posiłkiem, popijali już drugą porcję kawy. Jacob mówił niewiele. Skończył śniadanie, pożegnał się z Caroliną i opuścił dom. W ślad za nim inni robotnicy też opuścili kuchnię i dziewczyna została sama z mnóstwem naczyń do zmywania. Szynekę zostawiła w piekarniku, żeby się lepiej dopiekła, ciasto przykryła, żeby wyrosło, i zabrała się za czyszczenie płam na sukni Marissy. Przy okazji wyprała swoją własną suknię i rozwiesiła ją na sznurze, po czym zdjęła fartuch i ruszyła w stronę stajni.

Minęła długi szereg boksów, aż doszła do drzwi na samym końcu przejścia. Przez szpary w deskach przedostawało się słońce i Caroliną obserwowała, jak pyłki kurzu unoszą się do góry i tańczą w jego promieniach. Otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Światło padało tu przez szyby wysoko umieszczonego okna i oświetlało rzędy skórzanych uzd, wiszących na kołkach na ścianie, i siodła, ustawione rzędem na pół-

kach. Dostrzegła jeszcze otwarte drzwi, prowadzące do jakichś dalszych pomieszczeń. Usłyszała dobiegające stamtąd dźwięki i zawołała:

- Jest tam kto?
- Czy pani szuka Batesa?

Ruszyła za dobrze jej znanym głosem w stronę drzwi.

Jacob oderwał wzrok od wodzy, które właśnie wyplatał i spojrzał na nią. Czego szuka tu, na zapleczu? Nikt tutaj nie przychodził. To miejsce było jego azylem. Uśmiechnęła się do niego i poczuł, że znowu ogarnia go podniecenie.

- Batesa znajdziesz zapewne na wybiegu - poinformował ją mrukliwie. - Ma piekielną ochotę wziąć cię na przejażdżkę, i wierci się niespokojnie jak stary byk, który poczuł krowę. - Sięgnął po papierosa, którego oparł o ogniwo złamanego wędzidła, zaciągnął się głęboko i, jakby chciał w ten sposób zdusić w sobie złość, przetrzymał przez chwilę dym w piersi.

Carolina stała spokojnie w drzwiach, a on siedział na krześle przy wysokim stole, który służył mu za warsztat. Przez dłuższą chwilę patrzył, jak dym ucieka przez małe okienko nad stołem i znika. Potem odłożył na bok papierosa i wrócił do swojej pracy, nie zwracając uwagi na dziewczynę.

- Chciałabym, żebyś to był ty, Jacob...

Spojrzał na nią przeciągłym, palącym spojrzeniem. Tak, pomyślał, wystarczy, że odezwie się tym słodkim głosikiem, a zapędzi w kozi róg każdego mężczyznę.

- Wolałabym, żebyś to ty mnie wziął na przejażdżkę. - Tym razem wyraziła się jaśniej.

- Chyba nie oczekiwałaś, że złożę ci taką propozycję przy śniadaniu.

- Czemu nie?

Jej naiwność wyprowadzała go z równowagi. Wyjrzał przez okno.

- Przecież już tłumaczyłem, dlaczego nie mogę proponować ci wspólnych spacerów. Dobrze choć, że to będzie Bates, bo przecież mógłby ci towarzyszyć Culley.

- Nie, Culleya już wtedy nie było - przypomniała mu. - A zresztą i tak nigdy bym się nie zgodziła na przejazd z nim. Pan Bates jest dżentelmenem, a poza tym ja naprawdę mam zamiar nauczyć się od niego jeździć tutejszym sposobem. Chciałabym mieć własnego konia.

- To uśmiechnij się do Batesa, on może ci załatwić wszystko, na czym ci zależy.

Ciasno skrzyżowała ramiona na piersi. Niewiele brakowało, a palnęłaby jakieś głupstwo, dostrzegła jednak coś w jego profilu i twardym zaciśnięciu szczęk, co kazało jej dobrze się zastanowić nad odpowiedzią. Opuściła ramiona i rzuciła obojętnym tonem:

- Nikogo nie było w pobliżu, gdy wchodziłam do stajni, może więc porozmawiamy przez chwilę.

- Nie mamy o czym mówić, Carolino.

- Czy mogę wejść do środka?

- Nie!

Mimo to przekroczyła próg. Pokój był pełen końskich uprząży, dokoła leżały kawałki skóry, narzędzia i derki pod siodło. Ze zdziwieniem zauważyła w rogu schludnie zaścielone łóżko. Oprócz tego w pokoju znajdował się mały pękaty piec, niewielki stolik z lampą i duże drewniane pudło z pokrywą na zawiasach. Carolina z przyjemnością wdychała zapach skóry.

- Kto tu śpi? - spytała.

- Ja!

- Dlaczego?

- Bo to jest mój pokój. Tutaj stale przebywam i pracuję. Nie powinnaś była tu wchodzić. Nie jesteś mę-

żatką. - Mówił tak, jakby bronił własnej pozycji, a potem spojrzął na nią z ukosa i wiedząc, że to jej się nie spodoba, przemówił, jakby chciał z kolei bronić jej interesów.

- Prawdziwa dama nie wchodzi do pokoju mężczyzny, nawet gdy go szuka, panno Hammond!

Ale ona wcale się nie spieszyła.

- Nie szukałam cię - stwierdziła spokojnym głosem, przechadzając się po pokoju. Widać było, że ma ochotę a to dotknąć jakiejś skóry, a to przyjrzeć się rzemieniowi czy paskowi. Nagle uśmiechnęła się do niego. - To, że cię tu zastałam, było po prostu szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

- Nie wierzę, że to zbieg okoliczności. - Nagle poczuł, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza i otworzył szerzej okno.

- Jak to się szczęśliwie składa, że masz swój własny pokój. To na pewno przyjemniejsze od przebywania z tymi wszystkimi mężczyznami w baraku. A zapach skóry i siana jest sto razy miłszy niż...

- ...niż zapach białych mężczyzn - zachichotał. - Tak, to rzeczywiście szczęśliwy dla mnie układ. Stokroć wolę to od mieszkania w baraku. Nie znoszę kłótni.

- Dobrze oceniłeś Culleya, to naprawdę głupiec. Jestem przekonana, że wszyscy zauważyli różnicę między zachowaniem twoim a jego.

- Chyba tak, ale jestem w trudnej sytuacji. Gdy odpowiadam na zaczepkę, mówią, że się zachowuję wrogo. Gdy z kolei milczę, wówczas powiadają, że już otrzymałem nauczkę albo że jestem tchórzem. - Spojrzał w jej stronę. - A ty, które postępowanie wolisz?

- Wolałabym, żebyś wykazywał opanowanie wobec grubiaństw Culleya. • -

- A ja bym wolał sam wziąć cię na przejażdżkę...
- Znow skupił się na swoim zajęciu, mocno naciągając paski surowej skóry.

- To mnie poproś! - szepnęła.

- Nie wiesz, co mówisz...

- Wobec tego ja poproszę ciebie.

- I wyjdiesz na idiotkę. Chyba nie chcesz, żeby wszyscy mówili o tobie tak jak Culley.

- Przecież nie wszyscy są tacy jak on.

- Jeśli chodzi o te sprawy, to oni wszyscy myślą tak samo. - Pochylił się do przodu. - Zapominasz, że jestem Indianinem, Carolino!

- Nie! Jesteś Lakotą! - poprawiła go, starając się naśladować jego wymowę, tak jak ją zapamiętała.

Te słowa sprawiły mu dużą radość. Z trudem odwrócił od niej wzrok i z jeszcze większym trudem wyrzucił z siebie:

- Nie ma w moim życiu miejsca dla takiej kobiety jak ty.

- A jednak zeszłej nocy zdawało mi się, że jest takie miejsce - powiedziała dobitnie.

Odwrócił się i patrzył w okno. Unikał jej spojrzenia, bo wiedział, że nie potrafi patrzeć w jej czyste, niebieskie oczy i mówić to, co zamierzał.

- Mógłbym może nieco urozmaicić twoje życie, Carolino, jeśli tego pragniesz. Moglibyśmy się spotykać w jakimś ustronnym miejscu, a nawet spróbowałbym odwiedzać cię w twojej chacie. Przy zachowaniu ostrożności mogłoby to się nam udać. Ja miałbym wielką wygodę, a i ty nie byłabyś rozczarowana. Już nieraz świadczyłem takie usługi białym kobietom i były ze mnie bardzo zadowolone. - Zrobiło mu się słabo, gdy usłyszał, jak ona z trudem łąpie powietrze.

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo - rzekła po

chwili, starając się, by głos się jej nie załamywał.
- Wczoraj tak nie mówiłeś...

- Wczoraj było inaczej - odparł spokojnie. - Nic o mnie nie wiesz. Jeśli nie interesuje cię moja propozycja, to może spróbuj z Batesem. Jeżeli będziesz szukać, panno Hammond, to możesz być pewna, że znajdziesz w końcu kogoś, kto ci będzie odpowiadał.

Odeszła. Wsłuchiwał się w miarowy odgłos jej kroków, gdy przemierzała stajnię, kierując się do wyjścia. Usłyszawszy, że drzwi się za nią zamknęły, zacisnął pięści i z całej siły walnął nimi w ścianę.

Carolina wybrała się na przejażdżkę z Jimem Batesem. Po pewnym czasie, gdy uznała, że nadeszła odpowiednia pora, powiedziała mu, że zostawiła w piecu kolacyjne danie i musi już wracać. Bates zapewnił z galanterią, że gdy tylko zechce, może jej udzielić dalszych lekcji i pochwalił ją za dzisiejsze osiągnięcia.

Wracając do domu, ominęła z daleka stajnię i zagrodę, ale odwróciła się, słysząc, że ktoś ją woła po nazwisku. Sądziła, że może Jacob chce ją przeprosić. Czekwała na to. Ale to nie był jego głos. Zbeształa się w duchu za pomyłkę. Nagle zobaczyła Culleya. Schylił się i przeszedł pod ogrodzeniem, kierując się w jej stronę. Odwróciła się i poszła szybko naprzód.

- Panno Hammond! - wołał za nią. - Chciałem panią przeprosić za to, co powiedziałem dziś rano. Bardzo mi przykro. - Dreptał za nią pośpiesznie na swoich kabłąkowatych nogach, a odgłos jego kroków robił wrażenie, jakby ktoś biegł, utykając. - Nie miałem niczego złego na myśli - powtórzył raz jeszcze, gdy się z nią w końcu zrównał. - Wiem, że pani jest prawdziwą damą.

Przyśpieszyła kroku.

- I proszę mi wierzyć - nie dawał za wygraną - że

szczerze żałuję, iż to nie ja byłem przy pani wczoraj, aby ją ratować przed burzą.

- Dziękuję panu za troskę.

- Nie chciałbym, żeby przez tego Indiańca pani się na mnie gniewała.

- Nie gniewam się na pana, Culley - ucięła.

- Ja panią podziwiam. Pani mi się podoba od pierwszego dnia, gdy panią ujrzałem. Gdyby pani kiedykolwiek potrzebowała...

Carolina doszła do schodów. Ten człowiek okropnie ją denerwował. Nie mogła się przemóc, by się choć na chwilę przy nim zatrzymać, lecz dobre wychowanie nie pozwoliło jej nie odezwać się do niego.

- Przepraszam pana, ale muszę dopilnować kolacji.

- Z hukiem zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Niemniej te kilka słów sprawiło, że odchodząc, idiotycznie się uśmiechał. .

MacAllistairowie wrócili do domu, gdy Carolina zabierała się do podawania kolaq'i. Dziewięcioletni Charlie głośno oznajmił, że jest głodny, i każdy z kowbojów siedzących przy stole zaofiarował mu miejsce koło siebie. Dla nikogo innego nie oderwaliby się od jedzenia ani na chwilę. Rozładunek prowiantu czekał, aż wszyscy zjedzą. Jedzenie było częścią zapłaty, jaką kowboj otrzymywał za swoją pracę, i nikt nie kwestionował jego prawa do spożywania posiłku, wtedy gdy był świeży i gorący. MacAllistair zajął miejsce na końcu stołu, naprzeciw Jima Batesa, i włączył się do rozmowy.

Ładna, drobna, ciemnowłosa i ciemnoooka Marissa była starsza od Caroliny, ale z usposobienia wydawała się młodsza. Miała żywiołowy, wręcz młodzieńczy sposób bycia. Włożyła fartuch i od razu włączyła się do pracy przy przygotowywaniu kolacji. Pochwaliła

dziewczynę za jej kulinarne wysiłki i częstowała przywiezionymi z miasta smakołykami. Carolina odzywała się mało i rzadko. Wciąż nasłuchiwała, czy Jacob nie wchodzi przez tylne drzwi, choć wiedziała, że to się nie może zdarzyć.

Nagle przypomniała sobie, że on ją haniebnie obraził i swoimi niegodziwymi słowami sprawił, że to, co ich łączyło, stało się czymś tanim i wulgarnym. Zniszczył owo piękne marzenie, które ona hołubiła, jakby było czymś realnym, prawdziwym. Czuła się głupio, nie dlatego że została nazwana idiotką. Wiele' razy ją tak nazywano. Nigdy się tym nie przejmowała. Wzięła to sobie do serca dopiero, gdy nazwał ją tak Jacob. Był jedynym mężczyzną, z którego opinią naprawdę się liczyła, i właśnie on ją zlekceważył. Miała do niego wielki żal; czuła, że nie chce go już więcej widzieć.

- Tornado! - powiedział ktoś przy stole i Carolina drgnęła na dźwięk tego słowa.

- Tornado? - powtórzyła Marissa z rozbawieniem, jakby nie dowierając. - Carolino! Jim mówi, że widziałś tornado...

- Jacob zobaczył, że nadciąga tornado i zaprowadził pannę Hammond w bezpieczne miejsce. Na szczęście zdążył w samą porę. Dużo nie brakowało, a utracilibyśmy naszą nauczycielkę, zanim jeszcze zdołaliśmy otworzyć szkołę. - Bates wstał od stołu, dopił swoją kawę i uśmiechnął się ciepło do Caroliny. - Dziękujemy, że nas pani nakarmiła. Bardzo nam smakowało.

Dziewczyna uświadomiła sobie, że jej stołownicy już zaczynają wychodzić, a ona nie zamieniła z nimi dotąd ani słowa.

- Jest pan tu zawsze mile widziany! - zawołała za Batesem, ale już wyszedł.

- Mój Boże, dziewczyno, czy ty wiesz, co to jest

tornado? - gorączkowała się Marissa. - Musiałaś się chyba okropnie przerazić. Ja widziałam je kiedyś, ale z dość dużej odległości. Gdzie byłaś, gdy nadciągnęła burza?

Carolina zaczęła już zbierać talerze ze stołu.

- Stałam blisko rzeki, niedaleko chaty. Zupełnie sobie nie zdawałam sprawy z niebezpieczeństwa. Dobrze, że akurat Jacob znalazł się blisko i zobaczył mnie...

- Mogłaś stracić życie...

Jeszcze wczoraj świadomość grożącej śmierci nie pozwalała jej myśleć o niczym innym, ale teraz miała nowe zmartwienie.

- Marisso, możesz mi powiedzieć, jak długo Jacob pracuje u was na ranczo?

- Jacob? Na stałe jest u nas od trzech lat. - Kobieta wsypała garść płatków mydlanych do cebrzyka i zalała je gorącą wodą. Miała zamiar wziąć się za zmywanie. - Dawniej pracował tylko dorywczo, ilekroć Charlesowi udało się go namówić, żeby przyszedł ujeżdżać nasze konie. Nie masz pojęcia, jak on sobie świetnie z nimi radzi, a Charles szczydzi się tym, że ma najlepszą stadninę w okolicy.

Carolina postawiła na stole stertę talerzy.

- Czy Jacob był kiedyś żonaty? - spytała.

- Żonaty? - Marissa spojrzała na nią z zaciekawieniem. - Dlaczego o to pytasz?

- Opowiadał mi o szkołach, do których chodził, ale niewiele się dowiedziałam o jego rodzinie i zastanawiałam się...

- Nie, nigdy nie był żonaty. Wydaje mi się, że miał jakąś dziewczynę, chyba sympatię z dzieciństwa. Myślę, że chciał się z nią ożenić, ale gdy wrócił ze szkół do domu, okazało się, że ona tymczasem wyszła za innego. Zdaje się, że za białego. - Marissa rozrabiała w cebrzyku mydliny, roztrzepując płatki ręką zanu-

rzoną w wodzie. - Przyznaj, Carolino, że przystojny z niego mężczyzna.

- Tak, bardzo. I jest o wiele za inteligentny, by miał przez całe życie pracować jako pomocnik na ranczo.

Pani MacAllistair spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Carolino! Przecież Jacob jest Indianinem.

- Wiem o tym! - Miała trudny dzień i nie zamierzała zaskarbiać sobie niczych względów. - Ty także jesteś Indianką! - powiedziała. Marissa milczała i Carolina od razu pożałowała swoich słów, było już jednak za późno, by je cofnąć. Mogła się tylko lepiej z nich wytłumaczyć.

- Wiem od Jacoba, że wasze babki były siostrami.

- Widzę, że prowadziliście poważne rozmowy - zauważyła Marissa. - Nie spodziewałam się, że on komuś o tym powie. Nie, żeby to była tajemnica. Chodzi o to, że nie wszyscy ludzie to rozumieją.

- Ale ja bardzo pragnę lepiej zrozumieć te sprawy.

- Stały obie nad cebrzykiem z mydlinami i patrzyły sobie w oczy. - Jacob przyznaje, że twój mąż ma dobry stosunek do Indian i że ich w pełni akceptuje, twierdzi jednak, iż to raczej rzadkie wśród białych ludzi w tych stronach.

- Nie sądzę! Wielu białych mężczyzn wzięło sobie Indianki za żony - stwierdziła sucho Marissa.

- I ich małżeństwa na pewno są zgodne i szczęśliwe. Tak jak twoje, Marisso - Carolina poklepała ją po ramieniu.

- Właściwie nigdy nie żyłam jak Indianka i nie byłam za taką uważana. Mój dziadek był francuskim traperem. Nieraz myślę, że dla Indian może byłoby lepiej, gdyby tutejsze ziemie zostały w rękach Francuzów. Oni przybywali tu, aby polować lub handlować, pożeni się z Indiankami i zostali zaakceptowani przez rodziny swoich żon.

Carolina wręczała jej talerz po talerzu, a Marissa wkładała je do wody.

- Mój ojciec - mówiła dalej - przybył na terytorium Dakoty z Minnesoty, otworzył tu sklep i ożenił się z moją matką. Tak więc, skoro ojciec i mąż mojej matki byli biali, ludzie nigdy nie uważali jej za Indiankę.

- A ciebie? - spytała Carolina.

- Ja jestem przecież żoną Charlesa MacAllistaira - powiedziała wyniośle i na jej twarzy pojawił się wyraz dumy. Ale już po chwili dodała łagodniejszym tonem: - Jestem także kuzynką Jacoba, Czarnego Jastrzębia. Cieszę się, że ci o tym powiedział, bo to znaczy, że może, mimo wszystko, kryją się w jego sercu jakieś uczucia dla krewnych o mieszanej krwi. - Uśmiechnęła się smutnie. - Jacob jest z nami kilka lat i przez cały ten czas ani razu nie rozmawialiśmy o naszym pokrewieństwie, choć miałam na to wielką ochotę.

- Jeśli to nie jest sekret, to dlaczego tak trudno przyznać się do tego?

Marissa wytarła ręce w fartuch i usiadła na długiej ławie przy stole, a Carolina zaraz się do niej przysiadła.

- Żyjemy tu pomiędzy dwoma światami, Carolino! Staramy się wyjść z tej sytuacji obronną ręką i dokonujemy wyboru. Moja babka wybrała białego mężczyznę i z każdym pokoleniem coraz więcej w nas krwi białych. Ale jest coś we mnie... - przerwała i potrząsnęła głową - nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Gdy dorosłam, musiałam się, oczywiście, zajmować sklepem, a moja matka mówi dobrze po francusku i po angielsku, ale nie bardzo umie porozumieć się w języku Lakota. I mam takie niejasne uczucie, jakbym coś utraciła.

- Co? - naciskała dziewczyna.

Marissa nie odpowiedziała. Spuściła głowę i wpatrywała się w swoje ręce, złożone na podołku.

. - Ten naród - szepnęła po chwili w zamyśleniu - tak mężnie walczył o swoją wolność, a gdy ludzie nie mieli już czym walczyć, to jeszcze próbowali uciekać przed naszą armią. A teraz są tutaj. Mieszkają w małych skupiskach i trzymają się razem. Bo cóż im zostało, poza chorobami i rozpaczą? Tylko to, że mają siebie...

- Czy poza matką Jacob ma jeszcze rodzinę? - spytała Carolina, nie potrafiąc ukryć zainteresowania.

- Jego rodzice mają jeszcze jedno lub dwoje młodszych dzieci i mam wrażenie, że jest tam jeszcze starszy brat. Mają swoją chatę i mieszkają w niej wszyscy razem. Jacob pomaga im, dzieląc się z nimi swoimi zarobkami, ale woli mieszkać osobno. To jego własna decyzja, że zamieszkał na ranczo.

- A co robią inni Indianie? Jak żyją?

- Rząd rozparcelował ziemię, wydał im narzędzia rolnicze i kazał zająć się uprawą roli. Niektórzy próbują to robić. Rząd przydziela im też racje żywnościowe, by uchronić ich przed głodem.

- Jacob opowiadał mi o ogródku swojej mamy. - Carolina uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- To niezwykle, że tak szczerze rozmawiał, zwłaszcza z...

- Zwłaszcza z białą kobietą, co? Tak, wiem, ale on mi uratował życie, Marisso! - oczy Caroliny wyrażały więcej niż wdzięczność, gdy to mówiła.

- Jacob nie ma łatwego życia. Sercem jest przy swoim narodzie, a głową... Jest lepiej wykształcony niż większość tutejszych ludzi, i to zarówno białych, jak i Indian. I widział więcej świata... On wie, że jego naród nie może już wrócić na swoje dawne ziemie. Ale młodzi nie mają tutaj co ze sobą zrobić.

- Rozmawialiśmy na wiele tematów - wspominała Carolina, pomijając przykre dla siebie momenty. - Lu-

bię go. To rozsądny człowiek... w większości wypadków...

Wyraz twarzy Marissy mógł oznaczać zarówno niepokój, jak aprobatę. Nie wiedziała, jakie ma zająć stanowisko i wołała zamienić wszystko w żart.

- Ach, ci mężczyźni! - zawołała. - Uważaj, moja droga, żebyś go za bardzo nie polubiła! Tak! Strzeż się Jacoba, bo otoczył się grubszą skorupą niewrażliwości niż większość mężczyzn.

- Byłabym mu przyjaciółką, gdyby mi na to pozwolił.

- Jeśli nie chcesz cierpieć, Carolino, to nie angażuj się uczuciowo. Ludzie potępiają związki pomiędzy indiańskim mężczyzną i białą kobietą. Tutaj inaczej patrzy się na te rzeczy.

- A jeśli go kocham? Przecież nie mogę zrezygnować z tego uczucia.

Marissa przykryła dłoń przyjaciółki swoją.

- Od kobiet wymaga się, by umiały zrezygnować, Carolino!

- Wiem, nieraz tego doświadczałam... Widać moim przeznaczeniem jest zostać starą panną i być nauczycielką. To mi powinno oszczędzić cierpień, nie sądzisz?

Marissa nie odpowiedziała. Kobietom wystarcza nieraz uścisk dłoni i spojrzenie pełne zrozumienia, by wesprzeć się nawzajem.

Długie palce wieczornych cieni kładły się na ziemi, gdy Carolina, szukając wytchnienia, wyszła na dwór i rozkoszowała się widokiem firmamentu, rozświetlonego pomarańczowymi i niebieskimi smugami. Tam, skąd pochodziła, krajobraz zdominowany był przez drzewa; aby zobaczyć niebo, trzeba było spojrzeć wysoko w górę. Tutaj niebo roztaczało się ogromnym sklepieniem, o stale zmieniającej się barwie i scenerii.

Żadne drzewo nie było dość silne, by wdrzeć się w ten wszechobecny nieboskłon.

Caroлина domyśliła się, że w zagrodzie ktoś jest. Usłyszała jakiś ruch i chciała tam pójść, ale wstrzymała się, widząc Jacoba trenującego małego karego ogierka. Cicho przemawiał do żrebaka w swoim ojczystym narzeczu. Koniowi drżały nozdrza, ale stał spokojnie, gdy Jacob luzował mu nachrapnik.

Obserwowała grę mięśni na gołych plecach i ramionach mężczyzny i patrzyła, jak sięga ponad głowę zwierzęcia, przekładając mu naczółek przez uszy. Nie przestawał mówić do ogierka, a równocześnie uspokajał go, delikatnie poklepując szyję konia. Caroлина miała wrażenie, że czuje dotyk rąk Jacoba na własnej skórze, i serce mocniej jej zabiło. Z żalem odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

Jacob odczuł podobny żal, widząc, że już odchodzi.

Carolinie nie było łatwo przekonać MacAllistairów, żeby pozwolili jej wrócić do chaty. Zapewniała, że dziesięć kilometrów to nieduża odległość, nawet krzyk doleci, żartowała i cytowała stare przysłowie, że nie ma tak dużej kuchni, by się w niej pomieściły dwie gospodynie. W końcu ulegli i wróciła do siebie.

Dopiero w środę usłyszała turkot zaprzęzonego w dwa konie wozu, toczącego się po koleinach, które wyznaczały drogę do jej drzwi.

Caroлина stała schylona nad balią. Wyprostowała się i przysłoniła ręką-oczy. Serce zaczęło jej walić jak młotem, gdy zobaczyła, że zaprzęgiem powozi Jacob, a obok niego siedzi Marissa. Indianin zatrzymał zaprzęg, zeskoczył z kozła i podszedł do Marissy, by pomóc jej zsiąść z wozu. Dziewczyna zostawiła balię i ruszyła w ich stronę.

- W którym miejscu chcesz mieć zagrodę/ Carolino? - spytała z uśmiechem pani MacAllistair.

- Tam, gdzie Czarny Jastrząb wskaże. Zdaję się w zupełności na niego. Jak to miło gościć was u siebie.

- Z grzeczności zwróciła się do obojga, ale w myśli mówiła tylko do Jacoba.

- Moim zdaniem - powiedział - zagroda powinna stać w takim miejscu, żeby mogła ją pani widzieć z okna. Ale zanim się wezmę za robotę, sprawdzę, w jakim stanie jest dach pani chaty. - Spojrzał na nią rozjaśnionymi oczami. - Nie obrazi się pani, panno Hammond, jeśli do pracy zdejmę koszulę?

- Oczywiście, że nie. Może się pan ubierać i rozbierać, kiedy tylko ma pan ochotę, Czarny Jastrzębiu.

Ucieszyła się, że to właśnie Jacob miał jej postawić zagrodę. Mogli przysłać Batesa. Przypomniała sobie gorzką uwagę Indianina, że mógłby to być także Culley. Ale, na szczęście, zjawił się Jacob i jej radość nie miała granic.

- To dobrze, że darń na dachu jest jeszcze świeża - odezwała się Marissa.

- Wspomniałaś kiedyś, że ta chata była waszym pierwszym domem tutaj.

- Tak było. Na szczęście Charles nalegał, żebyśmy zbudowali ją z bierwion, mimo iż dach miał być kryty darnią. Niemniej uważam, że powinnaś się jeszcze zastanowić, jak się masz urządzić. Nie zapominaj, że mieszkanie i utrzymanie stanowią istotną część zarobków nauczyciela, a w naszym domu jest sporo miejsca i serdecznie cię zapraszamy.

- Dziękuję, Marisso, ale nie chcę być u nikogo lokatorem. Charles mówił, że nowy szkolny budynek stanie właśnie gdzieś tutaj, będę więc miała blisko do pracy. Poza tym lubię mieć coś, co mogę nazwać swoją

własnością. - Ustawiała na stole talerze, które tu ze sobą przywiozła, a Marissa patrzyła na nie z podziwem, zachwycając się ich deseniem. - Zrozum mnie - mówiła dalej Carolina. - W pełni doceniam wasze starania i jestem wam bardzo wdzięczna za pomoc w urządzeniu się tutaj.

- Jeśli o mnie chodzi, to możesz uważać tę chatę za swoją, Carolino. Ale kiedy nastanie zima, nie chcę słyszeć o tym, żebyś tu została sama. A poza tym... - uśmiechnęła się, czując, że musi podzielić się tą nowiną z inną kobietą. - A poza tym, tej zimy trudno mi będzie samej sobie ze wszystkim radzić, bo spodziewam się dziecka.

- To cudownie! - zawołała Carolina.

- Wiesz, ile czasu upłynęło od narodzin Charliego? Ponad dziewięć lat. Muszę uważać, ale czuję, że tym razem wszystko się uda.

- Miałaś poronienia?

- Dwukrotnie. Ale nawet jeślibym musiała i sześć miesięcy spędzić w łóżku, to tę ciążę donoszę.

- Teraz, gdy mam już konia i nie muszę się kłopotać o transport, będę ci pomagać, ile tylko potrafię, a gdy nadejdzie zima... wtedy zobaczymy.

- O, tak, na pewno zobaczysz, zwłaszcza gdy nadejdzie zima... - Marissa uśmiechnęła się z ironią. -

• Niech tylko spadnie większy śnieg, a od razu zjawisz się u mnie na dłużej w gości.

Carolina wiele słyszała o strasznych zimach na Środkowym Zachodzie, ale podejrzewała, że te wieści są znacznie przesadzone. Marissa widać nie wie, jak twarde są mieszkanki Nowej Anglii, ale będzie mogła się o tym przekonać.

- Marisso, czy będziesz tak uprzejma i zaparzysz za mnie herbatę? - spytała, zajrzawszy pod przykry-

wkę czajnika. - Gdy przyjechaliście, właśnie prałam, a teraz muszę niektóre rzeczy rozwiesić na sznurze.

Wyszła na dwór z postanowieniem, że nie będzie się mieszała do tego, co robi Jacob. Niech on się zajmuje swoją pracą, a ona swoją. Widziała, że kopie dół pod słup ogrodzenia i nawet nie podnosi głowy znad roboty. Me mógł, oczywiście, widzieć spojrzeń, jakie rzucała w jego stronę, gdy rozwieszała suknie. Wodę z prania wylała na ogród. Krępowwała się rozwiesić desusy, więc mokre włożyła w kieszeń fartucha i pobiegła do domu pomóc Marissie przy herbacie. Fartuch powiesiła na kołku i już po chwili wokół kieszeni zaczęła się tworzyć mokra plama.

Marissa szybko zagniotła ciasto na kluski i usiadła obok Caroliny przy stole. Drzwi do chaty były szeroko otwarte, aby wpadało świeże powietrze, słyszały więc uderzenia kafaru, wbijającego w grunt słupy ogrodzenia.

- Nie wiesz, Marisso, czy Jacoba przysłano do stawiania zagrody, czy zgłosił się na ochotnika?

- To było tak: Jacob najpierw przekonywał Charlesa, że nie powinnaś tu być bez konia, a kiedy Charles powiedział, że spyta Jima, kogo mógłby odesłać do pracy przy zagrodzie, Jacob zaczął tłumaczyć, że najlepiej będzie, jeśli sam to zrobi, bo i tak ma tu potem ujeżdżać konia dla ciebie. To się wydaje trochę nie logiczne, ale chyba Jacob nie chciał, żeby przysłano tutaj kogoś innego. Nie sądzisz?

Carolina wyglądała przez okno.

- Nie umiem czytać w myślach mężczyzn, a już na pewno nie tego mężczyzny. Cieszę się tylko, że nie został tu przysłany wbrew swojej woli.

Patrzyła, jak Jacob pracuje. W porannym słońcu widać było krople potu na jego piersi. Przepaska na czole

zatrzymywała pot, by nie spływał mu do oczu. Jego strój łączył w sobie dwie kultury: spodnie miał kupne, drelichowe, a na nogach indiańskie mokasyny.

- Znacie się dość krótko, ale zrobiliście chyba na sobie bardzo duże wrażenie - zauważyła Marissa.

Carolina zignorowała tę uwagę. Już kilka dni temu doszła do wniosku, że nie chce myśleć o tym, czy i jak bardzo spodobała się Jacobowi. Wiedziała tylko, że on wywarł na niej ogromne wrażenie, tak duże, że z trudem mogła sobie z tym poradzić. Zastanawiała się, czy wstydkiemu nie zaprzeczyć. Wszak mężczyźni nie budzili zainteresowania Caroliny Hammond. O Boże, jak on sobie wspaniale radzi z młotem - pomyślała.

- Jesteś piękną kobietą, Carolino. Większość pięknych kobiet zdaje sobie sprawę ze swojej urody, ale ty chyba nie.

Dziewczyna spojrzała na Marissę z niedowierzaniem.

- Chyba ciąża źle wpływa na twój wzrok. Wcale nie jestem ładna ani zadbana.

- Czyżby? - Marissa zaśmiała się po dziewczęcemu. - Nie wiem, jakimi oczami patrzysz na siebie, moja droga. Tutejsi mężczyźni na pewno odwracają się i patrzą za tobą, gdy koło nich przechodzisz.

- To tylko dlatego, że nie ośmielają się oglądać za tobą - odparowała Carolina. - Ale biorąc pod uwagę brak kobiet, chyba bez trudu zdobyłabym jakiegoś mężczyznę, gdybym tego pragnęła.

- Podejrzewam, że jest już jeden taki. Gdyby pewni ludzie widzieli twój wyraz twarzy w tej chwili, na pewno by cię potępili.

- Jacy ludzie? - fuknęła niecierpliwie. - O jakim wyrazie twarzy mówisz? To doprawdy jest śmieszne.

- Nie sądzę, Carolino. Słyszałam, jak ludzie prze-

bąkują o napiętych stosunkach między Jacobem i Culleyem. A dziś rano widziałam, jak ten ostatni usiłował wszcząć bójkę z Indianinem i był nie do zniesienia. Culleyowi chyba też na tobie zależy.

- Culley to idiota - stwierdziła Carolina, zadowolona, że ma okazję powtórzyć opinię Jacoba - a ty mówisz głupstwa. - Odsunęła krzesło i wstała od stołu. - Trzeba dać Jacobowi mydło i ręcznik, żeby mógł się umyć do kolacji.

Carolina postanowiła napoić konie i użyła do tego swojej balii. Potem znowu nalała do niej wody i postawiła koło studni. Podeszła do mężczyzny, który właśnie ubijał ziemię wokół słupa.

- Kolacja będzie gotowa, gdy tylko pan upora się z robotą, Czarny Jastrzębiu. Przygotowałam już dla pana wodę do mycia.

Wytarł czoło ramieniem, wciąż na nią patrząc. Odwróciła się i już chciała odejść, gdy zawołał:

- Carolino! - Takim samym tonem obłaskawiał dzikie źrebie. Spojrzała w jego oczy i zobaczyła w nich łagodny uśmiech.

- Będziesz dobrze jeździć konno, bo lubisz konie.

- Skąd wiesz?

- Pomyślałaś o tym, żeby je napoić. - Odłożył pobijak i zdjął przepaskę z czoła. - A co masz dla mnie?

- Zrobiłam kolację i zapraszam na nią.

Wskazał ręką na studnię, więc poszła tam za nim.

- Wolałbym wykapać się w rzece - stwierdził, kłękając nad balią i mydląc ramiona, pierś i twarz.

Carolina patrzyła jak zahipnotyzowana. Mydło prześlizgiwało się po jego mięśniach. Czy dobrze go zrozumiała? Wolałby pójść nad rzekę, zamiast do niej na kolację?

- Zaczekamy na ciebie, jeśli ty...

Zaśmiał się.

- A po chwili usłyszałbym chichotanie w krzakach. Nie dowierzam pani, panno Hammond!

- Jak pan może, Czarny Jastrzębiu? - Cóż to była za ulga słyszeć, jak on się śmieje i żartować z nim...

- Nieśmiała kobieta, taka, co to się zawsze zachowuje jak należy, gdy tylko zejdzie się z drugą kobietą, nabiera odwagi, jakiej by nigdy u siebie nie podejrzewała. Wiem, jak to jest z wami, kobietami. - Wskazał na wiadro. - Lej!

- Nie rozumiem...

- Polej mnie wodą!

- Chętnie. - Nabrała pełne wiadro wody i zobaczyła, że Jacob stoi pochylony nad balią. - Czy mam lać ci wodę na głowę, czy gdzie popadnie?

- Nie! Nie gdzie popadnie. Wolałbym potem nie suszyć spodni przy twoim piecu. W każdym razie nie dzisiaj... - roześmiał się. - Zauważyłem, że się bałaś, aby widok twojej suszącej się na sznurze bielizny nie sprowokował mnie do jakiegoś desperackiego kroku.

- Ach, ty... - śmiejąc się, lała mu wodę na głowę i patrzyła, jak spływa po jego plecach.

Uniósł twarz do góry, z przyjemnością poddając się strumieniowi.

Położyła mu ręcznik na plecy, ale wytarł sobie twarz rękami. Potem wycisnął wodę z warkoczy i obrócił twarz ku słońcu. Razem poszli do chaty, zasiedli obok Marissy i jedli wspólnie kolację jak troje przyjaciół.

Następnego ranka Jacob znowu przybył do jej chaty, tym razem już sam. Jechał na swoim gniadoszu, a obok prowadził osiodłaną kasztankę Marissy. Uprowadził Caroline, że kasztanka została jej tylko pożyczona, bo on ujeżdża już dla niej inną dobrą klacz.

- Kobieta powinna jeździć na klaczy - stwierdził
- ich temperamenty dobrze się uzupełniają.

Carolinę uderzyło, że wszystko, co mówił Jacob, było w jakimś sensie pozytywne, dodawało otuchy i podnosiło na duchu. Razem zjedli obiad w lasku topolowym. Śmiali się i rozmawiali swobodnie, unikali jednak dotykania się.

Późnym popołudniem zagroda była gotowa i Jacob stanął u drzwi chaty. Oczekiwała, że wejdzie do środka, ale nie zrobił tego.

- Wejź, Jacob! Zapraszam cię na kolację. Mam już wszystko gotowe.

Mówiła lekkim tonem, ale w sercu czuła ciężar żelaza. Mógł dłużej szykować zagrodę - myślała. - Mógł jeszcze zostawić sobie coś do zrobienia na jutro. Ale pośpieszył się i skończył robotę.

- Nie mogę zostać dłużej, Carolino!

- A dlaczego nie?

Spojrzał na horyzont.

- Wkrótce zapadnie noc. Wysłano mnie, żebym ci postawił zagrodę i na ranczo dobrze wiedzą, gdzie jestem.

- Wiedzą też, że za dobrze wykonaną pracę należy ci się posiłek - upierała się.

- Dobrze mi było blisko ciebie przez te dwa dni, ale wiem, że czas, bym stąd odszedł. Nie chcę, żeby gadali o tobie.

- Sam o mnie źle mówiłeś w zeszły weekend, Jacob. - Słyszała, jak westchnął, ale nie mogła spojrzeć mu w oczy. - Nic z tego, co oni mogą o mnie powiedzieć, nie zaboli mnie tak, jak bolały twoje uwagi. Czy naprawdę wierzysz w to, co wtedy powiedziałeś?

Chciała wyczytać odpowiedź w jego oczach, ale zobaczyła tylko cierpienie. Cierpiął przez kłamstwa i ból

zadany tej, którą pragnął ochraniać. Słowa były zbędne, ale pragnął jej powiedzieć, co czuje.

- Kłamałem wtedy. Dobrze wiem, kim jesteś, małeńka. Twój pocałunek był dla mnie najcenniejszym darem.

Uśmiechnęła się, szczęśliwa.

- I zmyśliłeś także te bzdury o świadczeniu usług białym kobietom?

- Nie! To była prawda.

Carolina oniemiała. Ponieważ ona nie należała do niemoralnych kobiet, to wydawało jej się, że i Jacob nie mógł być tego rodzaju mężczyzną.

- Gdy uczyłem się w Carlisle - zaczął - przydzielano nas na czas praktyki do różnych warsztatów, położonych poza szkołą. Ja zostałem czeladnikiem u kowala. Młode kobiety przyprawdzały tam swoje konie. Z niektórymi zawarłem bliższą znajomość. - Przerwał, nie chcąc, by wyczuła emocje w jego głosie. Wcale nie pragnął prowadzić z nią rozmów na ten temat, ale, z drugiej strony, uznał, że powinna znać prawdę. - One zaspokajały moje potrzeby, a ja, niewątpliwie, byłem dla nich interesującą nowością.

Oczami wyobraźni widziała Jacoba, trzymającego w ramionach młodą arystokratyczną uwodzicielkę, ubraną w wykwintny strój do konnej jazdy. Zdawała się słyszeć, jak ta kobieta szczebiocze do niego i cmoka z zachwytem, podziwiając jego męskość.

- Czy mnie też trzymałeś w ramionach i całowałeś, żeby zaspokoić swoje potrzeby?

- Całowałem cię, bo było mi dobrze, gdy byłaś blisko. I teraz dobrze mi z tobą. Ale moje potrzeby są głębszej natury... Dlatego czas, żebym stąd odszedł.

- Dotknął jej twarzy z jakąś bolesną czułością. - Nie możemy posunąć się dalej, Carolino...

- Nie możemy? Dlaczego? - spytała. Nie chciała, by w jej głosie zabrzmiał wyrzut, ale nie mogła temu zapobiec. - Przecież nie robiliśmy nic więcej ponad to, że cieszyliśmy się sobą wzajemnie.

- Nie! To było coś więcej i oboje wiemy, do czego by to nas w końcu doprowadziło. To się nie może stać!

- Nie możemy być przyjaciółmi?

- Żadne z nas nie zadowolili się samą przyjaźnią. I ty, i ja dobrze o tym wiemy. Byłem szczery, gdy ci powiedziałem, że nie ma w moim życiu miejsca dla takiej kobiety jak ty. - Odsunął się nieco. - Carolino! W twoim życiu też nie ma miejsca dla takiego jak ja mężczyzny.

- Mylisz się, Jacob!

- Jesteś zaślepiona, maleńka! Muszę myśleć za nas oboje.

To, że się od niej odsunął, sprawiło jej większy ból niż jego przykre słowa. Czuła, że traci resztki dumy. Postanowiła zachować chociaż pozory godności.

- Już dobrze, Jacob! Dziękuję ci za zagrodę i za to, że przyprowadziłeś mi klacz.

- Przyprowadzę ci lepszą, gdy tylko skończę ją ujeżdżać. Ta klacz zrobi wszystko, co zechcesz, i to natychmiast, gdy jej każesz.

Skinęła potakująco głową. Nie była w stanie wypowiedzieć słowa. Jacob oddalał się chyłkiem, jakby mu coś groziło. Odwróciła się, by nie zdradziły jej piekące w oczach łzy, a potem jeszcze długo stała, słuchając słabnącego odgłosu końskich kopyt.



Przez następne cztery dni Carolina wypełniała swoje codzienne obowiązki jak w transie. Wysprzątała chatę tak dokładnie, że stała się zbyt czysta, by można było w niej swobodnie żyć. Doprowadziła ogród do kwitnącego stanu, nie pozostawiając w nim ani jednego chwastu. Prała, szyła, czytała i znowu brała się do prania, często późną nocą, gdy nie mogła usnąć. Pewnej nocy złapała się na tym, że stoi w zagrodzie i przemawia do swojej klaczy. Czuła, że traci rozum.

W końcu powiedziała sobie, że tak dłużej być nie może. Skoro kocha tego mężczyznę, to musi mu o tym powiedzieć i załatwić sprawę raz na zawsze. I do diabła z jego obawami, że mogą ją spotkać przykrości od ludzi, na których i tak wcale jej nie zależy. Czy warto zabiegać o dobrą reputację, gdy czuje, że jest bliska szaleństwa? Jeśli się mają nie spotykać, bo taka jest jego wola, to niech powie wprost, że nie chce jej więcej widzieć. Może go wtedy znienawidzi i na zawsze wyrzuci z myśli.

Osiodłała klacz. Było ciemno i późno; nawet nie wiedziała, która godzina, ale to nie miało znaczenia... tak straciła poczucie czasu. Na ranczo wszyscy będą apewne już spali. Zdecydowała się przejechać te dzieięć kilometrów, by po raz pierwszy i ostatni w życiu wystawić swe serce na próbę. Mając tak ważną misję o spełnienia, nie przejmowała się ani późną porą, ani asadami dobrego wychowania.

Gdy zajechała na ranczo, nie usłyszała szczekania.

Światło gwiazd rozjaśniało mrok nocy i po chwili zobaczyła, że pies MacAllistairów pędzi do niej dużymi susami przez podwórze. Przelazł pod ogrodzeniem i rozpoznawszy przyjaciółkę, merdał dziko ogonem i kręcił całym ciałem z radości. Pogłaskała go po łbie, podrapała za uchem, a potem wzięła głęboki oddech i zostawiając klacz przywiązaną do żerdzi, otworzyła drzwi stajni. Zaskrzypiały gwałtownie i ogarnęła ją ciemność.

Po omacku szła od boksu do boks. Poruszała się na tyle cicho, na ile jej pozwalały buciki. Wieszaki na siodła były znakami rozpoznawczymi. Dotykała każdego ręką i tak szła od jednego do drugiego, aż doszła do końca stajni. Serce podeszło jej do gardła, gdy znalazła drzwi do jego pokoju, otworzyła je powoli i przekroczyła próg.

- Jacob!

- Nie odwracaj się! - rzucił ostro. Wymamrotał jakieś przekleństwo, które zatrzymało ją w miejscu.

- Nie ruszaj się, póki nie włożę spodni.

- Przepraszam, nie myślałam...

- To widać! - jego głos dochodził do niej z różnych stron, ale posłuszna poleceniu, stała bez ruchu. - Co ty wyprawiasz? - strofował ją. - Czego ode mnie chcesz? - Usłyszała, jak materiał ociera się o jego skórę. - Może nie powinienem zawracać sobie głowy spodniami. Czy po to właśnie przyszedłeś?

Gdy przechodziła w stronę okna, zaczepiła obcasami o deskę i musiała przytrzymać się stołu, żeby nie upaść.

- Czego ty chcesz, Carolino?

- Nie wiem - szepnęła. - Postanowiłam po prostu przyjść tutaj.

- Nie byłeś dziś na ranczo, bo wiedziałbym o tym. Więc jak się tu dostałeś?

Przysunął się bliżej.

- Przyjechałam na klaczy.

- Mogłaś się zabić po ciemku. Albo ja mogłem cię zabić. Nie rozumiesz? - Odwróciła się i ujrzała w jego ręce coś, co błyszczało jak stal. - Mogłem ci uciąć szyję, zanim bym się dowiedział, kim jesteś.

- Czułam taką pustkę przez te ostatnie dni, że i tak omal nie umarłam. Musiałam przyjść.

- Nie wystawiaj mnie na próbę, Carolino. Nie tu i nie nocą, kiedy...

- Nie przyszłam tu, żeby wystawiać cię na próbę. Przyszłam, żeby ci powiedzieć coś ważnego. - Chwyciła się brzegu stołu i starała się mówić silniejszym głosem.

- Ale ja nie chcę wiedzieć.

Boleśnie ugodził ją tą obojętnością. Chciała uciec, ale stała jak przymurowana, ciągle trzymając się stołu.

- Przyjechałam z daleka, Jacob, pozwól mi to powiedzieć.

- Ale pomyśl najpierw, Carolino! Zanim cokolwiek powiesz, pomyśl!

- Nic innego nie robiłam przez ostatnie cztery dni, tylko myślałam. Nie jestem może zbyt atrakcyjna, gdy się na mnie patrzy, ale jestem silna. Naprawdę! Widziałeś mnie w złym stanie, gdy byłam rozhisteryzowana i kompletnie roztrzęsiona po burzy. Ale zapewniam cię, że na co dzień jestem całkiem inna.

- Mnie też ta wichura wtedy przeraziła - przyznał cicho.

- Nie jestem rozwiązłą kobietą. - Wzruszenie ścisnęło ją za gardło, ale brnęła dalej. - Nigdy nie miałam mężczyzny. Nigdy nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby coś takiego zrobić, ale teraz... nagle... - przerwała, a potem szybko dokończyła: - Ach, Jacob! Poruszyłeś we mnie coś, co było bardzo głęboko ukryte,

i teraz myśl o tobie nie chce mnie opuścić. Czuję taką ogromną potrzebę bycia blisko ciebie, że to mnie niszczy, pożera... i ja... ja nie mogę...

- Carolino, jeśli cię dotknę...

Łzy swobodnie spływały po jej twarzy.

- Tak, tak! - szeptała. - O Boże! Nie mam już żadnej dumy...

Położył ręce na jej ramionach.

- Duma nie przynosi nam zaszczytu - szepnął.

- Spotykanie się po kryjomu także nie przynosi zaszczytu, ale godzę się na nie, jeśli tego chcesz. Weź mnie w ramiona, a postaram się zaspokoić potrzeby, o których mówiłeś.

- Gdybym cię teraz wziął w ramiona...

- Pójdę z tobą wszędzie, gdzie chcesz, Jacob.

- Carolino, Carolino! - obrócił ją ku sobie.

- Pozwól mi być blisko ciebie, przynajmniej na tę jedną noc. Nie odsyłaj mnie stąd bez...

- Carolino, moja ty piękna, moja *wiwaśteka!* Nie mam dość silnej woli, by cię teraz od siebie odesłać. Pragnę cię i o niczym innym nie myślałem przez te wszystkie dni... - Objął ją delikatnie, jakby była bezcennym skarbem. - Tym razem będę miał to, czego pragnę.

Przytuliła się do jego ramienia i próbowała opanować łzy. Potem powoli i głęboko wciągnęła do płuc powietrze i wytarła oczy o jego rękaw.

- Na pewno okropnie wyglądam przez ten głupi płacz, ale umyję się i zaraz będzie inaczej.

Odrzucił jej włosy do tyłu i uniósł do góry twarz.

- Przyjemnie na ciebie patrzeć, ale chciałbym, żebyś się trochę opaliła. Nie widziałem wielu kobiet tak pięknych jak ty! - całował ją w czoło i wnętrzem dłoni pieścił policzki. - Masz taką delikatną i gładką skórę. Z oczu patrzy ci uczciwość i niewinność, a w two-

ich ustach czuję słodycz dobroci. - Dotknął jej warg muśnięciem lekkim jak zefir. - Nie chcę cię skrzywdzić, Carolino!

W jego głosie poza pożądaniem posłyszała nutę niepokoju.

- Nie mam zamiaru ci się narzucać, Jacob, ale nie potrafię trzymać się od ciebie z daleka. Nie poznaję samej siebie. - Popatrzyła mu w oczy. - Nie wiem, co się ze mną dzieje, nie będę cię jednak zanudzać i na pewno nie będę ci ciężarem. Umiem sama o sobie zadbać. Proszę cię tylko, żebyś pozwolił mi być ze sobą tak długo, jak długo będzie ci ze mną dobrze.

- Chcesz być moją dziewczyną? Chcesz, by nasze ciała się zespoliły?

Pragnęła o wiele więcej, lecz powiedziała:

- Tak, tego właśnie pragnę.

- Jednak wyczuwam w tobie przestrasz.

- Boję się, ale nie ciebie. Przeraża mnie to, że tak mało wiem o miłości. Całujesz mnie i dotykasz, a ja pragnę, żeby jeszcze coś się zdarzyło. Wiem już, że to coś wcale nie jest takie, jak sobie wyobrażałam...

Uśmiechnął się.

- A jak to sobie wyobrażałaś?

- Myślałam, że to coś okropnego, coś, co sprawia ból. Tymczasem, gdy mnie dotykasz, czuję, że wypełnia mnie ciepło i życie. Wszędzie za tobą pójdę, by przeżyć to ponownie.

- Sprawię ci, maleńka, ogromną rozkosz, ale zadam ci również ból.

Objęła go.

- Wiem, co to ból Potrafię to przeżyć. Naucz mnie doznawać rozkoszy, Jacob! Naucz radości i miłości. Tych właśnie uczuć nigdy dotąd nie zaznałam.

Złożył na jej ustach twardy, wymagający odzewu

pocałunek. Nauczył ją pożądać, więc nie odmówi jej nauki spełnienia. Nie odmówi jej też już więcej siebie samego. Położył ją na swoim łóżku, a ona wygodnie ułożyła się w jego ramionach. Rozkoszowali się spokojnymi, ciepłymi pocałunkami. Przeżywał to, że ona do niego przyszła, jak jakieś wielkie święto. Ją zaś cieszyło, że jej nie zapomniał, że myślał o niej.

W pokoju było ciemno, mimo to Jacob dostrzegał i podziwiał delikatność jej rysów. To nie do wiary, że ona tu była i chciała należeć do niego. W jej oczach widział rozmarzenie i pożądanie. Biła z nich dziwna jasność. Jacob zrozumiał nagle, że musi ją stąd zabrać i znaleźć dla nich obojga lepsze miejsce, takie, które może nazwać swoim własnym.

- Pojedziemy na przejażdżkę, Carolino!

- Teraz?

- Tak! Gdzie twoja klacz?

- W zagrodzie. Uwiązałam ją zaraz u wejścia.

- Wkrótce zrobi się jasno. Musimy opuścić ranczo, zanim ktokolwiek się zbudzi. - Wziął ją za ręce i pociągnął, by wstała. - Tu nie możemy być razem. To miejsce się nie nadaje.

- Pójdziemy do chaty?

- Znam lepsze miejsce. Mam swój namiot w lesie, gdzie sypiam, gdy poluję. Tam pojedziemy. - Otworzył wielkie drewniane pudło, stojące obok łóżka. W przyćmionym świetle wpadającym przez okno Carolina widziała, jak wdziewa przez głowę koszulę i zawiązuje mokasyny. Potem wręczył jej coś miękkiego z koźlej skóry.

- Włóż to pod suknię! - powiedział.

- Chcesz, żebym włożyła twoje spodnie?

- To są legginsy. Będą chronić twoje nogi, żebyś nie dostała pęcherzy od nieodpowiedniego siodła.

Oblała się gorącym rumieńcem.

- Próbowałam podsunąć pod nogi suknię, ale i tak otarłam sobie skórę. - Usiadła na łóżku i usiłowała wciągnąć legginsy. Miała z tym trochę kłopotu, ale w końcu jej się udało. Musiała je związać w talii i zrolować na dole nogawki.

- Białe kobiety noszą zupełnie bezsensowne stroje - stwierdził z uśmiechem Jacob, patrząc na jej zmagania.

Jest pewnie niezłe obznajmiony z zawiłościami strojów białych kobiet - pomyślała i poczuła ukłucie zazdrości.

Poszła za nim do stajni, trzymając w ręku duży pęk surowych skór, który Jacob miał wziąć z sobą. Poruszał się bardzo cicho. Milcząc, zdjął siodło z wieszaka, osiodłał konia i przywiązał do siodła torbę z narzędziami. Nie dawał jej żadnych instrukcji i okazało się, że wcale nie są potrzebne. Wskazał gestem pęk skór, potem drzwi i bramę, gdy trzeba je było otworzyć, wreszcie pomógł Carolinie usadowić się w siodle.

Legginsy istotnie były wybawieniem podczas tej długiej podróży. Jechała tuż za Jacobem. Ich konie znajdowały sobie drogę w ciemności i wkrótce ranczo MacAllistairów zostało daleko w tyle.

Księżyc przywdział świetlistą lisią czapę, utkaną z lekkich białych obłoków i wraz z miriadami gwiazd oświetlał niebo. Ziemia kołysała się pod nimi niby morskie fale. Nie rozmawiali podczas jazdy. Nie było takiej potrzeby. Podjęli wspólną decyzję i razem dążyli ku jej spełnieniu. Wszystko, co ich dzieliło, pozostawili za sobą, a przed nimi było miejsce, gdzie będą już tylko mężczyzną i kobietą, których przyciągnęła ku sobie siła stara jak ludzkość.

Jechali w kierunku południowo-zachodnim. Carolina co jakiś czas oglądała się i patrzyła, jak wstaje świt

i wyciąga swe różowe ramiona ponad linię horyzontu, wyznaczoną przez stożkowate pagórki i łagodne wzgórza. Ten widok zniknął jej z oczu, gdy zstępowali w dół, i wracał, gdy pięli się po stoku następnego wzniesienia. Rozkoszowała się zjazdami ze zboczy krótkim galopem, przypominającym ruch koni na biegunach. Bawiło ją także, gdy konie, kołysząc zadami, schodziły w dół, a przed nimi roztaczały się wzgórza, wyglądające jak marszczenia na olbrzymiej, zielono-żółto-brązowej kołdrze.

Wjechali na teren, ciągnący się wzdłuż koryta niewielkiej rzeki. Rosło tam mnóstwo topoli i wierzb. Przecięli trawiastą łąkę, skracając sobie drogę. Carolina jechała tuż przed Jacobem, który z przyjemnością patrzył, jak jej ciało porusza się zgodnie z ruchem konia. Słońce lśniło w brązowych włosach Caroliny ognisto-czerwonymi błyskami. Nagle dziewczyna odwróciła się i zobaczyła, że Jacob się do niej uśmiecha.

- W twoich włosach lśni słońce - powiedział jej. - Gdy przyjedziemy do mego tipi, zanurzę w nie twarz. Chciałbym, by ciepło tego słońca ogrzało moje serce.

Tipi Jacoba stało na małej polance pośród topoli nad niewielkim strumykiem. Był to namiot w kształcie stożka. Okrywały go starannie zeszyte skóry, rozpięte na rusztowaniu ze skrzyżowanych żerdzi. Ich końce kierowały się zuchwale prosto w niebo. Skóry ozdabiały kolorowe wzory i rysunki. Na pierwszy plan wybijał się stylizowany czarny ptak, szybujący nad tabunem koni, które pędziły w kierunku wejścia do tipi. Przykrywała je skórzana zasłona, którą zasnurowywało się rzemykami i zatykało zaostrozonymi na końcach drewnianymi kołkami.

- To tu jest twoje obozowisko, Jacob? - Carolina patrzyła na tipi szeroko otwartymi oczami, jak dziec-

ko, które właśnie odkryło domek z pierników w środku lasu.

- Tak! Pole należy do mnie, ale namiot jest własnością mojej matki. U nas mężczyźni nie posiadają własnego tipi, one należą tylko do kobiet. Większość naszych ludzi stawia ostatnio namioty z przydzielonego przez rząd brezentu. Ale matka wolała zatrzymać swoje stare tipi ze skóry i wymalowała je w różne wzory na moją cześć. - Cichutko zachichotał. - Matka złości się na mnie, że nie mam własnej kobiety z której tipi mógłbym korzystać.

Zsiadł z konia i pomógł Carolinie. Gdy dotknęła stopami ziemi, zobaczył, że niezbyt pewnie trzyma się na nogach. Podtrzymał ją.

- Moja matka jest bardzo przywiązana do tradycji i woli nie myśleć o tym, że życie jest teraz inne, że się zmienia. Rząd nam obiecuje, że zadba o wszystkie nasze potrzeby - ironizował - więc kobiety nie muszą już rzekomo zajmować się pracami ręcznymi i rękodziełem.

- Ale to takie piękne! - Obeszła tipi dookoła, ciągnąc go za rękę. Jacob pozwolił na to, bo nikt tego przecież nie widział.

- Twoja matka jest widać bardzo z ciebie dumna. Wystarczy spojrzeć na ten rysunek. Ptak przedstawia chyba Czarnego Jastrzębia, a konie... Czy to tipi stale tu stoi?

- Nie, stawiam je tylko wtedy, gdy przychodzę polować. Wczoraj wróciłem na ranczo, żeby przyprawić twoją klacz, bo zamierzam tu właśnie ją trenować. Ale że mam głowę zajętą kobietą...

- Nie chciałabym odciągnąć cię od polowania.

- Ależ ty mnie nie odciągasz od polowania, najwyżej od trenowania twojej klaczy. Ta klacz miała mi o tobie przypominać.

- Czyżbyś znalazł taką, która jest do mnie podobna?
- żartowała, idąc za nim, by pomóc przy koniach.

- Tak! Jest równie piękna. Trochę za wysoko nosi głowę, ale lubi, jak ją czochram po szyi i uspokaja się, gdy słyszy mój głos.

- To dziwne, bo mnie twój głos raczej podnieca, niż uspokaja.

Roześmieli się oboje, a Jacob zabrał się do uwiązywania koni.

- Czy Charles nie pogniewa się na ciebie, że wyjechałeś, nic mu nie mówiąc?

- Nie muszę się opowiadać. On wie, że jeśli mnie nie ma, to znaczy że poluję. Nie pracowałbym dla niego, gdyby miał jakieś zastrzeżenia do tego, jak spędzam czas. Płaci mi za wykonaną robotę, a nie za to, żebym siedział na ranczo od godziny do godziny.

Zasłona zamykająca wejście do tipi opadła, gdy Jacob rozsznurował rzemyki i wyciągnął drewniane zatyczki.

- Praca najemna, praca za pieniądze wciąż jeszcze wydaje mi się dziwna. My robimy to, co ma być zrobione, kiedy jest na to pora. Teraz, na przykład, moja rodzina potrzebuje mięsa, więc idę na polowanie.

Zaniósł siodło i strzelbę do tipi. A Carolina widząc, że Jacob ma zamiar wszystko, co tutaj przywieźli, wnieść do środka, zabrała ze sobą pęk surowych skór i worki, które miał przytroczone przy siodle.

- A ja myślałam, że to rząd zaopatruje teraz waszych ludzi we wszystko, czego potrzebują.

- A jakże! Niech ich diabli - zaklął. - Oni dostarczają nam... - spojrzawszy na nią, urwał w pół słowa.

- Muszę sam zaopatrywać rodzinę, Carolino.

- Rozumiem to, Jacob.

Uśmiechnął się, wiedząc, że tak jest w istocie.

- Trudno żyć z pracy zarobkowej - mówił dalej,

równocześnie zdejmując drugie siodło. - Nie dlatego, że praca jest ciężka. To ten sposób życia jest nam obcy. My przywykliśmy inaczej pracować. Kiedy jest odpowiedni dzień na polowanie, czy na pływanie w rzece lub na wyścigi konne. To właśnie tym się zajmujemy. - Podeszedł do niej i wziął ją za rękę. - Na przykład dzisiejszy dzień jest szczególnie odpowiedni na to, by go spędzić z piękną kobietą...

Poczuła, że przepływa przez nią fala pożądania, i poszła za Jacobem do tipi. Pośrodku namiotu było duże palenisko, obłożone kamieniami, i płomień już na nim buchał. Wielka, ciężka skóra, rozciągnięta na podłodze sierścią do góry, brzegiem wchodziła pod pochyłą ścianę namiotu. Na niej leżała porządnie ułożona sterta białych koców w kolorowe pasy. Carolina zwróciła jeszcze uwagę na worek surowych skór, podobny do tego, który tu przywieźli, tylko ten był malowany w geometryczne wzory. Obok stała para mokasynów jaskrawej barwy, z naszytymi koralikami. Jacob od razu je spostrzegł.

- *Ina...* - szepnął.

- *Ina?*

- Moja matka. Musiała tu być. Widać wybrała się do lasu, aby zbierać owoce derenia.

Carolina zainteresowała się mokasynami. Wzięła je do ręki i podziwiała misterne wykonanie.

- Czy twoja rodzina gdzieś tu mieszka? - spytała.

- Jakies trzy kilometry stąd. Tu dookoła jest moja działka ziemi, ta, którą mi przydzielił rząd. Ziemia mego ojca leży niedaleko. Działki mego starszego brata i kilku wujów też są w pobliżu. Władze podzieliły między nas ziemię, dając każdemu po kawałeczkę, a to, co im zostało, sprzedali białym ludziom, takim, na przykład, jak Charles MacAllistair.

Rozłożył skórę pokrytą puszystym, kręconym wło-

sem, a na niej koce. Carolina patrzyła, jak przygotuje ich łoże i przenikało ją jakieś dziwne, straszne, a zarazem cudowne uczucie.

- Na twojej działce, Jacob - odezwała się trochę nieprzytomnie - jest wspaniała, żyzna gleba. Można by tu założyć pierwszorzędną farmę.

- Tak, to dobra ziemia, ale uważam, że bez sensu byłoby traktować ją jako przedmiot handlu. Przecież po latach, gdy złożę w niej swoje kości, i tak ktoś inny będzie miał do niej prawo.

- Ale póki żyjesz, możesz z niej korzystać.

- Rolnicy wiedzą, jak korzystać z ziemi, ale my nie jesteśmy rolnikami. Jesteśmy narodem myśliwych, łowców dzikiej zwierzyny, a tej jest już za mało, żebyśmy mogli wyżywić cały nasz lud. Niemniej dla tych, którzy umieją polować, jeszcze jej starcza. Zobaczysz, jaki ze mnie dobry myśliwy.

Wstał i podszedł do niej, a gdy znalazł się blisko, zauważył, jak bardzo jest zdenerwowana. Patrzyła to tu, to tam, ale unikała spojrzenia mu w oczy. Chwycił ją za ramiona.

- W latach młodości mego ojca - zaczął - mógłbym zaopatrzyć cię w tyle mięsa, że nie wiedziałabyś, co z nim robić, zostałyby jeszcze bardzo dużo, bym mógł obdarować nim ludzi starych i rodziny, będące w potrzebie. - Stał bardzo blisko i głąskał jej ramiona. - Zabrałbym cię do swojej rodziny - mówił dalej - a moja matka i jej siostry nauczyłyby cię, jak się garbuje surową skórę i robi z niej indiańskie stroje i namioty. Prace mojej matki są wciąż jeszcze bardzo podziwiane, a twoje na pewno by im nie ustępowały.

Przycisnął ją do swojej twardej, szerokiej piersi i zanurzył twarz w jej włosach, tak jak to sobie przedtem wymarzył. Carolina z trudem łapała oddech.

- I napełniłbym twoje łono naszymi dziećmi, moja piękna, moja *wiwaśteka!* - szeptał jej do ucha.

Poczuła gwałtowny przypływ podniecenia. Objęła go ciasno ramionami, zaciskając kurczowo palce na jego koszuli z miękkiej irchy.

- Pragnę cię, Carolino - szeptał - i muszę cię teraz osiąść.

Ogarnęła ją panika. Bała się, że okaże się ignorantką i niezdara.

- Nie wiem, jak mam się zachować, Jacob. Nie wiem, co mam robić...

- Nie będę cię do niczego przymuszał, maleńka. Nie zabiorę ci dziewictwa, jeśli sama mi go nie dasz.

Zaśmiała się krótkim, ironicznym śmiechem.

- Moje dziewictwo? Mam dwadzieścia sześć lat, Jacob. To już nie dziewictwo, raczej staropanieństwo.

- Jesteś dziewczą - upierał się - i nie wolno mi cię tknąć. Nie mam prawa...

- Daję ci to prawo i mam nadzieję, że się mną nie rozczarujesz.

Pocałował ją w szyję.

- Na pewno się nie rozczaruję, to byłoby niemożliwe!

- Ale ja nawet nie wiem, co mnie do ciebie przyniosło. Cokolwiek to jest, pragnę przeżyć to z tobą.

- Odchyliła głowę do tyłu i jej włosy spadły mu kaskadą na rękę. - Powiedz mi, co mam robić, Jacob!

- Sprawię ci rozkosz, *wiwaśteka*, a twoje ciało już samo powie, co masz robić.

- Czy ja tobie też sprawię rozkosz?

Uśmiechnął się i odsunął nieco od niej.

- Ach, maleńka, sprawisz mi ogromnie dużo rozkoszy. .. - Przyklęknął na jedno kolano na darniowej podłodze i zdjął jej ze stóp buciki. Położyła mu rękę na ramieniu, żeby zachować równowagę, a on spo-

jrząc na obcasy i spiczaste noski jej pantofelków, zauważył ze śmiechem:

- W takim obuwiu któregoś dnia okulejesz.

- Moje stopy są do niego przyzwyczajone - odparła.

Błyskawicznym ruchem ściągnął przez głowę koszulę, a ona tymczasem odwróciła się i coś tam majstrowała przy swojej spódnicy, usiłując zdjąć legginsy. Czowała, że Jacob ją obserwuje i że bawia go jej zmagania. Widząc, że się zachmurzyła, zaśmiał się i wziął ją w ramiona. Carolinie złość zaraz przeszła, a na twarzy pojawił się wyraz oczekiwania.

Śmiech Jacoba raptownie ustał i dziewczyna usłyszała jego głęboki i nierówny oddech. Przycisnął wargi do jej ust we władczym, mocnym i namiętym pocałunku. Odwzajemniła pocałunek z uczuciem radości. Zapraszająco rozchyliła wargi, otwierając jego językowi drogę do najbardziej wrażliwych zakamarków ust. Szybko rozpiął guziki sukni i zsunął ją z jej ramion, pozwalając, by spadła na podłogę, a w ślad za nią halka. Objął Carolinę spojrzeniem i znów się zaśmiał, ale tym razem delikatnie i jakby ze zdziwieniem.

- Rozbieranie ciebie przypomina mi skubanie gęsi. Wyskubiesz pióra, a pod nimi jest jeszcze puch...

Stała przed nim, onieśmielona, w staniku, gorsecie i desusach. Zastanawiała się, czy powinna go przeprosić za kłopot, czy raczej ostro zareplikować. Ale nic mądrego nie przyszło jej do głowy.

Położył ją na kocach i znowu całował.

- Może to i dobrze - mrucał z ustami wtulonymi w jej szyję - bo dzięki temu muszę działać powoli...

Lekkim dotknięciem palców leniwie masował jej piersi, znacząc na nich koła i cały czas ją całował. Teraz poczuła, że coś niby ogień zapaliło się w niej

w środku i że ten ogień się rozrasta, w miarę jak Jacob podsycza go pieściami.

Dotknął kremowej koronki, którą obszyty był stanik. Pocierał w dłoni gładką, białą, satynową wstążkę, a potem pociągnął ją i patrzył, jak kokarda rozwiązuje się pod jego palcami. Rozsznurował gorset i zdjął go, odsłaniając jej małe, jędrne piersi. Wstrzymała oddech i jej podniecenie udzieliło się także jemu. Uspokoił ją pocałunkiem i dalej koniuszkami palców zataczał coraz to mniejsze kółka dokoła jej stwardniałych, okrągłych sutków, sterzających niby małe klejnociki pośrodku piersi. Dotknął najpierw jednego, a potem zajął się drugim. W końcu także jego wargi znalazły do nich drogę. Westchnęła głośno, gdy wziął jeden do ust i bawił się nim, raz po raz muskając językiem.

Próbowała się unieść, ale przytrzymał ją i ssał jej sutek, póki nie zaczęła jęczeć. Zsunął teraz jej desusy poniżej bioder i całował wystające kości miednicy i wklęsłość brzucha przy pępku. Potem zerwał z niej także ten ostatni fragment bielizny, znowu wziął ją w ramiona i całował w usta. Pragnął jej coraz bardziej.

Głaskał jej biodra i pieścił uda, a w niej rosło napięcie i pożądanie. Spróbowała dotknąć jego piersi i przekonała się, że jest ciepła, gładka i wilgotna. Wnętrzem dłoni wyczuła bicie serca. Potem jej ręka ześliznęła się w dół i dotknęła sprzączki u pasa. Niski jęk wydobył się wtedy z jego krtani. Był to wyraz rozkoszy, a ręka Caroliny zeszywniała z wrażenia i zatrzymała się w miejscu.

- Pomóż mi rozpiąć pas - szepnął, pieszcząc wargami jej ucho.

Przez chwilę mocowała się ze skórzanym paskiem i udało jej się go rozpiąć, ale cofnęła dłoń, gdy pod guzikami rozporoka poczuła coś twardego i pulsującego.

- Moje ciało bardzo pragnie połączyć się z twoim,

maleńka, tak samo, jak twoje chce, bym je wziął... - Przycisnął jej dłoń do swego brzucha i zaczął rozpinać guziki. - Nie cofaj dłoni, Carolino - prosił. - Nie bój się mnie. Ta część ciała mężczyzny nie jest może tak piękna i mała jak u kobiety, ale taka właśnie być musi.

Carolinę przejął chłód, bo Jacob odsunął się od: niej, ale dzięki temu mogła lepiej się przyjrzeć jego ładnej twarzy, pałającej teraz gwałtownym pożądaniem. Po chwili znów przybliżył się do niej i wziął ją w ramiona. Wcisnął się twardym przyrodzeniem w jej uda i widział, jak jej oczy otwierają się coraz szerzej i zawstydzona odwraca głowę.

- To jest przecież część mego ciała, Carolino! Popatrz na mnie! - nalegał.

Spojrzała. Jego oczy były ciemne i gorące.

- To jest część mego ciała! - tłumaczył z uporem. - I ta właśnie część ma znaleźć się w tobie, ma należeć - do ciebie.

Szybko potaknęła.

To jasne - myślała - ta część jego ciała to zapewne...

Znowu ją pocałował i delikatnie szukał czegoś palcami w trójkącie między jej udami. Był już blisko, bardzo blisko, ale jeszcze nie dosyć. A gdy jego palce w końcu odkryły to sekretne miejsce, ich dotyk był tak subtelny, że nie była pewna, czy są tam rzeczywiście. Ale już po chwili wiedziała, że tak. Tak, to było tam i tam chciała go mieć, bo sprawiał jej taki słodki ból... Nie wiedziała nawet, że instynktownie ugniata mięśnie jego piersi i nie miała pojęcia, że wygina i pręży całe ciało, by mocniej wcisnąć się w rozwarłe wnętrze jego dłoni.

Otoczyła go ramionami w pasie i skręcała się z rozkoszy, gdy palce mężczyzny wędrując po miękościach jej wnętrza, dotarły w końcu do celu, a jego usta nie ustawały w syceniu się jej piersią. ~

- Jacob! - wzdychała, mając zmysły napięte do granic. - Jacob, ja już nie mogę, ja chyba...

- Wiem, moja mała - szeptał. - Niech to się teraz stanie... Pozwól swojemu ciału pokazać mi, co czuje. - Zachłannie całował jej usta, sięgając językiem do ich głębi. Czuł, że ona cała drży pod nim. Była już w pełni gotowa do przyjęcia go. Uniósł się, równocześnie sięgając ręką w dół, by rozchylić jej uda. Spojrzał na nią. Miała błyszczące oczy, czerwone i wilgotne wargi i skórę rozpłomienioną pożądaniem.

- A teraz pozwól, żebym ci pokazał, co czuje moje ciało... - szepnął, starannie przygotowując się do wejścia w nią. - Rozluźnij się, maleńka, żeby łatwiej mi było połączyć się z tobą.

Powoli, łagodnym kołyszącym ruchem, który przychodził mu w tak naturalny sposób, dostał się w ten najbardziej intymny i chroniony zakątek jej ciała. Krzyknęła i zagryzła wargę, czekając, by piekący ból zmalął. Równocześnie obserwowała jego twarz. Widziała, jak skrzywił się, gdy jęknęła z bólu i jaką radością rozjaśniło się jego oblicze, gdy przedostał się poza jej błonę dziewiczą i tam, w głębi, znalazł bezpieczną przystań. Przymknął powieki i przez chwilę mruczał cicho, a potem otworzył oczy i uśmiechnął się ciepłym, delikatnym uśmiechem, który odezwał się czułym echem w jej sercu.

- Czy wciąż jeszcze zadają ci ból?

- Nie! - odpowiedziała szybko.

- Ale troszkę cię jeszcze boli?

Potaknęła.

- Tak mi przykro, że najpierw musiałem cię zranić.

- Wcale nie! Najpierw sprawiłeś, że było mi cudownie...

- Zrobię to znowu. Pozwól mi stać się częścią ciebie. Niech twoje ciało nauczy się cieszyć moim. - Poruszał

się w niej spokojnym wahadłowym ruchem, wzniecając w niej płomień namiętności. Chciała wchłonąć go w siebie, ale jej biodra nie nauczyły się jeszcze poruszać z nim we wspólnym rytmie. - Wyjdź mi naprzeciw, maleńka! - szeptał. - Podnieś się, żeby mnie przyjąć. Tak! Trzymaj mnie, trzymaj i nie wypuszczaj! O, tak!

To był rytm życia, rytm oddychania, rytm fal oceanu, które biją o brzeg, by ucałować ciepły piasek, a potem cofają się w odpływie, by znów uderzyć i zalać brzeg. Wsunął ręce pod jej pośladki i jeszcze głębiej się w niej zanurzył. Uniosła się, wychodząc mu naprzeciw, ugniatała palcami jego plecy i wołała jego imię.

On zaś głosem zmienionym ze wzruszenia i gorącym od namiętności szeptał:

- Będę się teraz wspinał do słońca i wezmę cię ze sobą, *wiwaśtekal*

Znowu krzyknęła, ale tym razem z rozkoszy, bo oto dotknął swoim przyrodzeniem tego miejsca w jej wnętrzu, które właśnie dojrzało do szczytowego uniesienia. Białe światło zajaśniało i rozprysło się świetlicie w jej mózgu.

Przez długi czas leżeli potem spokojnie, trzymając się w ramionach, a uczucie pełnego zaspokojenia zapanowało nad nimi wszechwładnie. Jacob pochylił się nad nią i obrysowywał dłonią miękkie kontury jej sylwetki. Jaki to piękny kontrast, pomyślał, gdy jego śniada ręka spoczęła na porcelanowobiałym ciele Caroliny. A ona przykryła ramionami piersi i czule się do niego przytuliła. Jacob nie pochwalał takiej skromności. Przycisnął jej rękę do ust i szczypał wargami delikatne miejsce, gdzie kciuk styka się z wnętrzem dłoni. Potem położył jej rękę na swoim biodrze i patrzył na nią wzrokiem, w którym żarzył się płynny ogień.

- Nie chowaj się przede mną, wiwaśteka. Teraz jest czas na to, żebym mógł nacieszyć się twoim pięknem, pięknem twego ciała, które przed chwilą stanowiło część mnie samego. Nie patrzysz na mnie, ale wiem, że jesteś ciekawa.

- Nie wyobrażałam sobie, Jacob, jak to właściwie jest. Domyślałam się, że mężczyźni na pewno mają z tego jakąś przyjemność, ale nie sądziłam, że kobiety też, chyba że jakieś bezwstydne...

- Kto ci to powiedział?

Patrzyła w dal. Niełatwo jej było o tym mówić. Woląca nie zdradzać tajemnic swojej płci.

- Matka mi to powiedziała, i to w obecności mojej ciotki, która się z tym zgodziła.

- Powinnaś współczuć matce, że miała męża, który nie był jej wart.

- To prawda. Mój ojciec nie dbał o matkę. Przeważnie zostawiał ją samą, a wszelkich przyjemności zażywał z innymi kobietami. Matka mi się zwierzyła, że przyjmowała to z ulgą i cieszyła się, że nie zawracał jej głowy.

- Uśmiechnęła się do Jacoba i dotknęła jego policzka.

- Szkoda, że nie znała kogoś takiego jak ty.

Pochylił głowę i całował ją w ramię, zastanawiając się, co by powiedziała jej matka, gdyby wiedziała, że córka zna kogoś takiego jak on. Nie przywiązywał jednak do tego większej wagi. W każdym razie nie teraz. Teraz chciał tylko dotykać, podziwiać i jeszcze dokładniej poznać Caroline: wcięcie jej talii, płaskość brzucha, miękką krągłość piersi. Wędrował palcami po jej ciele i sprawił, że się zaczerwieniła.

- A ty? Nie masz ochoty mnie dotykać? - spytał, uśmiechając się. - Położyła rękę na jego piersi. Jacob zaśmiał się. - Sięgnij niżej, Carolino! Wyzbądź się tego ostatniego lęku.

- Kiedy się wstydzę - szepnęła.
- Wstydzisz się tego, co robiliśmy?
- Nie, wciąż czuję z tego powodu wielką radość...
- To może mnie się wstydzisz? - W jego głosie zabrzmiała nuta ironii.

- Ależ skąd, Jacob! Nigdy! Nie wstydzę się ciebie!
- całowała go w ramię, tak jak on przed chwilą ją.

- Więc czego w końcu?

- Własnego bezwstydu, Jacob, tego, co sobie o mnie pomyślisz.

Przygarnął ją do piersi. Chciało mu się śmiać z tego, w jaki wynaturzony sposób białe społeczeństwo traktuje swoje kobiety. Nie dość, że biali nawet we własnych łóżkach kochają się ze sobą ubrani od stóp do głów, to jeszcze ich kobiety muszą podczas stosunku udawać zażenowanie i chłód, inaczej grozi im utrata godności. Wiele razy słuchał przechwałek kowbojów po nocach spędzonych w mieście z kobietami lekkich obyczajów. Zastanawiał się, w jaki sposób biali mężczyźni sprawdzają swoją seksualną sprawność, skoro nawet nie próbują zaspokajać erotycznych potrzeb swoich żon. Przysiągł sobie, że nauczy Carolinę miłości i pokaże jej, co to prawdziwa rozkosz, tak aby nigdy nie musiała zadowalać się czymś mniejszym.

- Nie śmieję się z mnie, Jacob - prosiła.

Przytulił ją.

- Nie śmieję się z ciebie, ale uważam, że my naprawdę mamy powody, żeby śmiać się z nich, białych... Nie chcesz zobaczyć tego, co sprawiło ci tyle przyjemności?

- To ty mi sprawiłeś przyjemność, Jacob, i właśnie na ciebie patrzę.

- Dopiero co kochałem się z tobą, kobieto. Jak możesz uważać za coś bezwstydnego chęć zobaczenia na

własne oczy tego, co miałaś w sobie, i to głęboko we wnętrzu swego ciała? Daj mi rękę!

Z niewielkimi oporami pozwoliła, by położył jej rękę na swoim znowu nabrzmałym członku. Po chwili, ośmielona, wzięła go całego do ręki.

- Wiem, że sprawiłem ci rozkosz. Nie mamy przed sobą teraz żadnych tajemnic. Powiedz, czy to jest takie straszne?

- Nie! To część twego ciała, a ty jesteś piękny - uśmiechnęła się do niego. - Czy moja ręka nie jest zbyt zimna?

- Mimo to rozgrzewa mi krew.

- Jacob, ty już znowu...

- Pieść mnie, Carolino!

- Jak to się szybko zmienia... Nigdy nie wyobrażałam sobie, że mężczyzna może...

- Tak się dzieje wtedy, gdy mężczyzna pożąda kobiety.

Był twardy i równocześnie miękki jak aksamit, ostry i delikatny i nie potrafił niczego przed nią ukryć. Gdy cofnęła rękę, usłyszała, jak wstrzymał oddech.

- Co ja teraz zrobiłam?

- To samo, co ja, gdy pieściłem ciebie.

- Więc to można tak szybko powtórzyć?

Uśmiechnął się.

- Zobaczmy, jak szybko uda mi się rozgrzać ci krew.

Wziął ją po raz drugi, doprowadzając ją i siebie do największego podniecenia uwiecznzonego rozkoszą, równie słodką jak za pierwszym razem. Potem, spleceni uściskiem, usnęli w swoich objęciach.



Wstał bardzo wczesnie. Carolina słyszała, że któryś z koni zarżał i stukał kopytem, a potem doszedł ją głos Jacoba, cicho do niego przemawiającego. Nie rozumiała słów, ale niski ton głosu działał uspokajająco. Mężczyzna odsunął na bok zasłonę przykrywającą wejście do tipi i od razu zrobiło się jasno. Carolina uśmiechnęła się, widząc go tylko w przepasce biodrowej, ściągniętej w pasie sznurkiem. Na nogach miał mokasyny. Powitał ją szerokim uśmiechem.

- Pora wstać i wziąć kąpiel, maleńka. Chciałbym coś zjeść, zanim pójde na polowanie.

Carolina dokładniej przykryła się kocem.

- Która godzina? - spytała.

- Czas, w którym jeleń przychodzi do wodopoju
- odpowiedział.

- Ale która godzina?

- A zabrałaś ze sobą zegar?

Potrząsnęła przecząco głową i zaśmiała się.

- A więc nie możemy określić czasu - stwierdził.

- W nocy nie spałam, część dnia też już straciłam, a w dodatku ty idziesz na polowanie. - Gdy poprawiała na sobie koc, zauważyła na nim czerwoną plamę. Zrobiło jej się gorąco. Usiadła i próbowała ukryć plamę, zawijając koc i przyciskając go do siebie. Gdy Jacob podszedł bliżej, skuliła się, wbiła wzrok w jego mokasyny i nie śmiała podnieść głowy. Na domiar złe-

go drugi koc, którym okrywała plecy, zsunął się na ziemię. Jacob ukląkł koło niej.

- Czy to cię jeszcze boli? - spytał łagodnie.

- Co? - odpowiedziała pytaniem. Utkwiła oczy w zgięciu jego ramienia i mocno zacisnęła dłoń na kompromitującej plamie.

- No, wiesz, chodzi mi o to miejsce, gdzie wszedłem w twoje łono. Czy odczuwasz tam jakiś ból?

Ruchem głowy pokazała, że nie, ale równocześnie zaprzeczyła sobie, mówiąc:

- Jeszcze mnie trochę piecze... - głośno przełknęła ślinę. - Może mam swój okres i dlatego... ale to raczej niemożliwe.

Podniósł palcami jej brodę.

Spuściła powieki.

- Jestem taka zażenowana...

- Przecież musiałaś wiedzieć że gdy zrobię to po raz pierwszy, pojawi się krew. Nie wiedziałaś o tym?

Otworzyła szeroko oczy.

- Więc to ty?

- Jak oni przygotowują was do życia, Carolino? Czy niczego nie nauczyłaś się od starszych kobiet?

- Najwidoczniej nie miały mi nic do powiedzenia.

Pogłaskał ją po policzku i wsunął palce we włosy.

- To może zrobić tylko jeden mężczyzna, *wiwaśteka*, i tylko za pierwszym razem, bo za drugim to się już nie zdarzy. Wyróżniłaś mnie, to dla mnie zaszczyt.

- Ale nie będzie bolało za każdym razem, prawda?

Zaprzeczył ruchem głowy i patrzył na nią ze współczuciem.

- Już za drugim razem prawie wcale mnie nie bolało, a tak się bałam, że może zawsze będę czuła trochę bólu, zanim... zanim nastąpi to, co potem...

- Co potem?

Objęła go za szyję, zapominając o splamionym kocu i swojej nagości.

- Te cudowne doznania, Jacob. Te niezwykle odczucia...

Owinał ją czystym kocem i pozwolił włożyć swoje nowe mokasyny. Śmiali się oboje widząc, jak małe wydają się w nich jej stopy. Potem Jacob złożył splamiony koc i oznajmił z poważną miną:

- Gdy będziesz miała swój okres, musisz mnie ostrzec. Nie mogę wtedy z tobą spać.

- Nie możesz? Dlaczego?

- Bo mówią, że to osłabia siłę mężczyzny i pozbawia go magicznej mocy.

- I ty w to wierzysz?

- Mężczyzna wierzy w to, czego się uczy od ludzi, którym ufa, od swojej rodziny. Ta wiara wyrasta z tych samych korzeni, co cały nasz pogląd na świat i nic, czego się nauczyłem od białego człowieka, nie jest w stanie tego zmienić.

- Chcę, byś mi więcej o tym powiedział. Być może nie będę mogła w pełni zrozumieć twojego sposobu myślenia, ale chcę o wszystkim wiedzieć.

- Nie możesz wiedzieć wszystkiego, maleńka.

- Dlatego że jestem biała?

- Nie, dlatego że jesteś kobietą, a są pewne rzeczy, których się kobietom nie mówi.

- Ale ode mnie wymagasz, żebym ci wszystko mówiła, nawet o moim...

- Wystarczy, jak powiesz mi jedno słowo. Rozumiem je w obu językach. A teraz chodź i pozwól, żebym cię wykapał.

- Chodź i chodź! Ciagle mówisz do mnie „chodź”!

- I ty idziesz...

Wyszedł z tipi, a ona przez chwilę stała bez ruchu.

Musiała to przemyśleć. Dlaczego ona ma przestrzegać wszystkich jego zwyczajów, a on nie bierze pod uwagę ani jednego jej? Zastanawiała się też, co powinna zrobić najpierw: wziąć kąpiel czy zmanifestować swój upór?

Odsunęła zasłonę i zobaczyła, że Jacob, z nieodłącznym uśmiechem na twarzy, stoi przed tipi i czeka na nią.

- Nieraz tak się zachowujesz, jakbyś mnie lekceważył.

- Czy chodzi ci o to, żebym kłaniając się, mówił z zapraszającym gestem: „Panie mają pierwszeństwo, proszę pójść przodem?”

- Przecież to drobiazg. Nawet jeśli pójdziesz na ustępstwo, nie przyniesie ci to ujmy.

- W moim świecie - mówił dalej - przodem idzie mężczyzna i to on staje oko w oko z niebezpieczeństwem, które być może czyha po drugiej stroni drzwi. A co robi biały człowiek? Trzyma drzwi otworem, aby jego kobieta wyszła pierwsza i aby to jej się dostała ewentualna kula.

- Chyba nie robi tego celowo - zauważyła.

Widząc figlarny błysk w jego oczach, roześmiała się, a on wziął ją za rękę i poszli nad rzekę. Tam Jacob rzucił splamiony koc na ziemię, zdjął mokasyny, pociągając za sznurek jednym ruchem uwolnił się od przepaski i stanął przed nią zupełnie nagi. Podziwiała, jak z siłą i zręcznością pantery zмага się z prądem. Podobały jej się jego muskularne, brązowe, zwężające się w talii plecy i niewielkie szczupłe pośladki. Pluskał się, polewał sobie pierś i cały czas przemawiał do wody. Gdy się obejrzał, Carolina odwróciła wzrok, ale nie dość szybko.

- Wchodzisz do wody, dziewczyno, czy masz zamiar dalej mnie podglądać?

Chwyciła splamiony koc i szła do wody cały czas trzymając go przed sobą jak zasłonę. Czysty koc, którym się dotąd okrywała, zostawiła na brzegu. Jacob rozplótł warkocze, a potem zdjął z czoła przepaskę z koźlej skóry i rzucił ją na trawę.

- Jest gorzej, niż myślałam - mówił ze śmiechem.
- Choć nie ma tu żywej duszy, ty nie dość, że się zasłaniaasz, to jeszcze mnie szpiegujesz.

- Wcale cię nie szpieguję!

Jacob pociągnął za koc i Carolina bez sprzeciwu mu go oddała. Zwinął go w ciasną kulę i rzucił na brzeg.

- Przepraszam, nie chciałam cię podglądać... - starała się go udobruchać.

- A ja mam wielką ochotę gapić się na ciebie - przyznał, kiwając z uznaniem głową. - Miałem z tobą trochę kłopotu, *wiwaštaka*, ale warto było.

- Bardzo cię przepraszam - powiedziała, udając obrażoną, ale równocześnie wyciągnęła do niego rękę i uśmiechnęła się.

- Nigdy o nic nie prosiłem; przynajmniej nie robiłem tego do tej pory - rzekł. - Ale kto wie, czy nie zrobię, jeśli zbytnio ci się spodoba to słowo, o którym przedtem wspomniałem.

- Chodzi o słowo „nie”? A jak ono brzmi w języku Lakota?

- *Hiya!* Tak, o to słowo mi chodziło. - Obrócił ją w stronę nisko już stojącego słońca, a potem stanął za nią i podśpiewując, polewał dziewczynę wodą. Czerpał ją dłonią i wylewał na jej piersi. Z jednej strony grzały ją wciąż jeszcze ciepłe promienie, a z drugiej chłodziła zimna woda i po chwili poczuła w ciele lekkie mrowienie. Było jej dobrze i nawet nie zastanawiała się, po co on to robi.

Tymczasem w drugiej ręce Jacoba pojawiło się mydło i zaczął ją całą namydlać. Jego dłoń zręcznie prześlizgiwała się po skórze i Carolina czuła, że jej mięśnie się rozluźniają. Po chwili zamienili się rolami i na nią przysła kolej mycia. Powoli przesuwiała namydłone dłonie, zapoznając się z zarysem jego ramion i torsu. Gdy doszła do mięśni brzucha, zatrzymała się i spojrzała mu w oczy. Ich wyraz dodał jej odwagi. Śmiało podjęła wyzwanie - po chwili jej ręka znikła pod powierzchnią wody i tam dokładnie go umyła.

Ujawszy ją za pośladki, przyciągnął jak najbliżej siebie. Mocno go opasała i przytuliła policzek do jego namydłonego ramienia.

- Wiesz, Jacob - szepnęła - robię się całkiem bezwstydną.

- Bardzo mnie to cieszy. Między nami nie ma miejsca na wstyd. Przyjemnie ci, gdy cię tak trzymam?

- Cudownie!

- Mnie też jest dobrze w twoich objęciach.

- Ach, Jacob, nie wiem, co bym zrobiła, byłeś był szczęśliwy.

Oderwał się od niej i śmiejąc, zaproponował:

- To umyj mi plecy, dziewczyno!

Jak młode wydry bawili się w wodzie i wodą, śmiali się, zanurzali i znowu się śmiali. Gdy się zmęczyli zabawą, Jacob przyciągnął ją do siebie, pocałował i pod wodą przycisnął jej biodra mocno do swoich.

- Au! - krzyknęła nagle. - Coś ty mi zrobił?

Spojrzał na nią, zdziwiony.

- A co takiego?

- Ukłułeś mnie w stopę. To boli...

- Nie zrobiłem niczego podobnego. - Pociągnął ją trochę dalej w dół rzeki.

- Więc kto to zrobił? Coś mnie ucięło w stopę.

- Pewnie jakieś małe żyjątko wodne, a może jaszczurowaty żółw? - zgadywał.

- Nic nie wspomniałeś, że tu mogą być jakieś żyjątka.

- Najgroźniejszym żyjątkiem w tej wodzie jestem ja, a mnie się jakoś nie boisz - śmiał się.

Owinęła się czystym kocem i zostawiając ramiona na wierzchu, pochyliła się nad wodą, aby spłukać krew z zaplamionego koca. Tymczasem Jacob wyszedł z wody i stał, ciągle się uśmiechając, na brzegu.

- To wcale nie jest śmieszne, Jacob. Patrz! Ja krwawię.

Obejrzał małą ranę na podbiciu stopy, ale nic nie powiedział.

- Od takiego ugryzienia można dostać urazu - dała się Carolina.

- Przewiążę ci tę ranę i zastosuję odpowiednie środki. - Podał jej mokasyny, sam włożył swoje, po czym wziął ją na ręce. - Pierwszy środek zapobiegawczy, to nie pozwolić ofierze stać na własnych nogach.

Uśmiechała się, gdy ją niósł w stronę tipi, ale nie dała się do końca oszukać.

- A drugi środek?

- Nie mogę ci zdradzać tajników magii - zaczął, stawiając ją na ziemi. - Powiem ci tylko tyle, że ucina się głowę zwierzątku, które zawiniło, i wiesz ją na szyi ofiary. Musi ją nosić przez cztery dni.

- O, nie! Na pewno nie pozwolę powiesić sobie na szyi żółwiej głowy. Możesz być tego całkiem pewny, Czarny Jastrzębiu!

Zrobił obrażoną minę.

- Czyżbyś nie miała szacunku dla mojej magii?

- Jeśli przez szacunek dla ciebie miałabym nosić głowę żółwia, to wolę go nie mieć. A poza tym od żółwia nie można dostać urazu.

- Nie można? - Udawał zdziwienie, póki nie wy-

buchnął śmiechem, po czym znowu wziął ją na ręce i zaniósł do tipi.

- Uważaj, żebyś nie dostała urazu do mnie - mruknął, wtuliwszy twarz w jej szyję, i dodał: - Szaleję za tobą!

Potem rozpalili ognisko, a Carolina ubrała się, postawiła cynowy kubek z wodą na rozpalonym kamieniu przy ogniu i usiadłszy, czekała, aż woda się zagotuje.

Przycupnęła obok i pokazała jej okazałą sakwę z surowej skóry, którą matka zostawiła mu w tipi.

- Jeśli jesteś głodna - zajął do sakwy - to jest tu suszone mięso i jeszcze coś, co może będzie ci bardziej smakowało.

Dotknęła sztywnej surowej skóry i przesunęła palcem po wymalowanych na niej figurach w kolorze czerwonym, niebieskim i żółtym.

- Jak wy to nazywacie?

- To jest *parfleche*, sakwa ze skóry bizona. Już ich teraz nie wyrabiamy, bo surowej skóry jest coraz mniej. Moja matka zrobiła ją już bardzo dawno temu.

- I w tym nosi się żywność?

- Tak! Te sakwy zastępowały nam spiżarnię. Mój ojciec był za młodu dobrym myśliwym i dostarczał nam mnóstwo mięsa. Pamiętam *parfleches* mojej matki, wiszące w naszym namiocie; były zawsze pełne. Gdy obóz przenosił się gdzie indziej, trochę jedzenia zostawiano w schowkach w ziemi, żeby było co jeść po powrocie na stare miejsce.

Szeroko rozchylił sakwę, a Carolina, pochyliwszy się, zerknęła do środka. Zawartość nie wyglądała zbyt apetycznie.

- Co to jest?

- Nazywamy to *wasna*. To jest suszone mięso, utłuczone z rozdrobnioną marchwią i łojem. Czasem

dodajemy do tego jeszcze jagody. - Opuścił głowę i głęboko wdychał zapach, dochodzący z worka. Coś mu przypominał. - Tak! - zawołał, rozpoznawszy zapach. - To są borówki.

- Ale mnie ta potrawa wygląda na trochę ciężką...

- Nie dalibyśmy rady przeżyć zimy, gdybyśmy się odżywiali tylko przydziałową białą mąką i czerwonymi ziemniakami. *Wasna* sprawia, że jest nam ciepło i mamy dobry humor. - Dotknął ją palcami, jakby chciał jej pokazać, że zna się na tym, o czym mówi. - Był taki czas, gdy trudno nam było znaleźć dziką zwierzynę, a w dodatku przez całe lato tropili nas biali żołnierze. Zimą nasze *parfleches* były puste - wspominał stare dzieje. - Gdy głód zmusił naszych ludzi do poddania się, zostawiali swoje sakwy po drodze wzdłuż traktu, którym ciągnęli do fortu zwycięzców. Moja matka zachowała jednak swoje *parfleches*, mimo że były puste. Powiedziała ojcu, że wierzy, iż nadejdzie jeszcze dzień, gdy on je na nowo napełni...

- Chciałabym poznać twoją matkę - szepnęła Carolina. Słuchając opowieści o głodzie, uświadomiła sobie nagle, że już dawno nic nie miała w ustach. Potrawy w sakwie z każdą chwilą wyglądały w jej oczach lepiej.

- Jesteś podobna do niej, Carolino. Ty także potrafisz przywrócić mężczyźnie siłę przez to, że w niego wierzysz.

Patrzyła w jego oczy i widziała budzące się w nim uczucie. Zastanawiał się, jaka ona jest, co może mu z siebie dać i widać było, że jej pragnie. To dopiero początek... - pomyślała i uśmiechnęła się do niego.

- Dlaczego nazywasz mnie maleńką? Nigdy nie uważałam się za małą kobietę.

Położył jej dłoń na ramieniu i lekko je ścisnął.

- Jesteś wiotka i delikatna jak wierzbowy witek.

Gdy cię trzymam w ramionach, boję się, żeby nie skruszyć twoich drobnych kostek. Nasze kobiety są inne: mają mocne kości. Ich plecy są stworzone do noszenia drew, a biodra do rodzenia dzieci.

- Ja też mogłabym to robić...

Roześmiał się.

- Gdy zobaczyłem, jak stałaś w szczerym polu podczas tej strasznej wichury, pomyślałem, że pewnie wiatr cię porwie, zanim zdążę do ciebie dojechać. Teraz już wiem, że to siła woli nie pozwoliła ci się poddać.

- O, tak! Niejedno osiągnęłam dzięki mojemu uporowi.

- Ale nie będziesz silna bez jedzenia. - Przytknął jej odrobinę *wasny* do warg. - Jak spotkasz moją matkę, to nakrzyczy na ciebie, że jesteś za chuda.

Wasna pachniała mięsem i czymś słodkim. Przeżuwała ją powoli, a przyprawy sprawiły, że coraz bardziej się w niej rozsmakowywała.

- Smaczne - stwierdziła. - To mogę jeść.

- I będziesz to jadła, dziewczyno. To albo *papa*.

- *Papa*?

- *Papa* to suszone mięso. Suszymy także dziką rzepę, cebulę i kukurydzę.

- Kukurydzę? Przecież ciągle powtarzasz, że nie jesteście rolnikami.

- Kukurydzę da się bez trudu ukraść.

- Ten, kto kradnie, jest złodziejem.

- Ale gdy się komuś uda zrobić to niepostrzeżenie, gdy ujdzie cało i w dodatku przyprowadzi do domu kilka koni zabranych z cudzej zagrody, to takiego kogoś obwołuje się u nas, w szczepie Lakota, wojownikiem.

- Ależ, Jacob! Za kradzież koni grozi kara śmierci przez powieszenie.

- Wiemy o tym, wiemy z doświadczenia...

Poczuła ulgę, gdy przestał na ten temat mówić. Mówiąc „my”, miał na myśli swój szczep, a gdy mówił „oni”, myślał o jej narodzie. Zrozumiała, że skoro należy do niego, to siebie i jego musi określać jako „my”, a „oni” to była reszta świata. Niech tak będzie... - myślała. - Niech wszyscy trzymają się od nas z daleka i zostawiają nas w spokoju.

- Teraz już wiem, dlaczego dobrze było przechowywać to jedzenie na zimę. - Carolina dobrała sobie jeszcze trochę *wasny*, a i Jacob jadł z apetytem.

- Zawsze zabieraliśmy tę potrawę na polowanie. Właśnie dlatego mama mi ją przyniosła. Powiedziałem jej jednak, żeby zachowała zapasy dla reszty rodziny i przestała martwić się o mnie.

- Jest taka sama jak wszystkie matki: martwi się o syna, który się usamodzielniał. Ale skoro ty ją ciągle zaopatrujesz w mięso, to ma go pewnie tak dużo, że może robić zapasy.

- No, cóż... Ja przynoszę zwykle parę jeleni i od czasu do czasu antylopę. Ale nie każdy z nas jest dobrym myśliwym. Większości, odkąd zniknęły bizona, jest coraz trudniej o zapasy na zimę. Żyją z dnia na dzień.

Jedli spokojnie, delektując się przysmakami. Potem Jacob zaczął się szykować do wyjścia. Wyszczotkował swoje włosy szczotką zrobioną ze szczeciny dzika i zaplótł je w warkocze, mimo iż były jeszcze wilgotne. Carolina przemyła zranioną stopę, a Jacob przewiązał ranę czystą szmatką.

- Szybko wrócę - obiecał. - Jelenie przychodzą do wodopoju o świcie i o zmierzchu. Nie muszę iść daleko. A jutro nauczę cię, jak się zdejmuje skóry i sprawia mięso.

Pogłaskała go czule po policzku. Jeszcze nie zdążył wyjść, a już pragnęła, by wrócił.

Wrócił wkrótce po zapadnięciu zmroku i przyniósł upolowanego jelenia. Wypatroszył go, przeciął szyję, żeby wyciekła wszystka krew, a potem powiesił wysoko na drzewie, broniąc dostępu kojotom. Wnętrznosci wyniósł w odległe miejsce, gdzie mogły pożywić się nimi owady. Potem poszedł umyć się w rzece.

- Chciałam ci przygotować ciepły posiłek - tłumaczyła się Carolina, kiedy, objęci, szli w stronę tipi - ale nie miałam w czym ugotować mięsa i nie byłam pewna, jak.

- Jutro cię nauczę. Na dzisiejszy wieczór mamy *wasnę*. To właśnie powinno się jeść na polowaniu i, jak widzisz, tym razem też się przyda.

Podsyciła ogień, rozgarniając gorące węgle, a gdy dorzuciła ich więcej, buchnął żywy płomień. Spojrzała na Jacoba i zobaczyła, że już się rozebrał. Bez słowa rozebrał także i ją. Poznała, że jej pożąda po tym, jak czule i zmysłowo ją dotykał. Kochali się spokojnie i powoli, szukając różnych nowych sprawiających rozkosz sposobów. Szczęśliwi i zaspokojeni, leżeli potem w swoich ramionach i patrzyli, jak dym z ogniska wydostaje się przez otwór u szczytu tipi i ulatuje w stronę gwiazd.

- Chciałabym, żebyś mi opowiedział o tej dziewczynie, którą utraciłeś - prosiła. - O tej, którą zamierzałeś poślubić.

- Dlaczego zawsze pytacie o kobiety, które mężczyzna miał przed wami?

- Przypuszczam, że z zazdrości. Nie jest to mściwa zazdrość, raczej pragnienie, żeby być tą jedną jedyną w jego życiu.

- Instynkt posiadacza?

- Może trochę.

- Chciałbym zostawić cię kiedyś w pokoju sam na

sam z moją matką i podsłuchiwać przez ścianę, co mówicie.

- Może byś mi jednak opowiedział o swojej narzeczonej - nalegała.

- Narzeczonej? - to słowo go ubawiło. - Pewnie słyszałaś o niej od Marissy. A co chciałabyś wiedzieć?

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego to zrobiła.

- Dlaczego wybrała innego? - Przez chwilę Jacob nic nie mówił. - Nie jestem pewny, czy to tak właśnie było. Ta tragedia wydarzyła się już tak dawno temu...

- Tragedia? Marissa powiedziała, że ona wyszła za mąż za innego.

- Zabrał mi ją żołnierz. Nigdy się nie dowiedziałem, czy poszła z nim z własnej woli. Jeśli tak, to pewnie dlatego, że był biały. Zostawił ją, gdy go przeniesiono do innego fortu, a ona, nie mogąc żyć z poczuciem hańby, popełniła samobójstwo.

Carolina czuła, że nie powinna go już więcej męczyć pytaniami, ale z jednego nie mogła zrezygnować:

- Czy ta dziewczyna była bardzo piękna?

- Tak, była piękna, a on mimo to nie chciał się z nią ożenić.

- Przepraszam - szepnęła - nie powinnam zadawać ci tylu pytań.

- Ta sprawa należy już do przeszłości, *wiwaśteka*. Wolałbym, żebyś mnie pytała o to, co wspominam dobrze. Chciałbym podzielić się z tobą szczęśliwszymi wspomnieniami. Zostawmy martwych w spokoju... Mam dość załamywania rąk nad przeszłością i nie chcę wciąż żałować tego, co było.

- Czasem jednak trzeba żałować.

- Nie! Musimy żyć dniem dzisiejszym. - Pogłaskał ją po szyi. - Teraz ty jesteś ze mną. Ta chwila należy do nas, korzystajmy z niej!

Tylko ta chwila? - chciała spytać, ale bała się tego, co mogłaby usłyszeć w odpowiedzi. Zadała mu inne pytanie:

- Dlaczego nazywasz mnie *wiwaśteka*?

Delikatnie przejechał palcem po owalu jej twarzy.

- Bo ty także jesteś bardzo piękna, a *wiwaśteka* znaczy „piękna kobieta”.

- Naprawdę tak o mnie myślisz?

- Przecież mówiłem ci to już wiele razy.

- Tylko dzięki tobie, Jacob, czuję się piękną. To dla mnie zupełnie nowe doznanie. Daje mi poczucie wewnętrznego ciepła i bezpieczeństwa, sprawia, że jestem szczęśliwa, bezgranicznie i niewiarygodnie szczęśliwa.

Wziął ją pod brodę, unióśł twarz do góry, a potem poszukał jej ust i zatonał w nich, całując długo i zachłannie. Gdy odsunął się, by zobaczyć na twarzy Caroliny szczęście, o którym mówiła, uśmiechnęła się i obwiodła palcem wypukłości jego torsu.

- A ty? Czy jesteś ze mną szczęśliwy, Jacob?

- Dajesz mi bardzo dużo radości, maleńka.

- Opowiedz mi więcej o tych dawnych czasach, które chętnie wspominasz. Ciekawa jestem, jak by wyglądało nasze życie, gdybyśmy żyli wtedy, kiedy twój ojciec był młodym człowiekiem.

Nie mógł jej obiecać wspólnej przyszłości, ale pragnął podzielić się z nią wspomnieniami o czasach, w których Indianin był panem własnego losu. Tu, na koczowisku, niewiele było elementów nowego życia. W osłoniętym surowymi skórami tipi, wpatrzony w otwór, przez który wydobywał się dym, mógł wyobrażać sobie, że nic się nie zmieniło: że bizona wciąż wędrują wielkimi stadami, że jego lud jest wciąż wolny i może swobodnie przemieszczać się po bezkresnych równinach prerii, tak jak to czynił od najdawniejszych czasów.

- Gdzie mógłbym cię wtedy spotkać? - zastanawiał się głośno. - Może jadącą krytym wozem? A może przybyłabyś na Zachód, by uczyć tutejsze dzieci?

- Myślę, że miałabym wóz załadowany książkami i tabliczkami do pisania, sama bym nim powoziła i szukała jakiegoś budynku, nadającego się na szkołę.

- Gdybym cię wtedy zobaczył, wzruszyłabyś mnie tak samo jak wtedy, gdy cię ujrzałem stojącą na wieńcu. Porwałbym cię i byłabyś moja.

- Teraz też jestem twoja. Chyba wiesz o tym?

Pocałował ją w czoło, a gdy mocniej do niego przywarła, poczuł, że zaczyna mu brakować tchu.

- Byłabyś już teraz moja, gdybym mógł stworzyć ci dom, Carolino...

- Przecież sam mówiłeś, że to zadanie dla kobiety - przypomniawszy mu. - Przynies mi surowe skóry, Jacob, a zrobię ci z nich tipi.

Zaniósł się tłumionym śmiechem.

- Na pewno spodobasz się mojej mamie, będę więc miał przy sobie dwie silne kobiety, które wiedzą, czego chcą.

- Tak będzie... - szepnęła i pocałowała go w pierś.

- Dom to rodzina - powiedział. - Tworzy ją mężczyzna i kobieta, którzy stanowią jedno i których związek jest uznany, tak by kobieta mogła rodzić mężczyźni dzieci! Mężczyzna zaś ma zaopatrywać rodzinę we wszystko, czego potrzebuje. Gdybym mógł stworzyć ci taki dom...

- Jeśli ty nie możesz, to nikt inny też nie - stwierdziła stanowczym tonem. - Jestem twoja i tylko twoja, Jacob.

- Możemy żyć jedynie chwilą bieżącą, *wiwaśteka*, i właśnie teraz cię pragnę.

Kochali się gwałtownie i namiętnie. Do niczego się

nie zobowiązywali, niczego sobie nie obiecywali. Spełniali wszystkie warunki, o których mówił Jacob: stanowili doskonały związek mężczyzny i kobiety, oparty na wzajemnym poszanowaniu.

A na resztę trzeba będzie jeszcze poczekać - pomyślała Carolina.

Zbudziła się, gdy poranny chłód dotknął jej odkrytych pleców. Rozpostarła na nowo koc i dokładnie się nim owinęła, wsłuchując się w dobiegające do tipi dźwięki wstającego dnia. Woda niesiona rwącym prądem rzeki, spadała na powalone konary drzew i nieruchome skały, mijając je z głośnym szumem. Cichutko gruchał gołąb. Carolina rozprostowała członki, mrużąc z zadowolenia jak kot, a potem leniwie wstała z posłania, umyła się, ubrała i... czekała.

Jacob wrócił z polowania z jeleniem o rozłożystych rogach i łanią, przywiązanymi do zaimprovizowanych włók. Przerzucił nogę przez szyję konia i zeskoczył na ziemię. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Widać było, że rozpiera go duma, bo oto jego kobieta czeka, a on przynosi jej upolowaną zwierzynę, dostarcza rodzinie mięsa.

- Jeśli masz wrzątek, to napijemy się herbaty. - Wziął Carolinę pod ramię i wręczył mały woreczek. Gdy go rozwiązała, poczuła zapach liści mięty.

- Rozpaliłam ogień, ale nie wiem, w czym ugotować wodę. Szukałam pośród twoich rzeczy czegoś, co przypominałoby kociołek, ale...

- Kociołek? Masz na myśli to wielkie, nieporęczne, metalowe naczynie? Przynieś no sakwy przytroczone do siodła.

Zajrzała do tipi, ale zawróciła widząc, że on szykuje już ognisko na dworze. Szperał w sakwach, szukając mieszka do gotowania, zrobionego z surowej skóry.

Po chwili trzymał go w wyciągniętej ręce, pokazując jej z daleka.

- Czy to ci przypomina kociołek?

- Ani trochę!

- A czy mój *parfleche* przypomina spiżarnię, chyba także nie?

Pokręciła przecząco głową.

- Ale musisz przyznać, że właśnie do tego służy i świetnie spełnia swoją rolę.

Potaknęła z uśmiechem.

- I zgodzisz się chyba, że mój koń przypomina konia, a moje usta... czy przypominają ci usta? - Objął ją w talii i przygarnął do siebie. - Zobaczmy, czy mam jeszcze coś, co potrafisz rozpoznać...

- Lepiej mi pokaż, jak to działa - powiedziała z takim samym figlarnym wyrazem oczu. - Oczywiście, mam na myśli kociołek.

- Tak, w rzeczy samej kociołek - mruknął i uszczypnął ją pieszczotliwie w kark. - Wszystko inne już zademonstrowałem i wiesz, jak działa.

- A więc pokaż ten kociołek.

- To żwacz, wiesz, część zwierzęcego żołądka. Gotowanie w nim ma tę dobrą stronę, że gdy się, na przykład, zupa nie uda, zawsze jeszcze można zjeść sam garnek.

Pokazał jej, jak się zawiesza żwacz na czterech palikach nad ogniem. Potem zjedli *papa*, popili herbatą i niemal całe przedpołudnie spędzili na zdejmowaniu skór z trzech zabitych zwierząt i dzieleniu mięsa. Carolina nauczyła się filetować mięso, krojąc je w cienkie paski, a Jacob zawiesił wysoko nad ziemią suszarnię, w której te skrawki miały wyschnąć w słońcu na wiór. Po południu większość pracy mieli już za sobą, a część mięsa gotowała się w żwaczu razem z dziką cebulą.

Carolina nauczyła się też używać małego noża do skrobienia i odmięśniania skór, tak aby można je było potem garbować.

Przekonała się, że z upolowanego zwierzęcia prawie nic się nie marnowało, wszystko można było jakoś spożytkować.

Gdy w końcu oderwała się od roboty i wstała, bolał ją krzyż, włosy miała sztywne jak druty, a prawą dłoń całą w pęcherzach. Wytarła czoło samym tylko nadgarstkiem, ale i tak zostawiła na nim ciemną smugę.

- Tylko mi nie mów, Jacob, że jest jeszcze coś do zrobienia, bo usłyszysz ode mnie słowa, jakich damy na ogół nie używają.

Podszedł do niej z rozjaśnioną uśmiechem twarzą. Był dumny z polowania i jeszcze bardziej dumny z niej. Stała, a on rozpiął guziki jej sukni.

- Teraz cię wykąpię - oznajmił - a potem, jeśli mi przyrzekniesz, że nikomu o tym nie powiesz, upiorę ci także suknię.

- Ale co wtedy na siebie włożę?

- Moją koszulę. Świetnie cię okryje.

To była intymna usługa, taka, jaką tylko mąż świadczy swojej żonie. Umył ją, wziął na ręce i wyniósł z wody. Przymknęła oczy, złożyła głowę na jego piersi i słyszała bicie jego serca tuż przy swoim uchu. Czuła się bezpieczna jak dziecko w łonie matki.

Wyciągnęła gołe nogi w stronę ognia i rozkoszowała się niezwykłym smakiem rosołu z jelenia, pięknie pachnącego dziczyzną. Po tipi rozchodził się dym o ostrej woni palącej się szaławii.

- Ten dym działa oczyszczająco i pozwoli nam pozbyć się moskitów - zapewniał Jacob.

Ubrany w bluzę z miękko wyprawionej skóry je-

lenie, stał wygodnie oparty o pień i patrzył z satysfakcją, jak jego kobieta zajada się mięsem, w które on zaopatrzył dom. Nie myślał o niej inaczej niż jak o „swojej kobiecie”. Patrzył na nią z podziwem. Jej uroda podniecała go. Gęste brązowe włosy spadały w puklach na ramiona, a płomienie ogniska rzucały tajemnicze cienie na delikatną twarz Caroliny. Miała na sobie niebieską bawełnianą koszulę, która sięgała jej tylko do połowy ud, odsłaniając piękne, długie nogi.

Carolina czuła, że Jacob ją obserwuje i widziała, jak jego twarz rozjaśnia się uśmiechem zadowolenia.

- To dziwne - odezwała się nagle - ale zauważyłam, że od kiedy jesteśmy w tipi, nie zapaliłeś ani jednego papierosa. Czyżbyś zapomniał wziąć ze sobą tytoń?

- Nie! - zapewnił ją, poklepując się po piersi, gdzie wisiął jego nieodłączny woreczek na tytoń. - Ale nie wzięłam swojej fajki. Tu nie wypada palić nic innego.

- Wiesz, życie na łonie natury pasuje do ciebie. Czy byłbyś szczęśliwy, mogąc żyć tu na stałe? - Miała wielką ochotę dodać „ze mną”, ale nie zrobiła tego.

- Byłbym szczęśliwy, gdyby nasz lud mógł powrócić do takiego życia. Ale nasze dawne życie nie ograniczało się jedynie do polowania i sprawiania mięsa.

- Uśmiechnął się. - Było także czymś więcej, niż tylko obcowaniem z kobietą, chociaż gdy się z tobą Kocham, to trudno mi uwierzyć, że istnieje jeszcze coś poza tym.

- Na przykład najazdy na zagrody z końmi i plan-tacje kukurydzy - dodała złośliwie.

- Tak, to było jednym z przejawów tego życia... - zachichotał.

- I co jeszcze, Jacob? Co jeszcze?

Wydawał się zaabsorbowany ogniem, jakby go ba-wiło nieustanne migotanie.

- Ważne było to, że stanowiliśmy wszyscy jedność, że wspólnie dzieliliśmy życie. Wcale nie pragnęliśmy niezależności, której wiecznie poszukuje biały człowiek: potrzebowaliśmy się wzajemnie, mimo to czuliśmy się wolni. Nieczęsto o tym myślę, ale gdy sobie przypomnę, co to znaczyło być mężczyzną w plemienu Lakota...

- Nie możesz jednak do tego wrócić, prawda?

- Nie mogę. Wiem o tym - szepnął, odwróciwszy wzrok.

- Ale przecież ciągle jesteś mężczyzną i Lakotą.

- Nie jestem już tego taki pewien, gdy słyszę, co mówią o mnie ludzie, z którymi mieszkam i pracuję. Nie jestem prawdziwym mężczyzną w ich oczach.

- Dlaczego wobec tego nie chcesz żyć wśród swoich?

Patrzył na nią i wiedział, że dotknęła sprawy, której w żaden sposób nie potrafi zrozumieć. Nawet gdyby jej o tym wszystkim opowiedział, nie pojmie całej prawdy do końca. Nigdy przecież nie widziała ludzi jego plemienia takimi, jakimi byli dawniej, a panicznie bał się chwili, gdy zobaczy ich takimi, jakimi są teraz.

- Wybrałem inne życie. Chętnie bym, oczywiście, polował z przyjaciółmi, kradł należące do białych konie i najeżdżał ich plantacje kukurydzy, ale...

- Jacob!

- ... ale nie mam najmniejszej ochoty czekać, aż mi Agencja do Spraw Indian łaskawie przydzieli racje żywnościowe ani nie będę sprzedawał ziemi za alkohol. - Przez chwilę znowu wpatrywał się w buzujący ogień. - Od mężczyzny - mówił dalej - żąda się, by się sprawdził. Starzy mieli kiedyś tę szansę, dlatego całymi dniami rozprawiają o dawnych, dobrych czasach. A co mają uczynić młodzi? Przecież nie mają żadnych możliwości sprawdzenia się. Biali nas roz-

dzielili, bo rozparcelowali naszą ziemię. Bizony wytępiono. Jeśli nie chcemy dopuścić do tego, by nasze kobiety i dzieci umierały z głodu, nie mamy innego wyjścia, jak tylko przyjmować to, co nam biali ofiarują.

- Bo przecież nie jesteście rolnikami - zacytowała jego słowa.

Skwitował je smętnym uśmiechem.

- Nigdy nie byliśmy rolnikami - powtórzył. Widać było, że niechętnie wymawiał to słowo. - Ale teraz nie jesteśmy już nawet myśliwymi, bo polowanie na jelenie to nie jest zajęcie dla prawdziwego mężczyzny. Żyjemy, nie mając przed sobą żadnego jasnego celu.

Podkuliła pod siebie nogi i pochyliła się do przodu.

- Musicie więc znaleźć sobie nowy cel, to oczywiste...

- Próbowaliśmy. Poszliśmy do szkół. Nie nauczyliśmy się jednak niczego, co pomogłoby nam zmienić naszą sytuację. Ja, na przykład, bardzo chciałem poznać prawo białego człowieka, prawo, którego używa przeciwko nam, albo zdobyć wiedzę medyczną, która potrafiłaby zwalczyć choroby przyniesione przez białych, bo nasza własna medycyna tego nie potrafi. Zamiast tego nauczono mnie podkuwać konie i kłaść cegły... Cegły! - zaśmiał się gorzko. - Przecież nasz lud nie używa cegieł.

- Ale nauczyłeś się czytać, pisać i mówić po angielsku, może nawet lepiej niż większość naszych mężczyzn. Gdybyś chciał uczyć się prawa czy medycyny, to masz już podstawy.

- Być może, ale nie mam środków na dalszą naukę. Ujeżdżam więc konie, by mogli na nich jeździć biali. - Wrzucił do ognia gałązkę szaławii i patrzył, jak zamienia się w małą pochodnię.

- To po co przyjąłeś tę pracę?

- Żeby zarobić pieniądze. Przecież płacą mi za nią.
- Spojrzał na nią i westchnął. - Opowiem ci historyjkę. Pewnie wiesz, że jesteśmy bardzo dobrzy w opowiadaniu różnych historii. Otóż, wkrótce potem, gdy powróciłem ze Wschodu, poszedłem z ojcem odebrać nasz przydział mięsa. Wiesz, jak to się odbywało? Na przestrzeni niewiele większej niż ta polanka żołnierze zamknęli małe stado wychudzonych długorogich bawołów i zabawiali się w ten sposób, że pozwolili naszym ludziom, by użyli swoich koni i strzelb i pędzili po tej zagrodzie, udając, że polują na bizona. To była przeraźliwie smutna zabawa... pomyśl - z jednej strony na wpół zdechłe zwierzęta, a z drugiej mężczyźni na wpół oszaleli z tęsknoty za dawnymi czasami...

Patrzył w ogień i widać było, że wspominając tę scenę, sam sobie zadaje cierpienie, jakby chciał się w ten sposób ukarać.

- Ale przecież mężczyzna nie może żyć przeszłością - rzekł w końcu - gdy jego rodzina umiera z głodu w teraźniejszości.

- W moich oczach, Jacob, jesteś o wiele bardziej mężczyzną niż wszyscy, których dotąd znałam.

Jego serdeczny śmiech od razu rozładował ponury nastrój.

- A iluż ty mężczyzn znałaś, maleńka?

- Nie mów tak! Poznałam kilku wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie mam ochoty poznawać ich lepiej. - Wciąż się śmiał, a ona się dąsała. - A jakie by to miało znaczenie, gdybym znała nawet stu? Raz tylko kogoś zobaczę i od razu wiem, z kim mam do czynienia.

Patrzył na nią z uśmiechem i podziwiał jej włosy. Spływały miękko na ramiona i tajemniczo połyskiwały w świetle ognia. Migoczące płomienie zapalały się także ognikami w jej oczach.

- A ja poznaję kobietę dopiero wtedy, gdy ją trzymam w ramionach. Chodź do mnie, Carołino!

Przyciągał ją jak magnes. Głębokie rozcięcie jego bluzy z kozłej skóry nie było do końca zasznutowane. Po obu stronach zwisały rzemyki. Uklękła i położyła dłonie na miękkiej skórze tej bluzy. Wziął ją w ramiona, szepcząc:

- Całuj mnie, *wiwaśteka!* - Ich języki mieszały się, tańcząc dookoła siebie, jakby chciały naśladować migotanie płomieni ogniska. Przytuliła się do niego całym ciałem, a on wsunął dłonie pod okrywającą ją koszulę i pieścił pośladki dziewczyny. Gorący i dziki pocałunek wyrażał dokładnie to, co oboje czuli. Carolina położyła obie dłonie na jego piersi i oparłszy się na nich, odsunęła się trochę.

- Wiesz co mi grozi, Jacob? - spytała. - Gdy mnie tak zapamiętałe całujesz, to może mi się zdarzyć, że wdepnę w ognisko i nawet nie poczuję gorąca.

- A czy pieczona będziesz mi tak samo smakowała jak surowa?

- Nieraz jesteś wręcz niegodziwy.

- Nieraz? Zawsze taki jestem. To moja natura! - Szybkim ruchem przewrócił ją na plecy i przycisnął obie jej nogi swoim udem. - Stałaś się bardzo wyrobioną partnerką, wiesz? - mrucał z ustami na jej ustach. - Bez trudu potrafisz doskonale sprostać - teraz szczypał wargami jej szyję - wszelkim wymaganiom, które - powrócił do warg - ci stawiam... O, tak, potrafisz... - powtórzył, rozpinając pierwszy guzik jej koszuli.

Czuła, że jego pocałunki wysysają z niej wszystkie siły i wprawiają zmysły w stan najwyższego napięcia. Całe ciało mówiło jej, że pragnie go coraz bardziej. Starła się jak najmocniej do niego przywrzeć, a on

wahadłowym ruchem raz po raz to zbliżał się, to oddalał, jakby chcąc dać poznać, że czeka ją jeszcze więcej pieścizot, ale nie od razu. Jeden jej sutek doprowadził do szczytowego naprężenia, zataczając na nim kciukiem małe kółka. Drugiemu kazał stwardnieć pod ssącym ruchem swego języka. Uniósł głowę i uśmiechnął się do niej, a potem przeniósł dłoń na jej płaskie łono i pieścizając, pytał:

- Czy znasz mnie już wystarczająco dobrze, małeńka, by wiedzieć, że chciałybyś poznać mnie lepiej?

- Wydaje mi się, że znam cię od zawsze - szeptała - jakby czas, który minął do chwili, gdy cię spotkałam, w ogóle nie istniał.

- Ale jeszcze nie wiesz wszystkiego?

- O tobie?

Potaknął.

- A więc powiedz mi, proszę cię, chcę wiedzieć wszystko...

Wziął ją na ręce i zaniósł do tipi. Stali blisko siebie. Jedną ręką zsunął koszulę z jej ramion i pozwolił, by upadła na ziemię. W świetle księżycy, które padało przez dymnik nad ich głowami, ciało Caroliny świeciło białą poświatą, a jego delikatna rzeźba zapraszała do pieścizot. Jednym ruchem ściągnął z siebie koszulę, i naprowadził jej dłonie na pojedyncze wiązanie, które łączyło jego przepaskę z legginsami. Gdy rozwiązała supeł, przepaska z irchy spadła, odsłaniając jego wzniesiony członek. Ściągnęła legginsy z twardych ud i przyglądając mu się, nie mogła nadziwić się pięknemu jego ciału. Gwałtownie wzrastające pożądanie, w połączeniu ze słodką torturą czekania, stanowiło rozkosz samą w sobie.

Teraz Carolina wygięła się łukiem i szczelnie przylgnęła do mężczyzny, leciutko gryząc go w ramię. On

zaś uniósł ją do góry, tak by stanęła na palcach. Wtuliła twarz we wgłębienie jego szyi, tuż obok miejsca, gdzie spływał jego ciężki warkocz, i głęboko wdychała zapach kozłowej skóry i drzewnego dymu.

- Jacob - powiedziała cichutko. - Wiem, czego teraz pragnę. Pragnę czuć cię głęboko w sobie.

- I ja niczego bardziej nie pragnę, niż tam się właśnie znaleźć - odpowiedział niskim, zduszonym szeptem. - Nigdy nie pragnąłem żadnej kobiety tak bardzo, jak pragnę ciebie. - Uniósł ją odrobinę wyżej. Instynktownie rozchyliła uda, opierając stopy na jego nogach, podczas gdy on obiema dłońmi podtrzymywał jej pośladki. Syknęła, gdy wszedł w nią bardzo głęboko. Poczuł ogromną rozkosz, ale wysunął się z niej, bojąc się, żeby jej nie skaleczyć. Położył ją na pościeli i znowu wszedł w nią, starając się wypełnić sobą całe jej wnętrze. Wszystko, co miał do dania, oddawał tej kobiecie. Uderzając w nią czuł, że jednocześnie opuszcza go jego dusza po to, by dotknąć jej duszy. Pragnął dać jej rozkosz. Jego ruchy stawały się coraz to szybsze i głębsze, przemawiał do niej miłośnie po lakotyjsku.

Przypływ gwałtownie się zbliżał. W chwili najwyższego dla nich obojga uniesienia i największej rozkoszy Jacob uniósł się wysoko nad pościel i z gardła wydarł mu się głośny, potężny okrzyk triumfu, płynący gdzieś z jego głębi.

6

Delikatnie uwolnił się z objęć Caroliny i przykrył ją kocem. Potem drugi koc zarzucił sobie na ramiona i wyszedł na dwór, rozgarnąć żar w ognisku.

Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Robił sobie w duchu gorzkie wyrzuty, że za daleko się posunął. Tego właśnie się bał wtedy, gdy mówił Carolinie, że w jego życiu nie ma miejsca dla kobiety. Nie miał jej nic do zaoferowania, mimo to przyprowadził ją tutaj i posiadał wiele razy. Tak, miał ją i nadal pragnął ją mieć. Chciał żyć z nią, stworzyć sobie taką egzystencję, na jaką było go stać i dzielić ją z Caroliną. Lecz nie opuszczała go troska o przyszłość jego ludu. Narastała w nim jak ropiejący wrzód. Nie mógł dzielić tego bólu z białą kobietą. Dlaczego więc posunął się tak daleko?

Jego ludzie nazwą go szalonym, a jej rodzina obrzuci słowami, których nie da się przetłumaczyć na język Lakota. Ludzie z plemienia Lakota nie przeklinali. Biały człowiek przyniósł jego ludowi ogromne cierpienia; Jacob musiał jednak przyznać, że mieli słowa, którymi można było to zło nazwać i określić. Żeby nie wiem jak straszna potworność się wydarzyła, biały człowiek miał słowo, które umiało to oddać. Angielskie słowa potrafiły także określać i nazywać rzeczy dobre, choć niewiele z nich brzmiało tak pięknie i lirycznie jak Caroliną.

Podsycił zamierający ogień i patrzył, jak węgle roz-

łamywały się, wydobywając ze swego środka ostatni już czerwony żar. To nie do wiary - myślał - że kobiecie udało się po tych wszystkich latach przebić jego ochronną tarczę, że stało się to tak szybko i łatwo. Nie był w stanie zrobić niczego, aby odparować cios. Ześłał mu ją chyba Bóg, a Jacob nie był człowiekiem, który by odrzucił jakiegokolwiek boskie zrządzenie. Ale jak należało odczytać owo boskie przesłanie? Jaki był jego cel? Czyżby bóg Ateyapi nie dostrzegł, że ta kobieta była biała?

To niemożliwe. Jego bóg nigdy by żadnemu z nich czegoś takiego nie zrobił. A jednak ona przyszła do Jacoba i stała się balsamem, słonecznym promykiem, który zawitał po tylu ciemnych dniach zimy. Wtarł sobie ten słoneczny balsam w skórę i pozwolił, by ciepło wniknęło w jego ciało. Teraz ona była z nim, była też w nim, nie mógł odwrócić się do niej plecami. Być może w przyszłości czekał ich ból, ale tej nocy wypełniała ich radość. Byli razem, ponieważ chcieli być ze sobą. Tak to właśnie było.

Poruszał się cicho. Wśliznął się pod koce i wziął ją w ramiona. Obróciła się i objęła go.

- Jacob! - szeptała. - Nie zostawiaj mnie!

Odsunął włosy z jej twarzy i delikatnie ją pocałował.

- Nie śpisz, maleńka? - Nie było odpowiedzi, a jej oddech był płytki i równy. - Nie zostawię cię. Nie powinienem był cię wziąć, Carolino. Teraz czujesz się ze mną związana, a ja nie mogę uczynić cię swoją żoną. Z czasem będę musiał się zgodzić, żebyś mnie opuściła.

Gdy nastał świt, wykradł się cicho z tipi, nie budząc jej ze snu. Poprzedniego dnia ciężko pracowała, dziś także czekał ją niemały wysiłek. Wziął strzelbę i zawiesił sobie na szyi woreczek z nabojami. Miał na sobie tylko przepaskę i mokasyny. Nóż wetknął za pas.

Jechał konno na oklep. Jeśli nadal towarzyszyć mu będzie szczęście, upoluje coś i szybko wróci.

Znalazł sobie miejsce na skalistym pagórku powyżej zakrętu rzeki. Stał twarzą do wody i głosem czystym jak poranek zaśpiewał pieśń wschodzącego dnia. Zaczął nisko, jakby z głębi piersi, potem podniósł głos do najwyższych tonów, a na końcu gwałtownie urwał śpiew. Teraz czekał, aż jeleń przyjdzie do niego.

Cierpliwość Jacoba została nagrodzona, gdy spory jeleń, prowadzący trzy łanie i trzy jelonki, ukazał się na brzegu. Jego poszostne poroże rozwidłało się niczym pięknie rozgałęziona wierzba. Podczas gdy pozostałe zwierzęta piły aż do ugaszenia pragnienia, on z uniesionymi wysoko nozdrzami stał na straży.

- Jestem niżej od ciebie i stoję pod wiatr. Wybacz mi, mój bracie, ale mam kobiety i młode do wykarmania - przemawiał do jelenia cicho po lakotyjsku.

Oparł strzelbę o ramię, wycelował starannie między oczy i pociągnął za cyngiel. W porannym powietrzu strzał rozległ się ostrym hukiem. Łanie uskoczyły pomiędzy gęste drzewa, a kozioł z głuchym łomotem padł na ziemię. Dwa małe koziołki wynurzyły się z gęstwiny wiśniowych drzewek i dołączyły do stada. Wkrótce zaczną ze sobą konkurować - pomyślał Jacob - a potem jeden z nich zajmie miejsce padłego kozła.

Unióśł upolowane zwierzę, umieścił je nad kłębem konia i już miał usiąść na nim, gdy zauważył malowniczą kępkę kwiatów prerii pośród rozrzuconych tu wielkich głązów. Uwiązał konia i uśmiechając się do siebie, ruszył po kwiaty. Każdy szanujący się mężczyzna śmiałyby się z niego, gdyby go zobaczył, wracającego z polowania z bukiecikiem. Jacob nie myślał o tym. Chciał widzieć, jak twarz Caroliny rozjaśni się uśmiechem, gdy wręczy jej kwiaty.

Czarny Jastrząb bardzo rzadko tracił czujność. Nie do pomyślenia było, żeby przeoczył coś tak łatwo rozpoznawalnego jak grzechotnik. Tym razem nie usłyszał jednak ostrzegawczego grzechotu, nie zauważył żadnego ruchu w trawie. Gdy stanął na skale, wąż nagle zaatakował: mignęły tylko zęby jadowe i ogon. Jacob odskoczył do tyłu, a grzechotnik z cichym szelestem cofnął się w trawę.

- Ty sukinsynu! - zaklął. Chwycił nóż, usiadł i wbił ostrze w łydkę. Ciął po linii wyznaczonej przez dwa znaki po zębach jadowych węża. Zasłużyłem sobie na to - przyznawał w duchu. Wysysał i pluł, wysysał i pluł. Każdy myśliwy wiedział, że w tych skałach żyją węże i że nie należy tędy chodzić pieszo. Zacisnął nad raną rzemień ściągnięty z woreczka na tytoń i pokuśtykał w stronę konia.

Nie więcej niż półtora kilometra dzieliło go od obozowiska. Gdy poczuł silny, kłujący ból w łydce, poluzował rzemień i siłą woli rozluźnił mięśnie, kierując koniem tylko prawą nogą.

Dookoła dwóch ukłuc zębów jadowych nie widać było drobnych znaków po dolnych zębach węża, co znaczyło, że grzechotnik nie ukąsił go zbyt mocno. Być może obaj się nawzajem zaskoczyli i to ugryzienie nie okaże się niebezpieczne. Uspokoił się, ułożył lepiej kozła na koniu i dał gniadoszowi znak, by ruszył.

Carolina wyjrzała z tipi i uśmiechnęła się na jego widok.

- Przynieś sznur! - rozkazał krótko.

Zniknęła na chwilę, a kiedy wróciła ze sznurem w ręce, już się nie uśmiechała. Jacob zepchnął ciało jelenia na ziemię, wziął sznur, zrobił na nim pętlę i podał Carolinie.

- Chwyć w pętlę tylne nogi jelenia! - zarządził.
Spojrziała na niego z ukosa.

- Czy coś się stało? - spytała.

- Rób, co ci mówię! - odpowiedział, siłąc się na spokój.

Spuścił jeleniowi krew z szyi, ale nie zajął się mięsem. Carolina tymczasem zacisnęła mocniej pętlę dookoła sztywniejących już kolan kozła. Gdy skończyła, spojrzała na Jacoba, a on pokazał jej gestem, żeby wręczyła mu koniec sznura. Przerzucił go przez gałąź, chwycił mocno i pchnąwszy konia do przodu, dźwignął kozła wysoko nad ziemię. Zsiadł z wierzchołka niepewnie i Carolina już wiedziała, że jednak coś się stało. Szybko stanęła u jego boku.

Złapał równowagę, walcząc z ogarniającymi go mdłościami.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział, wyciągając nóż myśliwski z pochwy.

Dostrzegła krew na jego łydce.

- Chyba zaciąłeś się w nogę! - zawołała.

- Trzeba wypatroszyć jelenia - usłyszała w odpowiedzi. Wbił ciężkie ostrze w sam środek brzucha zwierzęcia i wyrąbał ścieżkę między jego żebrami.

- Jesteś ranny, Jacob. - Położyła rękę na jego ramieniu. - Sama wszystko zrobię, tylko mi powiedz, jak.

Wręczył jej nóż i oparł się plecami o pień.

- Wyciągnij wnętrzności! Tnij nożem w tych miejscach, gdzie są przyczepione kości. Przecież patroszyłaś kurczaki, więc wiesz, jak to się robi.

- Oczywiście! - odpowiedziała, zanurzając dłoń w ciągle jeszcze ciepłym ciele zwierzęcia. Ale nigdy nie zajmowałam się jeleniem - pomyślała. Pracowała szybko i sprawnie i tylko gdy wpadły jej w ręce śli-

skie części wnętrzości i jelita, na chwilę odwróciła twarz, by nie poczuć smrodu.

- Zachowaj serce i nerki i przynieś mi kawałek wątroby - zadysponował Jacob.

Zrobiła, jak jej kazał. Zjadł ten kawałek wątroby na surowo, choć zauważyła, że zbladł przy tym, jakby mu cała krew spłynęła z twarzy. Carolinie żołądek podszedł do gardła.

- Teraz ukrój mi kawałek mięsa.

Zawahała się. Czy miał zamiar i to mięso zjeść na surowo?

- Zrób to! - ponaglił.

Szybko go usłuchała.

- Czy musisz to wszystko robić właśnie teraz? Myślałam, że zajmiesz się...

- Przynieś mięso! - warknął przez zaciśnięte zęby.

Gdy to zrobiła, oparł się o nią ciężko i wskazał gestem, że muszą odejść daleko od obozowiska.

- Ależ, Jacob! - Jęknął, więc od razu ruszyła z miejsca. - Dokąd idziemy?

- Daleko, by trzymać duchy jak najdalej od naszego tipi.

- Duchy?

- *Wanagi*. Duchy zmarłych. - Wziął w rękę kawałek mięsa i wypowiedział parę słów w języku Lakota.

- To duchy jedzą mięso jelenia?

- Trzeba im ofiarować kawałek każdego upolowanego zwierzęcia. Inaczej mogą nam zrobić coś złego tej nocy... - Wskazał na tipi i pokuśtykał w jego kierunku, wspierając się mocno na Carolinie.

Nie zauważyła, żeby składał jakiegokolwiek ofiary po wczorajszym polowaniu i zastanawiała się, czy to może jedna z tych spraw, o których nie mówi się kobietom.

- W jaki sposób się zaciąłeś?

Nie odpowiedział.

Weszli, schyleni, do tipi i Jacob nie mógł się już wyprostować. Pomogła mu ułożyć się na posłaniu.

- Resztki, które usunęłaś z jelenia, muszą być stąd wyniesione - przypomniał jej. - A teraz...

- Jacob! - krzyknęła, widząc ogromny ból na jego twarzy. Padła na kolana obok niego. - Co ci jest? Co ci się stało?

- Ugryzł mnie wąż.

- Jaki wąż? - spytała, zaniepokojona.

- Grzechotnik. Wyssałem większość trucizny, ale i tak będę chorował.

- O mój Boże! - dotknęła jego nogi. - Jacob, grzechotnik może zabić.

- Nie będzie aż tak źle. Musisz zachować spokój. Carolino, potrzebuję cię.

Przykrywszy siodło złożonym kilkakrotnie kocem, stworzyła mu wygodne oparcie pod plecy. Wiedziała, że głowa musi być wyżej niż rana i że ranę należy utrzymywać w idealnej czystości.

- Czy jest na to lekarstwo? A może macie na to, jakiś własny środek?

Nie był w stanie jej odpowiedzieć. Poczował mdłości. Pomogła mu przechylić się na bok. Chwyciły go gwałtowne torsje. Stracił przy tym wiele energii i teraz leżał, osłabiony, drżąc na całym ciele.

Usunęła splamiony koc i zrobiła mu opatrunek, używając zamiast bandaża swojej halki. Noga zaczęła już puchnąć. Zdjęła opaskę zacieśniającą i przemyła ranę przegotowaną wodą i mydłem. Zaczęła znowu krwawić.

- Sukinsyn - syknął, gdy bandażowała mu nogę.

- Przepraszam, może za ciasno wiąże?

Zacisnął zęby i potrząsnął głową.

- Bardzo puchnie - szepnęła - nie wiem, co robić dalej...

- Wygląda na to, że jednak wiesz. - Wargi mu nabrzmiały, a język stawał się coraz cięższy. - Ugryzienie węża może spowodować atak szału, ale to potem mija.

- Niewiele wiem o węzach, ale mam doświadczenie w pielęgnowaniu chorych. - Dotknęła jego policzka. - Masz gorączkę.

- To także przejdzie... - Usiłował skupić na niej wzrok i powstrzymać tę wirującą czarną falę, która chciała go pochłonać/ale na próżno.

Carolina wiedziała, co należy robić przy gorączce. Wyszła z tipi, uwiązała konia i wyrzuciła wnętrzności z ciała kozła, tak jak ją Jacob poinstruował. Potem nabrała zimnej wody z rzeki, wróciła szybko do tipi i zaczęła przemywać rozpalone ciało Jacoba. Gorączka wywołała majaczenie, bełkot, a potem szaleńcze wrzaski w języku Lakota. Maligna wyczerpała go i w końcu już tylko niezrozumiałe bełkotał. W spokojniejszym momencie przyniosła świeżej wody.

Przytknęła do jego piersi nasączoną zimną wodą myjkę ze skóry jelenia i Jacob otworzył oczy. Patrzył przed siebie dzikim wzrokiem. Dotknęła jego twarzy, a on wytrącił jej myjkę z ręki i wykrzykiwał słowa, których nie rozumiała. Powiedziała mu tylko:

- W porządku, Jacob. Potrzebujesz spokoju. Będę o ciebie dbała, a ty odpoczywaj!

Przez chwilę zdawało jej się, że ją rozpoznaje. Przykrył jej dłoń swoją. Była gorąca i sucha. Mówił do niej delikatnie w języku Lakota. Jedyne słowo, jakie rozpoznała, to *wiwaśteka*. Potem przymknął oczy i mruknął:

- Przeklęte kwiaty!

Ugotowała te części jelenia, które kazał jej zachować, w nadziei, że może wkrótce zechce je zjeść i że wróca mu siły. Na ognisku ułożyła stosik z gałązek szałwii i zapaliła go, zawieszając nad nim żwacz. Pomysłała, że skoro ten zapach pozwala pozbyć się moskitów, to może przy okazji przepędzi także muchy. Zależało jej na tym, żeby utrzymać tipi i jego otoczenie w jak największej czystości.

Kiedy stwierdziła, że Jacobem wstrząsają dreszcze, zapaliła ogień wewnątrz tipi, owinęła chorego kocem i usiadła za nim, podtrzymując go swoim ciałem. Jego twarz była gorąca, wargi kredowobiałe i leżąc w jej ramionach, z głową wtuloną między jej piersi, trząsał się cały. Carolina kołysała go i powtarzała słowa ni to modlitwy, ni to prośby:

- Nie zostawiaj mnie, Jacob! Proszę cię, nie zostawiaj mnie!

Potem ucichła i na chwilę przysnęła.

Nagle głowa jej opadła na piersi, a oczy otworzyły się w samą porę, by zobaczyć wchodzącą do tipi niską, tęgą kobietę, nie pierwszej młodości.

Przez chwilę patrzyły na siebie bez słowa. Kobieta miała suknię z koźlej skóry, opinającą jej korpulentną figurę. W jej błyszczących kruczoczarnych warkoczach połyskiwały srebrne nitki, a ciemne oczy wpatrywały się z niepokojem w Caroline.

Dziewczyna objęła mocniej Jacoba, jakby się bała, że go siłą od niej oderwą. Serce biło jej gwałtownie.

- Czy ty jesteś matką Jacoba? - spytała. - Jesteś *Ina*?

- Co robisz mojemu synowi? - padło ostre pytanie, gdy Indianka zbliżyła się do postania.

- Dziś rano ugryzł go grzechotnik - odpowiedziała. Kobieta zamarła, a Carolina chcąc, by ją dobrze

zrozumiała, zasyczała i dłonią naśladowała ruchy węża.

- *Wagleza?*

- Tak, grzechotnik. On ma gorączkę. - Dotknęła twarzy Jacoba i jego matka zrobiła to samo. - Ma także dreszcze - dodała po chwili. - Próbowałam go rozgrzać i zasnęłam. - Wyśliznęła się spod niego i z miłością przyłożyła znowu dłoń do jego policzka. - Chyba mu gorzej - zauważyła.

Matka uklękła obok syna i sięgnęła do bandażu. Carolina pomogła jej ściągnąć opatrunek z puchnącej nogi i stwierdziła z przerażeniem, że rana ropyje.

- *Unhcela Maska* - powiedziała po lakotyjsku matka Jacoba i oparłszy dłoń na kolanie, podniosła się z klęczek. Carolinie przemknęło przez myśl, że te słowa mogły równie dobrze oznaczać wyrok śmierci, bo ona i tak nic z tego nie rozumiała. Kobieta wyjrzała z tipi, zawołała: *Cunks!* i zamieniła parę słów z kimś, kto czekał na zewnątrz.

Carolina zdawała sobie sprawę, że najniebezpieczniejsza dla życia Jacoba jest wysoka gorączka. Nie przejmowała się innymi sprawami. Niechby się nawet zjawił tu cały szczep indiański i miał coś do powiedzenia na jej temat. Zależało jej jedynie na tym, by obniżyć temperaturę ciała chorego.

- Proszę pani - zwróciła się do jego matki. - *Ina!* Proszę mi pomóc zanieść go do rzeki. Samo zmywanie moką myjką nie wystarczy.

Kobieta znowu uklękła obok posłania, dotknęła twarzy syna i przemawiała do niego w ich języku. Jacob otworzył oczy, rozpoznał matkę i zdobył się nawet na coś w rodzaju uśmiechu. Przez krótką chwilę coś mówił, ale zaraz znowu zamknął oczy i odpłynął w dal. Matka wyraźnie się przeraziła. Podsyciła ogień

w tipi, potem wyszła po garść szaławii, a gdy po chwili pachnąca chmura dymu uniosła się nad jej synem, odśpiewała modlitwę.

Carolina z niepokojem obserwowała tę scenę. Zabolęła ją, że Jacob nie uczynił nic, by wytłumaczyć matce, kim ona jest i co tu robi. Oboje zachowywali się tak, jakby dziewczyny wcale nie było. Gdy powtórzyła swoją prośbę, Indianka spojrzała na nią podejrzliwie.

- *Ina!* - szepnął nagle Jacob, nie otwierając oczu. Zdjął rękę Caroliny ze swojej piersi i zatrzymał ją w dłoni. - *Ina!* Ja ufam tej kobiecie. Zrób to, o co cię prosi...

We dwie bez trudu wyniosły go na brzeg rzeki i zanurzyły w niej prawie po szyję. Carolina zdjęła suknię, zostawiła ją na trawie, a potem weszła do wody i usiadłszy na dnie, oparła plecy Jacoba o swoją pierś. Zimna woda orzeźwiła go. Próbował usiąść, ale Carolina mocno go trzymała.

- Leż, Jacob, chcę, żeby rzeka wyciągnęła z ciebie gorączkę. - Uspokajała go, głaszcząc po twarzy.

- Zamienisz moje kości w lód, dziewczyno - skarżył się.

- To gorączka sprawia, że woda wydaje ci się zimniejsza, niż jest w istocie, ale to dobry sposób na obniżenie temperatury.

- Nie wyrzuciłaś serca, prawda? - spytał nieoczekiwanie.

Przez chwilę zastanawiała się, o co mu chodzi.

- Zrobiłam tak, jak mi powiedziałaś. Zadbaj o wszystko, nie martw się.

Kiwnął głową, jakby chciał potaknąć, a potem znowu oparł ją o ramię Caroliny.

- Moja mama mówi trochę po angielsku - powiedział.

- Zdaje mi się, że twoja mama mnie nie lubi - szepnęła mu do ucha.

Znalazł w sobie dość siły, by zaśmiać się cicho.

- Trzymasz w ramionach jej syna, a ona się głowi, kim jesteś i skąd się tu, u diaska, wzięłaś...

- Więc czemu jej nie powiesz? - spytała i rzuciła szybkie spojrzenie na starą kobietę, która nerwowo krążyła tam i z powrotem po brzegu, gotowa rzucić się w obronę syna, gdyby ta dziwna biała dziewczyna posunęła się za daleko.

- Ty jej powiedz! - poprosił. - Mój mózg jest jak papka.

Ina przyglądała się wystarczająco długo, żeby domyślić się, że między jej synem i tą białą kobietą istnieje jakiś intymny związek. Zaimponowało jej, że rada Caroliny okazała się skuteczna. Lecząca moc rzeki nie budziła żadnej wątpliwości: jej syn był teraz bardziej przytomny.

- *Unhcela blaska!* - zawołała do nich z brzegu, wykonując dłońmi ruch ucierania.

- Jacob, czy ona ma zamiar zetrzeć mi głowę na proszek?

- Nie, ona ma zamiar rozetrzeć kilka opuncji i zrobić mi z tego okład.

- Ach, tak...

Na polance pojawiła się młoda dziewczyna, niosąca niewielki skórzany worek. Matka wyszła jej naprzeciw, chwilę porozmawiały, po czym wzięła od niej woreczek.

- Moja córka pomoże ci przenieść Jacoba z powrotem do namiotu - oznajmiła Carolinie i zniknęła w tipi.

Dziewczyna, zanim weszła do wody, rzuciła mokasyny i wysoko podkasała brązową bawełnianą

spódnicę. Kruczoczarne warkocze sięgały jej prawie do pasa i wspaniale lśniły na tle perkalowej niebieskiej bluzy. Była piękna.

- Ty jesteś chyba siostrą Jacoba? Jak się nazywasz?

Dziewczyna spuściła oczy i patrzyła na palce u nóg, poruszając nimi leniwie w szlamie, tuż pod powierzchnią wody.

- Nazywam się Ruth. - Wyglądała na jakieś szesnaście lat. Miała małą twarz w kształcie serca i śniadą, gładką cerę.

Carolina spojrzała na nią z uśmiechem.

- Pomóż mi, Ruth! Gdy tylko wyjmemy go z wody, trzeba go będzie szybko osuszyć.

- Dajcie spokój, dziewczyny, nie jestem bezradnym

Ruth podpierała go z jednej strony, Carolina z drugiej, a Jacob był już w stanie trochę się podźwignąć. Energicznie wytarły go jednym kocem, a następnie zawinęły w drugi i zabrały do tipi.

Ruth dołożyła drew do ognia w szałasie, Carolina zaś wyszła na zewnątrz i ulała do kubka trochę rosołu ze zwacza. Przy ogniu siedziała matka Jacoba i meła na kamiennych żarnach dwa rozdrobnione kaktusy. Nawet na Carolinę nie spojrzała. Ta zaś wróciwszy do tipi, przede wszystkim chciała sprawdzić, czy Jacobowi nie spadła temperatura. Odstawiła na bok rosół i przyłożyła chłodną dłoń do jego twarzy i piersi. Wydawało jej się, że ma mniejszą gorączkę, choć nadal patrzył na nią zamglonymi oczami.

- Czy bardzo boli cię noga?

- Boli, ale twoje lekarstwo skutkuje.

- Przeraża mnie, że rana ropicje.

- Opuncja wyciągnie ropę.

Znowu wzięła do ręki kubek. Wciąż buchała z niej para. Dmuchała, chcąc ostudzić rosół.

- To zupa z jeleniego serca - zachęcała. - Dasz radę utrzymać kubek?

- Nie mam teraz apetytu.

- I nie masz sił, bo gorączka je z ciebie wyszała.

- Podała mu kubek. - Spróbuj pić po trochu.

- Serce powinno się jeść surowe. - Pociągnął jednak nieco zupy i głośno zaprotestował. - Najpierw mnie ziębisz, a potem parzysz. Może ta medycyna zabije grzechotnikowego diabła, ale przedtem wykończy mnie - zażartował.

Jego matka akurat stanęła u wejścia i usłyszała skargę. Nie zrozumiała, że to żart, i popędziła w ich stronę, złorzecząc po lakotyjsku. Carolina nawet nie pomyślała, że to pod jej adresem. Widząc, że kobieta przyniosła opuncję, odwróciła się, by wziąć czyste bandaże.

- Ależ, nie, *Ina! Hiya, Ina!* - starał się udobruchać matkę Jacob. - Ta kobieta nie zrobiła mi krzywdy. To ja byłem nieuważny i mam za swoje.

Ujął dłoń Caroliny.

- To dobra kobieta, mamo. Nazywa się Carolina. Mówmy po angielsku, bo chciałbym, żeby nas rozumiała.

- Czy to twoja kobieta, *cinks?* - spytała.

Nie było odpowiedzi. Jacob milczał i jego matka uświadomiła sobie, że zrobił coś, co było nie do pomyslenia: pozwolił sobie pokochać białą kobietę. Nie powiedziała ani słowa.

Carolinę ogromnie zabolalo milczenie mężczyzny. Trudno jej było pogodzić się z tym, że słowa, które spodziewała się usłyszeć, nie padły, że się do niej nie przyznał.

- Niech ona ciebie teraz pielęgnuje, a ja pójdę sprawić mięso - oznajmiła matka. Wręczyła Carolinie pap-

kę z opuncji, warknęła coś do Ruth, po czym obie opuściły tipi.

Mimo rozzalenia Carolina troskliwie zajęła się Jacobem. Zmieniła mu opatrunek i dokładnie obejrzała czerwoną opuchliznę dokoła cięcia na nodze. Gdy dotknęła rany, syknął przez zęby. Starła się nie myśleć o tym, że zadaje mu ból, nałożyła opatrunek z opuncji i luźno zabandażowała nogę.

- Spróbuj wypić jeszcze trochę rosołu - poprosiła i znowu przytknęła kubek do jego warg. Zupa ostygła, ale po kilku łykach Jacob miał już dość. Potrząsnął przecząco głową, a ona odstawiła filiżankę na bok. Carolina podniosła się, ale Jacob złapał ją za rękę, więc usiadła na powrót i położyła sobie jego dłoń na kolanach. Poczuła, że ręka wciąż jeszcze jest gorąca, ale już wilgotna.

- Zostań przy mnie - prosił.

- Jestem przy tobie. - Dotknęła jego twarzy, on zaś spojrzawszy na nią, lekko się uśmiechnął. - Zaczynasz się pocić - powiedziała - to dobry znak. Woda pomogła. - Podniosła jego rękę do ust, a on wyciągnął palce i dotknął jej policzka i włosów. - Jak tam noga? - spytała. - Czy ból ci jeszcze dokucza?

- Łatwiej przetrzymać ból, gdy się o nim nie myśli, a ty wciąż o nim mówisz.

- Przepraszam, już nie będę...

Jęknął, próbując oderwać plecy od podpórki z siódła i usiąść samodzielnie.

- Wszystko przez te cholerne kwiaty - mruknął.

- Jakie kwiaty?

- Zobaczyłem kwiaty wśród skał, chciałem zerwać kilka i przynieść ci bukiet. Zapomniałem przy tym o ostrożności.

- Chciałeś mi przynieść kwiaty?

- Tak! Bez przerwy o tobie myślę, *wiwaśteka*. Wyobrażem sobie, jak pięknie się do mnie uśmiechniesz, gdy ci dam prezent, jak biali mężczyźni swoim kobietom.

Wzruszona, spojrzała na brązową dłoń, którą trzymała na kolanach. Miała nadzieję, że Jacob nie zauważy łez w jej oczach. Zdradziła ją kropla, która kapnęła mu na rękę. Koniuszkami palców dotknął twarzy Caroliny.

- Miałem nadzieję, że gdy opowiem ci o kwiatkach, to się do mnie uśmiechniesz, a ty płaczesz?

Wytarła łzy wierzchem dłoni.

- Gdy płaczesz, mój ból się wzmaga.

- Kobiety czasem płaczą ze szczęścia - szepnęła, pociągając nosem i zaśmiała się do niego przez łzy. Przyjdzie kiedyś taki dzień - pomyślała - gdy on nie będzie już się wstydził przyznać do niej i odważy się nazwać ją swoją kobietą, mówiąc o tym głośno i wyraźnie. Na razie ma tylko te kwiaty, których nie zdołał jej przynieść i słowa, które nie przeszły mu przez gardło.

- Wypoczywaj, Jacob, musisz nabrać sił - powiedziała.

- A ty musisz się przebrać. Masz niedobry zwyczaj zostawiania w mokrej odzieży.

Przymknął oczy, a jej przyszło na myśl, że kto wie, czy nie chodzi mu o to, żeby była naga pod spodem. Wyjrzała przed tipi: jego matka i Ruth pracowały przy jeleniu. Szybko ściągnęła wilgotną bieliznę i powiesiła ją do suszenia. Gdy zapinała guziki przy sukni, czuła, że Jacob ją obserwuje. Powoli się odwróciła, a jego oczy rozświeciły się uśmiechem.

- Oj, chyba wracasz do zdrowia, Czarny Jastrzębiu. Widzę wyraźnie tego objawy...

Zachichotał.

- A już myślałem, że udało mi się skromnie je ukryć. - Przymknął oczy i mamrotał coś o piasku, który mu się dostał do przepaski biodrowej i przeszkadza...

Doglądała go przez całą noc. Trapiły go dreszcze na przemian z gorączką i musiała prowadzić z nim wojnę o to, by się nie odkrywał. Jego matka uważnie obserwowała go z daleka i niewiele mówiła. Za każdym razem gdy Carolina napotykała nieodgadniony wzrok starej kobiety, zastanawiała się, co też o niej myśli.

Następnego dnia, kiedy siły Jacoba nieco się wzmocniły, dziewczyna pozwoliła sobie na krótką drzemkę. Był już późny wieczór; nagle Jacob zaczął się domagać, by mu pozwolono wykąpać się w rzece i żeby nikt mu w tym nie pomagał. Carolinie cicho tłumaczył, że gdyby byli sami, bardzo by się cieszył z ich wspólnej kąpieli, ale w tej sytuacji... sama widzi... po czym pokuśtykał do rzeki, wciąż narzekając na piasek w przepasce, który koniecznie musi usunąć.

Spali oddzielnie. Carolina przez minione dwie noce tak bardzo przywykła do przyjemnego ciepła i poczucia bezpieczeństwa, jakie jej dawało wspólne pośłanie, że nie była w stanie zasnąć. Leżała z otwartymi oczami, słuchała chrapania jego matki i spoglądając przez dymnik w niebo, liczyła gwiazdy. Umiała rozpoznać oddech Jacoba i cieszyła się, że jest już równy i spokojny. Zdawała sobie sprawę, że wkrótce będzie musiał wrócić na ranczo. Szkoda, że tak szybko - myślała. Będzie teraz liczyła godziny, aż nadarzy się nowa okazja do spotkania z nim.

Rano zasiadła z Jacobem i jego rodziną do śniadania. Pili herbatę i jedli *wasnę*. Indianin polecił matce,

żeby zabrała naszykowane przez niego mięso do domu i by wzięła ze sobą tipi. Do Ruth zwracał się nie po imieniu, ale: siostró, *tanksi*.

- Jak się czuje mój ojciec? - spytał matkę takim tonem, jakby wcale nie chciał usłyszeć odpowiedzi.

- Jak zawsze - rzekła - choć latem kaszel mniej go męczy. Mówi, że ciało ma słabe, bo nie dostaje swoich ulubionych potraw, a wołowina białego człowieka nie smakuje mu.

- Ojciec tęskni za smakiem *tatanki*, czyli mięsa z bizonów - wyjaśnił. - Ale, niestety, *tatanka* też nie pomoże na kaszlącą chorobę.

- Gruźlica? - spytała Carolina.

- Tak. Wielu naszych ludzi umiera na nią. - Rozmowa się urwała, ale już po chwili Jacob zadał matce inne bolesne pytanie:

- A co słyhać u mego brata?

- Wciąż to samo. Szatan go kusi, a on jest bezsilny. Gdy wpada w szał, jego kobieta ucieka z dziećmi do mnie.

- Czy brat jest także chory? - spytała Carolina. Z tego, co usłyszała, wywnioskowała, że może cierpi na jakąś formę obłądu.

- Tokala jest chory z rozpacz - stwierdził spokojnie Jacob, wpatrując się w gasnące płomienie. - Gdy tylko może dostać whisky, pije na umór, a potem wpada w szał. Kiedy go to nachodzi, jego żona i mali synkowie są w prawdziwym niebezpieczeństwie.

- Ale ze mną są bezpieczni - wtrąciła matka. - Ostatnim razem wzięłam na niego kij. Jest gorszy niż dziecko.

- Czy to twój młodszy brat?

- Nie! Ja mam dwadzieścia osiem lat, a Tokala trzydzieści sześć. Lepiej ode mnie pamięta dawną wol-

ność i to go prześladowe. Tak, to go prześladowe... - powtórzył chrapliwym szeptem. Znowu nastąpiła cisza, aż Jacob zwrócił się do matki:

- Czy otrzymaliście już przydział wołowiny?

- Dostaliśmy nieco mięsa. Było tylko kilka zwierząt. Reszta zdechła w drodze.

- A jakże, zdechła... Ktoś sobie widać już w drodze zabrał swoją część...

- Ale tym razem dostaliśmy cukier i kawę. Twój ojciec to lubi. Przyniosłabym ci chleba, lecz mąka... - zrobiła taką minę, że Carolina, sądząc, że to żart, głośno się roześmiała. Nikt jej nie zawtórował. Zmieszana się i nieśmiało spojrzała na Jacoba.

- *Waglula?* - spytał matki. Wydała dźwięk, który dokładnie odpowiadał wyrazowi wielkiego obrzydzenia na jej twarzy. - Robaki - przetłumaczył Jacob. - Oni oczekują, że będziemy jedli mąkę z robakami i prawdę mówiąc, gdy nie ma już nic innego, to ją jemy.

- Zaopatrzyłeś nas w mięso, więc się nie przejmuj. Choć uważam, że ty i twoja kobieta powinniście sobie część tego mięsa zatrzymać.

- Nie potrzebujemy go, *Ina*. Zatrzymam tylko *wasnę*, a zobaczysz, że szybko wrócą mi siły. Uważaj na ojca, żeby się dobrze odżywiał i dokarmiaj moich bratanków. Dzieci rosną, muszą być silne. .

Spojrzała na syna, a potem na Carolinę.

- Czy ty i ta kobieta... pobraliście się? Tak jak biali, w kościele?

- *Hiya, Ina* - odpowiedział i rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

Ale *Ina* nie tchórzyła przed żadnym ze swoich synów i stek lakotyjskich obelg posypał się na głowę Jacoba. Patrzyła przy tym na niego błyszczącymi oczami.

- *Hiya!* - warknął i zaczął jej coś tłumaczyć.

Matka zwróciła się teraz do Caroliny z dziwnie łagodną twarzą.

- Mój syn wyjaśnił mi - powiedziała po angielsku - że był twoim pierwszym mężczyzną. - Patrzyła na nią ciepło i mówiła bardzo przyjaźnie.

- *Ina!* - upomniał ją Jacob.

- *Hacib, cinks*, cicho siedź, synu! Przestraszyłam się, widząc cię chorego w ramionach białej kobiety. Biali przynieśli nam tyle chorób... Teraz panuje *wikoška*, straszna choroba, którą mężczyźni i kobiety zarażają się nawzajem i która czyni tych, którzy na nią chorują...

- *Ina*, wystarczy...

- Nie, synu! Powiem wszystko, co myślę. Byłam zła, gdy ją zobaczyłam, ale kiedy mi powiedziałeś, że byłeś jej pierwszym mężczyzną, jestem już spokojna, bo wiem, że nie mogła ci przynieść żadnej choroby.

Twarz Caroliny zrobiła się purpurowa. Spuściła oczy. Indianka dotknęła jej ramienia ruchem pełnym współczucia.

- Jacob mówi, że się z panią nie ożenił, ani tak jak zenią się biali, ani po naszymu. To brzydko z jego strony, że tak panią wykorzystuje. Wstyd mi za niego.

- Proszę się nie wstydzic - rzekła spokojnie Carolina. - Nie robił mi żadnych nadziei. Sama mu się oddałam.

- Dlaczego pani to zrobiła?

- Bo ja go kocham, proszę pani - szepnęła Carolina. I nie musiała już mówić niczego więcej.

Spakowane mięso przywiązali do włóki, ciągnionej przez konia matki Jacoba. Potem Indianka miała jeszcze wrócić po namiot. Żegnając się, zwróciła poważne spojrzenie na syna.

- Powiedziałaś mi, że Carolina jest dobrą kobietą. Jeśli to prawda, traktuj ją jak należy. Tak cię wychowałam, że powinieneś wiedzieć, co to znaczy.

Żegnając się z Carolina wzięła ją za nadgarstek.

- Tej kobiecie widać kości, synu! Staraj się o więcej mięsa i lepiej ją karm! - Pogłaskała dziewczynę po policzku i uśmiechnęła się. Wkrótce - pomyślała - będę miała jeszcze jedną synową i więcej wspaniałych wnuków.

- Zrobię ci ładną suknię i mokasyny. Urządzisz się jakoś przy nas. Mój syn będzie dla ciebie dobry. Zobaczysz! To porządny chłopiec...

Odprowadzali wzrokiem matkę, prowadzącą Ruth i konia przez polankę. Potem Jacob objął Caroline przez plecy i opierając się na niej, ruszył z powrotem do tipi. Zdawało się, że go znowu rwie w nodze, więc gdy tylko usiadł przy ognisku, Carolina poprawiła mu opatrunek.

- Twoja matka chyba mnie polubiła.

- Tak, lubi cię.

- Z początku myślała, że jestem kobietą lekkich obyczajów. Ale nie winię jej za to. Wyobrażam sobie, jak musiałam w jej oczach wyglądać.

- Jeśli chodzi o białych, to tylko takie kobiety patrzą na indiańskich mężczyzn przyjaznym okiem. Dawniej, gdy było tu mniej białych i my byliśmy górą, cieszyliśmy się większym szacunkiem. Nikt się wtedy nie dziwił, gdy biały żenił się z Indianką. Mówią, że nawet Żółtowołosy miał indiańską kobietę.

- Co ty powiesz, sam Custer?

Roześmiał się, widząc jej minę.

- O tym się tutaj nie mówi, bo wprowadziłoby to w zakłopotanie obie wdowy.

- To u was można mieć więcej niż jedną żonę?

- Mężczyzna ma tyle żon, ile może utrzymać i właśnie dlatego ja nie mam żadnej.

Nadała się.

- Nigdy nie wiem, kiedy ze mnie żartujesz.

- A więc chciałbym, żebyś wiedziała, że to, co ci teraz powiem, to prawda.

Podniosła na niego oczy, a on patrzył na nią, jakby chciał ją przeniknąć na wskroś, aż do serca.

- Nie chciałem zwierzać się mamie z naszych osobistych spraw, Carolino, ale nie mogłem pozwolić, żeby myślała o tobie tak jak na początku.

- Wiem.

- Moja mama uważa, że nowa suknia i od czasu do czasu jakiś upolowany jeleń powinny kobiecie wystarczyć i że ja mógłbym bez trudu zarobić na takie życie dla nas. Ona niewiele wie o świecie, w jakim żyjemy.

- Ale wie doskonale, że twój ojciec i brat są chorzy, że otrzymujecie mąkę z robakami... Twoja mama wie wszystko to, co zawsze wiedzą kobiety: to, co jest dla nich ważne.

Nie miał już nic do dodania. Wiedział, na jakie słowa Carolina czeka, ale nie mógł jej ich podarować. Gdy mężczyzna oświadcza się kobiecie, gdy deklaruje swoją miłość, w jego słowach zawiera się obietnica. A cóż on mógł jej obiecać?

- Czy moja miłość nie ma dla ciebie znaczenia? - spytała.

- Jest dla mnie bardzo ważna. Dam ci wszystko, na co mnie stać, ale proszę, niech się twoi ludzie o nas nie dowiedzą. Nie zniósłbym twojej hańby...

- Nigdy nie będę się ciebie wstydziła, Jacob.

- Tylko wobec Boga możesz się do mnie przyznać, Carolino. Kiedy ty zaczniesz rozumieć, jakie ci grozi

niebezpieczeństwo? Nawet nie wiesz, co to znaczy być naznaczoną przez ludzi, i to ludzi najmniej godnych tego miana... Wiedz, że każdego dnia, gdy znajduję się wśród białych, chowam dumę do kieszeni i muszę przełknąć niejedną zniewagę. Nie chciałbym cię skazywać na taki los. Kobiety będą cię omijać wielkim kołem, byle tylko nie dotknąć tej, która należała do Indianina. I nigdy ci nie pozwolą uczyć swoich drogocennych' dzieci.

- Sądziś, że ich akceptacja jest dla mnie taka ważna? One nigdy nie lubiły takich kobiet jak ja. Jeśli miałabym możliwość wyboru...

- Nie ma żadnego wyboru... Gdyby był na tej ziemi jakiś zakątek nie tknięty przez białego człowieka, udałbym się tam i wziął cię z sobą. Ale nie ma takiego miejsca. Rząd Stanów Zjednoczonych mówi mi, gdzie mam mieszkać. Ba, nie jestem nawet obywatelem Stanów Zjednoczonych. Jestem obywatelem Hunkpapa, członkiem umierającego społeczeństwa.

- Ależ, Jacob, wkraczamy w nowe stulecie. Zatarg między naszymi narodami będzie wkrótce zapomniany. Po skończonej wojnie nie ma już wrogów...

Gładząc jej plecy, uświadomił sobie, że przecież Carolina jest kobietą, a wszystkie kobiety myślą tak samo. Nie są wojownikami. Są delikatne i gdy mężczyzna podda się ich kojącemu działaniu, pozwolą mu przeżyć wspaniałe chwile. Zanurzył twarz w jej włosach.

- Wiesz, Carolino? Plemiona Paunisów, Crow i Czipwejów były i są naszymi wrogami od stuleci. Czytałem też książki o waszych wojnach, maleńka. U was jest to samo. Nawet jeśli się zapomina, jaka była przyczyna wrogości, podejrzenia i niechęć pozostają.

- Czasem tak się zdarza, ale nie zawsze.

- Nie wtedy, gdy dawnego wroga czyni się uzależnionym jak dziecko. Wątpię, czy kiedykolwiek pozwolą mi głosować. Czy kiedykolwiek będę mógł wybierać ludzi, którzy mieliby decydować o tym, kto i jaką ziemię dostanie lub jak wielkie mają być przydziały wołówiny.

- Ja też nie mam prawa głosu.

Zaśmiał się.

- Sama widzisz, jaka bezsilna z nas para. Nie, *wiwaśtekal* Będę przychodził do ciebie nocą, będę cię trzymał w ramionach i kochał się z tobą. Tyle mogę ci dać. Ale w świetle dnia będę ostrożny i będę bronił twego dobrego imienia. I to już wszystko, co mogę ci dać. A pewnego dnia, może już niedługo, zjawi się w twoim życiu inny mężczyzna, taki, który będzie ci mógł stworzyć dom.

- Nie będzie innego mężczyzny - rzuciła stanowczo.

Odsunął ją na odległość ramienia i patrzył głęboko w oczy.

- Ale gdy ten mężczyzna się zjawi, to trzymaj go lepiej z daleka ode mnie. Niech tylko zobaczę, że cię dotyka, zapomnę o wszystkim, co teraz powiedziałem i... zabiję go!



Nikt nie widział, gdy wieczorem zjawili się na ran-
czo. Carolina zsunęła się z grzbietu klaczy i oddała
wodze Jacobowi.

- Chciałabym rano wrócić do chaty. Czy mnie tam
odwiedzisz?

- Przyjadę, kiedy tylko będę mógł. - Tych kilka
przebytych na koniu kilometrów spowodowało, że
krew spłynęła mu do chorej nogi i ból stał się trudny
do zniesienia. Czuł, że jeśli zaraz nie zejdzie z konia,
to może dojść do jakiejś przykrej i poniżającej dla nie-
go sceny. Gdy lekko dotknęła dłonią jego kolana, nie
mógł się pohamować i rzucił jej wściekłe spojrzenie.
Wyczytał jednak w oczach Caroliny tyle szczerzej tro-
ski, że nie powiedział nic.

- Dbaj o swoją nogę - prosiła - i kiedy tylko się
da, trzymaj ją wyprostowaną. Jestem pewna, że Char-
les...

- Pozwól mi już odjechać, maleńka - przerwał jej.
Ale kiedy się odwróciła i odeszła, poczuł się jeszcze
gorzej.

Gdy tylko weszła do domu, Marissa chwyciła ją
za ramię i wciągnęła do sypialni.

- Czyś ty oszalała, Carolino? Gdzie się tak długo
podziewałaś? Czy zdajesz sobie sprawę, co by się stało,
gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział?

- O czym? - spytała, nie patrząc jej w oczy.

- Przecież byłaś z Jacobem!

Carolina podeszła do okna, wypatrując, czy go jeszcze gdzieś nie dostrzeże.

- Kto o tym wie?

- Nikt. Nie powiedziałam nawet Charlesowi. Myśli, że Jacob pojechał na polowanie.

- A jak ty się o nas dowiedziałas?

- Widziałam, jak jechaliście konno.

- Może spotkaliśmy się przypadkowo...

- Nie zaprzeczaj! Wiem, że byłeś z nim. Sprawdzalam w chacie: nie było cię. Języki pójdą w ruch, Carolino, zobaczysz.

- A więc nic nikomu nie mów i spraw, żeby plotki ucichły.

Marissa wzięła głęboki wdech i powoli wypuszczała powietrze, patrząc Carolinie w oczy.

- Nie chciałabym, żeby którekolwiek z was ucierpiało - rzekła.

- Jesteśmy dorośli i życie nie ma przed nami tajemnic.

- Posłuchaj mnie, moja droga, ty jesteś białą kobietą, a Jacob jest Indianinem. A więc...

Carolina zatkała sobie uszy rękami.

- Nie mów mi nic więcej na ten temat, Marisso. Już się tego nasłuchałam! Dość się już nasłuchałam...

- W porządku. Będę mówiła tylko o nim. Nie możesz wiedzieć, co on przeżywa, Carolino, bo nigdy nie byłeś...

- Jacoba ugryzł grzechotnik - przerwała jej.

- Co?

- Tak! Ugryzł go grzechotnik. Jacob wziął mnie ze sobą na polowanie i tam się to właśnie stało. Jego matka i ja zrobiłyśmy wszystko, by mu pomóc, ale ma wciąż jeszcze okropnie spuchniętą nogę.

- Mój Boże! Przecież mógł umrzeć! - wykrzyknęła Marissa. - Jego matka była z wami?

Carolina gorliwie potaknęła, dobrze wiedząc, że dzięki temu sprawy wyglądają o wiele lepiej.

- Tak, nie tylko matka, ale i jego siostra, Ruth.

- Czy on już dobrze się czuje?

Znowu potaknęła.

- Sądzę, że tak, ale przez pewien czas był bardzo chory.

- Carolino, musisz być ostrożna. Jeśli ludzie cię z nim zobaczą, zrobi to ogromnie złe wrażenie.

- Nie rozumiem, o jakim wrażeniu mówisz? - Na twarzy Caroliny malował się upór, duma i chęć bronienia kogoś, na kim jej najwyraźniej zależało.

- Więc jest za późno na ostrzeżenia?

- Jeśli masz na myśli...

- Myślę, że jest już bez znaczenia, czy on jest Indianinem, czy księciem.

- Przecież ty też jesteś Indianką, Marisso. Czy Charlesowi robi to jakąś różnicę?

- Nie! Nas te różnice już dawno przestały obchodzić.

Carolina, słysząc te słowa, nie mogła ukryć zadowolenia.

- Ale jeśli chodzi o ludzi, nie sądzę, by ktokolwiek z nich uważał mnie za Indiankę. Dla nich jestem po prostu żoną swego męża. Czy nie widzisz tej różnicy, Carolino? Ja już nie jestem członkiem plemienia Lakota, ale Jacob jest. I to się nigdy nie zmienia.

- I nie musi się zmieniać.

- Chyba masz rację. Sama już nie wiem. - Westchnęła. Były w jej życiu okresy, gdy cierpiała z powodu swego pochodzenia. Były też inne, gdy odczuwała jakąś trudną do określenia tęsknotę, jakieś dziwne poczucie samotności, głębokie, szarpiące impulsy, które drgały w jej duszy rytmem odległego bicia w bębny.

- Jacob balansuje nad przepaścią - powiedziała

w końcu Marissa. - Jest wykształcony, mądry doświadczeniem, zdobyty w obu światach, mógłby stanowić pomost między obiema społecznościami. Mimo to, gdyby tutejsi ludzie się o was dowiedzieli, mielibyście oboje mnóstwo kłopotów.

- To mi już mówiono. Ale to nie znaczy. - Carolina spojrzała na Marissę gorejącym wzrokiem - że nie ma dla nas żadnej nadziei.

- A gdybym ci powiedziała, że takiej nadziei nie ma, czy to by zrobiło jakkolwiek różnicę? - Carolina zaprzeczyła ruchem głowy. - Oczywiście, że nie - mówiła dalej Marissa - bo jakie to może mieć znaczenie, jeśli chodzi o człowieka, którego kochasz. My, kobiety, coś o tym wiemy. Ale jeśli w dodatku jest on dobrym człowiekiem, to można w nim pokładać nadzieję.

- On twierdzi, że nie może mi niczego dać, że nie ma nic do zaoferowania. Ale przecież ja niczego nie potrzebuję. Chcę tylko jego.

- Przecież Jacob ma pracę - dziwiła się Marissa. - W ciągu minionych lat Charles często płacił mu pensję w naturze, dawał mu po prostu konie. Długo jednak trwało, zanim udało mu się go przekonać, że powinien zatrzymać te konie dla siebie i założyć stadninę. Wciąż oddaje je krewnym, darowuje je na lewo i na prawo, a to na prezent dla narzeczonych, a to z innej podobnej okazji. Niemniej Jacob posiada kilka koni, stanowiących świetny materiał hodowlany i ma opinię bardzo dobrego trenera i ujeżdżacza. Może więc śmiało utrzymać i ciebie, i siebie.

- Prowadzenie interesów jest, przypuszczalnie, przeciwne jego naturze.

- To prawda. Ale to się może z czasem zmienić. Rzecz w tym, że Jacob uważa, że on musi cierpieć razem ze swoimi. A przecież nie jest taki jak większość

z nich. Nie potrafi siedzieć beczynn timer. Obce mu jest to okropne poczucie nieprzydatności, które ma wielu młodych Indian.

- Jacob ma ziemię.

- Tak, i należy do nielicznych, którzy przykładają do tego jakąś wagę - dodała Marissa.

- Ale wciąż nienawidzi myśli, że miałyby ją uprawiać.

- Musi do tej myśli przywyknąć. I chyba wie o tym, ale ludzie z plemienia Lakota nie mają nawyku zdobywania środków do życia na własną rękę. U nich zawsze pracowało się razem, dla dobra wszystkich.

Carolina uśmiechnęła się, bo właśnie sobie przypomniała, jak Jacob niechętnie mówił o rolnictwie.

- Rolnikiem to on jednak nie będzie - stwierdziła nie bez żalu.

- A jednak zrobił już pierwszy krok w tym kierunku. Przecież pracuje u nas na ranczo. Ta praca nie tylko pozwala mu zachować szacunek dla siebie samego, ale daje mu także możliwość pomagania rodzinie. Nie tylko końmi im pomaga, ale wszystkie zarobione pieniądze pakuje w tę swoją rodzinę.

- Jacob wspominał, że jego pragnieniem było uczyć się prawa lub medycyny, żeby móc pomagać ludziom swego plemienia.

- Oczywiście, że chciałby tego. Wtedy oddałby się już duszą i ciałem swojemu ludowi. Nie ma w nim ambicji, żeby gromadzić majątek czy pieniądze, mimo to jest bardzo dumny.

- Chyba się mylisz, Marisso. On gardzi dumą.

- Wiesz, jest duma i duma... Powinien sam umieć zadbać o żonę i rodzinę, nie oglądając się na pomoc państwa.

- Nie rozumiem, dlaczego on się boi, że tego nie potrafi?

- Żeby to zrozumieć, trzeba ich zobaczyć, Carolino. Trzeba zobaczyć tych ludzi, którzy stoją w kolejce i czekają na przydział racji.

- Przecież on nie musi tego robić.

- Ale inni to robią. Jacob jest jednym z nielicznych, którzy rozumieją sytuację i jeśli nawet serce mu mówi, że dawniej było lepiej, to rozum dyktuje mu co innego. Stary system jest martwy i nic go nie wskrzesi. Wystarczy spojrzeć na te kości, które bieleją rozrzucone po prerii.

- On jakby utknął w pół drogi - przyznała Carolina. - To nic... - dodała cicho - będę na niego czekała. I będę na miejscu, ilekroć on... - spłonęła rumieńcem.

- ... ciebie zechce - skończyła za nią Marissa. - Doskonale cię rozumiem. Ja kocham mego męża taką samą miłością. Mamy szczęście. Jest wiele kobiet, które w ogóle nie znają tego uczucia.

- Ja je znam - stwierdziła Carolina. - Powiedz, Marisso, czy pozwoliłabyś mi skorzystać z twojej kłaczki? Chciałabym już wrócić do domu.

- Proszę bardzo, możesz ją wziąć. - Położyła dłoń na ramieniu Caroliny. - Ale nie śpiesz się, będziemy tu mieli zaraz wielką uroczystość. Wszyscy wylegli na dwór i za stajnią sprawiają mięso, przygotowując je do pieczenia na rożnie. Czekają nas wielka uczta na zakończenie znakowania cieląt. Proszę cię, zostań z nami i świętujmy razem.

- Wiele się nauczyłam przez ostatnie dni, jeśli chodzi o sprawianie mięsa - wspomniała z tęsknym uśmiechem. - Myślisz, że mogłabym się także nauczyć znakować cielęta?

- Podejrzewam, moja droga, że mogłabyś się nawet nauczyć latać i jakby ci przyszła do głowy taka fantazja, to poleciałabyś na księżyc.

Znakowanie cieląt odbywało się w świątecznej atmosferze. To była towarzyska okazja, na którą schodzili się wszyscy sąsiedzi, raczej by się zabawić, niż pracować. Całe bydło, jakie można było spędzić, zgromadzono w okólnikach. Cielęta zapędzono do kilku dużych zagród otoczonych drucianą siatką. W każdej płonęło ognisko, a żelazo do znakowania włożono do rozżarzonych węgli, żeby się rozgrzało. Mężczyźni jeździli na koniach dokoła i wiązali cielęta. Kowboj, który złapał cielę na sznur, rzucał je na ziemię i zakładał mu pętlę na nogi, po czym cofał konia, a pętla się zacieśniała. Inny brał w rękę rozgrzane do czerwoności żelazo i przytykał je do sierści cielęcica, wypalając mu na skórze znak MAC. Kłęby gryzącego dymu wisiały w powietrzu. Cielęta meczały wniebogłosy, krowy ryczały, a kowboje wymyślali sobie nawzajem, pouczali się, żartowali i starali się zademonstrować swoją zręczność najlepiej, jak umieli.

Tymczasem kobiety szykowały świąteczną kolację, rozprawiając równocześnie o najnowszych plotkach. Dziewczynki z piskiem uciekały przed chłopcami, którzy je gonili i ciągnęli za warkocze. Potem dziewczęta zaczajały się na chłopców i złapawszy, całowały w policzek. Wszyscy oprócz cieląt uważali uroczystość znakowania za świetną zabawę.

Dla Caroliny była to okazja do poznania swoich przyszyłych uczniów i ich rodziców. I tak zawarła znajomość z panem i panią Friedrick, którzy mieli dwóch synków - Rolfa i Wiłly'ego. Były to dryblasowate blondasy w wieku czternastu i jedenastu lat. Wilda

Friedrick zobowiązała Caroline, żeby, jeśli jej chłopcy będą się źle zachowywać w szkole, przyłała im kijem. Caroline wystarczyło raz spojrzeć na ich anielskie buzie, żeby wiedzieć, iż niełatwo jej będzie ich na coś przyłapać. Gdy matka pozwoliła im się oddalić, od razu biegli do ładnej Nancy Laughlin, żeby jej trochę podokuczać. Nancy miała dwanaście lat, a jej dziewczęce rysy przyciągały już tyle uwagi, że nie wiedziała, jak sobie z tym radzić. Jej starszy brat, Tom, musiał wciąż staczać w obronie siostry walki z kolegami. Było tam także dwoje młodszych dzieci państwa Laughlinów: Sarah, która miała dziewięć lat, i siedmioletni Michael. Oni też mieli być uczniami Caroliny.

Państwo Riegerowie mieli aż czwórkę dzieci w wieku szkolnym: Maddie, Johna, Adolfa i Dierdre. Wszyscy czworo zachowywali się wzorowo, a piętnastoletnia Maddie, mimo iż uważała, że jest już za duża, by uczęszczać do szkoły, postanowiła chodzić tam po to, by pilnować młodszego rodzeństwa w drodze tam i z powrotem.

Szkoła miała stanąć w miejscu, gdzie stykały się ziemie czterech farmerskich rodzin. Spośród nich tylko Charles posiadał prawdziwe rancho. Pozostali mieli niewiele bydła i właściwie byli zwykłymi rolnikami, a być rolnikiem w środkowej Dakocie wcale nie było łatwo.

W dniu znakowania cieląt kuchnia MacAllistairów zamieniła się niemal w restaurację. Marissa już wcześniej upiekła chleb i ciasta. Wołowina prażyła się w dużych paleniskach na dworze, a na piecu gotował się ogromny gar małych czerwonych ziemniaków. Jarzyny parowały w wielkich kotłach. Część warzyw była świeża, a część pochodziła z zeszłorocznych przetworów.

Hilda Rieger wniosła jako udział w uczenie swoje

słynne ciasto ze śliwkami, które nazywała z niemiecka „Kuchen”. Teraz trzymała w ręku misę pełną ciasta na paszteciki. Rozwałkowała je na stole i razem z Maddie nakładała nadzienie.

Niewiele było takich dni w roku, gdy sąsiedzi schodzili się, by wspólnie wykonać jakieś zadanie. Tym razem było to znakowanie cieląt, ale za jakiś czas czekała ich jeszcze młócka. Niemniej znakowanie u MacAllistairów było o wiele większym przedsięwzięciem niż wszystkie inne. Tyle jednak było rąk chętnych do pomocy, że praca zamieniła się w zabawę.

Nad wszystkim sprawowała pieczę Marissa, która tu dzisiaj niepodzielnie królowała. Była świetną gospodynią i doskonałą organizatorką. Umiała okazać każdemu gościowi, że właśnie on jest szczególnie mile widziany.

Gdy już zbliżała się pora kolacji, Charles MacAllistair osobiście zjawił się w kuchni, żeby ponaglić panie. Wpadł z dużym impetem, z oczami zażawionymi od dymu.

Charles był bardziej dżentelmenem niż rolnikiem. Zwykle całą brudną robotę zlecał kowbojom. Niemniej dobrze się znał na pracy na ranczo i umiał dbać o swoje interesy.

Dziś sprawiało mu wiele radości poczucie, że jest w centrum wydarzeń, i ogarnął go wielki zapał. Był wysokim, szczupłym, przystojnym mężczyzną i nawet w swoich zakurzonych butach, spodniach z drelichu i zniszczonym brązowym kapeluszu wyglądał bardzo dystyngowanie. Siwe bokobrody wskazywały, że był nieco starszy od żony. Marissa zdejmowała właśnie czajnik z pica; przypadkiem spojrzała w stronę męża i na jej twarzy pojawił się ciepły uśmiech.

- Jesteśmy głodni bardziej niż stado wilków, miłe

panie! - oznajmił Charles. - Chłopcy już wyciągają wołowinę z paleniska.

- U nas też już wszystko gotowe - zapewniła go Marissa. - A co z sosem, Mary?

Mary Laughlin oderwała się na chwilę od mieszania sosu.

- Już się tworzą bąbelki. Chyba ma dość.

- No więc, moje panie - zawołała Marissa - trzeba nakarmić te wilki, zanim się rzucą na nasze dzieci!

Kobiety wyniosły z kuchni buchające parą garnki, każdy kuszący innym aromatem. Na długim, zbitym z desek stole ustawiły półmiski, stos cynowych talerzy i pudło stołowego srebra. Dzieci uwijały się wokół dużej beczki z jabłkowym sokiem, a mężczyźni otoczyli kołem pompę i myli się pod nią lub tylko chłodzili wodą. Charles nadzorował krojenie wołowiny. Upieczono ją w ćwiartkach, a potem przeniesiono na wielką drewnianą płytę, umieszczoną obok stołu. Silny aromat pieczonego mięsa przebił wszystkie inne. Nic dziwnego, że przyciągnął obecnych i sprawiał, że ludziom ciekła ślinka.

W pierwszej kolejności zostali obsłużeni mężczyźni, a potem dzieci. Kobiety pomyślały o sobie na samym końcu, gdy inni zajmowali się już deserem.

- Carolino! - zawołała Marissa. - Mam do ciebie prośbę. Jeden z naszych ludzi został ugryziony przez węża i nie może tu do nas przyjść. Czy byłabyś tak miła i zniosła mu kolację?

Nikt nie zapytał, dlaczego nie posłała któregoś dziecka, ale było oczywiste, że żadnego z mężczyzn nie wypadało prosić, żeby w dzień znakowania biegał na posyłki. Chyba tylko Cułley o tym nie wiedział.

- Ja zaniosę Indiańcowi talerz, proszę pani - zwrócił się do Marissy.

Nie zwracała na niego uwagi, dopóki nie zjawił się przy stole tuż przy niej. Odpowiedziała mu z uśmiechem, ale ton jej głosu był ostry.

- Chyba nie ma pan wstępu do kantorku przy stajni, Culley. W każdym razie nie zamierzam prosić żadnego ciężko pracującego mężczyzny, żeby nam jeszcze pomagał przy podawaniu obiadu.

Wzruszył ramionami i wpakował sobie nową porcję pasztecików do ust.

Carolina nałożyła potrawy na talerz, przykryła wszystko serwetą i skierowała się do stajni. Drzwi głośno skrzypnęły, więc przez chwilę zastanawiała się, czy Jacob śpi, ale doszła do wniosku, że nawet jeśli spał, to musiał się obudzić.

Stała w drzwiach i zawołała:

- Tu Carolina! Żadna broń nie jest ci potrzebna - i ze słodkim uśmiechem, nie spiesząc się, wkroczyła do jego pokoju.

Siedział na łóżku, plecami do ściany, z chorą nogą wyprostowaną i wyciągniętą przed siebie. W kąciu ust trzymał papierosa, a ręce miał zajęte jakąś rymarską robotą. Spojrzał na nią powoli, chłodnymi oczami. Równie dobrze mogłabym być jednym z kowbojów - pomyślała. Już się nie uśmiechała.

- Przyniosłam ci obiad. Jak tam noga?

Miał na sobie tylko biodrową przepaskę i moka-syny. Nie oczekiwał gości.

- Powiedziałem ci, żebyś się trzymała z daleka, gdy dookoła są ludzie.

- Marissa prosiła, żebym zaniósła panu obiad, Czarny Jastrzębiu. Ma pan szczęście, bo niewiele brakowało, żeby to zrobił Culley. - Podeszła do niego z kuszącym uśmiechem. - Na ranczo taki ruch, że nikt na nic nie zwraca uwagi. A jeść jednak trzeba, nie uważa pan?

- Eleganckie panie, które bawią teraz na ranczo, zadławiłyby się szarlotką, gdyby cię tutaj ze mną zobaczyły, zwłaszcza że jestem tak skąpo ubrany...

- Jestem pewna, że żadna z nich tu się nie wybiera, więc nie traćmy czasu na przypuszczenia. Chcę wiedzieć, jak twoja noga. Czy opuchlizna już schodzi?

Usiadł na wielkim drewnianym pudle koło łóżka i wziął od niej talerz.

- Zeszłej nocy bolała mnie jak jasna cholera - zakładał, że Carolina szybciej sobie pójdzie, jeśli on będzie pozował na ordynarnego kowboja. - Ale gdy tylko uda mi się wciągnąć na tę nogę spodnie, wrócę do pracy.

- Jak zjesz, zmienię ci opatrunek.

- Sam mogę to zrobić.

- Skoro tu jestem, zobaczę, czy już ci przeszła infekcja.

- Przybyłaś tutaj, żeby uczyć, więc chyba zależy ci na tym, żeby mieć uczniów. A nie będziesz ich miała, jeśli zostaniesz ze mną trochę dłużej. - Mówił to z kamiennym wyrazem twarzy.

- To zabawne, jak się zmieniasz, gdy jesteś na ranczo. Mówisz inaczej, zachowujesz się inaczej, jesteś inną osobą.

Wzruszył ramionami. -

- Czarny Jastrząb ma dwa oblicza. Musisz poznać oba, jeśli chcesz nalegać na...

- To oblicze nie należy do ciebie, to nie jesteś ty - wtrąciła, zanim zdążył powiedzieć coś, co mogłoby ją zranić.

- A jednak to jest także moje oblicze, Carolino, powiedziałem ci, jak muszą wyglądać nasze stosunki i musisz się z tym pogodzić. Nie mogę cię tutaj widywać. Zobaczę się z tobą, kiedy tylko będę mógł, ale nie tutaj.

Westchnęła.

- Niech pan je swój obiad, Czarny Jastrzębiu! Nie będę się z panem kłóciła. Ale zmienię panu opatrunek i jeśli spróbuje mi pan w tym przeszkodzić, to się pobijemy.

Wyobraził sobie tę scenę i roześmiał się w głos.

- Uparta z pani kobieta, panno Hammond!

Zabrał się szybko do jedzenia, żeby jak najprędzej zrobiła to, przy czym się upierała, i poszła sobie. Kątem oka obserwował, jak szpera w jego workach, szukając bandaża, który sama tam włożyła. Mógł jej powiedzieć, że nie wypada, by kobieta grzebała w męskich rzeczach, ale dał spokój.

Odebrała od niego pusty talerz.

- Żałuję, że nie przyniosłam whisky - powiedziała, pochylając się nad jego nogą.

- Chyba nie chcesz, żebym już całkiem stracił rozum?

- Nie do picia, tylko do przemywania rany.

- Nie sądziłem, że whisky może służyć także dobrym celom - zauważył, patrząc z niepokojem, jak przecina bandaż.

- Muszę zagotować wodę i przemyć ranę - zdecydowała. - Tkanka już zaczęła się zablizniać.

- Tak, ale żeby zagotować wodę, musisz rozniecić ogień, a na to nie ma czasu.

Przedziwny sposób, w jaki okazywał jej swoje względy, sprawił, że się roześmiała. Jacob zmiękł i już się nie upierał. Podeszła do pieca i roznieciła mały ogień.

- Czy jeśli będę ostrożna i wrócę do domu, nie zwracając niczyjej uwagi, to przestaniesz się o mnie bać?

- Jeszcze pożałujesz tego, że nie respektujesz moich

decyzji. Będę musiał surowiej z tobą postępować, dziewczyno! Mężczyźni z plemienia Lakota nie tolerują nieposłuszeństwa.

Postawiła miskę z wodą na piecu, a sama uklękła przy Jacobie. Dotknęła ręką jego piersi. Dotknięcie było lekkie jak piórko, a spojrzenie, jakie mu towarzyszyło, pełne miłości. Zaczął coś mówić, ale przytknęła mu palce do warg.

- I co mi zrobisz, Jacob? Jak mnie ukarzesz? Chcę tylko, żebyś mnie dotykał. Chyba nie będziesz mnie za to bić?

Ujął jej dłoń, podniósł ją do ust i ucałował koniuszki palców.

- Nigdy bym cię nie uderzył, maleńka. Az do bólu pragnę cię dotykać...

- Więc dotknij mnie!

- Nie mógłbym na tym poprzestać.

- Pocałuj mnie tylko raz.

- Nie, Carolino! Nie tu i nie teraz!

- Oparła głowę o jego pierś.

- Muszę wiedzieć, czy pragniesz mnie tak bardzo, jak ja ciebie.

Jęknął.

- Przesuń dłoń nieco niżej, a przekonasz się...

Przytknęła wargi do jego skóry, gładkiej jak satyna.

- Żadne z nas nie potrafiłoby się powstrzymać, gdybym to zrobiła.

Przełknął głośno ślinę i głaskał ją delikatnie.

- Przyrzeknij mi, że przyjedziesz do mnie, jak tylko będziesz mógł przebyć drogę konno.

- Przecież ci powiedziałem, że to zrobię.

- Nie powinnam cię o to prosić - szepnęła.

- Wiem, że kobieta nie powinna...

- Dlaczego?

- Zachowuję się bezwstydnie...

- Między nami nie ma miejsca na wstyd. - Uniósł jej rękę do ust. Tylko na taki pocałunek ośmielił się teraz.

Podniosła na niego oczy.

- Między nami nie ma miejsca na wstyd - powtórzyła jak echo. - Nie wstydzę się pożądać ciebie.

- Wobec tego przyjadę na pewno, gdy tylko będę mógł wsiąść na konia. A teraz idź już, maleńka, bo coraz trudniej mi panować nad zmysłami.

Oczyściła mu ranę i przewięzała ją na nowo, zadowolona, że już nie grozi mu infekcja.

- Musisz utrzymywać w czystości ranę, opatrunek, wszystko... I kiedy tylko możliwe, trzymaj nogę do góry. Opuchlizna wkrótce zejdzie.

- Niech tylko mężczyzna zlegnie, choćby na krótko, kobiety od razu stają się władcze. Wszystkie takie jesteście.

- Czy wobec tego każda z nas może zadowolić każdego z was?

Zaśmiał się.

- Gdyby tak było, życie byłoby prostsze.

- Nie! Na dłuższą metę stałoby się znacznie bardziej skomplikowane.

Już wychodziła, ale jeszcze zatrzymała się przy nim na moment.

- Jacob!

- Przyjadę do ciebie, maleńka. Wtedy porozmawiamy!

- Dbaj o swoją nogę! - rzuciła i pośpiesznie opuściła jego pokój.



Zbyt długo nie było jej w domu i wiele kwiatów w ogródku zwiędło. Zdawało się, że tylko cud może je przywrócić do życia. Ale Carolina uparcie napełniała wodą wykopane przez siebie irygacyjne rowki i większość wyschniętych roślin zaczęła się na nowo rozwijać i rosnać.

Jak większość kobiet, które przeniosły się ze wschodnich stanów na Zachód, przywiozła tu ze sobą nasiona kwiatów z dawnego ogródka. Umieszczała sadzonki, gdzie tylko się dało, wykorzystując każdą znalezionej doniczkę. Koło domu pięknie rósł powój i trawa, dobrze się trzymały nagietki i portulaka, tylko petunie marniały. Włożyła wiele wysiłku, by je uratować. Marzeniem Caroliny było mieć na podwórku drzewo, jedno duże drzewo. Skupisko topoli było zbyt odległe i chata, niczym nie osłonięta, wyglądała biednie.

Północna Dakota to nie Nowa Anglia. Uzmysłowała to sobie, gdy spulchniała zaskorupiałą ziemię wokół świeżo zasadzonych krzewów derenia. Północna Dakota była nowym stanem i to Carolinie bardzo odpowiadało. Tutaj kobiety nikogo nie straszyły, że zwiędną jak te nieszczęsne kwiatki, jeśli braknie mężczyzny, który by koło nich chodził. Jacob nie oczekiwał, że będzie skromna i nieśmiała jak fiołek. Przeciwnie, lubił, gdy była wobec niego szczerą i grała w otwarte karty, nie uciekając się do żadnych kobiecych sztuczek.

Bał się tylko, że Carolina nie zniesie ostracyzmu, jaki mógłby ją z jego powodu spotkać ze strony niektórych tutejszych zgryźliwych matron i większości mężczyzn. Tymczasem ona zupełnie się tym nie przejmowała. Powiedziała mu, że od lat jest przedmiotem najrozmaitszych ataków i nauczyła się je ignorować.

Z czasem Jacob się przekona, z jakiej materii jestem utkana - mówiła sobie w duchu. - Mamy bardzo dużo czasu, nie ma pośpiechu.

Jacob obiecał, że odwiedzi ją, gdy tylko będzie mógł. Tymczasem postanowiła zajmować się ogrodem, przygotowaniem lekcji dla przyszłych uczniów i szyciem. Uszyła sobie spódnicę z rozcięciami, które pozwolą jej jeździć wierzchem po męsku. Jeśli Marissa może się obyć bez damskiego siodła, to ona tym bardziej. Na ile Carolina mogła to ocenić, kobiecość przyjaciółki nic na tym nie ucierpiała.

Dziełem miłości można by nazwać koszulę, którą uszyła Jacobowi z cienkiego batystu w kolorze kości słoniowej. Pamiętała deseń z koralików na mokasynach, i podobny wzór wyhaftowała na rękawach koszuli od barku do mankietów.

Od ich rozstania minął prawie tydzień. Któregoś dnia pod wieczór usłyszała rzenie klaczy, a po chwili odezwał się drugi koń. Spojrzała przez okno i zobaczywszy Jacoba, z biciem serca ruszyła mu naprzeciw. Zgrabnie zsunął się z grzbietu wierzchowca, ale nadal wolał nie używać lewej nogi, choć mu się w końcu udało naciągnąć na nią spodnie. W pierwszej chwili chciała mu się rzucić na szyję, ale coś ją powstrzymało. Stała w miejscu i tylko się uśmiechała, jemu zaś na jej widok pojaśniały oczy i radość rozpromieniła twarz.

Podeszła bliżej, ale poczuła się dziwnie onieśmiona.

- Jak dobrze znowu cię widzieć, Jacob!

Zaśmiał się.

- Pokaż, jak dobrze!

Przywarła do niego, objęła go ramionami i wtuliła twarz w jego szyję.

- Jak się po lakotyjsku mówi „dobrze”?

- *Wašte* - odpowiedział i powędrował dłońmi wzdłuż jej pleców.

- A jak się mówi „bardzo dobrze”?

- *Lila wašte*.

Otoczyła go ramionami w pasie i coraz mocniej się przytulała.

- Zobaczyć cię znowu jest *lila wašte* - szepnęła.

- Jakże mi cię było brak, dziewczyno! - dyszał z ustami w jej włosach.

Czułe przywitanie przerwało żalosne rzenie Sagiego, który niespokojnie rzucał głową do góry. Klacz odpowiedziała mu rzeniem. Jacob zaśmiał się widząc, że Sagi wywinął wargę i prychnął.

- Aż tak wielką czujesz potrzebę, stary przyjacielu? Co się dzieje z twoją godnością?

Ogier przybliżył do niego pysk, a Jacob ze zrozumieniem kiwał głową.

- Nie ma na to rady, prawda? Stała zbyt blisko ciebie i stąd te ciagoty...

Spojrzał na Carolinę i uśmiechnął się.

- Rozumiem tę słabość, ale, widzisz, pociąg Sagiego trwa, dopóki nie doleci go zapach innej klaczy. - Pogłaskał ją po policzku. - A moja słabość, maleńka, polega na tym, że nie mogę żyć bez ciebie.

- Nawet nie próbuj!

Skinał głową, poszukał jej ust i całował ją tak, jak o tym marzył od wielu dni. Był spokojny. Czuł, że wrócił do domu.

Z tyłu dochodziły głośne protesty ogiera. Carołina zaśmiała się.

- Pozwól mu mieć to, czego pragnie. Przecież klacz chce go tak samo jak on jej.

- Czyżby? - spojrzał w stronę zagrody. - A więc dobrze! Postanowione! Marissa będzie miała nowego żrebaka.

Zostawił Sagiego z klaczą, a sam zaprowadził Carolinę do chaty. Stała za nim, gdy zapalał lampę i przykręcał knot. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią z zachwytem. Miała na sobie skromną niebieską suknię, zapiętą wysoko pod szyję, z całą masą fałdek i zakładek i rzędem malutkich guziczków, równiutko biegnących między piersiami aż do talii. Ale pełne oczekiwania spojrzenie jej niebieskich oczu nie było ani skromne, ani cnotliwe. Pierwsza podeszła do niego i patrząc mu w twarz, zwilżyła wargi koniuszkiem języka. Roześmiał się i wzięwszy ją za ramiona, okręcił w koło. Potem zanurzył dłoń w jej długich jedwabistych włosach, poszukał zapinek, wyciągnął je i przeczesywał palcami miękko falujące pukle. Nagle odgarnął je wszystkie na bok i przybliżywszy twarz, pocałował ją tuż za uchem. Gorący dreszcz przemknął ciałem Caroliny, gdy rozpiął guziki jej sukni, włożył ręce za dekolci i objął kielichami swych dłoni obie jej piersi. Równocześnie ocierał się twarzą o jej szyję. Carołina przywarła do niego całym ciałem i przymknęła oczy.

Gdy suknia opadła na podłogę, niecierpliwe dłonie Jacoba odkryły jeszcze bieliznę.

- Carolino? - szepnął.

Zadrżała, czując jego oddech na plecach.

- Tak?

- Ile czasu zabiera ci ubieranie się?

- Mniej, niż tobie rozbieranie mnie.

Zdjęła gorset i w ślad za suknią rzuciła go na ziemię.

Jacob, śmiejąc się, wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Patrzył, jak zdejmuje buciki i pończochy i z trudem krył rozbawienie, jakie wywoływał w nim zawsze widok obuwia białych ludzi. Rozpiął swoją bawełnianą koszulę i zrzucił spodnie. Podniecił go widok Caroliny, która mościła swojej małej pupie wygodne miejsce wśród puszystych poduszek. Rzucił na bok koszulę i rozpiął sprzączkę u pasa. Stał teraz przed nią taki sam jak w tipi nad rzeką: nagi, tylko w przepasce biodrowej.

- Nosisz skórzaną przepaskę pod drelichowymi spodniami? - spytała, chichocząc, Carolina.

- Nie śmieję się ze mnie, dziewczyno! Ja się nie śmiałem z twoich bucików... - Teraz jednak roześmiał się.

- A co byś chciała, żebym nosił? Długie kalesony? Ze strojów białego człowieka przyjmuję tylko to, co mi się podoba. A to, co mi się nie podoba, niech sobie biali zatrzymają. - Ukląkł rła łóżku i pochylił się nad nią.

- Lubię cię - rzekł dobitnie. • '

Szybko dał sobie radę z resztą jej wstążek i tasemek i znów leżała przed nim golusieńka i zaróżowiona, jak wtedy na posłaniu w obozowisku.

Zanurzył twarz w jej piersiach, a ona rozwiązała węzeł, który przytrzymywał jego biodrową przepaskę, i uwolniła go od niej.

- Ja także cię lubię - szepnęła z kokieteryjnym uśmiechem, po czym wzięła w ręce jego warkocze i ciągnąc za nie, ściągnęła jego głowę w dół. Spadł ustami na jej usta, a ich języki spotkały się i pomieszały. Pocałunkiem odpowiadała na każdy jego pocałunek. Kiedy on wtulał się twarzą w jej szyję, ona od-

rzuciwszy jego włosy do tyłu, objęła wargami płatek jego ucha i leciutko nagryzała zębami. Teraz Jacob zaczął uderzać w jej uda swoim gorącym i twardym przyrodzeniem. Przez chwilę smakował językiem jej piersi, a potem wtargnął dłonią między uda. Rozchyliła je dla niego i wygięła się łukiem, wciskając się we wnętrze jego dłoni.

Nagle doszło ich dalekie rzenie konia.

- Jacob - szepnęła - czy ogier podnieca tę biedną klacz tak samo, jak ty to robisz ze mną?

- Nie - odpowiedział. - Ogier tego nie robi. - Koniuszkiem palca pieścił teraz jej sutek. - Jego przyjemność trwa krótko i nie robi mu żadnej różnicy, czy klacz dzieli ją z nim, czy nie. - Chwycił jej sutek ustami.

- Zabierz mnie ze sobą ku słońcu, Jacob!

- Tym razem polecimy do gwiazd - obiecał, unosząc się nad nią. - Znajdziemy miejsce, które będzie tylko nasze."

Jacob nie mógł się nadziwić, że tak mu w tej chacie dobrze, że odnajduje tu spokój, że świetnie się czuje w łóżku na szpulkowych nóżkach i w ramionach białej kobiety. Właśnie tu potrafił wyrzucić z siebie wszystko, co go latami dręczyło. Zastąpił to miłością Caroliny. Tyle w niej było niespodzianek i rzeczy nieoczekiwanych. Przeczesał palcami jej długie, wspiane włosy, bawił się nimi, unosił je w górę i opuszczał... Kto by uwierzył, że ciasny kok, który nosiła z tyłu głowy, był utkany z tak cudownej materii?

- Jacob... - szepotała tylko po to, by słyszeć miły dźwięk jego imienia. - Czarny Jastrzębiu!

- Co mam dla ciebie zrobić, maleńka? - pytał, zachwycony, że położyła rękę na jego piersi.

- Chciałabym, żebyś mi wszystko o sobie opowiedział, wszystko od samego początku.

- O sam początek musisz zapytać mojej matki, a gdy ona będzie snuć swoje matczyne opowieści, ja zabiorę moich bratanków na polowanie.

- Powiedz mi, wobec tego, co trzymasz w tym woreczku? Wiem, że w jednym nosisz tytoń, ale co jest w drugim? - Wzięła do ręki małe zawiniątko z kózki skóry i ważyła je na dłoni.

- Tam są różne tajemnicze przedmioty, mające dla mnie szczególne znaczenie. Mają związek z wizją, która mi się ukazała, i z moim imieniem. Nie mogę ich nazwać. W nich tkwi magiczna siła, która mnie ochrania.

Ostrożnie położyła woreczek z powrotem na jego piersi. Za nic nie chciała pozbawiać go magicznej siły.

- Jakim imieniem nazywa cię twoja matka? - spytała.

- Mówi do mnie *cinks* - to znaczy mój synu. A *cunks* znaczy moja córko.

- A jak ty zwracałeś się do Ruth?

- Mówiłem do niej *tańksi*, moja siostru. A mój starszy brat jest *ciye*.

- To nigdy nie mówicie do siebie po imieniu?

- Nie, w rodzinie nigdy. W ten sposób podkreślamy łączące nas więzy krwi. Każdy może zwracać się do mnie po imieniu, ale tylko najbliżsi mogą nazywać mnie synem czy bratem.

Starła się nie myśleć o chłodnych stosunkach, jakie panowały w jej własnej rodzinie, ale teraz zrobiło jej się przykro.

- I zawsze zwracasz się do swoich krewnych w ten sposób?

- Tak! Brata matki nazywam *leksi*, wujem. Nato-

miast brat ojca jest dla mnie drugim ojcem, a więc nazywam go *ate*, ojciec. To samo dotyczy ciotek. Siostra mojej matki jest moją drugą matką.

- Nie rozumiem, po co?

- Dzięki temu nie ma u nas sierot. Gdy umiera ojciec, jego brat zostaje ojcem osieroconych dzieci. Nasze rodziny zataczają szeroki krąg, obejmują nie tylko rodziców i dzieci. Mamy ciotki, wujów, kuzynów i dziadków i tworzymy z nimi jedną wspólnotę, jeden ród, jesteśmy we wszystkim razem.

- Wszyscy mieszkacie w jednym tipi?

- Nie, ale jesteśmy razem na dobre i na złe, we wszystkim, co robimy i we wszystkim, co posiadamy. Jesteśmy jedną wielką rodziną, a rodzina znaczy dla nas bardzo dużo.

- Dla mojego ojca rodzina nic nie znaczy - stwierdziła z goryczą. - On kocha tylko swoje interesy. Nazywa je „rodzinnym interesem”, ale to tylko nędzna namiastka tego, co ty opisujesz. W rodzinie lakotyjskiej dzieciom jest chyba bardzo dobrze, muszą mieć ogromne poczucie bezpieczeństwa.

- Tak, kiedyś tak było. Gdy byłem małym chłopcem, żyło nam się dobrze, ale sytuacja bardzo się zmieniła od tego czasu.

- Ciekawa jestem, w jakim języku ty myślisz, po lakotyjsku czy po angielsku?

- To zależy od tego, o czym myślę. Dużą część życia mówiłem po angielsku i to, czego nauczyłem się od białego człowieka, utrwaliło się w moim umyśle właśnie w tym języku. Ale patrzę na ziemię i niebo jak człowiek z plemienia Lakota. Wszystko, co jest najbliższe memu sercu, wyrażam po lakotyjsku.

- A jak myślisz o mnie?

«-

Otoczył ją ramieniem w sposób tak władczy, jakby była jego własnością, i przygarnął do siebie.

- Ty jesteś *wiwašteka*. Piękna kobieta. - Musnął jej czoło koniuszkami palców i wolno wędrował nimi wzdłuż kręgosłupa. - Jesteś *skuyela*, słodka, i *skuya*, wspaniała. Jesteś *wankala* - czuła i delikatna. Myślę o tobie w języku Lakota, maleńka. Stałaś się częścią mnie samego.

Serce w niej rośło. To cudowne, że była częścią niego.

- Byłam pusta, zanim cię spotkałam. Wypełniłeś mnie sobą, Jacob.

- Ja też wiem, *co* to pustka. Dałaś mi tyle radości.

Chciała mu powiedzieć, że radość mogłaby trwać całe życie, gdyby zostali ze sobą na zawsze, ale uznała, że nie jest to odpowiednia pora na takie, wyznanie. Choć łatwo mu przychodziło obcować z przeszłością, to wybieganie myślą naprzód nastroczało trudności. Teraźniejszość była do przyjęcia dla nich obojga. Dobrze było leżeć obok niego i czuć ciepło, jego ramion. Dobrze było małymi pocałunkami muskać jego pierś, słuchać bicia serca i czuć oddech Jacoba na twarzy.

- Pragniesz mnie znowu, maleńka?

Zuchwale włożyła udo między jego kolana i samokrytycznie stwierdziła:

- Chyba nie zachowuję się jak dama...

Zaśmiał się pobłaźliwie, a ona szybko zaprotestowała:

- Nie śmieję się z mnie, Jacob. Sprawiasz, że czuję się...

- Sprawiam, że czujesz się kobietą - skończył za nią. - Nie śmieję się z ciebie, tylko z tej dobrze wychowanej damy, która ukryła się gdzieś w kąciek twojej duszy i grozi ci palcem, tak jak pewna nauczycielka, którą znałem dawno temu.

- Groziła ci palcem?

- - Tak. Uważałem to za bardzo niegrzeczny gest. Powiedz tej damie, która się kryje w twojej duszy, żeby poszła się zdrzemnąć, bo mam teraz ochotę kochać się z moją kobietą.

Gdy następnego rana Carolina się przebudziła, Jacob już wyszedł. I może to dziwne, ale wcale nie czuła się samotna. Czuła łączącą ich więź, mimo że Jacoba przy niej nie było. Widać naprawdę stał się częścią niej samej. To było coś więcej niż romantyczna przenośnia. Inaczej teraz myślała o tym, do czego może być zdolne ludzkie serce. I to nowe nastawienie bardzo ją podnosiło na duchu.

Któregoś dnia, gdy z zapałem robiła na drutach, przed jej chatą pojawił się jednokonny powozik Marissy. Pośpiesznie wyszła przed dom, by ją powitać, i wtedy zobaczyła, że tuż za powozem wlecze się na koniu Culley.

- Marisso, jak to miło znowu cię zobaczyć! - zawołała szczerze uradowana, a potem, już z mniejszym entuzjazmem, dodała: - A pana, panie Culley, co przygnało w te strony?

Ledwo uchylił zakurzonego kapelusza, a już Marissa pośpieszyła z wyjaśnieniem:

- To przez Charlesa, który ostatnio nie zgadza się, żebym wychodziła sama z domu. Pan Culley i tak się tu wybierał, by sprawdzić stan ogrodu, więc przy okazji zgodził się przypilnować, żebym bezpiecznie do ciebie dotarła.

Culley zsiadł z konia i podszedł do bryczki, by pomóc Marissie wsiąść.

- Naprawdę, panie Culley - certowała się - niech się pan nie trudzi. Nie chcę pana odciągać od jego obowiązków.

- Ogródzenie jeszcze przez chwilę wytrzyma, proszę pani, a może panna Hammond potrzebuje jakiejś pomocy w gospodarstwie? To nie jest w porządku, żeby kobieta sama jedna wszystko dźwigała i przenosiła.

- Dziękuję panu, ale nie potrzebuję pomocy - opędzała się od niego Carolina.

- Widzę, że robiła pani pranie. Może bym opróżnił balię?

- Tak, tak - wtrąciła się Marissa. - Niech pan wyleje wodę z balii na ogród, a potem może pan już jechać do swojej pracy. My tu mamy takie różne babskie sprawy do omówienia...

Culley, uradowany jak uczeń, gdy mu nauczycielka każe wytrzepać ściereczki do tablicy, oddalił się na krzywych nogach.

- Nie dałby nam spokoju, gdybyśmy mu nie kazały czegoś zrobić - szepnęła znacząco Marissa.

Gdy wrócił, Carolina poiła konia. Podbiegł do niej śmiesznym truchcikiem.

- Przecież mogłem ja to zrobić, panno Hammond! Niech no mi pani pozwoli...

- Nie chcę pana zatrzymywać, panie Culley - i dodała z uśmiechem, który nie przyszedł jej łatwo: - Wiem, ile ma pan roboty i jak długi jest pana dzień pracy.

- Praca kowboja nigdy się nie kończy - zażartował.
- Szef kazał, żebym odprowadził panią MacAllistair na ranczo. Kiedy pani chce, żebym się tu zjawił?

- Za jakieś dwie godziny. Musimy wrócić na ranczo tak, żeby zdążyć na kolację.

- Tak jest, proszę pani. - Opuścił brzeg kapelusza na znak pożegnania i odjechał.

- Jak widzisz, Carolino, oddano mnie pod opiekę

-pana Culleya i już się od niego dzisiaj nie uwolnię.
- Przysłoniła oczy ręką i uśmiechnęła się. - Ale nie stójmy dłużej na słońcu! Lepiej chodźmy sobie zrobić herbaty.

- Wiesz, że rano zastanawiałam się, czyby cię dzisiaj nie odwiedzić - napomknęła Carolina, gdy szły do chaty.

- A ja koniecznie chciałam wyjść z domu. Potrzebuję ruchu, a boję się, że Charles zabroni mi już wkrótce wszelkich eskapad.

- A jak się czujesz?

- Wspaniale! Aż dziw, zważywszy na mój stan. - Marissa usadowiła się za stołem, a Carolina zajęła się zaparzaniem herbaty. - Boję się - odezwała się nieoczekiwanie przyjaciółka - żeby nie doszło do jakiejś awantury między Jacobem i Culleyem.

Carolina, trzymając czajnik w ręku, gwałtownie się odwróciła.

- Co masz na myśli?

- Dziś rano Jacob trenował swoją piękną derezowatą klacz, a ja akurat wyszłam z domu, więc podeszłam do zagrody, żeby przyjrzeć się jego pracy. To prawdziwy mistrz w trenowaniu koni... A ten koń, Carolino... ale do rzeczy: Jim Bates przyłączył się do mnie i razem obserwowaliśmy Jacoba. W pewnej chwili Jim spostrzegł Culleya, przywołał go i polecił mu dziś jeszcze przejechać się wzdłuż granic naszej posiadłości i sprawdzić ogrodzenia. Żebyś widziała minę Culleya: uśmiechał się od ucha do' ucha i wyglądał jak kot, któremu kazano oczyścić klatkę ptaka.

- Albo jak wiewiórka, której udało się dostać do worka z orzechami - wtrąciła Carolina.

- To nie żarty, Carolino. Sprawa jest poważna. Wi-

działam, jak na to zareagował Jacob: był siny z wściekłości. Oczywiście, nikt poza mną nie zwracał w tym momencie na niego uwagi - dodała. - Ale powiedziałam sobie, że muszę się zaraz do ciebie wybrać, bo gdyby Jacob się tu zjawił, a Culley akurat przyjechał z inspekcją, wybuchłaby straszna awantura.

- Niech Bóg ma mnie w swej opiece - jęknęła Carolina. - Do tej pory mężczyźni wcale się mną nie interesowali i chyba wołałabym, żeby tak było dalej. Niechby mnie dalej nie zauważali...

- Z wyjątkiem Jacoba, oczywiście...

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Tak, Marisso, z wyjątkiem Jacoba. Proszę cię, wspomnij panu Batesowi, że Culley za bardzo się mną interesuje i jest dla mnie krępujące, gdy mi wciąż depcze po piętach. Może pan Bates mógłby pomóc.

- Przypuszczam, że Jim może coś na to poradzić, tym bardziej iż sam się chyba w tobie podkochuje.

- O, nie! - jęknęła znowu Carolina.

- Jestem pewna, że wkrótce będziesz miała jeszcze więcej wielbicieli, bo w naszych stronach nieczęsto spotyka się nazamężne kobiety. W końcu Jacob nie będzie miał innego wyjścia: albo odkryje karty, albo będzie musiał w milczeniu patrzeć, jak inni zabiegają o twoje względy.

- Sama potrafisz odstraszyć ewentualnych wielbicieli. Jak widzisz, wciąż jestem niezamężna.

- Ciekawa jestem, jak długo będzie ci się to udawało - wysnęło się Marissie, ale zaraz się poprawiła.

- Przepraszam, ale ten wasz romans wydaje mi się taki beznadziejny, zupełnie jak Romea i Julii.

- Nic podobnego - zaprotestowała Carolina.

- Pewnie, że niepodobny... Przynajmniej oni byli oboje Włochami.

- Carolina postawiła przed Marissą herbatę.

- Nie przesadzaj! Nasz romans jest spokojny i intymny i wcale nie przedstawia się aż tak dramatycznie. A jeśli chodzi o te tabuny wielbicieli, które zapowiadasz, to się ich bez trudu pozbędę. Okażę im chłód i będę ich trzymała na dystans. To zawsze dotąd działało.

- Ale boję się, że ktoś może sprowokować Jacoba, a musisz wiedzieć, że konfrontacja między nim a białym byłaby katastrofą. Gdyby doszło do użycia siły, odpowiedzialność zawsze spadnie na Jacoba.

- Masz rację. Konfrontacja między nim a Culleyem jest całkiem prawdopodobna. Proszę cię na wszystko, Marisso, przekonaj Batesa, żeby trzymał Culleya z daleka ode mnie.

- To nie będzie takie łatwe podczas pikniku. - Widząc zdziwienie Caroliny, dodała: - Chodzi mi o piknik z okazji Czwartego Lipca. Chyba ci o nim wspominałam.

- Nie, Marisso, nic mi nie mówiłaś.

- Urządzamy go co roku. Nawet nie musimy już nikogo zapraszać, bo wszyscy sami przychodzą.

- Trzeba coś zrobić, by Jacob nie poszedł na tę uroczystość. Czy on zwykle na niej bywa?

Marissa westchnęła.

- Raczej nie. Czasem ignoruje fakt, że to dzień świąteczny i pracuje jakby nigdy nic, a czasem wyjeżdża do domu, do rodziny.

- Najlepiej, żeby tego dnia przyszedł do mnie. Niech mnie tutaj odwiedzi... - powiedziała Carolina i jej oczy błysnęły.

- Carolino!

- Proszę cię, Marisso! Zrób mi tę grzeczność! Daj znać Jacobowi, że nie wybieram się na piknik i będę u siebie w chacie.

- Widzę, że chcesz, żebym zagrała rolę niani, podczas gdy ty byłabyś Julią...

- Ale skończy się inaczej niż u Szekspira - uśmiechnęła się dziewczyna. - Jeśli uda ci się osobiście przekazać tę wiadomość Jacobowi, nie będzie powodu do płaczu ani żałoby. Przyjdzie na pewno.

Czwartego lipca Carolina wstała jeszcze przed świtem. Chciała się starannie przygotować na przyjęcie gościa. Zaczyniła ciasto na chleb i odstawiła, żeby rosło, a do pieca wsadziła piernik. Potem się przebrała. Włożyła swój ulubiony strój: niebieską spódnicę z tafety, przewiazaną szeroką czarną szarfą, a do tego białą bluzkę z poszerzonymi u góry, zaś u dołu mocno zwężonymi rękawami. Przez pięknie obhaftowane dziurki dookoła kołnierzyka i mankietów przeciągnęła wąską niebieską wstążkę. Włosów nie upinała, bo Jacob najbardziej lubił ją z rozpuszczonymi. Wpięła w nie tylko z boków ręcznie rzeźbione grzebyki z kości słoniowej, które kiedyś należały do jej matki. Biało-niebieska kamea, którą przypięła tuż pod szyją, także była pamiątką po matce. Przejrzała się w lusterku. Powiedziało jej, że wygląda wspaniale. Zresztą, wiedziała to i bez lusterka. Zawsze świetnie się czuła w tym stroju.

Wyjęła ciasto i właśnie wkładała do piekarnika chleb, gdy doszedł ją stuk końskich kopyt. Szybko wybiegła przed dom. Jacob siedział dumnie wyprostowany na pokrytym derką grzbiecie swego ognistego rumaka. Miał na sobie oślepiający przepychem strój z pięknie zdobionych koźlich skór. Wstające na horyzoncie słońce oświetlało go *od* tyłu i jego twarz była nieco zacieniona, ale piękno sylwetki zapierało dech w piersiach.

- Mężczyźni z plemienia Lakota celowali w przybie-raniu dumnej pozy wojownika. Jacob ze szczególną przyjemnością występował dziś w tej roli. Uosabiał .wojownika i myśliwego, który wczesnym rankiem przyby-wa do swojej kobiety, ta zaś czeka na niego, kochająca i wierna. Tańczący pod nim Sagi odgrywał ważną rolę w tej scenie, do której obaj, mężczyzna i koń, pieczo-łowicie się przygotowywali. Niczym tokujący głuszec, Jacob wypiął pierś, wciągnął głęboko do płuc powietrze i trzymał się prosto jak struna. Jego biodra poruszały się zgodnie z rytmem drobiących w miejscu nóg konia. Pa-trzył zachwyconym wzrokiem na Carolinę. W ten jasny, świeży poranek jej widok przyprawiał serce Jacoba o szalone bicie. Zdawała mu się zjawą, ukazującą się mężczyźnie po dniach postu i modlitwy.

Zatrzymał się w pobliżu zagrody i błyskawicznie zsunął z grzbietu konia. Dopiero wtedy Carolina zo-baczyła kasztankę, którą prowadził za uzdę.-Klacz by-ła dereszowata, mniejsza niż Sagi. Miała małą głowę, zwężającą się ku górze szyję i szczuplejsze, bardziej smukłe niż gniadosz, nogi.

Jej pędny, grzywa i ogon były czarne. Jacob, trzy-mając w rękę wodze obu koni, stanął twarzą w stronę wschodzącego słońca i zaintonował swoją poranną pieśń. Carolina słuchała go w milczeniu. Zarówno ta piękna śpiewana modlitwa, jak i swobodny, wręcz na-turalny stosunek, jaki wydawał się łączyć Jacoba z jego bogiem, budziły w niej głęboki szacunek.

Gdy przebrzmiała ostatnia nuta jego donośnego śpiewu, Jacob zdjął sakwy i derkę dereszowatej klaczy i spokojnie czekał, aż Carolina podejdzie do niego. Ich powitanie obyło się bez słów. Padli sobie w objęcia. Jacob całował swoją kobietę z zachłannością człowieka, który długo pościł, marząc o tym, by dotknąć jej

miękkich warg. Pocałunek Caroliny mówił o tym, że długo czekała, tęskniła i dochowywała mu wierności.

- Co znaczyły słowa twojej pieśni?

- Dziękowałem temu, co nad nami, dziękowałem *Ateyapi* za wizję, którą mnie obdarzył dziś rano, a która zmaterializowała się w chwili, gdy znalazłaś się w moich ramionach. Za to właśnie, że się ta wizja ziściła, dziękowałem mu słowami tej pieśni. A tobie przywiozłem prezent.

- Tak? A jaki?

- Nie widzisz? Czyżby oślepiało cię słońce?

- Ta klacz? Ta klacz jest dla mnie?

Promieniał dumą.

- Tak! Ta klacz jest moją własnością, mam więc prawo ci ją dać. Ujeździłem ją specjalnie dla ciebie. Jest twoja.

Carolina podeszła bliżej i ostrożnie wyciągnęła rękę, by pogłaskać smukłą szyję konia.

- Ach, Jacob, ona jest najpiękniejszym zwierzęciem, jakie kiedykolwiek widziałam. Ale nie mogę jej przyjąć. Jest zbyt...

- Odmawiasz przyjęcia prezentu? - spytał spokojnie, choć oczy mu pociemniały z żalu.

- Nie, Jacob, nigdy bym nie mogła ci odmówić, ale nie chcę, żebyś się z nią rozstawał.

- Carolino, jeśli odmawiasz przyjęcia mego prezentu, to tym samym odrzucasz mnie. Przecież ja się o ciebie staram...

- Ach - szepnęła i jej niebieskie oczy stały się jeszcze bardziej niebieskie, a twarz oblał rumieniec. - Przepraszam cię, nie zrozumiałam twoich intencji. Powiedz mi wobec tego, jak się powinnam zachować, żeby zgodnie z waszą tradycją przyjąć ten prezent.

- Po prostu Weź wodze i zaprowadź klacz do

zagrody - powiedział, śmiejąc się. - W ten sposób najlepiej okażesz, że przyjęłaś mój prezent. Gdybym chciał się zachować jak na lakotyjskiego zalotnika przystało, to powinienem teraz owinać ciebie i siebie kocem, przykryć nim nasze głowy, przez chwilę z tobą porozmawiać i zaraz potem odejść. Ale ponieważ to stadium zalotów mamy już dawno za sobą, a w dodatku czuję cudowny zapach świeżo upieczonego chleba, więc...

- ... więc zostaniesz! - skończyła za niego i musnęła jego wargi szybkim pocałunkiem. Potem oboje wrócili, rozradowani, do chaty, trzymając się za ręce.

Doszli w samą porę, by Carolina zdążyła wyjąć z pieca złotobrazowy chleb. Jacob z rękami założonymi na piersi opierał się o ścianę i obserwował, jak ona krząta się przy kuchni. To był miły dla oka widok.

- Białe kobiety noszą głupie stroje, ale ty pięknie w nich wyglądasz - zauważył wesoło. - Może powinnaś jednak pójść na piknik i uroczyście uczcić wasz Dzień Niepodległości.

- Ależ ja go właśnie obchodzę. Przeprosiłam gospodarzy, że nie mogę przyjść, a ubrałam się tak elegancko dlatego, że przyjmuję dziś u siebie bardzo szczególnego gościa. Pewien dżentelmen właśnie składa mi wizytę.

- A ja się wystroiłem po to, by uwieść pewną piękną kobietę, której uroda prześladowuje mnie w dzień i w nocy. Spójrz na nas! - zachichotał. - Kto by się domyślił, że to ja jestem dżentelmenem, którego gościsz, a ty moją kobietą.

- Nikt by się nie domyślił. Nasz sekret jest bezpieczny.

Podszedł do niej z tyłu i objął dłońmi jej talię.

- Może masz rację, i jest tak, jak mówisz... - Ale

w duchu dodał: „na razie”. Lekkim uszczyptnięciem warg podrażnił płatek jej ucha, a ona, uśmiechając się, przechyliła głowę do tyłu.

- Czy herbata jest już gotowa? - spytał, wskazując na czajnik stojący na kredensie. Znalazł filiżanki i przy pełnej aprobacie Caroliny nalał do nich herbaty. Jej pozostało już tylko podstawić spodki pod filiżanki.

- Po cóż wy, biali, używacie tylu bezużytecznych naczyń? - zapytał, niosąc swoją herbatę do stołu. - Sama filiżanka nie wystarczy?

- A gdybyś ułał herbaty, to co wtedy?

Wzruszył ramionami.

- Wielkie rzeczy, najwyżej coś by się pomoczyło.

Było coś intymnego w przygotowywaniu śniadania. Podała konfitury z derenia, usmażyła jajka tak jak lubił. Masło szybko się roztopiło na ciepłym chlebie, a zapach bekonu sprawił, że to ich wspólne śniadanie stało się jakby porannym małżeńskim rytuałem.

- Co to jest? - zdziwił się, wskazując na swój talerz.

- To są zielone pomidory. Lubisz je?.

- Nie bardzo - przyznał szczerze. - Nigdy czegoś takiego nie jadłem.

- Moja matka przyrządzała je w ten sposób, ale jeśli ci nie smakują, to nie musisz ich jeść.

- Mają trochę dziwny smak. Co prawda, nauczyłem się jeść potrawy o różnych dziwnych smakach, więc może polubię i ten. - Podłubał widelcem w talerzu i wymamrotał: - Ale wątpię...

- Zapomnij o tym, to nieważne.

Zaśmiał się.

- Dzięki różnicom, jakie nas dzielą, nasz związek będzie bardziej interesujący. Przecież sama tak powiedziałaś, pamiętasz?

Wolała to skromnie przemilczeć.

- A konfitury z derenia ci smakują? - spytała po chwili.

- Bardzo! Uważaj, żebym się nie roztył na twoim wikcie. Nigdy nie jadłem tak pysznego chleba jak ten. - Schlebiał jej jak potrafił, nie chcąc, by nieszczęsne pomidory popsuły urok tego wspaniałego dnia. - Z jakich stron pochodziła twoja matka? - spytał.

- Z Południowej Karoliny - stąd moje imię. Ojciec poznał ją, gdy był tam w interesach. Rodzina mojej matki zubożała na skutek wojny domowej i ojciec zaproponował, że kupi ich ziemię. Był obcy w tamtych stronach i nie cieszył się sympatią, ale po nabyciu plantacji bawełny pozwolił moim wujom nadal ją prowadzić. Bawełnę wysyłali na północ, do tekstylnej fabryki mego ojca.

- Czy pomógł rodzinie twojej matki tylko dlatego, że chciał ją poślubić?

- Podobno zrobił na tym całkiem dobry interes, ale niewątpliwie, dał im także szansę pozostania na ziemi, którą kochali.

- Można więc powiedzieć, że twój ojciec dobrze się ożenił: obie rodziny na tym skorzystały.

- Czy o to tylko chodzi w małżeństwie? Nie wiesz, jak moja matka cierpiała...

- Jak to? Nie była szczęśliwa, że może pomóc swojej rodzinie? - powiedział to, aby jakoś pocieszyć Carolinę.

- Moja matka była piękną kobietą - wspominała z zadumą w głosie. - Była szczupła i krucha niczym figurka z porcelany. Cerę miała przeźroczystą jak biułka. Była bardzo drobna. Jako dziesięcioletnia dziewczynka miałam większe dłonie od niej.

- Czy i ona miała oczy niebieskie niby jajko gila? Dla takich oczu mężczyzna łatwo może stracić głowę.

- Miała oczy takie jak ja, ale nie powiem, żeby mój ojciec stracił dla niej głowę. Jego serce pozostało przy bankowych sejfach.

- Może ją na swój sposób kochał?

Carolina westchnęła.

- Może na początku... Ale mama nienawidziła Bostonu. Tamtejsze chłodne zimy ją zabiły. Tylko gdy mówiła o Południowej Karolinie i o dawnych czasach sprzed wojny secesyjnej, budziły się w niej cieplejsze uczucia i wyglądała na szczęśliwą. Żyła wspomnieniami... - Carolina dostrzegła zrozumienie w oczach Jacoba, więc dodała z naciskiem: - Nie wolno żyć przeszłością. Gdy świat się zmienia, ludzie muszą zmieniać się z nim.

- Ale bywa, że w ludziach coś umiera i nie potrafią żyć w nowych warunkach.

- Moim zdaniem - upierała się dziewczyna - przeszłość należy szanować, ale żyć trzeba w teraźniejszości i robić plany na przyszłość.

- A co począć ze wspomnieniami? - spytał z nikłym uśmiechem. - Zamknąć je w bankowych sejfach? - Wziął ją za rękę. - Carolino! Musisz mnie zrozumieć! Jestem częścią narodu, który żyje tylko przeszłością. Gdyby mnie od niego oderwano, umarłbym, tak jak umarła twoja matka.

- Nie chcę odrywać cię od twego narodu. Chcę tylko twojej miłości.

- Masz ją. Ale cóż ci po niej? Życie, na które jestem skazany ja i ci, którzy przetrwali, nie nadaje się do tego, by dzielić je z tobą.

Podniosła jego dłoń do ust i wycisnęła ciepły pocałunek na jego palcach.

- Moja dusza należy do lakotyjskiego ludu - mówił dalej. - Ten lud umiera, ale nie mogę odwrócić się do

niego plecami, choć sam wybrałem życie, a nie śmierć. Czasem jednak czuję, że i we mnie coś umiera.

Przeraziły ją słowa Jacoba.

- Chcę kochać w tobie to, co żyje. Pozwól mi to pielęgnować.

- Mężczyzna musi mieć jakieś środki do życia i zapewnić je rodzinie, inaczej jakież byłby z niego mężczyzna. Tymczasem biały człowiek pozbawił nas możliwości egzystencji. - Gwałtownym ruchem odsunął krzesło i wstał od stołu. Napatrzył się na tyle zła i nędzy dokoła, że sama myśl, jak żyją bliscy mu ludzie, stawała się nie do zniesienia. Otworzył drzwi chaty i oparłszy się o futrynę, głęboko wdychał poranne powietrze. Obserwował konie w zagrodzie, słuchał, jak Carolina sprząta ze stołu i dzwoni talerzami. Nagle doszedł go szelest tafty, poczuł jej ręce obejmujące go w pasie i lekki ucisk ciała, gdy przytuliła się do jego pleców.

- Nie chcę twojej litości, Carolino. Jestem mężczyzną. Nie pragnę niczyjego współczucia. Jedyne, co mi pozwala zachować spokój ducha, to życie z dnia na dzień. Więc bądź na dzisiaj moją kobietą i pozwól, bym był twoim mężczyzną.

- Tylko na dzisiaj?

- Tak! Możemy żyć tylko dniem dzisiejszym, więc cieszymy się nim. - Wziął ją w ramiona. - Nie wiem, jak przeżyję dzień, w którym nie będziesz już moja. Modlę się, by Bóg mi w tym pomógł.

- Taki dzień nigdy nie nastąpi. Chyba że wywieziesz mnie gdzieś daleko na pustynię i tam zostawisz. W każdym innym wypadku przysięgam ci, że znajdę sposób na to, żeby być z tobą. - Przyciągnęła głowę Jacoba do swojej twarzy i przyłgnęła ustami do jego ust, jakby stamtąd chciała czerpać siłę.

Odpowiedział jej mocnym i władczym pocałunkiem, który miał przypieczętować to, co przed chwilą powiedziała. Zdrowy rozsądek mówił mu jednak, że tak nie będzie.

- Ja także mam prezent dla ciebie - oznajmiła z uśmiechem, gdy tylko udało jej się od niego oderwać. - Mam nadzieję, że bardziej ci się spodoba niż moje zielone pomidory.

Uklękła przed skrzynią, uniosła wieko i wyciągnęła koszulę, którą dla niego uszyła.

Jacob delikatnie dotknął haftu, a potem rozwinął koszulę i przez dłuższą chwilę trzymał ją przed sobą. Carolinę naszła ochota, żeby mu ją odebrać i schować z powrotem do skrzyni. Chyba nie przypadła mu do gustu...

- Nie musisz jej nosić - powiedziała - jeśli ci się wydaje tak samo idiotyczna jak buciki białych kobiet. Po prostu chciałam dać ci coś od siebie...

- Ależ ona mi się podoba! - zawołał. Podciągnął do góry swoją koszulę z koźlej skóry i zanim ściągnął ją przez głowę, zerknął na Carolinę. - Podoba mi się! Naprawdę! - powtórzył.

Wreszcie włożył na siebie tę koszulę z batystu w kolorze kości słoniowej, nad którą tak się pracowała. Przejechał dłońmi najpierw po jednym, potem po drugim zahartowanym koralikami rękawie. Spojrzał na nią i zaśmiał się.

- *Wašte yelo!* - zawołał.

- Pamiętam, że *wašte* znaczy dobrze, a co znaczy *yelo*?

- *Yelo* potwierdza, że to, co mówiący powiedział, jest szczerą prawdą. - I zapiął bogato haftowane mankiety.

- A więc podoba ci się ta koszula?

- Przecież to właśnie przed chwilą powiedziałem.
- I wzór, który wyhaftowałam, i wszystko?

Jej oczy błyszczały z podniecenia i Jacob zrozumiał, że będzie z niej dobra Lakotyjka: tak jak oni lubiła obdarowywać.

- Moja matka będzie zachwycona twoim haftem. A teraz zobaczmy, jak ty ocenisz jej ręczne robótki...

- Wyciągnął dwie sakwy i wręczył jej, mówiąc:

- Mój kuzyn przyniósł mi je wczoraj. Tam są prezenty dla ciebie od mojej mamy.

Otworzyła pierwszą i wyjęła z niej białą suknię z kozłej skóry, miękkiej jak jedwab. U dołu i przy końcu rękawów miała długie frędzle, a cały karczek był wyszyty niebieskimi, żółtymi, białymi i czarnymi paciorkami.

- Ach, jaka piękna! Ale jak ona dała radę tak szybko ją zrobić?

- Mama uszyła i ozdobiła tę suknię już bardzo dawno temu.

Z przyjemnością patrzył, jak Carolina to trzymała suknię przed sobą, to znów przykładała ją do siebie i dotykała z czułością. Zachowywała się tak jak każda kobieta, gdy dostaje coś nowego do ubrania.

- Jesteś wyższa od mojej mamy - powiedział - ale bardzo ją ucieszy, gdy się dowie, że nosisz tę suknię. Możesz włożyć ją teraz dla mnie, a ja opowiem o tym mamie.

- Jest prześliczna, naprawdę! - Dotykała haftowanego paciorkami karczku i przesuwiała palce po deseni, składającym się z wielobarwnych trójkątów. - To jest bardzo specjalna suknia, Jacob. To widać! Dlaczego twoja mama mi ją ofiarowała, jak myślisz?

- Bo w jej pojęciu jesteś moją żoną. Mama uważa, że skoro zabrałem ci dziewictwo, to stałem się twoim

mężem. Nic jej nie przekona, że jest inaczej, cokolwiek bym na ten temat powiedział.

- Ciekawe, że ona nie przejmuje się tymi wszystkimi, rzekomo nas dzielącymi, sprawami, o których inni tyle rozprawiają.

- Bo ona jest moją matką - stwierdził po prostu.
- Może się i martwi, ale najważniejsze jest dla niej to, że jej syn posiadał dziewicę. Dla niej jesteśmy małżeństwem.

- Naprawdę tak uważa?

Położył jej rękę na ramieniu.

- Tak, i masz w niej teraz matkę. Będzie cię kochała i uważała za córkę. Jeśli chcesz, możesz ją nazywać *unciși*, to znaczy teściowa. To ją ucieszy. Ale nie chciałbym, żebyś sądziła, że to, w co wierzy moja matka, w jakikolwiek sposób wiąże cię ze mną. Możesz czuć się tak samo wolna, jak dotychczas.

Kiedyż on wreszcie nauczy się mnie rozumieć - pomyślała. Bez słowa wzięła do ręki drugą sakwę i wyjęła z niej mokasyny, pasek, opaski do włosów i legginsy, wszystko wyszyte paciorkami, pasującymi do deseni na sukni.

- Pomóż mi się przebrać, Jacob, i zachowuj się grzecznie! Mam nową suknię i nie mogę się doczekać, żeby ją na siebie włożyć. - Odpięła kameę i zaczęła rozsznurowywać buciki. . Gdy już była tylko w bieliźnie, spojrzała na Jacoba.

- Nie! - zawołał. - Lakotyjskie kobiety czegoś takiego nie noszą. - I dobrał się do sznurówek jej gorsetu.

- Więc co w końcu noszą zamiast niego? - pytała, zaśmiewając się.

- Coś w rodzaju przepaski.

- Ciekawa jestem, skąd to wiesz, Czarny Jastrzę-

biu? Pewnie ty i twoi przyjaciele chowacie się po krzakach i podglądacie, jak się dziewczyny kąpią.

- A gdyby nawet... ktoś przecież musi dbać o ich bezpieczeństwo.

- Dobrze, ale skoro nie mam przepaski, musi mi ją zastąpić coś innego.

Powoli rozpiął małe guziczki jej stanika.

- Tego też Lakotyjki nie noszą. Niczym nie krepują piersi. Wkładają suknię wprost na ciało.

Przekomarzanie skończyło się. Stanik opadł na ziemię. Stała teraz przed nim, cała drżąca, a on pieścił wzrokiem jej piersi. Nagle poczuła, że coś się w niej porusza, że jakaś gorąca fala zaczyna się rozlewać i kipieć w jej łonie. Z przymierzaniem sukni mogą jeszcze poczekać - pomyślała.

- Czy pragniesz mnie znowu, Jacob? - jak echo wróciły do niej słowa, które kiedyś tak bardzo ją zmieszały.

Patrzył na nią płonąącym wzrokiem.

[i - Pragnę cię, *wiwaśteka*, ale gdy cię teraz dotknę, to już nie wypuszczę.

- Więc mnie dotknij! - szepnęła.

Patrzyli sobie w oczy i żadnemu z nich nie drgnęła nawet powieka, gdy Carolina położyła jego ręce na swoich piersiach.

Spadł na jej usta zachłannym pocałunkiem, który zapierał dech. Nie czuła nawet, kiedy jej stopy oderwały się od ziemi, gdy wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Niecierpliwie zdarł z siebie ubranie. Pieścił jej ciało drobnymi pocałunkami, od których coraz bardziej rozpałały się zmysły, a płynące z głębi łona požądanie ogarniało ją bez reszty.

Jacob nie tylko dobrze rozumiał pragnienie Caroliny, ale chciał je jeszcze bardziej spotęgować; pragnął doprowadzić ją do szaleństwa. To nic, że stale podkreślał: „Je-

steś wolna, nie musisz czuć się ze mną związana". Gdy do głosu dochodziło jego ciało, okazywało się, że ono pragnie mieć ją na własność. Wciąż przypominało, że ona także go potrzebuje, że należy do niego, że tylko on potrafi ją do końca zaspokoić.

Muskając końcem języka delikatną dolinkę pod jej pępkiem, pomyślał nagle, jakby to było dobrze ożywić jej łono swoim nasieniem. Zastanawiał się przez chwilę, czy białe kobiety, tak jak Lakotyjki, wiedziały, co robić, by uniknąć zapłodnienia, ale rosnące pożądanie szybko przegoniło tę myśl.

Rozchylił jej nogi i delikatnie ukąsił zębami czułe miejsce między jej udami. Cichy jęk Caroliny spotęgował jego podniecenie. Chciał dostać się jeszcze dalej. Nigdy nie pieścił w ten sposób żadnej kobiety. Coś mówiło mu „nie! to się należy tylko jej mężowi”, ale natychmiast przyszła refleksja: „przecież to ja jestem jej mężem”. W gorączce pożądania szeptał: *Nimitawa ktelo*, ofiarowując jej intymną pieśczętę, piękną tylko przez to, że taką czyniła ją jego miłość.

Leżała z szeroko otwartymi oczami i wciąż powtarzała jego imię, pozwalając się pieścić, póki nie ogarnął jej dreszcz rozkoszy. Wtedy poczuła go nad sobą i w momencie gdy się połączyli, usłyszała:

- Wiana... *nimitawa ktelo*...
 - O, tak! - szepnęła - tak, Jacob! Tak!
- I stali się jednym ciałem.

Potem przez długi czas leżeli objęci, przekazując sobie lekkimi dotykami i pieśczętami to, czego się nie dało powiedzieć słowami. W końcu szepnął jej do ucha:

- Teraz przebioreę cię za Lakotyjkę, *waśtelakapi*.
- *Waśtelakapi*? Co to znaczy?

- To znaczy „moja ukochana”, to znaczy, że cię kocham, Carolino!

Przytuliła twarz do jego ramienia i przywarła do niego jak najciaśniej.

- Cały czas marzyłam, że kiedyś mi to powiesz.

- Wiem. Wstrzymywałem się, nie chciałem ci tego wyznać, choć, z drugiej strony, nie miałem prawa zachować tej prawdy dla siebie. - Z żalem oderwał się od niej. - Chodź, niech cię zobaczą w sukni mojej mamy!

Leżąc, przyglądała mu się, jak wkłada swoją przepaskę biodrową i legginsy. Uśmiechnął się, widząc, że ona nie rusza się z łóżka. Podszedł do umywalki, przyniósł jej wilgotną ściereczkę, a potem dyskretnie się odwrócił i wciągał przez głowę swoją koszulę z kożlej skóry. Następnie pozbierał i włożył na siebie resztę rozrzuconego ubrania. Nową batystową koszulę dokładnie złożył i troskliwie odłożył na bok.

- Chodź, maleńka! Tak się niecierpliwiłaś, żeby przymierzyć tę suknię, więc teraz wstań i włóż ją na siebie.

Ubieranie jej w suknię mamy przemieniło się w całą ceremonię. Jacob owiązał ją paskiem w talii, podał legginsy i mokasyny, a potem splótł jej włosy w war-kocze, wplatając w nie rzemyki, bogato zdobione paciorkami i leciutkimi białymi piórkami. W końcu cofnął się o krok, by ją podziwiać, i zachwycony wyszeptał: *Mitawin...* Spojrzała na niego pytająco.

- To znaczy, że jesteś moją kobietą. - A w myśli dodał: moją żoną.

Otoczyła jego szyję ramionami.

- A co mówiłeś do mnie przedtem, kiedyśmy się kochali?

- Powiedziałem coś, czego nie miałem prawa powiedzieć. Powiedziałem ci: „A teraz będziesz moja”.

- Powiedz to jeszcze raz! - szepnęła i dodała - po lakotyjsku!

- *Namitawa ktelo* - powtórzył.

- Jak to pięknie brzmi w twoim języku. Nie rozumiem, dlaczego odmawiasz sobie prawa do mówienia mi tak pięknie brzmiących słów.

- Bo mężczyzna nie ma prawa wziąć kobiety, jeśli nie ma jej nic do ofiarowania.

- Przestań! Nie masz racji! A co, jeśli ja je wypowiem? Chyba kobieta też ma do tego prawo?

- Tak!

- *Nimitawa ktelo* - powtórzyła, naśladowując jego wymowę. - I wiesz, że ja też nie mam ci nic do ofiarowania. Majątek ojca przejdzie na mego brata. Żadnych ślubnych prezentów od nikogo z rodziny nie oczekuję. Ta chata też do mnie nie należy. Jeśli, jak to jest w waszym zwyczaju, ja miałabym zadbać o to, żebyśmy mieli gdzie mieszkać, musiałabym zbudować tipi własnymi rękami. Jestem tylko kobietą, ale mam głowę na karku i sprawne ręce, więc, na Boga...

- Szsz... - przytknął jej palec do warg i smutno się uśmiechnął. - Ale ty wciąż się cieszysz szacunkiem w swoim społeczeństwie i żyjesz normalnym życiem. Nie pozwól, żebym cię tego pozbawił.

Wziął jej twarz w obie swoje dłonie.

- Mogę ci ofiarować swoją miłość, ale nie śmiałbym ci proponować, żebyś dzieliła ze mną życie. Nie mam prawa nazywać cię swoją...

- To bez sensu, co mówisz. Przecież nie wymagam od ciebie żadnych zobowiązań. Proszę tylko, żebyś pozwolił mi być ze sobą tak długo, jak długo będziesz mnie kochał. Jeśli jednak nasza miłość ma ciążyć twemu sumieniu, to możesz mnie, oczywiście, zostawić i odejść.

- Wiesz, że nie mógłbym tego zrobić.

- Teraz już przynajmniej wiem, na czym stoję. Nie możesz się ze mną ożenić, ale nie możesz też mnie opuścić. Trudno, jeśli nie możesz, to nie... Jestem skłonna na razie zaakceptować taką sytuację. Choć mam nadzieję, że wkrótce zrozumiesz, jaką decyzję powinieneś podjąć. Jest tylko jedno rozwiązanie, które nam obojgu przyniosłoby szczęście. Ale teraz chcę, żebyś wiedział, że w głębi mego serca jestem twoja.

- Dobrze, maleńka. Przyjąłem to do wiadomości. A teraz chodź, zobaczymy, czy potrafisz jeździć na twojej nowej klaczy.

Siedziała na samej derce, bo Jacob powiedział, że musi się nauczyć jeździć bez siodła.

- Nigdy nie będziesz stanowiła jedności z koniem, jeśli między tobą a nim będzie siodło.

- Ale ja wciąż tracę równowagę - narzekała. - Mam wrażenie, że się ześlizguję na jedną stronę.

- To dlatego, że klacz jest w ruchu, a ty siedzisz na niej sztywno. Gdy będziesz się poruszała razem z nią, potrafisz utrzymać równowagę.

Cały czas obserwował jej jazdę i wiedział już, że pełna gracji dereszowata klacz i ta smukła kobieta o niezwykle silnej woli nawiązują coraz lepszy kontakt. Carolina starała się skoordynować swoje ruchy z ruchami zwierzęcia i w końcu jej się to udało. Napięcie zniknęło z jej twarzy, gdy poczuła, że jej biodra coraz lepiej współgrają z rytmem biegu konia.

- *Wašte yelol* - zawołał, śmiejąc się do Caroliny, kiedy przejeżdżała obok. Komplement sprawił, że cała się rozjaśniła. Wspaniale wyglądała, siedząc na koniu w obszytej koralikami sukni z delikatnej skóry, z frędzlami, które fruwały wokół rękawów, i warkoczami podskakującymi na jej piersi.

- Ach, Jacob! Ta klacz jest wspaniała. - Brakło jej tchu, gdy ześlizgnęła się z jej grzbietu. - Musimy ją nazwać po lakotyjsku. Jak się po waszemu mówi „tornado”?

- *Tate iyumni*, ale to za długie zawołanie. Zanim je wymówisz, zapomnisz, po co ją przywoływałaś. Samo *tate* wystarczy. To znaczy wiatr!

- Tak, Tate to dobre imię. - Przytuliła twarz do pyska klaczy: - Nazywasz się Tate - przemawiała do niej - i jesteś szybka jak wiatr.

- Raczej jak zefirek, inaczej nie pozwoliłbym ci na niej jeździć.

Pogładziła go po policzku.

- Dziękuję ci za Tate, Jacob! Teraz, kiedy przyjąłam twój prezent, chciałabym wiedzieć, co mamy dalej robić, żeby móc uchodzić za parę.

- U nas mężczyzna chcący się ożenić, musi się wykazać pewną liczbą bohaterskich wyczynów. Takim czynem jest, na przykład, dotknięcie ręką żywego wroga na polu walki. Jak tylko usłyszę, że ktoś wstąpił na wojenną ścieżkę, zaraz się do niego przyłączę - żartował.

- Jeśli aż takie są wymagania, to śluby pewnie należą do rzadkości...

- Trudno, tradycji musi stać się zadość. Stare obyczaje niełatwo gina. - Wziął od niej wodze i stał, przyglądając się odległym wzgórzom.

- Opowiem ci historię, która niedawno się wydarzyła. Jakiś rok temu trzech chłopcy z naszego plemienia pomalowali sobie twarze świętą czerwoną farbą i postanowili, że dokonają bohaterskiego czynu. Zgodnie ze starym obyczajem miała to być kradzież konia. Tylko że młodzi, zanim ruszyli na tę wyprawę, upili się. Oczywiście, przyłapano ich na kradzieży. I chociaż nic się nikomu nie stało, bo skradzionego konia zwrócili

- spojrział na nią kamiennym wzrokiem, a ona wstrzymała oddech - wszyscy trzej zostali powieszani. Jeden z nich był moim kuzynem.

- Tak mi przykro, Jacob. Żał mi nie tylko ich, ale i wielu innych. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Jeśli to, że jednej białej kobiecie jest przykro, ma w ogóle jakiegokolwiek znaczenie.

- Wiesz co, Carolino? Widzę, że nie zrozumiesz, jak się sprawy mają, dopóki nie ujrzysz wszystkiego na własne oczy. Pojedziemy tam razem, wierzchem.

- Dokąd? - spytała, choć była gotowa pojechać z nim wszędzie.

- Wszak w Dzień Niepodległości urządza się pikniki i spotkania rodzinne. Myślę więc, że piknikowe jedzenie weźmiemy ze sobą i pojedziemy odwiedzić moją rodzinę.

- Tak się cieszę. Czy mam zostać w tym stroju?

- Oczywiście, ale pod warunkiem, że ci w nim wygodnie, bo to będzie długa jazda. Zostaniemy tam na noc, jeśli się zgodzisz.

- Czy się zgodzę? - rzuciła się go całować. - Ale pomóż rai wybrać jakiś prezent dla twojej mamy. Powiedz, co z tego, co ja mam, może się jej spodobać.

Uśmiechnął się. Ta biała kobieta miała w sobie istic lakotyjskiego ducha.

9

Carolina nie chciała się przyznać, że długa jazda wierzchem bardzo ją zmęczyła. Przez wiele godzin wlokła się z tyłu za Jacobem. Prawie nie rozmawiali. Zdawało jej się, że była nieraz niebezpiecznie bliska tego, by spaść z konia, a Jacob nic nie zauważył. Bała się, że gdyby wylądowała miękko na ziemi, też by tego nie spostrzegł. Był całkowicie zaabsorbowany jazdą.

Posuwali się dróżką wzdłuż grzbietu wzgórze. Mie-li stąd rozległy widok na rzekę, w pobliżu której parę tygodni temu biwakowali. Jacob zatrzymał się blisko gęstej kępy wysokich borówek, zszedł z konia i roz-łożył koc i sakwy tak, by krzaki osłaniały ich od wia-tru.

- Klacz jest nauczona, żeby ją uwiązywać do wbi-tego w ziemię palika, ale teraz trzeba jej dać luz. Niech się pasie.

- Dobrze, ale...

Wiedziała, że gdy tylko przyjdzie jej stanąć na zie-mi, okaże się, iż nogi ma jak z galarety. Usiłowała ze-brać się w sobie, by zsiąść z konia z szykiem, ale jej to nie wychodziło. Wtedy Jacob objął ją dłońmi w talii, uniósł do góry i postawił na ziemi.

- Moje mięśnie nie są przyzwyczajone do tak for-sownej jazdy - żaliła się.

- Mały spacer dobrze ci zrobi. Chodź, pójdziemy uwiązać klacz.

Spacerowali jakiś czas, a potem Jacob pokazał jej,

jak trzeba ćwiczyć nogi i stopy, aby je po długiej *jeździe* rozruszać. Rozsiedli się na kocach i zjedli zabrane przez Carolinę kanapki i piernik, popijając herbatą z menażki.

Z miejsca, w którym siedzieli, widać było wszystko jak na dłoni. Wąska rzeka przecinała się tu z niebieskoszarą ścieżką, wiodącą przez pofalowany bezkres prerii, ścieżka kilka razy skręcała i zawracała, zanim zniknęła za wzgórzem, aby ukazać się znowu na bardziej płaskim terenie. Z tyłu za nimi stok górski opadał raptownie w dół na porośnięte zieloną i brązową trawą łąki, ciągnące się aż po linię horyzontu. Słońce stało wysoko na niebie, a nieliczne białe obłoczki nie dawały cienia.

- Nim minie dzień, staniesz się czerwonoskóra - ostrzegł ją żartobliwie Jacob - a potem będziesz się łuszczyła jak wąż.

- Może powinnam była włożyć kapelusz, ale nie pasowałby do tej sukni.

- Masz rację: nie pasowałby. Te suknie nosi się u nas od wielu pokoleń. Dawniej, zanim biały człowiek przywiózł nam koraliki, ozdabialiśmy je kolcami jeżozwierza. Co innego ta piękna suknia, którą miałaś na sobie rano. To pewnie ostatni krzyk mody.

- Nie bardzo. Teraz kobiety noszą turniury. Nie widziałeś?

Po jego śmiechu poznała, że widział.

- Czułabym się równie źle w turniurze jak ty w długich kalesonach.

Zachichotał.

- Ale z ciebie buntownica... To niebezpieczna cecha u białych kobiet.

- A u Lakotyjek?

- U Lakotów kobiety mają wiele do powiedzenia.

Coś mi się zdaje, że twój Bóg kazał ci się urodzić w nieodpowiedniej skórze.

- A czy to w ogóle ma jakieś znaczenie? Nazywają cię czerwonoskórym, ale twoja skóra opala się w słońcu na brązowo, a moja na czerwono. Jesteśmy po prostu ludźmi. Myślę, że Pan Bóg chciał, żeby ludzie byli różni...

- Spójrz na tę dolinę pod nami. Co tam widzisz?

- Ziemię, trawę, rzekę, a w dole nawet małego stepowego pieska.

- A ja, gdy tak jak teraz stoję na szczycie tego wzgórza i ciepły letni wiatr owiewa mi twarz, widzę nie tylko to, co ty, ale znacznie więcej... Widzę obrazy z przeszłości.

- Opowiedz mi o tym!

- Widzę siebie jako bardzo młodego chłopca. Jestem tu z bratem Tokalą i naszym wujem, którego wysłano na zwiady, by znalazł dobre koczowisko. Wuj uczy nas, że szukając odpowiedniego miejsca na obóz, trzeba zwracać uwagę na wodę do picia i drewno na opał. - Jacob wskazał ręką na topole i lśniąca w dole rzekę. - Wuj poucza nas także, że obóz trzeba zawsze rozбивać na otwartej przestrzeni, a nie w lesie, bo tam wróg mógłby nas łatwo otoczyć. Wsłuchujemy się pilnie w jego słowa, bo, być może, któregoś dnia nam przypadnie rola zwiadowcy.

Spojrzał na nią.

- Czy mam mówić dalej? Chcesz wiedzieć, co jeszcze widzę, patrząc na tę dolinę?

- Tak! Proszę! Mów!

Wyciągnął rękę i zatoczył nią szeroki łuk.

- Tam w dole są nasi ludzie. Dużo ich, a poruszają się tak, jakby stanowili jedno. Kobiety prowadzą swoje konie, które ciągną włóki z namiotowych żerdzi, a na

nich nasz dobytek. Rozmawiają ze sobą, strofują dzieci, a one bawią się i dokazują. Dorośli cierpliwie to znoszą, bo dla nich śmiech dziecka brzmi jak muzyka. Mężczyźni dumnie siedzą na koniach. Mają na sobie trofea: orle pióra, skalpy, woreczki z amuletami o czarodziejskiej mocy. Pochód zamykają starsi chłopcy, opiekujący się końmi. Czujki rozchodzą się, by szukać bizonów. Wkrótce będzie polowanie.

Nasz pochód doszedłby pewnie w sierpniu do Pana Sapa, Czarnych Wzgórz na południu. Tam spotkalibyśmy się z przyjaciółmi z innych szczepów. Niektórzy starsi chłopcy i mężczyźni odtanńczyliby zapewne taniec słońca. Żyliśmy w ciągłym ruchu, a kraj, który leżał przed nami, był otwarty i wolny. I mieliśmy przed sobą przyszłość. Carolino? Czy ty to rozumiesz?

- Tak! - odpowiedziała cicho. Nie była jednak pewna, czy mówiąc o ciągłym ruchu, Jacob myślał o tym samym co ona, więc dodała: - Wydaje mi się, że rozumiem...

- Miałem wówczas małe marzenia, bo sam byłem jeszcze mały. Marzyłem więc, by wyrosnąć na dużego chłopca, jak mój brat, i przygotować się do chwili, gdy zostanę mężczyzną. Ideałem mężczyzny był dla mnie mój ojciec i wuj. Obaj dokonali wielu bohaterskich czynów i byli powszechnie szanowani.

Dawne ideały wciąż są przy mnie, nawet teraz, gdy kazano nam mieszkać w rezerwacie. Bo ja, Carolino... ja wciąż pamiętam wolność.

- To wszystko działa się tak dawno temu, a wciąż żyje w twojej pamięci...

- Marzenia młodego umysłu żyją długo. Nie możesz powiedzieć, że mnie dobrze znasz, jeśli nie wiesz, jakim chciałem być w swoich marzeniach, jakim mężczyzną chciałem pewnego dnia zostać.

Zadumany uśmiech Caroliny świadczył o tym, że umiała sobie wyobrazić to dziecko, jakim był kiedyś Jacob.

- Czy nie sądzisz, że my jesteśmy dobrzy w opowiadaniu historyjek? - spytał nagłe.

- Owszem! A ja jestem dobrą słuchaczką. Mów dalej!

- Potem nastąpiły trudniejsze czasy. Wciąż jeszcze byłem bardzo młody, gdy kilka rodów z plemienia Lakota: Hunkpapa, Oglala, Brule, połączyło się ze sprzymierzonymi rodami Czejenów i Arapaho i w walce z białymi zabili nad rzeką Greasy Grass dowódcę białych żołnierzy Custer. Pamiętam te czasy, choć Lakotowie rzadko wspominają ową wielką bitwę, pomni, jak bolesny był odwet.

Pamiętam, że bawiłem się z kilkoma chłopcami blisko rzeki, gdy biali po raz pierwszy zaatakowali obóz wojowników Hunkpapa. Uciekaliśmy jak stado królików. Nie słyszeliśmy nawet krzyku obwoływacza, *eyapaha*, który miał ostrzegać ludzi. Matka mnie odszukała, ale nie miała czasu na to, by mnie złapać. Szalony Koń przebił się przez okrażenie, a my wznosiliśmy okrzyki na jego cześć.

Carolina słuchała, zafascynowana. Wiedziała, że to, co opisywał, dotyczyło straszliwej masakry pod Little Big Horn sprzed ponad dwudziestu lat.

- Przypominam sobie - wtrąciła - że czytałam o tym w gazetach. Podobno w bitwie brało udział cztery tysiące wojowników i tylko sześciuset żołnierzy.

Jacob uśmiechnął się.

- Zdaje mi się, że w gazetach pisano wówczas o mordercach, czerwonych diabłach, a nie o wojownikach. Ale nie było nas tylu, chyba że doliczysz ko-

biety i przerażonych małych chłopców, których, ze względu na ich bezpieczeństwo, słoczono w jedną gromadę. Może wtedy te liczby będą bliższe prawdy. Gdyby jednak Custer zaczekał na posiłki, na te dwa oddziały żołnierzy, które były już w drodze, to, być może, moglibyśmy się wtedy zmierzyć jak równy z równym, mężczyzna przeciw mężczyźnie.

Jacob wolno potrząsał głową.

- O, tak, w tej bitwie było całkiem inaczej niż wówczas, gdy Custer zaatakował bezbronną wioskę nad Washita River. Tym razem napotkał uzbrojonych wojowników, którzy zaciekle walczyli w obronie swoich rodzin. Zwycięstwo było słodkie, mimo że nie zdążyliśmy się nim nacieszyć. Rozpierzchliśmy się i uciekli, gdy tylko przybyły dalsze oddziały. I wtedy nadeszły dla nas ciężkie czasy: nękał nas głód i chłód. Biali żołnierze ścigali nas przez całą zimę. Moja rodzina uszła razem z naszym kuzynem Gallem i Siedzącym Bykiem do Kanady, ale potem zatęskniliśmy za ojczystymi stronami i w końcu poddaliśmy się, pozwalając zamknąć się w rezerwacie. Zgodziłem się chodzić do szkoły. Moja matka uważała, że skoro będziemy musieli w przyszłości mieć do czynienia z białym człowiekiem, to trzeba go poznać i nauczyć się jego dziwnych zwyczajów. Mówiła, że misjonarze są lepsi od żołnierzy, więc poszedłem uczyć się do nich, a kilka lat później wysłano mnie do Carlisle.

Powróciłem latem tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku. Czułem się bardzo osamotniony. Moi rodacy wydali mi się kompletnie zwariowani. Ogarnął ich szal tańca, który miał rzekomo sprowadzić na powrót bizona. Tęsknili do dawnego życia i ta tęsknota była gorsza niż głód, który trawił ich żołądki.

Mój ojciec nie przestawał tańczyć tańca duchów, li-

cząc, że pojawi się zbawca, który przyprowadzi bizona i sprawi, że biały człowiek zniknie z naszej ziemi. Misjonarze tłumaczyli nam, że marzenia o zbawcy tylko ogłupiają nasz lud. Ale Tokala był innego zdania i to on był dla mnie autorytetem: miał za sobą bohaterskie czyny i był mężczyzną.

Wciąż chciałem się wzorować na ojcu i bracie, i tańczyłem z nimi, chociaż nie wierzyłem, że cokolwiek może spowodować powrót bizonów albo przywrócić życie kobiecie, którą utraciłem.

- Jak ona się nazywała?

Spojrzał na nią dziwnie zwężonymi oczami.

- Jeśli osoba, którą kochamy, umrze, nie wolno wymieniać jej imienia. Jej duch mógłby mnie potem prześladować.

- Przepraszam - szepnęła.

- Czy moje opowiadanie nie nuży cię?

- Nie! Chcę wiedzieć, co było dalej.

- Tańczyłem taniec duchów, zęby być razem z ojcem. Ten taniec stał się ostatnim zrywem Lakotów, ostatnim tchnieniem naszego narodu. To przez ten taniec szlachetnie urodzeni biali osadnicy znowu musieli uciekać i chronić się przed nami w swoich fortach. Armia posłużyła się indiańską policją, aby przywrócić spokój. Zamordowali Tatanka Iyotaka, którego wy nazywacie Siedzącym Bykiem. A potem pod Wounded Knee Creek dzielni biali żołnierze wyrznęli marznącą gromadę naszych na wpół zagłodzonych mężczyzn, kobiet i dzieci.

- Nawet dzieci? - spytała, przerażona.

- Czyżby twoje gazety nie wspominały o dzieciach? O armatach, z których strzelano do bezbroni-nych? O strzelaniu do emisariuszy z białymi flagami też chyba zapomnieli?

- Ach, Jacob...

- Największym zaszczytem dla wojownika plemienia Lakota było dotknąć żywego wroga. Dotknięcie go na polu walki było bohaterskim czynem, gdyż trzeba było podejść blisko, dotknąć go i odjechać. Zanim zrozumieliśmy, że dla białego żołnierza takim samym zaszczytem było wywijać na ostrzu szabli zabitym indiańskim dzieckiem, było już dla nas za późno.

- Ale chyba nie wszyscy nasi żołnierze tak postępowali... - Łzy piekły ją w gardle, a w duchu modliła się: Boże, proszę Cię, spraw, aby nie wszyscy...

Jacob przymknął oczy i ciężko westchnął. W uszach brzmiał mu jeszcze dźwięk trąbki, który prześladował ich tamtej zimy i czuł dręczący ból głodu.

- Oczywiście, że nie wszyscy - stwierdził z goryczą - ale oni przyjechali tu po to, żeby zabijać, a nie po to, żeby zaliczać bohaterskie czyny...

- A wasi ludzie ciągle tańczyli?

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie tańczyliśmy już, bo chcieliśmy pozostać przy życiu. Mnie to nie martwiło. Nigdy nie wierzyłem, że koszule z wymalowanymi symbolami ochronią nas przed kulami, nie wierzyłem też, że powrócą bizona. Mnie bolało to, że biali odebrali nam także prawo do tańca słońca. Pragnąłem spełniać swoje dawne marzenia, zaliczać bohaterskie czyny i zasłużyć na szacunek mego ludu, tak jak mój ojciec i brat. Taniec słońca był zawsze najlepszą okazją dla młodych ludzi, by mogli wykazać się bohaterstwem i odwagą.

Patrzył na nią błyszczącymi z podniecenia oczami.

- Jak mój naród może zapomnieć o dawnym życiu? Przecież to nowe, które narzucili nam biali, nie stwarza żadnych możliwości egzystencji. To tylko pu-

ste obietnice, skąpo raq'onowana żywność, kopanie bruzd w błocie i nieustanne głowienie się, jak zdobyć środki do życia. Odarli nas z męskości tak dokładnie, jakby nas wykastrowali.

- Nie mów tak! Jesteś bardziej męski niż...

- Bardziej męski niż kto, Carolino? Niż ci starsi panowie, których nasyłał ci ojciec? Bardziej męski niż żółtowłosa Custer? Bardziej męski niż Culley, który bezustannie węszy za kobietami? - Zerwał się z miejsca, stanął nad nią i dziko gestykulując, wołał: - Porównujesz mnie do białych mężczyzn? Ja jestem Lakota...

Podeszła do niego, starając się go uspokoić.

- Nie znam innych mężczyzn. Znam tylko ciebie, Jacob, i wierzę...

Chwycił ją za rękę.

- Najpierw pozwól mi skończyć, a dopiero potem powiesz mi, w co wierzysz. Nigdy dotąd nikomu tyle nie mówiłem o swoim życiu. Chcę, żebyś poznała całą prawdę, zanim zobaczysz, jak żyje moja rodzina i gdzie naprawdę mieszkam. Chcę, żebyś się dowiedziała wszystkiego o moim ojcu i bracie, którzy kiedyś byli mężczyznami i na moich oczach tego dowiedli...

Widząc, że Carolina słucha go z ogromnym zainteresowaniem, uspokoił się i zaczął mówić łagodniejszym tonem:

- *Ate*, mój ojciec, umiera. Choroba ciała już wkrótce wyzwoli go od bólu, który trawi jego duszę. A Tokala, którego imię znaczy Szybki Szary Lis, który był kiedyś wspaniałym wojownikiem i nosił się dumnie, teraz nie potrafi utrzymać rodziny i topi swój ból w whisky. Tokala kocha żonę i synków, tak jak każdy mężczyzna kocha swoją rodzinę, ale gdy jest pijany, uciekają od niego i chowają się. Pod wpływem alkoholu wpada

w szał, staje się niepoczytalny i najokrutniej dręczy właśnie tych, których kocha... Rozumiesz to, Carolino?

Potrząsał nią, a ona, milcząc, potakiwała i łzy spływały jej po twarzy.

- To niemożliwe, żebyś rozumiała... Patrzysz tam na dół i widzisz tylko ziemię i pieska stepowego... Mężczyzna, który kiedyś stał na tym wzgórzu i patrzył stąd na swój naród, na silnych i wolnych ludzi, którzy byli w nieustannym ruchu, nie może teraz żyć na rządowych zasiłkach, zamknięty w rezerwacie. Mój brat często jest tak pijany, że pada na ziemię i nurza twarz we własnych wymiocinach. Hańbi się przed rodziną, ale cóż to dla niego znaczy, skoro hańba naszego narodu rozdarła mu serce.

Carolina przygryzała dolną wargę. Zdusiła szloch, lecz nie mogła powstrzymać łez.

- Nie chcę twojej litości, dziewczyno - mówił z chmurną twarzą. - Nie chcę, żebyś się litowała nad moją rodziną i nade mną.

- To nie jest litość - broniła się. - Widzę te sprawy tak, jak mi je przedstawiasz, i czuję taki sam ból jak ty. Wstydzę się, bo to moi ludzie wyrządzili wam zło. - Zauważyła, że jego twarz powoli łagodnieje, wyprostowała się. - Ale powiedz, czy ja mam być za to odpowiedzialna? Przecież ja cię kocham i nie zrobiłam nic złego.

- Nie, ty nie! - szeptał. Potrząsnął głową i przygarnął ją do siebie. - Nie ty, *waśtelakapi!*

- Dzielę twój ból, kochany, naprawdę go dzielę.

- Chciałbym co innego z tobą dzielić, ale nie mogę i mówię ci to wszystko właśnie po to, żebyś wiedziała, dlaczego nie mogę.

- Potrzebuję twojej miłości, Jacob!

- Masz ją! - Chciał ją całą sobą otulić, przyciskał

jej głowę do szyi. Niech tylko nic jej się nie stanie, niech nikt jej nie zrani! - modlił się. Ale nagle odsunął się od niej i siląc na spokój, powiedział ze smutkiem:

- To, czego ci najmniej trzeba, to mieć męża Lakotę!

- Nie trzeba mi teraz męża - odrzekła, i wytarła łzy wierzchem dłoni. - Przecież już to uzgodniliśmy. Na dziś wystarczy mi, że ty jesteś moim mężczyzną, a ja twoją kobietą.

- *Miławin* - szepnął - moja kobieta. - A po chwili dodał już pełnym głosem: - A teraz chodźmy pokazać *Inie*, jak pięknie cię wystroiliśmy, maleńka.

Rodzice Jacoba zajmowali małą chatę, stojącą na otwartej przestrzeni niedaleko rzeki. W zasięgu wzroku, patrząc w dół rzeki, znajdował się domek jego brata, zbudowany z bierwion. W pobliżu domku Tokali leżało małe poletko kukurydzy, sięgającej nie wyżej kolan. Natomiast obok chaty *Iny* widać było nieduży, ale zadbane i dobrze zaopatrzone ogród. Matkę Jacoba zastali w prymitywnej altanie. Cztery słupy podtrzymywały dach, przykryty gałęziami wierzby. Z takich samych gałęzi zrobione były trzy ściany: czwartej nie było. Altana miała wejście od wschodu.

Jacob wziął z rąk Caroliny wodze i uwiązał konia. Potem stali i patrzyli, jak stara kobieta wstaje i idzie ich powitać. Zanim Jacob ruszył w jej stronę, Garolina chwyciła go za rękę:

- Daj mi znak, gdybym zaczęła zachowywać się nie tak, jak trzeba. Nie chciałabym powiedzieć albo zrobić czegoś niewłaściwego.

- Moja mama nie jest królową Anglii. Zachowuj się normalnie, bądź sobą, a nikogo nie obrazisz. Zresztą, moja matka jest tu jedyną osobą, z którą będziesz mogła porozumieć się po angielsku.

Matka Jacoba wyszła z altany uśmiechnięta i szybko się do nich zbliżała.

- Mama cię lubi - ucieszył się Jacob, biorąc Carolinę za rękę. - To dobrze! Nie musisz się już niczym przejmować. - *Ina* - zawołała - masz gościa!

Jednakowo serdecznie witała syna i Carolinę, wyciągając ku nim ręce, równocześnie pogłaskała każde z nich po policzku.

- Widzę, synu, że noga już w porządku. Dobrze cię twoja kobieta wyleczyła. Ty też ładnie wyglądasz, córko. - Mówiąc to dotknęła karczku sukni, który dawno temu wyszyła kolorowymi koralikami. - Jesteś szczęśliwa z moim synem?

- Tak, *unciśi*, twój syn uczynił mnie bardzo szczęśliwą.

- Dba o ciebie?

- Dał mi tę wspaniałą klacz! - głową wskazała na konia.

- Czy twoja kobieta nie ma ojca? - spytała syna.

- Carolina jest tutaj sama - wyjaśnił. - Dałem jej mego najlepszego konia i przyjęła go.

- Mój mąż dał za mnie wiele koni memu ojcu - pochwaliła się matka. Potem jeszcze raz zerknęła na klacz i dodała: - Teraz jeden dobry koń znaczy mniej więcej to samo.

- *Unciśi*, ta suknia jest bardzo piękna. To dla mnie zaszczyt, że mogę ją nosić. - Carolina wyjęła z sakwy drewnianą szkatułkę, przekreśliła kluczyk i podniosła wieczko. Rozległy się dźwięki pozytywki i na twarzy starej kobiety pojawił się uśmiech.

- To dla ciebie - powiedziała dziewczyna.

Krótkim skinieniem głowy, jak tego wymagał obyczaj, *Ina* wyraziła jej swoją wdzięczność za pamięć i podarunek.

- *Cinks* - zwróciła się do syna - idź do ojca i powiedz mu, że przyprowadziłeś swoją kobietę. - Ręką wskazała na tipi, które stało w niewielkiej odległości od chaty. - A ty, córko, chodź ze mną. Pokażę ci, jak się stawia namiot. - Włożyła pozytywkę do skórzanego woreczka u pasa i ruszyła w stronę chaty.

Carolina spojrzała z nadzieją na Jacoba, ale on, posłuszny matce, oddalił się w stronę ojcowskiego tipi. Nie pozostało jej więc nic innego, jak pójść za *Inę*.

Przekroczywszy próg chaty, musiała przez chwilę pozwolić oczom przywyknąć do panującego tu mroku. Wewnątrz było tylko jedno małe okienko z zabrudzoną szybą. Czuło się niemiły zapach klepiska z ubitej gliny i darni, pokrywającej belki i gałęzie nad głową. To pomieszczenie przypominało raczej szopę niż dom mieszkalny. Na kołkach wbitych w ściany wisiały skórzane przedmioty, a stosy surowej skóry i koców leżały po kątach. Z sufitu sterczała rura od pieca, która urywała się nagle w środku pokoju, jakby zawieszona w próżni. Zapewne kiedyś w tym miejscu łączyła się z piecem.

Kobieta sapała, usiłując unieść pęk skór spod ściany. Carolina natychmiast przysła jej z pomocą, i razem przeniosły ciężkie przykrycie tipi na zewnątrz. Teraz przysła kolej na leżące blisko chaty żerdzie, z których miał powstać szkielet namiotu. Trzeba je było przenieść kawałek dalej, bo tipi powinno stanąć w takim miejscu, by razem z innymi wpisać się w linię koła. Carolina zabrała się do przeciągania żerdzi na nowe miejsce. Gdy już przeniosła ostatnią i mogła się wreszcie wyprostować, spojrzała na pobliskie tipi i zastanawiała się, kiedy siedzący tam mężczyźni zdecydują się wyjść i jej pomóc.

Nikt nie wyszedł. Pomoc okazała jej jedynie *Ina*. Zaczęła od tego, że ustawiła trzy tyczki w stożek. Po-

tem dostawiła ich więcej i przykryła szkielet skórą ze znanego Carolinie tipi, na której wymalowany był ptak, symbolizujący Czarnego Jastrzębia.

Carolina nie odstępowała jej i starała się nauczyć od niej wszystkiego, co łączyło się ze stawianiem tipi. Gdy namiot był już gotowy, i obie niosły naręcze drew, by rozpaścić w nim ognisko, Carolina zorientowała się, że dotąd nie widziała Ruth. Spytała o nią i dowiedziała się, że córka pomaga swojej bratowej rozbierać mięso.

Indianka z ulgą zrzuciła niesione drwa i powoli prostowała obolałe plecy.

- Może weźmiesz to tipi ze sobą na ranczo - proponowała.

- Nie! Myślę, że będziemy je nadal trzymać tutaj, bo Jacob potrzebuje tipi na polowaniach.

- A jaki ty masz dom?

Carolina od razu przypomniała sobie, że to kobieta ma obowiązek wnieść w posagu dom.

- Mam chatę - odpowiedziała. - Jest podobna do twojej.

- W tej chacie latem jest za gorąco, a zimą czuć w niej stęchlizną.

Z tyłu doszedł Carolinę stłumiony śmiech Jacoba. Wrócił już od ojca i dołączył do nich.

- W tipi jest znacznie chłodniej - zgodziła się dziewczyna. - Chciałabym, żebyś mnie nauczyła wykonywać różne przedmioty ze skóry i ozdabiać je haftem z koralików.

- A umiesz szyć, córko?

- Carolina świetnie sobie radzi z szyciem - pochwalił ją Jacob. - Umie także uprawiać jarzyny i gotować. Z zawodu jest nauczycielką: uczy dzieci, tak jak misjonarze.

Słuchając, jak Jacob wylicza umiejętności swojej kobiety, matka tylko przytakiwała.

- To dobrze! - powiedziała w końcu i dodała: - Mój syn umie czytać. Gdy nam przynoszą jakiś dokument i każą podpisać, zawsze im mówię, że na przód nasz syn musi nam go przeczytać na głos. I chociaż dokument jest po angielsku, Jacob czyta nam to wszystko po lakotyjsku. - Przeciagnęła dłonią po twarzy. - A wtedy tym białym wydłużyła się twarz i robiła wielkie oczy. - Rzuciła szybkie spojrzenie na Jacoba i dodała: - Mam także prawdziwy żeliwny piec kuchenny. Mój syn mi go dał. Chodź i zobacz!

Przeszli do wierzbowej altany. Wskazując na piec, Jacob wyjaśnił:

- Odkupiłem go od Charlesa, gdy zainstalował sobie nowy. Nie wyobrażasz sobie, co to była za praca z przeniesieniem go tutaj.

Aromat gotującej się dziczyzny wypełnił altanę. Carolina przypatrując się piecowi zauważyła, że miał z tyłu otwór wentylacyjny.

- Jak to dobrze, że macie piec w przewiewnym miejscu. Bardzo bym chciała mieć taką altanę u siebie na podwórku.

- Syn mi ją zbudował i może tobie zrobić taką samą - powiedziała matka, poklepując Jacoba po piersi.

- A masz dobry piec? - Carolina zapewniła ją, że ma.

- Jak się czuje twój ojciec? - zwróciła się do Jacoba.

- Czy będę mogła się z nim spotkać?

- Czeka, żebym cię do niego zaprowadził. Chodźmy!

Po drodze Jacob wyjaśnił jej, jak ma się zachowywać.

- Ojciec nie będzie się do ciebie odzywał, Carolino, bo mężczyzna nie mówi do swojej synowej i ty nie

możesz mówić do niego. - Zawahał się, a potem wziął ją za rękę. - Mój ojciec jest bardzo chory, dlatego chcę cię o coś prosić.

- Moja matka także chorowała na płuca, może mogłabym mu w czymś pomóc?

Potrząsnął przecząco głową.

- Nigdy by się na to nie zgodził, maleńka. Ale sprawiłoby mu radość, gdyby mógł zobaczyć, jak, zgodnie z naszym starym obyczajem, zawieramy przymierze krwi.

Widząc, jak bardzo ją to zaszokowało, wziął jej kciuk w swoją dłoń i starał się jej wszystko wytłumaczyć.

- On zrobi tylko małe nacięcie na twoim i moim kciuku i potem je połączy. To dla niego ogromnie ważne. Powinienem chociaż tyle dla niego zrobić... jeśli się zgodzisz.

- Czy to coś znaczy?

- Dla ojca dużo.

Nie mogła rozpoznać po wyrazie jego oczu, co on sam o tym myśli. Dziwiła się, dlaczego Jacob nie chce się przyznać, że i dla niego ma to jakieś znaczenie. Carolina spojrzała na ich splecione dłonie i postanowiła nie odmawiać tej prośbie, mimo że ów zwyczaj był bardzo daleki od tradycji, w jakiej została wychowana.

Wygląd ojca Jacoba mile ją rozczarował. Spodziewała się schorowanego i zniszczonego staruszka, tymczasem zobaczyła mężczyznę o twarzy wprawdzie nieco pomarszczonej, ale siedzącego przed niewielkim ogniskiem z wyprostowanymi plecami i podniesioną głową. Miał długie, wciąż jeszcze kruczoczarne warkocze, a jego oczy, choć zmęczone, były uderzająco podobne do oczu Jacoba. Nosił ubranie z kozłej skóry,

ozdobione wieloma rzędami koralików, a na szyi, zawieszony na rzemyku, duży niedźwiedzi pazur. Wydawał się nie zauważać Caroliny i spokojnie pykał fajkę na drewnianym rzeźbionym cybuchu z główką z czerwonego kamienia. Do Jacoba mówił *cinks* i zaprosił go, żeby usiadł.

. - Miejsce kobiet jest z lewej strony tipi - poinstruował ją Jacob. Usiadła tam i wsłuchiwała się w śpiewny rytm lakotyjskiej mowy. Rozmawiając, ojciec i syn pykali na zmianę z tej samej fajki. Denerwowało ją, że często się śmiali, a ona nie rozumiała z czego. Miała wrażenie, że jej w ogóle nie dostrzegają.

Nagle starzec wstał i skierował się ku wyjściu, a Jacob poszedł za nim. Carolina już chciała zrobić to samo, ale Jacob, podniósłszy rękę, powstrzymał ją.

- Idziemy się teraz wypocić. Zaczekaj tu na nas.

Patrzyła za nimi z twarzą wtuloną w dłonie i zastanawiała się, jak i gdzie zamierzali się pocić. Myślała, że może chodzi o krótki bieg, ale ich nieobecność trwała tak długo, że mogliby w tym czasie dotrzeć na ranczo i z powrotem. Powinni byli pomyśleć, żeby jej zostawić coś do picia. Marzyła o filiżance herbaty, ale zadowoliliby się i wodą. Żałowała, że nie zostawili fajki, bo miała ochotę jej spróbować. Patrzyła w stronę wejścia i pomyślała, że może udałoby jej się wysliznąć stąd na krótko i wrócić, zanim obaj ponownie się tu zjawią. W końcu postanowiła jednak czekać. Wrócili tacy odświeżeni, że zapragnęła, by i jej dali szansę się wykapać.

Teraz się zaczęło: Jacob wyjął z pochwy nóż i w- ..
tknął go między rozżarzone węgle. Jego ojciec zaintonował jakąś dziwnie niepokojącą pieśń i śpiewał z tak uroczystą powagą, że Carolina uznała, iż to na pewno modlitwa. Potem Jacob wręczył nóż ojcu, a ten

naciął nim opuszkę jego kciuka. Carolina, nie spuszczać oczu z ukochanego, wyciągnęła dłoń. Uczuła kłujący ból i zapragnęła, by Jacob spojrział w tym momencie w jej oczy i zobaczył, jak wielkie jest jej oddanie.

Ich kciuki przyciśnięto teraz do siebie i przewiązano paskiem z surowej skóry, aby krew jednego połączyła się z krwią drugiego. Oszołomiona ukłuciem i zafascynowana ceremonią, ze zdziwieniem przyjęła niespodziewany śpiew Jacoba. Jego pieśń rozbrzmiewająca coraz mocniejszymi tonami, zdawała się głosić pochwałę czegoś albo prośbę o coś, ale nie potrafiła się domyślić, o co chodziło.

Ta w sumie prosta i krótka uroczystość sprawiła, że Carolina poczuła się nagle swobodniejsza, jakby udało jej się wznieść ponad te wszystkie przeszkody, które Jacob ciągle dostrzegał na ich drodze. W jego pieśni także nie dosłuchiwała się pretensji ani rozżalenia.

Wizyta przedłużała się. Na Carolinę znowu nikt nie zwracał uwagi. Zdawała sobie sprawę, że ojciec Jacoba widzi ją, chociaż na nią nie patrzył. Chciała pójść za jego przykładem, ale nie mogła się powstrzymać, by od czasu do czasu nie spojrzeć na niego ukradkiem. Imponowała jej pełna godności postawa i ogromne opanowanie, dzięki któremu potrafił się nawet powstrzymać od kaszlu.

Gdy w pewnej chwili starzec pochylił się nad ogniskiem i zaczął wystukiwać nad nim popiół ze swojej fajki, Jacob wstał i bez słowa podszedł do drzwi. Carolina zerwała się z miejsca i podążyła za nim, nie oglądając się za siebie.

Skierował się prosto do swego tipi, a dziewczyna wydłużając krok, szła za nim. Po drodze mignęła jej z altany twarz Iny. Uśmiechnęła się do niej i zaraz

schyliwszy się, weszła za Jacobem do namiotu. Pierwsze co zrobił, to zasnuł wejściową zasłonę. Potem odwrócił się i wziął ją w ramiona.

- Nie myśl, że cię tu przyprowadziłem specjalnie dla zawarcia przymierza krwi, ale ojciec jest umierający i nie mogłem mu tego odmówić.

- Wytłumacz mi, jak to było z poceniem się? Co wyście robili, żeby się spocić?

W oczach Jacoba pojawiły się wesołe ogniki, ale się nie roześmiał.

- To także nasza stara tradycja: zrobiliśmy sobie kąpiel parową. Przygotowujemy ją w specjalnym namiocie. Polewając wodą rozżarzone kamienie, wytwarzamy parę. Taka kąpiel ma właściwości oczyszczające. Pociliśmy się z ojcem, siedząc w parze i rozmawiając. Potem pomodliliśmy się i aby zmyć pot, poszliśmy wziąć kąpiel w rzece.

Na samą myśl o tym Carolina dostała dreszczy.

- Ciekawa jestem, co twój ojciec sądzi o mnie? - spytała.

Mężczyzna uśmiechał się i pocałował ją w czoło.

- Powiedział, że masz dobre maniery i przyjemnie na ciebie patrzeć. Ma też nadzieję, iż damy sobie wzajemnie dużo radości i dużo...

- Dzieci?

Zawahał się.

- Tak!

- To znaczy, że jesteśmy małżeństwem?

- Tak! Zgodnie z prawem, które uznają moi rodzice, jesteśmy nim. Ale rozwód też nie jest skomplikowany. Wystarczy, że powiesz: „Biorę z tobą rozwód”, i gotowe... Zakładając, oczywiście, że nie przejmujesz się tym, co mówią misjonarze, bo oni wszystko komplikują.

Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że nie będzie wchodził w dalsze szczegóły.

- To ładnie z twojej strony, że zgodziłaś się na przy mierze krwi. Teraz nie będzie już problemów z ojcem.

Wieczorem wszyscy spotkali się na kolacji w alta nie. Zjawiła się także Ruth i bratowa Jacoba, Anptaniya. Gdy już cała rodzina zajęła miejsca na kocu, Carolina zorientowała się, że nie ma Tokali. Najwidoczniej nie chciano na niego czekać z kolacją. Najpierw otrzymali ją mężczyźni, a potem obsłużono kobiety i dzieci. Podano zupę z dziczyzny. Na deser był rodzaj kompotu z derenia, a do tego okrągłe kromki praś nego chleba.

Anptaniya, której imię znaczyło „poranna zorza”, miała wesołą okrągłą twarz, małe błyszczące oczy, szerokie plecy i rozłożyste biodra młodej matki. Wszystkie trzy Indianki ubrane były w podobne ciemne bawełniane spódnice i perkalowe bluzki. Spódnica Anptaniyi była na nią wyraźnie za ciasna, ale gdy poklepała się po małej wypukłości pod talią i uśmiechnęła do Caroliny, wszystko stało się jasne.

- Mam nadzieję, że urodzi ci się dziewczynka... Niechby chłopcy mieli siostrzyczkę - zwróciła się do Jacoba. - Jak się po waszemu mówi „dziewczynka”?

- *Winyan*.

Carolina gestem wskazała na brzuch Anptaniyi.

- *Winyan?* - spytała.

Kobieta zachichotała i przekazała przez Jacoba:

- Bardzo bym się cieszyła, gdyby to była dziewczynka, bo za chłopcami trzeba się cały dzień uganiać.

- Ale gdy będą starsi, wtedy ty będziesz się musiał zająć ich wychowaniem - przypomniała sobie, że kiedyś Jacob mówił jej o tym.

- Tak! - potwierdził. - To będzie mój obowiązek, a zarazem przywilej.

Po kolacji Jacob i jego ojciec zniknęli w tipi starca, a kobiety rozłożyły koc na podwórzu, aby nauczyć Carolinę pewnej gry. Grało się w nią pestkami śliwek i małym koszykiem. Znaki namalowane na pestkach powinny były odpowiadać symbolom na koszyczku. Carolina nie miała pojęcia o regułach gry, co wywoływało nieustającą radość pozostałych uczestniczek zabawy. Wkrótce wszystkie ogarnęła żywiołowa wesołość i śmiały się do rozpuku. Ilekroć przychodziła kolej na Carolinę, matka specjalnie wymyślała coraz to inne reguły, co prowokowało dziewczęta do jeszcze większych wybuchów radości. W końcu Carolina upadła na koc i zanosila się od śmiechu.

Jej śmiech urwał się raptownie, gdy otworzywszy oczy zobaczyła, że pochyła się nad nią jakiś mężczyzna. Rozglądał się trochę nieprzytomnie, jakby spadł z obłoków. Carolina najpierw szybko usiadła i ogarnęła się, a potem wstała. Mężczyzna wyglądał nędznie i był rozczochrany. Niemniej z twarzy i postawy przypominał jej Jacoba. To musi być Tokala - pomyślała.

Łypał na nią podejrzliwie rozbieganymi oczami. Carolina spokojnie stała w miejscu, choć z całej siły powstrzymywała się, by nie zwymiotować. Niedobrze jej się robiło od wstrętnego odoru, jaki bił od tego człowieka. Tokala chwycił ją nagle za warkocz i uważnie przyglądał się wplecionej we włosy wstążce. Mruczał przy tym pod nosem i dziewczyna wcale nie musiała umieć po lakotyjsku, żeby wiedzieć, że to pijacki bełkot.

W pewnej chwili położył rękę na ramieniu Caroliny i przejechał palcem po wyhaftowanym koralikami

karczku jej sukni, ze złością coś wykrzykując. Przez cały czas z trudem utrzymywał równowagę.

Carolina nie spuszczała z niego wzroku. Słyszała głos Iny i domyślała się, że energicznie go strofuje, ale on nic sobie z tego nie robił. Po dłuższej chwili Carolina zdołała wydusić z siebie:

- Ty jesteś Tokala, prawda? Brat Jacoba?

Spojrzał na nią zagadkowo, ale już za chwilę dostrzegła w jego wzroku wściekłość. Chwycił ją za ramię, krzyczał coś, bardzo rozeźlony, i mocno nią potrząsał. Potem znowu krzyczał, dysząc jej w twarz gorącym, kwaśnym oddechem.

- *Ciye!* - usłyszała i nagle zobaczyła, że Jacob i Ruth stanęli za Tokalą. Mimo to popatrzyła na niego wzrokiem, który dał mu poznać, że i tak nie stchórzyłyby przed nim.

- *Hiya, ciyel* - Jacob uchwycił ramię brata żelaznym uściskiem i Tokala natychmiast puścił rękę Caroliny. Stali naprzeciw siebie i mówili językiem, który przedtem wydawał się dziewczynie śpiewny, ale teraz brzmiał niezwykle brutalnie. Była przekonana, że Tokala pogardza białymi, i wzięła to sobie bardzo do serca. Ręce Jacoba zacisnęły się w pięści, ale po to tylko, by podeprzeć brata, który podniecony gwałtowną tyradą, z trudem utrzymywał równowagę.

Jacob przemawiał do niego powoli i dobitnie. Kilka razy użył określenia *mitawin* i Carolina zrozumiała, że przedstawił ją bratu jako swoją kobietę. Tokala był wyraźnie zszokowany i klnąc, zaczął się wycofywać. Warknął tylko coś do żony i ruszył w stronę swojej chaty.

Anptaniya wzięła dzieci za ręce i poszła za nim. Chłopcy, którzy do tej pory wesoło biegali i bawili się, teraz zamilklii. Szli za ojcem jak automaty, a starszy nerwowo ssał kciuk.

Carolina patrzyła ze smutkiem, jak odchodzą.

- Dlaczego on na mnie krzyczał? - spytała cicho Jacoba.

- Był zaskoczony, że cię zobaczył w sukni naszej mamy.

Bała się spojrzeć na mężczyznę, bała się tego, co wyczyta w jego oczach. Była tu jedyną białą. Ale gdy poczuła ciepły dotyk jego ręki na szyi, podniosła głowę i nie zobaczyła nic z tego, czego się obawiała. W jego wzroku nie było niechęci.

- Przebacz mu, Carolino! Był pijany, a wtedy bierze nad nim górę *Iktomi*.

- *Iktomi*?

- To Zły Duch, który z nas szydzi i złośliwie nas oszukuje. Naprzód wprawia nas w dobry nastrój, a już po chwili zamienia go w zły. Jego wybryków można unikać, ale ci, którzy piją whisky, tracą nad

sobą panowanie i nie potrafią mu się przeciwstawić. Tak jest z Tokalą. Zaczyna od wygłupów, ale potem ogarnia go szaleństwo.

- Coś ty mu o mnie powiedział?

- Że jesteś moją kobietą.

- Jemu się to chyba nie spodobało?

- Jemu mało co się ostatnio podoba. Najmniej on sam.

Jacob poprowadził Carolinę do tipi, a gdy weszli

i do środka, zasznurował zasłonę i zwrócił się do dziewczyny, mając wciąż na myśli brata:

- Chciałbym, żebyś mogła go zobaczyć na koniu lub posłuchać, jak pięknie opowiada historie... Jest wspaniałym mówcą i ma cudowne poczucie humoru.

- Przedstawisz nas sobie innym razem - powiedziała i dotykając jego policzka, dodała: - Przyszykuję posłanie.

- A ja rozpalę ognisko - mówiąc to, Jakob spojrział na nią nieobecny wzrokiem.

Drzewo powoli się paliło, a tam, gdzie było jeszcze mokre, pojawiały się syczące wężyki dymu. Indianin wrzucił do ognia małe gałązki szaławii i patrzył, jak się kurczą i zamieniają w garstkę popiołu.

Carolina zdjęła mokasyny i legginsy i odpięła pasek przy sukni.

- Lubię ten zapach - rzekła, uklękawszy obok Jacoba. Po chwili położyła mu rękę na plecach, a potem przejechała dłonią przez pierś i niżej. - Nie masz pojęcia, jaką miałyśmy wspaniałą zabawę. Grałyśmy w śliwkowe pestki. Myślę, że kobiety w twojej rodzinie mnie lubią, nie sądzisz?

- Dlaczego tak się przejmujesz tym, czy one cię lubią? A czy się zastanawiałaś nad tym, co ty czujesz, czy ty je lubisz?

- Oczywiście! Od razu je polubiłam. - Przyłożyła policzek do jego włosów w miejscu, gdzie zaplatał je w warkocze. - To ja jestem w waszym gronie inna, dlatego zależy mi na tym, żeby mnie zaakceptowały.

- W twoim świecie ja z kolei jestem inny i mnie nie zaakceptowano.

- Ale teraz jesteśmy w twoim świecie. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że przyprowadziłeś mnie do swego domu po to, żeby wypróbować, wy badać, jaka jestem. Bądź ze mną szczerzy! Powiedz, czego ty właściwie się spodziewasz?

- Na każdym kroku mnie zaskakujesz. Nigdy się od nikogo nie odwracasz. Dlatego one cię tak dobrze przyjęły.

- A ty?

Podniósł jej dłoń do ust i pieszczotliwie muskał wargami.

- To byłoby straszne - nawiązała do rozmów z jego rodziną - gdyby twoi bratankowie w tak młodym wieku musieli pójść do internatu.

- Tokala nie chce o tym słyszeć, ale obawiam się, że już wkrótce przestanie mu zależeć na czymkolwiek, także na nich.

- A przecież niedługo spodziewają się trzeciego dziecka...

Nabrał w dłoń garść szaławii i znowu dorzucił parę gałązek do ognia.

- Pamiętam, jak Anptaniya po raz pierwszy powiedziała mi, że spodziewa się dziecka. Całymi dniami mówił tylko o tym, że pragnie mieć syna. Właśnie w tym czasie wróciłem ze Wschodu i Tokala trochę się wyśmiewał z mojego ubioru i obciętych włosów. Ale w gruncie rzeczy nic się między nami nie zmieniło. Nadal dzielił się ze mną swoimi marzeniami. Razem tańczyliśmy taniec w intencji powrotu bizonów, „dla twoich i moich synów”, jak mówił.

Nagle Jacob zaśmiał się tak szyderczo, że Carolinę przebiegł zimny dreszcz.

- A gdy Anptaniya powiedziała mi o dziecku, które teraz nosi, uderzył ją - zakończył cicho.

Wrzucił w ogień ostatnią już gałązkę szaławii i długo milczeli, a potem posadził sobie Carolinę na kolanach i kołysał jak dziecko. Jedną ręką leniwie rozplótł jej warkocze, a gdy włosy opadły na ramiona, długo rozczesywał je palcami.

- Twoje włosy - szeptał - są jak zimowe futro bobra, bardziej miękkie od puchu. Cała jesteś miękka i delikatna. Taką kobietę jak ty mężczyzna pragnie trzymać w ramionach i ochraniać.

Rozwiązała sznurówkę jego irchowej koszuli i wło-

żyła rękę w głębokie wycięcie, szukając na gładkiej piersi Jacoba miejsca dla swej dłoni.

- A ty jesteś mężczyzną, przy którym kobieta czuje się bezpieczna, pewna i piękna - szepnęła. - Twoje oczy mówią mi, że jestem piękna.

Przyciągnął jej głowę i szeptał prosto w usta:

- Jesteś piękna i moja.

Coś podobnego do kurczącej się w ogniu gałązki szawii zapaliło się w łonie Caroliny. Rozchyliła wargi i pozwoliła, by jego język pieścił wewnątrz jej ust. Po całunek rozpalili w niej inny płomień. Odruchowo uniosła kolana. Spadł ustami na jej usta, a po chwili całował ją po twarzy, szyi...

- Przy tobie ogarnia mnie jakaś gorączka - mówił zduszonym głosem. - Dziewczyno, wystarczy, że mnie dotkniesz, a robię się pijany i pragnę cię coraz bardziej.

- Zdejmij koszulę! - prosiła. - Chcę mieć więcej ciebie do dotykania.

Śmiał się, gdy nie mogła sobie poradzić ze sznurkami, i ukląkł, żeby jej pomóc. Wtedy objęła go ramionami od tyłu i pieściła jego brzuch, aż spadła przepaska i już znalazła to, czego szukała.

- Czy ci dobrze, jak cię tak dotykam? - spytała.

- *Wašte yelo* - odpowiedział i pokierował jej dłonią.

- Teraz lepiej.

- To głupio tak się zaspokajać, prawda?

Jęczał z rozkoszy.

- Można, ale trzeba ostrożnie, bo to osłabia.

Po chwili zabrał jej dłoń i pocierał nią sobie brzuch i piersi, a potem obrócił dziewczynę ku sobie i zaczął powoli zdejmować z niej suknię. Wyciągnęła ramiona nad głowę. Gdy odsłoniły się jej piersi, skrępował jej suknią ramiona. Była jak w potrzasku. Teraz pochylił

się nad jej sutkiem i pieścił go językiem, póki nie stwardniał niby guziczek.

Carolina wygięła się w łuk, przyciskała do niego obolałe piersi, a on pieścił je i drażnił na przemian, póki nie zaczęła skamlać z nie spełnionej żądz, ściągnął jej suknię do końca, a gdy leżała przed nim naga na pościeli, uniósł się nad nią, wszedł między jej uda i zaczął kolistnie poruszać biodrami. Ona zaś, by uczynić pieszczotę jeszcze bardziej wyszukaną, przyciskała do siebie jego pośladki.

- Chcesz mnie? Jesteś już gotowa, by mnie przyjąć, *waştelakapi*?

Nie odpowiedziała, lecz poczuł, że sama wprowadza go w swoje łono.

Późną nocą przebudziła się, gdy Jacob poruszył się w jej ramionach. Z daleka doszedł ją odgłos gwałtownego kaszlu. Chciała wstać, ale jej nie puścił.

- Nic się nie da zrobić, maleńka! - szepnął. Trzymała go w objęciach i tak jak przedtem razem z nim przeżywała rozkosz, teraz dzieliła jego ból.



Była sobota, kończył się trzeci tydzień lipca. Cztery rodziny które sprowadziły tu Caroline, by uczyła ich dzieci, spotkały się na wybranym placu, by rozpocząć budowę szkoły.

Zarówno odnowienie jej chaty, jak i budowa szkoły związały Caroline z tymi stronami, dały jej nowe poczucie przynależności. Szkoła miała być warsztatem pracy, a chata jej miejscem na ziemi. Wierzyła, że razem staną się dla niej czymś własnym. Tu będzie panią. I to była radosna perspektywa.

Budowniczości pojawili się na placu już o świcie. Każda rodzina przywiozła ze sobą to, co zadeklarowała jako swój udział w budowie szkoły. Największy był, oczywiście, udział Charlesa. Tylko jego stać było na zafundowanie szkole dachówek, szyb okiennych, pieca i założenie naftowego oświetlenia.

Gustav Friedrich miał wyposażyć klasy w meble i ławki. Pan Friedrich odkrył w sobie zdolności stolarskie i takie właśnie usługi zaoferował szkole.

Carolina zjawiła się na placu budowy konno. Od razu zauważyła, że położono już kamienie pod fundament i próg umieszczono na właściwym miejscu. Jeden z robotników MacAllistaira wyładowywał właśnie z platformy deski. Stukot młotów i różne inne hałasy rozlegały się po całym placu. Płaty ściętej darni leżały ułożone w stos, przygotowane do pokrycia dachu. Ale już się mówiło o tym, że na przyszły rok trzeba będzie zastąpić

ją dachówką lub gontami. Ściany budynku miały być z belek, podłogi z desek. W izbie szkolnej zaplanowano dwa okna, oba wychodzące na południe.

Dzieci wymyśliły sobie świetną zabawę, polegającą na włożeniu na stos darniny. Szybko jednak przegoniono je stamtąd.

Uciekając, minęły swoje mamy, zajęte ustawianiem prowizorycznego stołu z surowych desek. Pobiegły szukać miejsca, gdzie miałyby więcej swobody. Carolina odwróciła się, aby sprawdzić dokąd pobiegły, i zobaczyła, że skupiły się wokół konia Jacoba. Jego samego nie było w pobliżu.

Carolina nie widziała się z ukochanym od prawie trzech tygodni. Bardzo więc ucieszył ją widok gnadosza, pasącego się na wzgórzu. Dzieci biegały wokół konia, zataczając duży krąg, ale zniknęły, gdy tylko się tam zjawiała.

- Carolino! - usłyszała z daleka głos Marissy. Przyjaciółka machała ręką i patrzyła w jej stronę zmrużonymi od słońca oczami. Carolina kiwnęła jej dłonią, po czym zsiadła z konia, zamierzając dać mu się popaść.

Właśnie rozpinając sprzączkę popręgu, gdy usłyszała za sobą głos Culleya. Zgrzytnęła zębami ze złości.

- Niech mi pani pozwoli sobie pomóc.

Sama zdjęła ciężkie siodło i podziękowała mu za dobre chęci. Odłożyła siodło tak, by klacz nie mogła dosięgnąć, i chciała przyłączyć się do gromadki pracujących w pobliżu kobiet. Ale Culley szedł za nią krok w krok.

- Ładny dzień na rozpoczęcie budowy - zaczął.

- O, tak...

- Nauka to pożyteczna rzecz - stwierdził i gorąckowo szukał w głowie dalszego ciągu, ale nic nie mógł wymyślić, więc dodał: - Jestem pewny, że tak.

- Zgadzam się z panem - powiedziała. Rzuciła okiem na kobiety, lecz żadna nie miała czasu na rozmowę. Zdobyły się tylko na powitanie. Jedynie Culley miał czas, żeby zwracać jej głowę.

- Ja, niestety, nie umiem czytać - stwierdził ponuro.

- Nigdy nie jest za późno na naukę - zauważyła.

- Nie jest? To może mógłbym chodzić na jakieś lekcje? - nie ustępował.

Przystanąła i przyjrzała mu się uważnie. To, co w tej chwili powiedział, dało jej do myślenia. Chyba naprawdę chciał się nauczyć czytać, i zapewne takich było więcej.

- Jeszcze nie wiem, panie Culley. Nie rozważaliśmy dotąd z panem MacAllistairem możliwości prowadzenia klasy dla dorosłych, ale to dobry pomysł.

- Naprawdę?

- Tak! To będzie jednak wymagało wiele wysiłku z pana strony.

- Wysiłku? - powtórzył. Zrozumiała, że coś mu przyszło do głowy. - Proszę pani, jeśli taki Indianiec może się nauczyć czytać, to chyba ja też powinienem sobie z tym poradzić.

Poszła za jego wzrokiem i zobaczyła, że Jim Bates zdejmuje z platformy skrzynkę z gwoździami i przekazuje ją Jacobowi.

- Widziałem, jak to robił... - mówił dalej Culley.

- Co?

- Czytał! Widziałem to na własne oczy, inaczej nigdy bym w to nie uwierzył.

- Zareczam panu, że Czarny Jastrząb ma taki sam mózg jak pan. No, może niezupełnie - dodała - ale wasze mózgi są niewątpliwie do siebie podobne. - W tym momencie przypomniała sobie teorię Darwina i oczami wyobraźni zobaczyła klatkę z szympansem, a na niej tabliczkę z napisem: „Culley”.

Kowboj pożegnał się wreszcie i odszedł, przekonany, że usłyszał komplement, Carolina zaś z miejsca przyłączyła się do kobiet. Właśnie rozmawiały o zorganizowaniu życia religijnego szkoły. Postanowiły raz na miesiąc sprowadzać księdza, aby odprawiał w nowym budynku nabożeństwo. Carolina zobowiązała się, że na Boże Narodzenie urządzi jasełka.

Nadeszła pora obiadu. Przy bufecie udało się Carolinie wymienić spojrzenia z Jacobem. Wiedziała, że ryzykuje, gdyż nawet tak znikomy kontakt mógł go rozłościć. Ale jego oczy mówiły co innego. Zapewne też za nią tęsknił. Wziął swój talerz i oddalił się od reszty towarzystwa. Widziała, że przysiadł na piętach i dla osłony od wiatru oparł się o koło jednego z wozów.

- Zapraszam tutaj, panno Hammond! - zawołał Jim Bates. — Tu jest mniej kurzu. - Siedział na sąsiednim wozie i uśmiechał się do niej. Uśmiech wygładzał głębokie bruzdy na jego twarzy.

Rozejrzała się. Culley wciąż tu się kręcił, a wóz Batesa stał blisko miejsca, gdzie Jacob jadł samotnie swój obiad. W towarzystwie Jima miała pewność, że Culley będzie się trzymał z daleka. Z uśmiechem przyjęła więc zaproszenie.

- Brakowało nam pani na pikniku z okazji Dnia Niepodległości - stwierdził Bates, pakując do ust porcję fasolki szparagowej.

- Mówiło mi to wiele osób. Widać tutejsi ludzie łatwo zawiązują przyjaźnie.

- No bo cóż tu mamy, oprócz siebie samych? Ciekaw jestem, kto jeszcze dopytywał się o panią?

- Choćby pan Culley...

- Wiem od pani MacAllistair, że panią niepokoił. Już mu powiedziałem, żeby zachowywał odpowiedni dystans. A czy pani była wtedy chora?

- Chora?

- Tak, czwartego lipca.

- Ach, nie. Po prostu jestem raczej nieśmiała i nie czuję się dobrze podczas dużych towarzyskich spotkań.

- Rozumiem to, panno Hammond. Ale pani MacAllistair bardzo lubi urządzać od czasu do czasu duże imprezy.

- Marissa jest wspaniałą panią domu.

- O, tak, pani MacAllistair to prawdziwa dama, chyba jedyna, jaką tu mamy - i rozejrzał się po obecnych, jakby się bał, że kogoś pominął. - A teraz pani się tutaj zjawiła, panno Hammond, i to mi dopiero uświadomiło, jaki to ze mnie stary samotnik.

Carolina, choć zajęta jedzeniem, kątem oka usiłowała dojrzeć, co robi Jacob. Zobaczyła, że wyjął tytoń i zabiera się do skręcania papierosa.

- Prawdę mówiąc - ciągnął dalej Bates - to wcale nie jestem taki stary. Proszę zgadnąć ile mam lat?

- Zaraz. Niech pomyślę. Chyba ze czterdzieści...
Mężczyzna był wyraźnie zadowolony.

- We wrześniu skończę czterdzieści dwa.

- Był pan kiedyś żonaty?

- Tak, miałem żonę i mały kawałek ziemi nad Minnesotą. Ale żona zmarła przy pierwszym dziecku i ono też nie przeżyło... Potem nie szło mi dobrze na farmie, więc ją sprzedałem i przyjechałem tutaj. I, jak pani widzi, najałem się do pracy przy bydle.

- A nie myśli pan o kupieniu własnego rancza?

Już się nad tym kiedyś zastanawiał, ale w jej ustach ta propozycja zabrzmiała bardzo zachęcająco.

- Dużo o tym myślałem ostatnio. Mam pewne oszczędności. Zamierzałem jednak przenieść się bardziej na Zachód. Ale czy nie uważa pani, że jest już trochę za późno dla mnie, aby zaczynać wszystko od początku?

- Nie, nie uważam. To jest kraj wielkich możliwości. - Uśmiechnęła się. - Mam nadzieję, że znajdzie pan coś odpowiedniego dla siebie.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to kto wie...

Rozmowa toczyła się nadal i choć Carolina odpowiadała mechanicznie, Bates był tak zachwycony jej towarzystwem, że nawet nie zauważył, że słucha go tylko jednym uchem. Cały czas patrzyła nie na niego, lecz obok, na mężczyznę, który siedział oparty o koło sąsiedniego wozu i palił papierosa.

Tyłu było chętnych do pomocy przy budowie szkoły, że praca posuwała się w szybkim tempie.

Carolina i Marissa też zamierzały się włączyć, ale najpierw musiały sprzątnąć ze stołu i zmyć naczynia. W końcu wybrały sobie ekipę tynkarzy,

- Niech pani tylko nie przesadza z tą pracą, pani MacAllistair! - zawołał ktoś z tyłu.

Obie się obejrzały.

- Daję ci jeszcze pół godziny na tę zabawę błotem, a potem wracaj do bryczki! - mówił Charles i zdjąwszy z twarzy żony kawałek zaprawy murarskiej, uśmiechnął się do niej serdecznie.

- Ależ, Charles...

- A dla ciebie mam niespodziankę - zwrócił się do Caroliny. - Orzechowe biurko, jakie zamówiłem dla pani nauczycielki, jest już w drodze z Minneapolis.

- Ach, jak wspaniale! - zawołały obie, a Marissa dodała: - A co z moim stolikiem?

Charles roześmiał się.

- Czy sądzisz, że odważyłbym się kupić pani nauczycielce biurko, nie zamawiając równocześnie stolika dla żony? Przecież o niczym innym nie słyszę od miesięcy... Gustav mnie zapewnia, że stoły i ławki bę-

dą gotowe na czas, gdy się tylko zdecydujesz zacząć zajęcia - znowu zwrócił się do dziewczyny.

- Pierwszoklasiści powinni zacząć naukę pierwszego września. Podręczniki już zamówiłam - powiedziała Carolina.

- Z młodszymi dziećmi możesz rozpocząć naukę, kiedy tylko masz ochotę, ale starsze będą potrzebne w polu, więc nie spodziewaj się ich w szkole wcześniej niż po żniwach.

- Jutro wybieram się do miasta po zakupy - wtrąciła Marissa. Charles już chciał protestować, ale szturchnęła go łokciem i uśmiechnęła się do niego ujmująco. - Nie widziałam matki od czasu, gdy musieliśmy spędzić weekend w mieście. Wiesz, to było wtedy, gdy szalała ta straszna wichura. Carolino, a co byś powiedziała na to, żeby przemocować dziś u nas, a jutro wybrać się ze mną do miasta?

- Naprawdę nie wiem, Marisso, mam różne sprawy...

- Proszę cię, zgódź się! Jeszcze trochę, a staniesz się pustelnicą... - i Marissa zaśmiała się figlarnie. - Charles nie pojedzie z nami, ale poprosił Jacoba, żeby nas zawiózł bryczką. On też ma sprawy w mieście, bo chce zrobić zakupy dla matki.

- A wiesz, że chyba pojedę - zmieniła zdanie Carolina. - Może uda się i mnie zrobić tam jakieś zakupy. Jedyne miasto, jakie do tej pory poznałam, to Bismarck.

- Shields nie jest tak duże jak Bismarck, ale moja rodzina ma tam duży sklep.

- I w nim właśnie Marissa zostawia zarobione przeze mnie pieniądze - poskarżył się żartobliwie Charles, całując żonę w czoło.

Jak to dobrze - pomyślała Carolina - że mam własne pieniądze do wydawania.

- Czy to będzie całodzienna wyprawa? - spytała Marissy.

- Chyba tak! - odpowiedział za żonę Charles. - W przyszłym miesiącu nie pozwolę już na takie wypadki. Koniec z tym do czasu, gdy urodzi się dziecko. Carolino, przypilnuj, proszę cię, żeby Marissa za bardzo nie zmęczyła się podróżą.

- Zrobię, co będę mogła.

Już o świcie Jacob zajechał bryczką przed dom. Zapowiadała się długa jazda i miał nadzieję, że Marissa będzie gotowa na czas. Nieczęsto proszono go o tego rodzaju usługi, ale tym razem pani MacAllistair sama się do niego zwróciła. Pomyślał też, że przy okazji kupi matce przyzwoitą mąkę, a sobie tytoń. Nie jadł śniadania, bo wiedział, że na ranczo jest Carolina, a nie chciał się z nią spotkać. Domyślał się, że pod nieobecność Marissy ma się zająć gotowaniem. Wiedząc, że tu jest, nie spał pół nocy. Cały czas o niej myślał. Widział oczami wyobraźni, jak bierze kąpiel przed pójściem do łóżka, zastanawiał się, jaką ma na sobie nocną koszulę, w końcu przypomniał sobie Batesa i dopiero się zdenerwował... Słyszał jego rozmowę z Carolina na placu budowy. Wciąż miał w uszach te cholerne zwierzenia, jaki to on jest samotny i że marzy o kupnie rancza. Bates był, co prawda, stary i łyślał, ale kiedyś był farmerem, a skoro raz nim był, to już na zawsze. I co najważniejsze: był biały i w dodatku przyzwoity. Pocieszające było w tym wszystkim tylko to, że Jacob dobrze znał Jima, wiedział, że unika whisky i sprzedajnych kobiet. Carolina byłaby więc przy nim bezpieczna, a on nie musiałby się martwić, że jej mąż jest... Jej mąż? Mąż Caroliny? Od wczoraj Jacob nie mógł się pozbyć nękającej go myśli, żeby połamać Batesowi ręce i nogi...

Marissa wyszła z domu razem z Caroliną; Gdy się z nim witały, nie obyło się bez dwuznacznych uśmiechów i uwag. Jacob nie reagował. Wziął od Caroliny kosz i już miał pomóc Marissie wsiąść, kiedy ona nagle się cofnęła.

- Zapomniałam lemoniady! - krzyknęła. - Wsiadaj do bryczki, Carolino, za minutę będę z powrotem.

Stał teraz z Caroliną twarzą w twarz i patrzył na nią kamiennym wzrokiem. Nie miała zamiaru tchórzyc ani się wycofywać. Postawiła stopę na piastę przedniego koła i dopiero wtedy Jacob podał jej rękę i pomógł wsiąść. Usiadła na przednim siedzeniu, a on zajął miejsce obok.

- Nie wiedziałeś, że mam jechać z wami? - spytała cicho.

- Nie wiedziałem.

- Masz coś przeciwko temu?

Nie odpowiedział. Patrzył przed siebie.

- Jestem ci wdzięczna, że pomagałeś wczoraj przy budowie szkoły.

- To był mój obowiązek.

- Ach, tak? Czy Charles prosił cię, żebyś pomógł?

- Nie! - Sam nie wiedział, dlaczego poszedł wczoraj na tę budowę. Chyba tylko, żeby się dręczyć. I tym samym będzie zapewne ta jazda. Będzie musiał ocierać się o uda Caroliny, myśląc o tym, że któregoś dnia ten przywilej będzie należał do Batesa.

- A więc dziękuję ci za pomoc.

Marissa wróciła, Jacob pomógł jej wsiąść, potem wziął lejce do ręki, cmoknął i konie ruszyły wolnym kłusem.

- Nie jesteś głodny, Jacob? - spytała Caroliną. - Chyba ominęło cię dziś śniadanie, więc przyniosłyśmy ci szynkę i pyszne grzanki.

- Mam obie ręce zajęte, panno Hammond!
 - Postaraj się być bardziej przyjacielski, Jacob - zwróciła mu uwagę Marissa. - Ten wyjazd w trójkę to był mój pomysł. Możemy spędzić razem bardzo piękny dzień, jeśli nikt się nie będzie za bardzo wymądrzał.
 - Wymądrzał? Przy jakiej okazji? Czyżbyśmy mieli jakiś wspólny sekret, proszę pani?
 - Po prostu pomyślałam, że moglibyście spędzić ten dzień we dwoje, praktycznie sam na sam.
 - Skoro pani tak myśli, to musi pani również wiedzieć, że umieliśmy sobie ułożyć czas we dwoje także bez pani pomocy - powiedział. - A że ja wolę być naprawdę sam niż „praktycznie sam na sam”, to może was zostawię gdzieś po drodze, co, *hankaśi*?
 - No nie, co z tobą, Jacob?
 - A tobie o co chodzi, Marisso? Może nie powinienem zwracać się do ciebie „kuzynko”? A już na pewno nie w mieście... Zwłaszcza że równocześnie muszę pilnować, aby moje stosunki z nową nauczycielką nie wyglądały na zbyt zażyłe...
 - Przestań, Jacob! - wtrąciła się Carolina. - Marissa nie miała niczego złego na myśli.
 - Nie lubię, gdy się za mnie decyduje.
 - Już dobrze, Carolino! Jacob i ja dobrze się rozumiemy.
 - Nie, Marisso. Wcale się nie rozumiemy. Nie mam czasu na takie gierki. I nie podoba mi się rola Indianina na posługę.
 - Przecież nie mogłyśmy wybrać się do miasta bez eskorty.
- Znowu spojrzał surowo na Marissę.
- Właściwym człowiekiem byłby Jim Bates. Nieważne, czy jestem twoim kuzynem, czy nie, faktem

jest, że w mieście mam odgrywać rolę Indianina na posługi. Nie, Marisso nie sądzę, żeby to był dla mnie piękny dzień.

- Wiem, o co ci chodzi, *sic'esi*. Nie pomyślałam o tym, przepraszam.

Przez dłuższą chwilę milczeli. A potem Marissa zapytała nieśmiało:

- Chyba mogę cię nazywać *sic'esi*, kuzynie?
- Przecież właśnie to zrobiłaś.
- Muszę się chyba nauczyć mówić po lakotyjsku
- zażartowała.

- Lepiej, żeby twoja matka nie słyszała, że używasz tego języka. Zbyt wiele wysiłku włożyła w to, żeby zrobić z ciebie białą.

Wzruszyła ramionami.

- Przecież prawie nią jestem. Mój dziadek był Francuzem, a ojciec Szwedem.

- Ale twoja babka była Lakotyjką.
- Czy ty ją pamiętasz?
- Tak. Mama wzięła mnie kiedyś ze sobą do sklepu i dostałem od babki cukierka.

- Mój dziadek mawiał, że nigdy nie spotkał kobiety, która by umiała kłócić się w tyłu językach.

Jacob oparł łokcie o kolana i poczuł, że wraca mu dobry humor. Spojrzał na Carolinę. Miała włosy splecione luźno w jeden warkocz. W jej okrągłych niebieskich oczach dostrzegł szczerą i otwartość.

- A ile języków ty znasz, żeby mi w nich dokuczać, maleńka?

- Mogę ci opowiedzieć o wojnach galickich po łacinie, podać siedniodaniowy obiad po francusku, ale brzydkie słowa znam tylko angielskie...

- To wystarczy.

- Ale naprawdę myślę, że powinienes coś zjeść, Ja-

cob. Marissa zrobiła świetne grzanki i chyba są wciąż jeszcze ciepłe.

Zaśmiał się, usiadł wygodniej i rzucił kuzynce przyjazne spojrzenie.

- Po angielsku najłatwiej się nam porozumieć, prawda? Tak, panno Hammond! Jestem głodny.

Carolina sięgnęła do kosza po kanapki z grzanek i szynki, troskliwie owinięte serwetkami. Jedną podsunęła mu pod usta. Ugryzł ją, mruczając zabawnie, kiedy rozdzierał szynkę zębami. Gdy się już najadł, powstrzymał konie, by szły stępa i położywszy lejce na fartuch bryczki, sięgnął po menażkę.

- Zdawało mi się, że masz obie ręce zajęte - przypomniała mu Carolina.

- Konie idąc stępa, będą się trzymać drogi. A gdybym ci pozwolił się napić, oblałabyś mnie całego. Ale miło mi, że się mną zajmujesz - stwierdził ze śmiechem.

- Wiesz, gdyby ktoś z boku was obserwował, to gotów pomyśleć, że Czarny Jastrząb je ci z ręki, Carolino - zażartowała Marissa.

- Uważaj, *hankaśi!* - ostrzegł ją Jacob. - Zawsze jeszcze mogę cię zostawić na drodze.

Sklep Swensona nosił kiedyś nazwę „Punkt handlowy Dubuque'a”. Marie Dubuque Swenson zawsze była jego podporą. Jako dziecko pomagała w sklepie ojcu, a teraz prowadziła go razem z mężem. Gdy tylko zobaczyła bryczkę, wybiegła na ulicę powitać córkę. Marie był typową przedstawicielką udanego połączenia krwi francuskiej z indiańską. Miała ciemne, siwiejące już włosy, ściągnięte gładko do tyłu, śniadą cerę i delikatną budowę. Marissa rzuciła się w ramiona matki, zanim jeszcze Jacob zdążył przymocować lejce i pomóc jej zejść.

Czułby się mniej skrępowany, gdyby te kobiety nie robiły takiego przedstawienia na ulicy. Carolina czekała, by Jacob pomógł jej wysiąść z bryczki, a potem musiała jeszcze przejść przez ceremonię przedstawiania jej pani Swenson, co ze względu na wylewność Marissy było dość męczące. Gdy już hałaśliwe kobiety weszły do środka, Jacob został przed sklepem i zapalił papierosa. Obserwował trzech zawianych kowbojów, którzy wyszli właśnie z gospody Kelly'ego. Najwyraźniej spędzili tam cały ranek. Opierali się o siebie, opowiadali sobie jakies dowcipy, a potem przeszli ulicę i ruszyli w stronę sklepu. Jacob oparł się o barierkę przed wystawą i głęboko zaciągnął papierosem.

- Hej, chłopcy! - zawołał wysoki jasnowłosy kowboj. - Swenson przerzucił się chyba na sprzedawanie cygar. Po co by inaczej trzymali na samym froncie Indiańca dla reklamy? - Przechodząc obok Jacoba, rzucił mu wzgardliwe spojrzenie. Potem wszyscy trzej weszli do sklepu.

Jacob zgasił papierosa, przydeptując niedopałek. Kowboje są podchmieleni - myślał - a w sklepie jest Carolina. To wystarczyło. Wszedł do środka.

Jeden z kowbojów prosił o naboje do pistoletu i Marie zdjęła mu z półki całe pudełko. Drugi wybrał tytoń. Jasnowłosy nie spuszczał oka z Jacoba.

- Czy pani życzy sobie mieć tego Indiańca w sklepie? - zwrócił się do Marie.

- Oczywiście, on pracuje u mego zięcia. No, panowie, decydujcie się! Odpowiada wam towar?

Jacob miał zamiar spokojnie zaczekać w tyle sklepu, póki kowboje nie wyjdą. Stał więc blisko szachownicy pozostawionej na stoliku i udawał, że interesuje go nie dokończona partia. Nagle zobaczył, że ktoś podsuwa mu pod nos belę niebieskiego materiału.

- Co myślisz o tym materiale, Jacob? - pytała Carolina. - Chcę uszyć coś dla twojej mamy i Ruth. Ciekawa jestem, czy im się to spodoba, czy wolałyby może coś bardziej jaskrawego?

Podniósł głowę i słuchał, oszołomiony.

- No, co o tym myślisz? - powtórzyła z niewinnym, jak zwykle, uśmiechem. W sklepie zapanowała absolutna cisza. Jacob patrzył przed siebie, prawie jej nie widząc.

- Sama wybierz! - powiedział ledwie słyszalnie.

Zmieszała się. W jednej chwili zrozumiała, że wprawiła go w okropne zakłopotanie, i poczuła, że robi jej się gorąco.

Kowboje skończyli zakupy. Pierwszy podszedł do drzwi blondyn. Zanim wyszedł, odwrócił się i spojrzał na Caroline z bezczelną miną.

- To pani jest tą nową nauczycielką u MacAllistaira?

Nie było odpowiedzi.

- Nie ma co mówić, przygruchała sobie pani ładnego Indiańca...

Wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem i nie przestawali się śmiać, póki ostatni nie zamknął za sobą drzwi.

Nie patrząc na Caroline, Jacob podszedł prosto do lady i złożył Marie swoje zamówienie. Gdy tylko podsumowała należność, zapłacił, a potem zwrócił się do Marissy:

- Idę do kowala. Poślij po mnie, jak będziesz gotowa. Załaduję zakupy na bryczkę. - I wyszedł.

Carolina stała nieruchomo, ściskając w ręku sztukę materiału.

- Tyle razy mnie ostrzegał - wymamrotała w końcu - a ja nie rozumiałam, nic nie rozumiałam...

- To było jeszcze całkiem niewinne, ale musisz się

mieć na baczności, moja droga! Ci kowboje mają swoją własną idiotyczną etykę - ostrzegę ją po przyjaciel-sku Marissa.

- Etykę? - To słowo nie pasowało do zachowania, którego dopiero co była świadkiem.

- Według ich etyki kobiety są albo święte, albo grzeszne. Ale nie przejmuj się tym. Jacob da sobie sam radę, a my chodźmy teraz napić się z mamą herbaty.

Carolina nie była dziś zbyt towarzyska. Prawie nie uczestniczyła w rozmowie i nie potrafiła ukryć, że uwaga jasnowłosego kowboja wciąż ją bolała. Gdy w pewnej chwili Marissa stwierdziła, że czas znaleźć Jacoba i zacząć łądować zakupy, dziewczyna zerwała się z miejsca i podbiegła do drzwi.

- Może będzie lepiej, jeśli to ja pójde - zaproponowała Marissa.

- Przecież kowal jest zaraz na końcu ulicy. Chyba nawet widziałam szyld. Znajdę go.

Popołudnie było męcząco gorące. Wydawało się, że całe miasto zażywa drzemki. Hotelowi goście woleli pozostać w swoich chłodnych pokojach. Natomiast gospoda robiła najwyraźniej świetne interesy. Carolina dostrzegła szyld ze strzałką: „Wynajem koni i kuźnia na końcu ulicy”. Szła szybko. Stukot jej obcasów o deski chodnika odbijał się głośnym echem. Na ulicy leżały pokłady kurzu. Gdy skończyły się zabudowania, zeszła z chodnika i skręciła w podwórze. „Wejście od tyłu” - wskazywał napis na kuźni. Słyszała uderzenia młotów i zastanawiała się, czy Jacob jeszcze bardziej się zezłości, gdy ją zobaczy w drzwiach.

Nagle ktoś szarpnął ją do tyłu i boleśnie wykręcił ramię. Zatoczyła się i zaczepiając stopami o głębokie koleiny, wpadła na jakieś wielkie cielsko. Odwróciła

głowę i kątem oka dostrzegła jasnowłosego kowboja. Brudną, pełną odcisków dłonią uciszył jej krótki krzyk, a potem zaciągnął za jakieś na wpół rozwalone szopy. Śmierdział whisky i przepoconą odzieżą.

- Bądź cicho, paniusiu! Jeśli tak bardzo potrzebujesz, że sięgasz nawet po czerwonoskórego, to na pewno bardziej ci się spodoba to, co ja mam tutaj.

Starła się odciągnąć rękę, którą przykrywał jej usta, i kopała go obcasami w łydki, śmiał się. Stał w tak szerokim rozkroku, że jego nogi znalazły się poza zasięgiem jej ciosów. Wtedy wbiła mu zęby w dłoń, mocno zaciskając szczęki, aż poczuła krew. Mężczyzna zawył jak pies i pchnął ją twarzą do przodu. Uderzyła w tylną ścianę szopy.

- Wredna suka! - okręcił nią wkoło i uderzył na odlew w policzek. Carolinie zakręciło się w głowie. Przed oczami miała mgłę. Krzyknęła o pomoc, ale kowboj natychmiast przycisnął ją do ściany i zdławił ręką oddech. Drugą ręką gmerał jej pod spódnicą.

- Tylko nie hałasuj! - syknął. - Bądź dobrą indiańską *squaw*, a pozwolę ci wrócić do domu.

Walczyła ze wszystkich sił, starając się odtrącić jego ręce. Kiedy ciężar stawał się już nie do zniesienia, nagle ktoś oderwał go od niej; Carolina, łapiąc powietrze, osunęła się na ziemię. Widziała przed sobą dwie zmagające się postacie, słyszała szybkie oddechy i głucho uderzenia pięścią. Jeszcze raz zaczerpnęła powietrza i trochę jej pojaśniało w oczach. Pierwsze, co już wyraźnie zobaczyła, to wściekłość w oczach Jacoba, okładającego pięściami człowieka, który leżał pod nim. Poczuła ogromną ulgę. Siedząc okrakiem na kowboju, Indianin zaciskał obie ręce na jego grubej szyi i kołysał się tam i z powrotem w jakimś zwierzęcym szale. Kowboj się dusił. Zaczął charczeć.

- Jacob, nie! - krzyknęła i przyczołgała się do niego na czworakach. - Zabijesz go, przestań! - Złapała go za ramię. Odwrócił głowę, spojrzał na jej twarz i wypuścił bezwładnego kowboja.

- Czy on nie żyje? - spytała.

Przyłożył mu rękę do szyi, starając się wyczuć puls.

- Żyje!

Carolina nie wiedziała, czy ta wiadomość zmartwiła ją, czy ucieszyła.

Jacob dotknął jej policzka, a ona skrzywiła się z bólu.

- Uderzył cię! - powiedział głosem, który zabrzmiał jak pomruk, zapowiadający bliski grzmot. Bez jednego słowa przeszedł nad nieprzytomnym kowbojem i wziął ją na ręce. Kopnięciem otworzył drzwi i wszedł do sklepu tylnym wejściem.

- O mój Boże, Jacob, co się stało? - zawołała Marissa.

- To ta biała świnia, ten kowboj jej to zrobił. - Głowa Caroliny opadła na ramię. Bał się, że straciła przytomność.

- Zawołam doktora. Mamo! - krzyknęła - potrzebujemy doktora.

W drzwiach ukazała się przerażona Marie.

- Połóż ją tutaj, na łóżku. Czy ktoś ją zranił?

- To ten kowboj - wyjaśniła Marissa i szybko wybiegła frontowymi drzwiami.

Jacob pochylił się ostrożnie nad Carolina i oglądał pręgę na jej policzku.

- Gdzie cię boli, kochanie?

- W środku - szepnęła.

- W środku? - Był wstrząśnięty. Przecież nie zobaczył niczego, co by na to wskazywało. Mężczyzna miał spodnie zapięte na guziki, a jej suknia też wydawała się nietknięta. Nagle uzmysłowił sobie, co za-

szło. Ręka tego łotra, jego brudna ręka była pod jej spódnicą. Poczłł żądcę krwi... Ruszył przed siebie.

- Zostań ze mną, proszę cię - Carolina złapała go za rękę i trzymała ją z całych sił obiema dłońmi.

- Nie pozwolę, by żył...

- Nie, Jacob, ja już dobrze się czuję. Nic mi nie jest. On nie zdążył mi nic zrobić.

Ukląkł koło jej łóżka.

- Powinienem był zostać w sklepie.

- Nie mogłes. Wprawiłam cię w takie okropne za-
kłopotanie. Przepraszam. To było przecież do przewi-
dzenia.

- Powinienem był wyjść za nim po tym, jak się do
ciebie odezwał.

- Ale ich było trzech.

- Myślisz, że nie poradziłbym sobie z trzema pi-
janymi białymi łotrami? Sądziš, że twój honor tak ma-
ło dla mnie znaczy? Nawet gdyby mieli mnie powiesić
jak mordercę i dzikusa albo opluć jak tchórza, powi-
nienem był...

Zamknęła mu usta koniuszkiem palca.

- Nic z tych rzeczy, mój drogi... Trzeba znaleźć in-
ne wyjście z tej sytuacji.

Skrzywiła się, gdy zaczął przemywać jej twarz
miękką ściereczką umoczoną w wodzie.

- Na pewno będę miała okropne sińce. Najgorsza
w tym wszystkim była jego brudna łapa na moich
ustach i smak jego krwi, gdy go ugryzłam. Szkoda, że
nie mogłam mu wstrzyknąć trucizny, jak grzechotnik.

- Na przyszłość pamiętaj: jeśli zostaniesz zaatako-
wana przez nie uzbrojonego mężczyznę, z całej siły
kop go w przyrodzenie.

- Choć to może brzmi okrutnie, ale to dobra rada,
panno Hammond. - Do łóżka podszedł siwowłłosy

mężczyzna w ciemnym ubraniu. - Jestem doktor Wells. Pozwoli pani, że ją obejrzę.

Jacob odsunął się, a doktor usiadł przy łóżku. Marissa i Marie przypatrywały się, stojąc w drzwiach. Carolina czuła się ogromnie skrępowana. Oglądają mnie jak jakiś eksponat w muzeum - pomyślała. Wolałaby wyczołgać się stąd i dochodzić do siebie w ukryciu.

Doktor zbadał jej ramię.

- Czy to boli?

- Tak.

- Szeryf zamknął Sandersona w więzieniu - dzielił się wiadomościami Wells. - Jest nieźle poturbowany. Ma parę połamanych żeber. Wygląda na to, że mu się to należało. Takie jest przynajmniej moje zdanie. A jak pani głowa? - znowu zajął się Carolina.

- Boli.

Macał delikatnie palcami, dotykał skóry poprzez włosy.

- Paskudny guz - stwierdził. - Czy patrząc, ma pani zamglony obraz?

Potaknęła.

- Zostawię pani proszek na ból głowy. Wydaje mi się, że nie ma żadnego złamania, ale ramię wygląda na porządnie stłuczone.

Doktor Wells wstał i zwrócił się do Jacoba.

- Radzę trzymać się z daleka przez jakiś czas. Na pana miejscu zszedłbym im z oczu. Sanderson lubi rozrabiać.

- Powinienem był go zabić - mruknął Jacob.

- Wtedy by pana powiesili, chłopcze. Nie! Powiedziałbym, że Sanderson dostał akurat to, co mu się należało. A pan niech się przyczai i pozwoli, żeby przestano gadać na ten temat.

Po chwili doktor wyprosił wszystkich z pokoju

i dokładniej przebadał Caroline. Kiedy wyszedł, zawołała Marissę.

- Musimy opuścić miasto jak najszybciej - nalegała.
- Boję się o Jacoba.

- Uspokój się, kochanie, odpoczywaj. Wyjedziemy na czas, żeby zdążyć przed zmrokiem do domu.

- Doktor Wells zorientował się, co mnie łączy z Jacobem i wcale nie wydawał się zaszokowany.

- To porządny człowiek. Pracował wśród Indian. Starał się im pomóc, jak tylko mógł, bo trapi ich bardzo wiele chorób. - Marissa pomyślała, że jeśli doktor czuł coś dla tej pary, to na pewno była to litość. Zachowała jednak tę myśl dla siebie. Jej przyjaciółka potrzebowała spokoju, a nie nowych przykrości.

Carolina chciała tylko na moment przymknąć oczy, ale zapadła w sen, który okazał się dobroczynny dla obolałego ciała. Zbudziło ją stukanie do drzwi.

- Szeryf jest tutaj i chce z tobą pomówić - usłyszała szept Marissy.

Szeryf Pritchard był starszym panem o niewyszukanym manierach i mówił do niej, mając policzek wypchany tytoniem do żucia.

- Chcę zobaczyć, czy Sanderson bardzo brutalnie panią potraktował.

- Przecież pan widzi moją twarz, szeryfie. Co do reszty, to musi mi pan uwierzyć na słowo.

Spojrzał na nią uważnie spod krzaczastych brwi.

- A jak pani myśli, panno Hammond, co on miał zamiar pani zrobić?

- Miał zamiar mnie zgwałcić, szeryfie.

- Powiedział to pani?

- Tak! I to w zupełnie niedwuznaczny sposób.

- Czy to Indianin go od pani odciągnął, czy Sanderson wycofał się z własnej woli?

Przełknęła ślinę i patrzyła mu prosto w oczy.

- Szeryfie, on jedną ręką przygniatał mnie do ziemi, a drugą podnosił moją spódnicę. I właśnie wtedy Czarny Jastrząb skoczył na niego od tyłu.

Pritchard zrobił wielkie oczy. Ta pani nie owija w bawełnę - pomyślał.

- Przypuszczam, że Sanderson posiedzi trochę w więzieniu, ale niedługo.

Jak długo? - nalegała.

- Wystarczająco, żeby nastroje trochę ostygły. - Oparł rękę na kolanie i przysunąwszy się do niej, powiedział konfidencjonalnie:

- Niech pani posłucha mojej rady, panno Hammond. Nie wolno pani zapominać o jej pozycji społecznej. Ludzie zaczynają przebąkiwać, że coś pani łączy z Czarnym Jastrzębiem. Ja, oczywiście, wiem, że Czarny Jastrząb mówi po angielsku niemal tak jak każdy z nas, ale to o niczym nie świadczy. Przybysze ze Wschodu nieraz nie rozumieją, jak się te sprawy u nas przedstawiają. Niech więc się pani nie gniewa za te kilka rad. Przed laty Indianie w tych okolicach przysporzyli nam mnóstwo kłopotów, a ludzie niełatwo zapominają. Ostatnio Siuksowie trzymają się od nas z daleka i chcemy, żeby tak pozostało.

Carolina patrzyła na niego zimnym wzrokiem i nie odpowiedziała na jego krótkie pożegnanie. Marissa odprowadziła szeryfa do drzwi i natychmiast do niej wróciła.

- Szeryf uważa, że to moja wina - powiedziała Carolina.

- Pritchard to stary piernik, nie przejmuj się nim.

- Czuję się zbrukana, Marisso, a nienawidzę tego uczucia.

- Potrzebny ci spokój, kochanie. Połóż się na chwilę w sypialni. Już niedługo jedziemy.

Stanęła przed lustrem w sypialni i nagle zobaczyła obok swego odbicia twarz Jacoba.

- Źle się czujesz? - spytał.

- Nie! - skłamała.

Objął ją i przycisnął do serca. Aż do bólu pragnął zapewnić ją, że to się już nigdy nie powtórzy, że może zawsze liczyć na jego opiekę. Dobrze jednak wiedział, ile zasadzek kryje się w świecie, w którym żyją. Wciąż nękały go pytania, co by było, gdyby nie wyszedł na czas z kuźni lub nie usłyszał jej krzyku.

- Źle cię zrozumiałem, gdy powiedziałaś, że boli cię w środku.

- Wiem, ale naprawdę nic mi nie jest.

- Czuję, że jest inaczej, *waştelakapi*. - Przycisnął usta do jej włosów i szepnął: - Kocham cię i czuję twój ból.

Jaka to była ulga móc się wypłakać i pozwolić, by łzy płynęły i wsiąkały w jego koszulę.

- A co by było, gdyby mu się udało? Gdyby mnie zgwałcił? Mógłbyś mnie nadal kochać?

- Tak, kochałbym cię i płakał razem z tobą... - Dotknął jej twarzy, miękkimi wargami ucałował skaleczony policzek. - A teraz pozwól, że już cię stąd zabiorę. Jedziemy do domu.

Niczego bardziej nie pragnęła.

11

Carolina spędziła kilka dni na ranczo. Nie chciała, żeby jej podrapana i posiniaczona twarz stała się tematem rozmów robotników, więc w czasie posiłków unikała wchodzenia do kuchni. Jacob nie starał się jej odszukać, zrobił to natomiast Cułley. Któregoś dnia po śniadaniu nagle stanął w drzwiach.

- Wróciłem, bo... - przez chwilę kręcił się nieporadnie - bo zapomniałem tu kapelusza. - Przestępowałem z jednej krzywej nogi na drugą i nie miał zamiaru odejść.

- Jeszcze pan tu coś zostawił, panie Culley? - spytała, wrzucając sztućce, które właśnie wytarła, do szuflady.

- Widzę, że to jednak prawda. Pani ma zadrapania na twarzy.

Zatrzasnęła szufladę.

- Słyszeliśmy o Sandersonie, proszę pani, słyszeliśmy, że był pijany i chciał pani zrobić coś złego.

- To był raczej nieszczęśliwy wypadek, panie Culley, i mam nadzieję, że będzie szybko zapomniany.

Marissa akurat schodziła z góry i zatrzymała się w drzwiach kuchni.

- A cóż to, panie Culley? Już jadł pan dziś śniadanie.

- Proszę mi wybaczyć, proszę pani, ale usłyszałem o tym strasznym wypadku w mieście i musiałem przyjść zobaczyć to na własne oczy. Żaden szanujący

się mężczyzna nie powinien pozwolić, żeby mu to uszło płazem. Nie było komu pomóc pannie Hammond. Jedynym człowiekiem, którego szef mógł wtedy wysłać, był Indianiec. Wszyscy inni mieli ważne obowiązki. A ja zawsze powtarzam: nie należy zlecać czerwonoskórnym pracy przeznaczony dla białych.

- Panie Culley!

- Dwie eleganckie panie wyjeżdżają na cały dzień do miasta, a tu nie ma komu się o nie zatroszczyć. No i patrzcie, co się stało. Ale ja już dopilnuję, żeby ten gad Sanderson otrzymał właściwą karę.

- To nie będzie wcale potrzebne, panie Culley, bo...
- zaczęła, jękając się, Carolina.

Na szczęście w porę wtrąciła się Marissa:

- Sandersonem zajął się szeryf. Panna Hammond bardzo by chciała mieć już to wszystko za sobą i zapomnieć.

- Wcale się nie dziwię. Taka elegancka pani. A czy pani wie, pani MacAllistair, że panna Hammond ofiarowała się nauczyć mnie czytać?

- Nie wiedziałam o tym.

- Panie Culley, to jeszcze nic pewnego... - usiłowała się wytłumaczyć Carolina.

- Niech się pani nie martwi Sandersonem. Już on dostanie za swoje - zagroził Culley, wychodząc.

Gdy wyszedł, spojrzały po sobie.

- Obiecałaś, że nauczysz go czytać? - dziwiła się Marissa.

- Powiedziałam mu tylko, że się dowiem u Charlesa, czy nie mogłabym utworzyć także klasy dla dorosłych. Zastanawiałam się nawet, czy Jacob nie mógłby prowadzić z nimi zajęć. Ale wiesz, Marisso, zdenierwował mnie ten Culley. Miałaś rację, że potrzebuję spokoju. Wracam do siebie.

Marissa zgodziła się na wyjazd dopiero wtedy, gdy Carolina obiecała, że wróci na weekend.

Dni spędzone samotnie w chacie pozwoliły jej wrócić do sił. Miała sporo zajęć w ogrodzie przy jarzynach i kwiatach. Jak długo była w ruchu i pracowała, czuła się dobrze, ale gdy leżała sama w swoim łóżku, przypominało jej się owo straszne przeżycie z Sandersonem. Wyrzucała sobie, że nie walczyła z nim dość skutecznie. Ciągle czuła smak krwi, gdy go ugryzła w rękę, i przykry zapach oddechu mężczyzny. W świetle dnia była opanowana, ale nocą zaczynała się nienawidzić. W sobotę ruszyła na ranczo.

Był to dzień wypłaty i wiadomo było, że robotnicy opuszczą ranczo i całą noc spędzą w mieście. Nawet Jim Bates zdecydował się pojechać do miasta. Już czas - powiedział sobie - pójść do jakiegoś lokalu, posłuchać gry na pianinie i trochę się pośmiać z kolegami. Zaraz po skończeniu pracy ranczo opustoszało.

Carolina siedziała z Marissą na werandzie, a Charles i mały Charlie usadowili się na ogrodzeniu i patrzyli, jak Jacob trenuje ognistego dwulatka.

- Dlaczego on do mnie nie przyszedł, Marisso?

- Przecież minęło dopiero parę dni. Pytał mnie, czy nie pojedę sprawdzić, jak się czujesz, ale powiedziałam, że wybierasz się do nas na weekend.

- Boję się, czy on nie czuje do mnie wstrętu.

- Wstrętu? Do ciebie? Nie bądź śmieszna. On jest wściekły na Sandersona i to wszystko.

- Nie jestem pewna, Marisso. Przyznam ci się, że sama czuję do siebie wstręt, choć wiem, że to głupie.

Przyjaciółka położyła jej rękę na ramieniu.

- Nie powinnaś być teraz sama, ale z przyjaciółmi.

- Kiedy tu byłam, każdy gapił się na mnie i albo

się litował, albo mnie osądzał. A Jacob i tak trzymał się ode mnie z daleka.

- A ja mam wrażenie, że on siebie obwinia o to, co się stało.

- Nic go nie tłumaczy. Powinien był mnie odwiedzić.

- Nie naciskaj na niego, kochanie. Czy zastanawiałaś się, dokąd was to wszystko zaprowadzi?

- Oczywiście. Niejeden raz. On wciąż mi powtarza, że nie ma przed sobą przyszłości i może żyć wyłącznie dniem dzisiejszym, a ja wiem tylko tyle, że jestem niešťczęśliwa, gdy nie mogę być z nim.

- I myślisz o wspólnej przyszłości?

- Tak! - powiedziała dobitnie i spojrzała jej prosto w oczy.

Marissa uśmiechnęła się.

- Chodź, dołączymy do mężczyzn.

- Wiesz - zawołał Charles - ten szary źrebiec już nawet nie próbuje zrzucić! Co byś powiedziała - uśmiechnął się, obejmując żonę - gdybyśmy z niego zrobili wierzchowca dla Charliego?

- Mówisz serio, tatusiu? - piszcząc ucieszony chłopiec.

- Jeśli Jacob nie znajdzie w nim żadnej wady, będzie twój!

Charlie klasnął w dłonie i już chciał przeskoczyć przez ogrodzenie, ale ojciec go powstrzymał.

- Prrr, stój! - krzyknął.

Jeszcze chwilę obserwowali, jak cierpliwie Jacob wdraża konia do zmieniania kierunku. Mały Charlie bił mu brawo.

- To dobry koń, prawda? Powiedz, Jacob!

- Będzie dobry - zapewnił chłopca Indianin.

- Wiesz - zwrócił się Charles do żony - wygląda

na to, że będziesz już wkrótce miała dojną krowę. Tylko patrzeć, jak się ocieli.

- Więc moja Lily przestanie być jałówką? Tak się cieszę...

- I myślę, że będzie dawała dużo mleka - dodał Charles. Był zadowolony, bo to on przywiózł tę jerseyjkę w zeszłym roku z Minnesoty.

- Jacob! Czy znasz się na przyjmowaniu cieląt? - spytał.

- Nie bardzo, ale widziałem, jak to się robi. - Jacob podjechał bliżej do ogrodzenia. - Nie wiem, po co biali ludzie tak się trudzą, żeby mieć krowie mleko.

- A ty nie lubisz mleka? - spytała Carolina, żeby cokolwiek powiedzieć.

Jacob zeskoczył z konia. Widać było, że go to pytanie rozśmieszyło.

- Mnie się od tego zbiera na wymioty - odparł. - Picie mleka sprawia mi niemal taką samą przykrość, jak ukąszenie węża albo jedzenie zielonych pomidorów. My uważamy, że człowiek powinien pić wyłącznie mleko swojej matki, i tylko wtedy, gdy jest małym dzieckiem. A mleko krowy niech pije jej dziecko, cielę... - Podszedł do Caroliny, a ta cała się rozjaśniła.

- Jak się pani czuje, panno Hammond?

- Znacznie lepiej, dziękuję.

- O, ta suknia to rozsądny strój. Chyba jest przeznaczona do jazdy konnej?

- Tak! - odpowiedziała i była dumna ze swojej rozciętej spódnicy.

- Czy klacz dobrze się sprawuje?

- Doskonale.

- To może weźmy ją na pastwisko... Mój koń będzie się lepiej uczył chodów, mając obok drugiego. - Zwrócił się do Charlesa:

- Kiedy się zabierzemy do przyjmowania cielęcia?
- Jeszcze nie teraz. Na razie nie ma skurczów. Jest tylko bardzo smutna.

Jacob zaśmiał się.

- Nie dziwię się. Pewnie się martwi, że jak się to wszystko skończy, to ją potem codziennie będą ciągnąć za wymiona. - Podał Carolinie wodze ogierka. - Proszę go potrzymać, a ja wezmę pani klacz.

Carolina dotknęła aksamitnych chrap żrebaka i uśmiechnęła się. Nagłe wszystkie jej zmartwienia zniknęły. Patrzyła to na Marisnę, to na Charłesa i jej oczy tryskały radością.

- To świetny facet, Carolino - odezwał się MacAlister, gdy tylko Jacob zniknął im z oczu. - Jeden z najlepszych ludzi, jakich znam. Ale i tak obawiam się, że pakujesz się w straszne kłopoty. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Bardzo dobrze wiem. A teraz wybieram się na przejażdżkę z tym świetnym facetem...

Jechali spokojnie, wolno przemierzając rozległą faliistą prerię. Jacob był zaskoczony widząc, że Carolina dosiadła konia z prawej strony, po indiańsku. Było mu miło przebywać tu z nią sam na sam. Po gorącym dniu przyszedł chłodny wieczór. Lekki wiaterek sprawiał, że moskity trzymały się od nich z daleka. Nawet szary ogierek wydawał się cieszyć spacerem. Dobrze reagował na każdy, najdelikatniejszy nawet ruch jeźdźca. Oba konie poczuły zapach wody i ciągnęły do małego strumyka, który zakolami przepływał przez trawiastą równinę.

Jacob pogłaskał ręką policzek Caroliny.

- Ślady zadrapań już prawie zniknęły.
- Spodziewałam się, że przyjdiesz do mnie, gdy byłam sama w chacie.

- Czy dlatego wyjechałaś z rancza? Chciałaś, żebym pojechał za tobą?

- Tak, ale nie tylko dlatego. Było mi nieprzyjemnie, że zwracam na siebie uwagę. Ludzie na ranczo dziwnie na mnie patrzyli.

- Jak, Carolino?

- Jakby się zastanawiali, co naprawdę mi się przydarzyło.

- Nie lubisz, jak tak na ciebie patrzą.

- Nie lubię.

- Ja także. Ciekawe więc, jak byś się czuła, gdyby ich wzrok ci mówił, że wiedzą, iż jesteś z Indianinem.

Nie odpowiedziała.

- Teraz już nie mówisz, że to bez znaczenia, prawda? Czy nie rozumiesz, że ludzie współczują ci, bo wiedzą, co ten człowiek chciał zrobić i szanują cię za to, żeś stawiała mu opór i uznała go za skończone bydlę. Ja cię przed nim obroniłem, ale za to, że mnie akceptujesz i uważasz za człowieka, będą tobą pogardzali. Trzymałem się z daleka sądząc, że już zdałaś sobie z tego sprawę.

- Wiedziałam tylko, że cię przy mnie nie ma. Nie odwracaj się ode mnie, Jacob! Chyba że mnie już nie chcesz...

Spojrzał na nią łagodnym wzrokiem, i przytulił do piersi.

- Obroniłem cię. Mężczyzna musi ochraniać swoją kobietę.

- Tak, zrobiłeś to - szeptała z ustami wtulonymi w jego szyję - i dzięki Bogu, że tam byłeś. Ach, Jacob, żebyś wiedział, jakie straszne są teraz moje noce.

- Wiem.

- Myślałam, że jesteś na mnie zły.

- Nie, *waştelakapi*, nie jestem.

- Nienawidzę wszystkiego, co łączy się z tamtym przeżyciem. Tylko ty możesz sprawić, żebym o tym zapomniała.

- Chcesz, żebym go zabił?

- Nie! - Całowała kąciki jego warg i mówiła z ustami tuż przy jego policzku: - Nie, Jacob! Chcę, żebyś mnie znowu pieścił; to by mi pomogło zapomnieć dotyk tamtego.

Uniósł jej twarz i przywarł do jej ust w długim pocałunku. Wśliznął się językiem za jej rozchyłone wargi, a ona dawała mu poznać, jak bardzo jest jej to miłe.

On pierwszy oprzytomniał.

- Nie tu, maleńka - szepnął - nie teraz. Jeśli mam cię pieścić po swojemu, zajmie nam to całą noc.

- A więc przyjdiesz do chaty?

- Na pewno, skoro wiem, że twoje drzwi są dla mnie otwarte. - Ale rozumiał, że to nie może trwać bez końca.

- I znowu będę przy tobie bezwstydną. Nie masz pojęcia - mówiła ze śmiechem - jak to przyjemnie być z tobą i nie czuć wstydu.

- Tak! - szepnął - wiem, że tak jest. - Zamknął jej usta pocałunkiem i upajał się słodyczą jej warg. Teraz wierzył, że to się nigdy nie skończy.

Gdy wjeżdżali na ranczo, usłyszeli ryk krowy. Nie ulegało wątpliwości, że to był głos cierpiącego zwierzęcia. Charles stał w drzwiach obory i ruchem ręki przywoływał Jacoba, by wszedł do środka.

- Jak będziemy wyciągać cielę? - spytał.

- Chyba przywiążemy sznur do jego przednich nóg i użyjemy konia, by ciągnął. Czasem przy pierwszym cielęciu nie można inaczej.

- Idź już do domu - powiedział do Caroliny, widząc, że się zasmuciła.

- Dobrze, pójdę i zrobię kawy.

- Tak się cieszę, że już wróciłaś! - zawołała na jej widok Marissa. - Ryki biednej Lily doprowadzają mnie do rozpacz. Wiem, co ona czuje, i wciąż o tym myślę: ból, ból, ból.

- Zamiast się cieszyć, że będziesz miała cielaka - strofowała ją Carolina. - Czy miałaś trudny poród przy Charliem?

- Straszny! Ja jestem mała i wąska, a on był dużym dzieckiem. Bóle trwały całymi godzinami, ba, całymi dniami...

- Boisz się tego, co cię teraz czeka?

- Wiem, że to się uważa za błogosławieństwo i próbuję się nie bać, ale boję się okropnie.

- Tym razem powinno być łatwiej, skoro już raz rodziłaś.

- Raz? Rodziłam trzykrotnie - poprawiła ją Marissa. - Dwoje poroniłam.

- Teraz nie pozwolimy ci do końca chodzić. Będziesz musiała być ostrożna i polegiwać. Będę ci pomagała...

- Jak możesz mi pomagać, kiedy mieszkasz Bóg wie gdzie, w tej głupiej chacie.

- Mam pomysł. Gdyby Jacob się zgodził, mogłybyśmy zapytać jego siostrę Ruth, czy nie chciałaby na jakiś czas z tobą zamieszkać. Pomagałaby ci, gdy ja będę zajęta w szkole, a przy okazji nauczyłaby się po angielsku. Ja zaś przeniosłabym się tutaj na stałe dopiero, gdy zbliży się czas twego porodu.

- Prawdę mówiąc, nie znam Ruth - powiedziała Marissa.

- Przecież to twoja kuzynka.

Kobieta patrzyła na ręce swoje i przyjaciółki i stwierdziła, że choć ona stale unika słońca, a Caro-

lina tego nie robi, to jednak skóra Caroliny jest o wiele jaśniejsza.

- Ruth to bardzo miła dziewczyna - zapewniała Carolina. - Oczywiście, nie wiadomo, czy jej rodzice się zgodzą. Wiem jednak, że matka Jacoba zachęca swoje dzieci, by uczyły się czytać i mówić po angielsku.

- A może ja przy okazji nauczę się trochę po laotyjsku - zaśmiała się Marissa.

- Dowiedziałam się od Jacoba, że dzieci indiańskie wysyła się do szkół z internatem. Można by tego uniknąć, gdyby tu było więcej nauczycieli. Myślę, że z czasem Ruth, a nawet Jacob, mogliby uczyć indiańskie dzieci angielskiego.

- Nieźle to sobie obmyślałaś, tylko ciekawam, kto im będzie za to płacił.

- Dla Jacoba pieniądze nie są takie ważne - zaśmiała się. - To go czyni szczególnie przydatnym do zawodu nauczycielskiego. Ale na razie to tylko mój pomysł... Tymczasem tobie potrzebna jest pomoc już teraz.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo bym chciała, żebyś u nas zamieszkała. Nienawidzę być sama.

- Nie bój się! Nie zostawię cię samej, ale teraz chodź ze mną do kuchni, bo obiecałam panom kawę.

- Mam w spiżarni szarlotkę - przyznała się Marissa - i umieram z chęci zjedzenia jeszcze kawałka.

- A więc to prawda, że kobiety w ciąży nawet w nocy buszują po kuchni?

- Mamy swoje słabostki, ale trzeba je wybaczyć. Przez pół ciąży mamy nudności, cały czas jesteśmy zmęczone i w kiepskim nastroju, a w dodatku robimy się grube jak beczki. Jedyne, co mi się w ciąży podoba to to, że się nie ma miesiączek.

Carolinie coś przyszło do głowy. Przecież swego czasu obiecała Jacobowi, że mu powie, gdy będzie miała miesiączkę. Nic jednak nie mówiła, bo nie było powodu...

- Miewałam zawsze bardzo ciężkie miesiączki... - zwierzała jej się Marissa. - Czasem musiałam nawet leżeć w łóżku, takie miałam bóle brzucha, a nawet głowy. Ty też?

- Nie, zwykle nie.

- To masz szczęście.

- Powiedz, Marisso, czy jak się zajdzie w ciążę, to od razu ma się nudności?

- Różnie to bywa. U mnie nudności pojawiają się dopiero w trzecim miesiącu, a niektóre kobiety wcale ich nie mają. Ja, niestety, mam zawsze wszystkie symptomy.

- To są jeszcze inne?

- Tak. Na przykład bolesność piersi. Cokolwiek na siebie włożysz, nic nie wydaje ci się dostatecznie miękkie.

Carolina zauważyła, że Marissa dziwnie jej się przygląda. Czym prędzej więc uśmiechnęła się beztrudnie.

- Wiesz, nikt tych rzeczy nie tłumaczy starym pannom. Znam to od strony naukowej, ale nigdy nie wiedziałam, co kobieta wtedy czuje.

Marissa wciąż spoglądała na nią uważnie.

- Bo te naukowe książki piszą mężczyźni, a to właśnie oni są sprawcami naszych ciąż. O tym chyba wiesz kochanie?

- Oczywiście - zaśmiała się Carolina.

Jacob i Charles pomogli Lily szczęśliwie urodzić zdrowe cielę. Uczcili to przy kawie i szarlotce. Carolina wykorzystując miły nastrój, odważyła się wspo-

mniej o ewentualnym zatrudnieniu Ruth. Charles był zachwycony pomysłem, a Jacob solennie obiecał, że porozmawia o tym z rodziną.

Po kawie mężczyźni wrócili do obory, a panie spędziły jeszcze jakiś czas na pogawędce. Carolina położyła się spać dość wcześnie i długo nie mogła zasnąć, znów myśląc o tym, co jej się przydarzyło.

Została *jeszcze* kilka dni na ranczo, a potem wróciła do siebie. Zdawała sobie sprawę, że tylko lekarz może potwierdzić to, co sama dobrze wiedziała. Postanowiła, nie zwlekając, poddać się badaniu, skoro i tak tego nie uniknie. Ktoś musiał ją jednak zawieźć do miasta. Nikt oprócz Jacoba nie wchodził w grę. Rozumiała, że on musi dowiedzieć się pierwszy.

Nie wiedziała, jak mu o tym powiedzieć, żeby nie wpadł w panikę i nie poczuł się złapany w potrzask. Ale doszła do wniosku, że nie ma wyboru: powie mu, gdy tylko go zobaczy. Jacob obiecał jej, że przyjdzie, więc czekała. Gdy minął prawie tydzień, a on wciąż nie pojawił się w chacie, postanowiła sama wybrać się na ranczo.

Jechała stępa na swojej dereszce i dotarła na ranczo późnym popołudniem. Uderzyła ją dziwna jak na tę porę cisza. Wpuściła klacz do pustej zagrody i zastanawiała się, czy nie pójść od, razu do pokoiku Jacoba przy stajni.

- Dzień dobry, panno Hammond! - usłyszała. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Culleyem, który właśnie z Billem Tannerem wjechał do zagrody.

- Co tu dziś tak spokojnie? - spytała, przywitawszy się z kowbojami.

- Za to wczoraj było głośno - poinformował Culley, schodząc z konia. - Kiedy przyjechał szeryf i aresztował Indiańca.

Serce zabiło w niej gwałtownie.

- Aresztował Jacoba?

- Tak, i nigdy nie widziałem, żeby mężczyzna tak się bronił przed kajdankami - dodał Tanner.

- Ja - chełpił się Culley - spełniłem swój obywatelski obowiązek i udzieliłem pomocy szeryfowi, ale nikt inny palcem nie ruszył, żeby pomóc.

- A jaki był powód? O co go oskarżono? - zwróciła się do Tannera.

- Morderstwo.

- Zamordowanie Buda Sandersona - dopowiedział Culley.

- Sandersona? Tego łotra, który... to niemożliwe! - krzyknęła.

- Teraz Indianiec wpakował się w prawdziwe tarapaty - piał kowboj.

- A gdzie jest pan MacAllistair?

- Szefa nie ma. Pojechał do Minneapolis w interesach! - wołał za nią Culley, bo już biegła w stronę domu.

- Marisso! - wołała od progu. - Czy to prawda? Czy wiesz, gdzie teraz jest Jacob?

- Ach, Carolino - mówiła, ściskając ją, przyjaciółka - nie wiedziałam, czy mam posłać po ciebie, czy nie. Nie mogłam ich powstrzymać, a Charlesa nie było. Wyjechał do Minneapolis i już tam powinien być. Oni skuli Jacoba kajdankami, oni... oni... - była przejęta nie mniej niż Carolina.

- Kiedy doszło do morderstwa? - spytała dziewczyna po chwili.

- Właśnie o to chodzi, że wydarzyło się w sobotę wieczór, gdy Jacob z Charlesem pomagali Lily przy ociepleniu, a wszyscy robotnicy byli w mieście.

- Czy to się zdarzyło w mieście?

- Tak. Sanderson został zabity nożem. Znaleziono go za kuźnią.

- Ale przecież Jacob był wtedy tutaj - złapała Marissę za ramię. - Nie powiedziałaś im tego?

- Wszystko im opowiedziałam! I o cielęciu, i o tym, że piliśmy razem kawę i że potem nocą Jacob wrócił jeszcze razem z Charlesem do obory. Ale musiałam też przyznać, że od tej pory już go nie widziałam.

- Ale przecież był z Charlesem.

- Powiedzieli, że muszą to usłyszeć od samego Charlesa. Według nich Jacob jest w tej sprawie głównym podejrzanym.

- Dlaczego?

- Chyba wiesz, dlaczego? Przez tę bójkę i przez to, że się odgrażał, że zabije Sandersona za to, co...

- Sama chciałam go zabić... Pójdę tam i powiem im, że byłam z nim.

Marissa złapała ją za ramię i obróciła twarzą ku sobie.

- Jacob na pewno nie chciałby, żebyś znowu narażała się na przykrości. A poza tym oni mogą nie potraktować cię poważnie.

- Mówisz, żebym się nie narażała. Dobry Boże, Marisso! Przecież zarzucają mi morderstwo. Muszę im powiedzieć wszystko, co wiem.

- Ale oni ci nie uwierzą. Nawet nie jestem pewna, czy szeryf rzeczywiście zatelegrafuje do Charlesa, choć go o to prosiłam. Na wszelki wypadek zaraz wysłałam Jima do miasta, żeby też wysłał depeszę. Na razie uspokójmy się i czekajmy, póki Charles nie wróci. Wiem, że on potrafi się tym zająć.

- Pojadę do miasta z Batesem.

- O, nie, Carolino, nie możesz tego zrobić.

- Muszę zobaczyć się z Jacobem.

Miała w oczach taką determinację, że Marissa zrozumiała, iż przyjaciółka nie zmieni zdania, wobec tego ustąpiła.

- Dobrze, jedź i powiedz Jacobowi, żeby niczego nie robił i niczego nie mówił, żeby ich nie prowokować. Mogą go zlinczować. Już to nieraz robili.

- Wiem - powiedziała Carolina i nawet jej głos nie zdrzął.

- Zatrzymaj się u mojej mamy i ani na krok nie oddalaj od Jima.

Podróż do miasta nieznośnie się dłużyła. Oboje z Batesem byli zdenerwowani i zbyt przygnębieni, żeby mówić o byle czym. Po kilku nieudanych próbach nawiązania rozmowy mężczyzna w końcu wyrzucił z siebie to, co mu leżało na sercu:

- Nie mogę się nadziwić, panno Hammond, że pani się wybiera do więzienia, zobaczyć się z Czarnym Jastrzębiem. Wie pani, ja osobiście nie mam nic przeciwko takim ludziom jak Jacob. Jest chyba najlepszym ujeżdżaczem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Ale myślę dużo o pani...

- Ja się chyba nie nadaję na ujeżdżacza, panie Bates.

- Co to, to nie, ale nadaje się pani na żonę, i sądzę, że dla właściwego człowieka byłaby pani wspaniałą towarzyszką.

- I ja tak myślę... - powiedziała. Chciała zjednać sobie Batesa. Potrzebowała go.

- Wiem, że jestem o kilka lat starszy od pani, ale pomyślałem sobie...

- Proszę pana - przerwała mu - niech mi pan lepiej teraz nie mówi, co pan sobie pomyślał, bo będziemy jeszcze bardziej zakłopotani.

Milczał chwilę, a potem jej wygarnął:

- Białe kobiety nie zadają się z Indianami, proszę pani. Tego się po prostu nie robi. Pani go żal, bo on ma teraz kłopoty, ale zaręczam pani, że nic dobrego z tego nie wyjdzie.

- Wiem, że narażam się na towarzyski bojkot.

- Bo co tu dużo mówić: Indianie są jednak inni niż my. Co innego pracować z nim, jak ja. Ale jeśli chodzi o to, co jest właściwe, a co nie dla takiej damy jak pani, to przecież są przyzwoici biali mężczyźni, spośród których może pani wybierać. A Jacobowi trzeba znaleźć jakąś fajną indiańską dziewczynę...

- Ależ, panie Bates!

Potrząsnął głową i wydał z siebie coś jakby długo dławione westchnienie.

- Wiem, że to nie zabrzmiało zbyt dobrze. W gruncie rzeczy Jacob to dobry i rozgarnięty chłopak. Jest wykształcony i gdyby nie te warkocze, wyglądałby całkiem...

- Po ludzku?

- Jak biały.

Spojrzeni po sobie i było jasne, że dzieli ich ogromna różnica poglądów.

- No nic, panno Hammond! Zawiozę panią do tego więzienia i surowo przykażę zastępcy szeryfa, aby nie dopuścił do żadnych plotek na temat pani wizyty.

- Bardzo dziękuję.

- I niech pani przemyśli moją przyjacielską radę. Będzie pani potrzebowała przyjaciół, panno Hammond, i Jacob też...

Gdy przybyli do Shields, na dworze było jeszcze jasno, a zdaniem Jima nie należało odwiedzać urzędu szeryfa, póki się całkiem nie ściemni. Carołina przystała na to. Za najpilniejsze uważała wysłanie telegra-

mu do Charlesa i tym miał się teraz zająć Bates. Poprosiła go, żeby ją na ten czas zostawił u doktora Welsa. Jest okazja - pomyślała - więc nie zaszkodzi, jak doktor obejrzy sobie moje ramię.

Kiedy w końcu Jim zjawił się, by ją zaprowadzić do więzienia, poszła za nim bez słowa. Jeszcze się łudziła, że skoro nigdy nie widziała aresztanckiej celi, to może się zawaha, kiedy przed nią stanie. Spytał więc, gdy doszli do drzwi:

- Czy pani jest pewna, że chce tam wejść?

. Potaknęła.

Przez kraty w drzwiach zajrzała do środka. Cella była mała i ciemna. Latarnia zastępcy szeryfa rzucała złowrogie cienie na podłogę, a przez zakratowane okno wpadało białe światło księżyca. Jacob stał przy oknie. Widziała jego profil.

- Masz gościa, Indiańcu! - zawołał przez drzwi zastępcą szeryfa. Potem postawił latarnię na podłodze i długo gmerał przy kluczach. Jacob przestępował z nogi na nogę. W końcu zamek otworzył się z trzaskiem, ale Jacob nadal spoglądał w okno.

- Czy możemy zostać sami na kilka minut? - spytała Carolina.

Na dźwięk jej głosu Jacob powoli się odwrócił.

- Nie widzę przeszkód - powiedział urzędnik - ale uprzedzam, że muszę panią też zamknąć w celi. Proszę, by pani szybko załatwiła swoją sprawę, bo mogę mieć
nieprzyjemności. • >

- Dobrze! - szepnęła. - Dziękuję.

Oboje słuchali, jak szurał nogami, idąc z powrotem do biura. Latarnię zabrał ze sobą.

- Po coś tu przyszła? - zwrócił się do niej Jacob ostrym tonem.

- Musiałam się z tobą zobaczyć.

- Ta ceła przypomina klatkę dla zwierząt. Nie powinnaś była tu przychodzić.

- To wszystko jest przecież pomyłką. Gdy tylko Charles wróci, powie im, gdzie byłeś tamtej nocy.

- Ja też im to powiedziałem, a nawet więcej: powiedziałem im, że gdybym to ja zabił tego łotra, na pewno nie znaleźliby go z nożem w plecach.

- Proszę cię, nie mów im więcej takich rzeczy, w ogóle nic im nie mów. Tu są ludzie, którzy chętnie powiesiliby cię bez procesu.

- Proces? - zaśmiał się z goryczą. - Każą mi przysięgać na Biblię, że nikogo nie zabiłem. Ale moje słowa i tak nic dla nich nie znaczą, z Biblią czy bez niej.

- Nie powinienesz ich rozdrażniać, Jacob. Zatelegrafowaliśmy do Charlesa. Wkrótce tu będzie.

- Trudno mi wytrzymać w tej cuchnącej celi. Dali mi zawszony koc. Czuję się taki zbrukany, nieczysty. Gdy Lakota jest zamknięty, traci kontakt ze swoim opiekuńczym duchem. Czasem jedynym wyjściem jest...

- Nie! - szepnęła i przytknęła palce do jego ust, a potem podeszła bliżej, wzięła jego dłoń i położyła na swoim łonie. Na nieme pytanie w jego oczach odpowiedziała:

- Noszę w sobie twoje dziecko, Jacob.

- Moje dziecko? - wyszeptał. To brzmiało cudownie i przerażająco zarazem. Widział, że ona się uśmiecha, i pomyślał, że kobiety to nie przeraża, kobieta ma odwagę rodzić dzieci, ale on był tylko mężczyzną i z typowo męskim tchórzostwem zapytał:

- Dlaczego temu nie zapobiegłaś, dziewczyno? Czemu byłaś taka nieostrożna?

- Znam tylko jeden sposób, w jaki mogłabym temu zapobiec: nie pozwolić ci się dotknąć. Ale raczej wo-

łałabym się sama nigdy nie urodzić. - Objęła go i przygarnęła do siebie.

Nie odwzajemnił uścisku. Czuł się bezradny. To było ponad jego siły. Był tylko mężczyzną. Miał mocne piersi i ramiona, ale to było niczym w porównaniu z tą przedziwną mocą, którą kryło jej łono. Dziecko, które on powołał do życia, będzie w niej rosło i cały świat zobaczy, że tam jest. Nie będzie już mógł dłużej ochraniać jej dobrego imienia.

- Ja też byłem nieostrożny - przyznał. - Czego teraz żadasz ode mnie, *waştelakapi*? Co chcesz, żebym uczynił?

- Czego ja żądam? - powtórzyła z goryczą. - Myślałam, że będziesz się bardziej troszczył o swoje bezpieczeństwo teraz, kiedy masz zostać ojcem. Ja też muszę być bardziej ostrożna, bo noszę w sobie nasze dziecko.

- Uważasz więc, że skoro mam zostać ojcem, to powinienem cicho siedzieć, póki nie przyjedzie Mac-Allistair, żeby powiedzieć im prawdę, której oni nie chcą przyjąć ode mnie?

Cofnęła się i rzuciła mu surowe spojrzenie.

- Nic mi nie jesteś winien, Jacob. Czyń, co ci każe twoja duma. A jeśli chodzi o mnie, potrafię zadbać i o siebie, i o nasze dziecko, bo tak mi każe mój instynkt.

- Więc chcesz urodzić to dziecko?

- Tak!

- Dlaczego?

- Wciąż mnie jeszcze nie znasz, Jacob. Dlatego, że cię kocham i już teraz kocham to dziecko.

Wziął ją w ramiona i głęboko wdychał zapach jej włosów. Ilekroć był blisko niej, kompletnie się zatracił, zapominał o tym, kim jest i jak beznadziejna jest jego

sytuacja. Był niekonsekwentny. Powiedział, że się dla siebie nie nadają, a jednak został jej kochankiem. Powiedział, że nie ma niczego, co mógłby jej dać, a dał dziecko. Cieszył go ten dar teraz, gdy było mu tak dobrze w jej ramionach.

- Dobrze, maleńka! Będę więc milczącym Indianinem i być może pozwolą mi dożyć do powrotu Mac-Allistaira. A gdy na jego słowo wydostanę się z tej śmierdzącej dziury, przyjdę do ciebie i porozmawiamy o naszym dziecku. - Uśmiechnął się smutno. - Powiniennem ukarać cię za to, że przyniosłaś moje dziecko w tak okropne miejsce.

- Tu jest jego ojciec.

- Więc obiecaj jego ojcu, że będziesz ostrożna. Nie jeździj sama do miasta. Nie odwiedzaj mnie więcej. Są tacy jak Sanderson, którzy uważają, że kobieta Indianina to łatwa zdobycz i można się nią pobawić. Ale przysięgam ci, że każdy mężczyzna, który by zechciał cię skrzywdzić, zginie z mojej ręki.

Klucz zgrzytnął w zamku i natychmiast odskoczyli od siebie.

- Koniec wizyty - usłyszeli.

- Czy chcesz, żeby ci coś przynieść? Może czysty koc?

- Nie - odpowiedział prawie niedosłyszalnie.

- Niczego ci nie wolno tu przynosić. Idź już, maleńka.

Dotknęła jego ramienia i szybko wyszła. Zastępca szeryfa zaprosił ją do swego biura i tłumaczył z fałszywym uśmiechem:

- Musi pani wiedzieć, że każdy, kogo tu zamykamy, przysięga, że nie uczynił nic złego. Każdy, ale nie Indiancy. Oni nigdy nie zaprzeczają, i to bez względu na to, czy to zrobili, czy nie. Ten, którego tu mamy, chyba dość się nakradł i ma Bóg wie co jeszcze na

sumieniu, więc należy mu się areszt, nawet jeśli w tej sprawie nie jest winny.

Rzuciła mu lodowate spojrzenie.

- Niech pan lepiej dopilnuje, żeby on żył, gdy zjawi się Charles MacAllistair, bo gdyby mu się coś stało, gorzko pan tego pożałuje.

Gdy tylko Charles złożył przed szeryfem oświadczenie, Jacob został zwolniony. Bez słowa opuścił więzienie i poszedł prosto do Swensonów. Kupił sobie nowe ubranie i skorzystał z ich wanny, by się porządnie wykąpać. Tarł skórę niemal do żywego mięsa, by zmyć z siebie wszystkie więzienne brudy.

Carolina zobaczyła go przez okno, gdy zbliżał się, jadąc wierzchem, do jej zagrody. Poznała go bardziej po ruchach niż po wyglądzie. Jechał w siodle, miał przewieszoną przez ramię strzelbę w futerale i zupełnie nową odzież.

Z jego dawnych rzeczy rozpoznała jedynie pas z mosiężną sprzączką. Uderzyło ją, że włożył ciemnoczerwoną koszulę: nigdy przedtem nie widziała, by nosił coś w tym kolorze. W dodatku zniknęły gdzieś jego warkocze.

Zsiadł z konia ze zwykłą u niego gracją, zauważyła jednak nie znaną przedtem niecierpliwość w jego ruchach i surowość malującą się na twarzy. Lecz był to wciąż jej ukochany Jacob i z radością wybiegła mu na spotkanie.

Przy całym swoim harcie ducha i niezłomności, Jacob miał w sobie także pewną głęboko ukrytą miękkość, którą tylko Carolina umiała wyzwolić. Mógł nosić na ramieniu strzelbę i mieć surową maskę na twarzy, ale ta miękka cząstka jego osobowości należała do niej.

Na jej widok wyciągnął rękę, przyciągnął ją do siebie, uściśkał, a potem poszukał jej ust.

Z bijącym sercem odwzajemniła pocałunek. A potem całowała go po twarzy i szyi, by w końcu znowu wrócić do ust. Teraz dopiero czuła, że naprawdę powrócił, że jest znowu jej.

Z jękiem oderwał usta od jej warg.

- Wejźdźmy do środka - rzucił szybko, pchnął nogą drzwi, by się za nimi zamknęły i oparł o nie strzelbę.

- Nareszcie znowu jesteś przy mnie - szeptała. Zaczęła rozpinąć mu koszulę, a potem, położywszy obie dłonie na jego piersi, powtarzała:

- To jesteś ty, naprawdę ty, ach, Jacob...

- Nie mogłem się już doczekać chwili, gdy będę znów rozwiązywał ten pakunek - żartował, dobierając się do guzików, które zaczynały się wysoko pod szyją.

- Czy dobrze się już czujesz, Jacob?

- Jeszcze chwila i poczuje się świetnie. - ściągnął z niej suknię i pozwolił, by spadła na podłogę.

- Tak się bałam... - zaczęła.

- Szsz... - Położył palec na jej wargach, a drugą ręką rozsznurowywał gorset. - Najpierw muszę cię zobaczyć - mówił zduszonym głosem - i dotknąć po swojemu.

Zdjęła z niego koszulę, powtarzając niby echo:

- Dotknąć cię... dotknąć cię...

Drżącymi palcami gmerała przy sprzączce od jego paska.

Gdy już zrzucił z niej wszystko, co mu przeszkadzało, dotknął dłońmi jej bioder. Próbowwała zrobić to samo, ale guziki w jego spodniach stanowiły przeszkodę, której nie umiała pokonać, i jęczała z niecierpliwości. Zaśmiał się i jednym ruchem bez trudu je rozpiął.

Pamiętała, jaką karę obmyślał Jacob dla Sandersona i przez jedną koszmarną chwilę, gdy sięgała ręką do jego spodni, wydawało jej się, że mogli to zrobić Jacobowi. Na jej westchnienie ulgi odpowiedział jękiem rozkoszy.

- Uważaj, maleńka - ostrzegł ją - bo wolę napełnić tym twoje łono niż dłoń. - Mówiąc to rozchylił jej uda i delikatnie szukał palcami najbardziej czułego miejsca. Jej głośny, urywany oddech dał mu poznać, że je znalazł.

- Jacob - powtarzała jego imię - Jacob!

- Kocham cię - szepnął.

- Więc bądź ze mną, Jacob.

Skłonił ją, by uklękła, i wtedy zbliżył się do niej od tyłu, a widząc zdziwienie dziewczyny, ogarnął ją ramionami, całował w szyję i szeptał:

- Zaufaj mi! To jest mój nowy sposób, *waśtelakapi*.

Wszedł w nią drogą, którą przedtem utorował sobie palcami. Miał wolne ręce i mógł ją nimi pieścić tam, gdzie rozbudzona do ostateczności, najbardziej tego pragnęła. Szczytowali równocześnie.

Gdy potem leżeli w łóżku, całował, wzruszony, jej łono.

- Zawsze będziesz mnie kochał, Jacob?

- Zawsze, *ohinniyan*.

Zerwała opaskę, którą przewiązywał czoło i zanurzyła palce w gęstwinie jego włosów.

- Zawsze o tym marzyłam - wyznała - ale nie mogłam, bo miałeś je splecione.

- Zawsze?

- *Ohinniyan!* - próbowała naśladować jego nosową wymowę. Przytulił głowę do jej piersi.

- To szeryf kazał mnie ostrzyc przed wyjściem z więzienia. Marissa stwierdziła, że zrobili to fatalnie.

! Dopiero ona wszystko poprawiła.

Przycisnęła go do siebie.

- To moja wina - powiedziała cicho. - Wszystkie nieszczęścia zaczęły się od tego dnia w sklepie.

- Jeśli chodzi o włosy, to miałem je już kiedyś krótko obcięte. Gdy mi to zrobiono po raz pierwszy, czułem się zhańbiony, jakby mnie publicznie obnażono, i byłem gotów ich za to zabić. Ale teraz już wiem, że włosy odrastają, więc nie ma zmartwienia. Im chodziło tylko o to, aby mnie upokorzyć. Związali mi ręce do tyłu, gdy ścinali moje warkocze. Biali są tacy głupi...

- A białe kobiety?

- Znam jedną, która jest zachwycająca. - Wargami szczypał jej sutek. Zauważył, że się wzdrygnęła, gdy przeciągnął brzegiem zębów po brodawce. - Wrażliwa? - spytał. Potaknęła. Położył jej dłoń na łonie i gładząc je delikatnie, szeptał:

- Wrażliwa i zachwycająca. Czy dziecko sprawia ci jakiś ból? - spytał po chwili.

- Nie. Czuję się dobrze, tak jakby go tam nie było.

- Myślisz, że to chłopak?

- Nie wiem, może dziewczynka. Chciałabym, żeby było podobne do ciebie, z czarnymi oczami i mnóstwem pięknych czarnych włosów.

- Niech więc to będzie syn, bo wolałbym, żeby córka była podobna *do* ciebie. - Pogłaskał ją po policzku.

- Nie chciałem cię na to wszystko narazić. Nasze kobiety mają sposoby na zapobieganie ciąży.

- Przykro mi, Jacob, ale ja nie posiadam takiej wiedzy - rzuciła szorstko.

- Powinienem był się tego domyślić. Wiesz, co zrobię, Carolino? To dziecko jest Lakotą, ono jest moje. Zabiorę cię do mego domu, tam je urodzisz i nikt nie będzie o tym wiedział.

- Ale... mam przecież pewne obowiązki. Będę już wkrótce uczyła w szkole.

- Nie pozwolą ci teraz uczyć swoich dzieci.

Nagle zeszywniała.

- Mamy jeszcze trochę czasu - powiedziała chłodnym tonem. - Kiedy moja brzemiennność stanie się widoczna, wtedy niech rodzice decydują, czy chcą, by ich dzieci uczyły się u kobiety, która jest w ciąży.

Spojrzał na nią, jakby była niespełna rozumu.

- Ty dalej niczego nie rozumiesz. Czy to, co nam się dotąd przydarzyło, niczego cię nie nauczyło? Oni będą na ciebie pluli, Carolino! Nie mogę do tego dopuścić. Ucz te dzieci przez jakiś czas, jeśli musisz, ale gdy ciąża stanie się już bardzo widoczna, zabiorę cię do swojej rodziny i dziecko tam się urodzi.

- A co dalej, Jacob? Co będzie potem?

Przez chwilę bacznie ją obserwował.

- Potem oddasz je mnie. Sam będę je wychowywał, moja matka mi w tym pomoże. A ty... - głos mu się załamał. Jeszcze nie odeszła, a on już teraz cierpiął, że ją traci. - Ty, *waštelakapi*, musisz wrócić na Wschód, gdzie nikt się nigdy nie dowie, że kiedyś urodziłaś dziecko mężczyźnie z plemienia Lakota.

Przez chwilę walczyła z ogarniającymi ją mdłościami i z trudem łapała powietrze, ale nagle zebrała się w sobie, wyrwała z jego ramion i wyskoczyła z łóżka. Uznała, że to, co powiedział, jest grubiaństwem i że on nie zasługuje ani na nią, ani na dziecko. Pozbierała porozrzucaną garderobę, ubrała się, a odwróciwszy się zobaczyła, że on też wkłada koszulę i spodnie.

- Gdy zdobędziesz się na to, aby to wszystko przemyśleć...

- Przemyśleć? - ciasno otoczyła ramionami swój brzuch, jakby się bała, że on już teraz zechce odebrać jej dziecko.

- Jestem matką tego dziecka! - krzyczała, ale po chwili ściszyła nieco głos. - I będę mu dobrą matką. Kolor jego skóry będzie mi równie drogi jak dźwięk jego głosu i dotyk ust, gdy będzie ssało moją pierś.

Zrobił krok w jej kierunku, ale powstrzymała go gestem dłoni.

- Zarzucasz mi, że się niczego nie nauczyłam. Próbowалам. Całe serce w to włożyłam. Ale to ty niczego się nie nauczyłeś, jeśli chodzi o mnie: nigdy, przenigdy nie opuszczę mego dziecka.

- A więc ja to zrobię.

- Nie obchodzi mnie, co zrobisz, jeśli nie mamy tego robić wspólnie. Lepiej będzie, gdy się usuniesz. Dziecko jest moje. Jeśli uznam, że potrzebuję dla niego ojca, to znam kogoś, kto się zaopiekuje i mną, i dzieckiem.

W oczach Jacoba pojawiły się wściekłe błyski.

- Kto jeszcze wie o dziecku? Czy powiedziałaś o nim Batesowi?

- Nie! Nikt nie wie. Jim Bates dał mi jednak wyraźnie do zrozumienia, że chciałby się ze mną ożenić.

- Ożenić? - wrzeszczał. - Przecież to ja jestem ojcem twego dziecka!

- Tak, jesteś. Ale ani mi go nie zabierzesz, ani mnie stąd nie odeślesz. Jestem jego matką i chcę spełniać moje macierzyńskie obowiązki. Nie masz prawa mi w tym przeszkadzać. Żadnego...! - Drżała na całym ciele i z trudem wstrzymywała łzy.

- To idź do Batesa! - warknęła.

- Ale ja go nie chcę - szepnęła.

- Przyzwyczaisz się. Ty się łatwo adaptujesz... - ruszył w stronę drzwi, zabierając po drodze strzelbę. - A jeśli Bates zmieni zdanie, gdy się dowie, że jesteś ze mną w ciąży, to jestem gotów utrzymywać ciebie i dziecko.

12

Wiedział od samego początku, że nadejdzie taki czas, gdy będzie musiał pozwolić jej odejść. Nie spodziewał się jednak, że tak bardzo go to zaboli.

, To, że Carolina nosi jego dziecko, że jakąś cząstką żyje w niej, sprawiało mu radość. Gdybyż tylko mógł tę radość objawić, celebrować swoje ojcostwo, rozdawać z tej okazji prezenty, mówić o tym wszem i wobec... Tymczasem musieli to utrzymywać w głębokiej tajemnicy. Nawet najmniejsze jej naruszenie mogłoby doprowadzić do katastrofy. Dalej więc uważał, że Carolinie trzeba pozwolić odejść, gdy ich dziecko się urodzi.

Dni bez niej były długie i puste, a noce trudne do przeżycia. Potrzebował jej obecności, tak jak potrzebował jedzenia. Pamiętał to męczące uczucie, gdy przez dłuższy czas był głodny. Z początku tylko zaciskał pasa, ale już po tygodniu był gotów pójść na każdy kompromis. Zastanawiał się, co byłby w stanie zrobić, by znowu poczuć smak mięsa i czy wobec kawałka chleba honor lub godność mają w ogóle jakiegokolwiek znaczenie. Teraz myślał tylko o tym, co mógłby uczynić, na jakie pójść ustępstwa, by znowu znaleźć się w ramionach swojej kobiety.

Jeśli sprowadzi na ranczo siostrę - pomyślał - to Carolina niewątpliwie przyjdzie się z nią zobaczyć. I rzeczywiście, gdy tylko Ruth zjawiła się na ranczo, dziewczyna zaczęła regularnie przychodzić i dawać jej obiecane lekcje angielskiego. Wkrótce większość nocy

spędzała w domu MacAllistairów. Miał ją wprowadzić pod bokiem, ale była bardziej niedostępna niż u siebie w chacie. Był jednak spokojny, że tu nic jej nie grozi.

Na razie nie doszły do niego żadne plotki na temat Batesa i Caroliny. Gdyby Bates zaczął się oficjalnie o nią starać, już by o tym mówiono. Jeśli chodzi o jego stosunek do Jima, Jacob nie umiał sobie z tym poradzić. Staczał bezustanne walki z samym sobą. Z jednej strony, nie mógł się pogodzić z myślą, że kto inny będzie chował jego dziecko. U Lakotów mężczyzna oddawał swoje dziecko drugiemu tylko w obliczu śmierci. Z drugiej - wydawało mu się, że dziecku będzie lepiej bez niego.

Dla młodszych dzieci nauka w szkole rozpoczęła się już w połowie września. Starszych Carolina nie spodziewała się przed ukończeniem zniw. Mogła się więc całkowicie poświęcić lekcjom czytania i rachunków z najmłodszymi. Niektóre już nieźle dawały sobie radę, inne dopiero poznawały litery i cyfry. Wszystkie miały wiele dobrej woli i praca z nimi pozwoliła Carolinie oderwać się od myślenia o sobie i Jacobie.

Jadąc do szkoły, zawsze zabierała ze sobą Charliego. W drodze powrotnej często spotykali Culleya. Udawał, że znalazł się tam przypadkiem, i towarzyszył im aż do domu. Carolina wspomniała o tym Charlesowi i „przypadkowe” spotkania od razu się skończyły.

Jesień była tu inna niż w Nowej Anglii. Nastał październik. Liście na topolach szybko żółkły i opadały, ale natychmiast wymiatały je silne wiatry. Z żalem wspominała przyjemne szuranie stóp wśród masy spadłych liści, gdy w rodzinnych stronach spacerowała jesienią po parku. Tu ich było za mało nawet na okazalszy kopczyk. Nie słychać było cichego szelestu, gdy opadały. Od razu gdzieś się rozpierchały. Zasta-

nawiała się, czy tęskni za domem, czy te sentymenty biorą się stąd, że czuje się samotna, bo nie ma przy niej miłego sercu mężczyzny.

Kiedyś na spacerze usłyszała za sobą tętent konia, i jak zawsze modliła się w duchu, by jeźdźcem okazał się Jacob. Ociągała się jakiś czas, by przedłużyć nadzieję, a gdy się w końcu odwróciła i zobaczyła Batesa, z trudem ukryła rozczarowanie.

- Piękny dzień na spacer - zaczął.

- Witam pana. Istotnie, mamy piękny dzień.

Zsiadł z konia i prowadząc go za uzdę, przyłączył się do niej.

- Muszę pani powiedzieć, że już koniec pani kłopotów z Culleyem. Zwolniłem go. Nie lubię robić takich rzeczy, szczególnie gdy nadchodzi zima, ale nie miałem wyboru.

- Nie oczekiwałam czegoś aż tak drastycznego, proszę pana. Sądziłam, że jeszcze jedno ostrzeżenie czy ostrzejsza reprimenda wystarczą.

- Tak, i początkowo nie miałem zamiaru tak ostro z nim postąpić, ale kiedyś któryś z chłopaków zrobił jakąś uwagę na pani temat. Wie pani, takie sobie wygłupy. A on skoczył na mnie jak wariat. Czegoś takiego nie mogę tolerować..,

- Ciekawam, co to były za wygłupy. Czy ciągle jeszcze mówią o tym zdarzeniu w mieście?

- O, nie, o tym już się nie mówi. Żartowali, że nie pozwałam Culleyowi odprowadzać pani do domu, bo sam chcę pani towarzyszyć.

- To rzeczywiście głupie żarty.

- Sam nie wiem... Culley rzucił się na mnie i powiedział o pani coś takiego, że teraz zastanawiam się, czy rzeczywiście nie warto by zadbać, aby pani wracała bezpiecznie do domu. Niepokoję się, czy on cza-

sem nie kręci się koło szkoły i nie czeka, żeby pójść za panią...

- Dziękuję, że pan o tym pomyślał, ale jestem pewna, że to nie będzie konieczne.

- A co by pani powiedziała, gdybym zaproponował, że będę wysyłał Jacoba, by panią codziennie odprowadzał? Czy to by pani odpowiadało? - spytał z dziwną miną.

- Nie! Proszę tego nie robić!

- Mam z nim ostatnio problemy. Dawniej doskonale się zgadzaliśmy, a teraz on nie chce rozmawiać ani ze mną, ani, na dobrą sprawę, z nikim innym. Nosi w sercu jakąś zadrę, jakby był nieszczęśliwie zakochany czy coś takiego...

Nie odpowiedziała. Szła naprzód i patrzyła prosto przed siebie.

- Czy pani przemyślała to, co pani kiedyś powiedziałem na jego temat?

- Tak.

- I bardzo dobrze, bo to nie jest odpowiedni człowiek dla pani.

- Wolałabym na ten temat nie dyskutować, proszę pana.

- W każdym razie nie wiem, co wstąpiło w Jacoba, bo nawet jeśli pani postanowiła go od siebie odsunąć...

- Czy pan pamięta, co mi pan kiedyś powiedział o swojej przyjaźni dla Jacoba... a także dla mnie?

- Tak. I tak jest nadal, proszę pani. Nie myślę o Jacobie jak o Indianinie. Między mężczyznami to nie gra, zresztą, żadnej roli. Ale pani jest kobietą i boję się, żeby ludzie nie pomyśleli...

- Nie mówmy o tym. Już to sto razy słyszałam. Może jednak zainteresuje pana, że to Jacob ze mnie

zrezygnował. To on doszedł do wniosku, że się dla niego nie nadaje.

Minęła dłuższa chwila, nim to dotarło do Jima. W końcu wyjąkał:

- Co go napadło? Jakaś megalomania, czy co?

- Megalomania? - zaśmiała się. - Ej, chyba to nie jest właściwe słowo.

- Chciałbym pani jakoś pomóc, panno Hammond. Mam wrażenie, że Jacob coś jednak do pani czuje i chyba cierpi właśnie z pani powodu. Tylko że jeśli chodzi o Indian, to trudno nieraz powiedzieć, co oni czują. Z tego, co widzę, przeżywa teraz trudne chwile. - I zaraz dodał: - Ale dla pani to dobrze, że tak się stało. Niech mi pani wierzy...

- Tak, na pewno - potwierdziła w zamyśleniu.

- Pani powinna teraz zacząć się z kimś spotykać, choćby tylko tak, dla towarzystwa... To dobrze pani zrobi.

- Nie sędzę, żebym się nadawała do czegoś takiego i pewnie bym nie była zbyt dobrym kompanem.

- To już pani będzie łaskawa zostawić mnie do osądu. Czy mógłbym panią czasem odwiedzić?

Wiedziała, że jej to w końcu zaproponuje i bała się tego; ale trudno, stało się.

- Dobrze - powiedziała cicho, a jej zrezygnowany ton na pewno nie zabrzmiał zachęcająco.

Jemu jednak nie chodziło o ton, ale o treść, a ta go zadowoliła. Uśmiechnął się.

- Przez parę najbliższych dni będę też pani towarzyszył w drodze do szkoły. Po prostu dla bezpieczeństwa...

Niedługo potem Jim zaczął regularnie odwiedzać Carolinę na ranczo. Przychodził wieczorami raz albo dwa razy w tygodniu. Podawała mu kawę w salonie,

a on z upodobaniem zajmował fotel, w którym zwykle siadywał Charles. Sądził widać, że to w jakiś sposób podniesie jego prestiż.

Carolina siedziała sztywno wyprostowana, z nogą założoną na nogę i nie zmieniała pozycji przez cały czas jego wizyty. Nigdy zresztą nie zostawał dłużej niż godzinę. Rozmowa szła im opornie. Jim nie potrafił podjąć żadnego zaproponowanego przez nią tematu. W rezultacie co chwila popadali w żenujące milczenie. Mimo to uważał, że jego starania o nią posuwają się do przodu i że już wkrótce nadejdzie dzień, gdy będzie mógł poprosić o jej rękę.

Carolina cierpiała w milczeniu. Doszła do wniosku, że dopóki Bates nie zaproponuje jej małżeństwa, nie ma sensu mówić mu o dziecku. Dopiero gdy on zgodzi się chować dziecko mieszanej krwi, będzie czas na rozważenie tej propozycji. Ale mijały tygodnie, a wizyty Batesa coraz bardziej ją denerwowały. W końcu zrozumiała, że w żadnym wypadku nie może wyjść za niego. Z obrzydzeniem słuchała, jak siorbał, pijąc kawę, nie mogła patrzeć na jego rzadkie, tłuste włosy i słabo jej się robiło na samą myśl, że miałyby go całować w usta, leżeć obok niego w nocy czy pozwolić mu się dotykać. Miała absolutną pewność, że pragnie tylko Jacoba i nie zniesie obok siebie żadnego innego mężczyzny.

Któregoś wieczoru Jim rzucił na odchodnym, że mężczyzna musi sobie ułożyć przyszłość, póki nie będzie za późno. Zamknęła za nim drzwi, zniosła filiżanki i spodki do kuchni, ale po powrocie do pokoju poczuła, że się dusi, i musiała czym prędzej otworzyć okno. Ostatnio wciąż nachodziła ją myśl, żeby, tak jak to już kiedyś zrobiła, zakraść się do pokoju Jacoba przy stajni. Wtedy poszła do niego, by mu powiedzieć, co

do niego czuje, i od tej chwili zaczęło się ich cudowne lato miłości. Tylko że oprócz miłości Jacob dał jej także dziecko i ono właśnie stanowiło teraz największy problem.

Idąc do swego pokoju, już z daleka zobaczyła, że się u niej świeci. Jak zawsze najpierw pomyślała, że przyszedł Jacob. Podobną nadzieją łudziła się także, ilekroć słyszała za sobą tętent konia. Zawsze się rozczarowywała. Widywali się jedynie w czasie posiłków i wymieniali wtedy tylko sztywne ukłony.

Tym razem okazało się, że jej gościem jest Ruth. Wyglądała uderzająco pięknie w białej koszuli nocnej, którą dostała od Marissy. Dostała od niej zresztą także całą masę innych nowych strojów. Długie warkocze niczym czarne wstęgi zwieszały się nad jej młodzieńczymi, dojrzewającymi piersiami.

- Czy mogę z tobą porozmawiać, siostrze? - spytała.

- Oczywiście, Ruth. Dzisiejszej nocy bardzo mi trzeba siostry, z którą bym mogła porozmawiać. - Otworzyła okno, usiadła na łóżku, a dziewczynę posadziła naprzeciw.

- Widzę, że twój angielski jest znacznie lepszy - stwierdziła z uśmiechem.

- Tak, bardzo dużo ćwiczę. Podoba mi się ten dom, te stroje i to łóżko.

Carolina przypomniała sobie, że na ostatniej lekcji Ruth poznała zaimki wskazujące. Więc rozsznurowując bucik, spytała ze śmiechem:

- A co sądzisz o tych bucikach?

- Mój brat nie lubi takich - odpowiedziała i po chwili dodała: - Bardzo często ćwiczę angielski z bratem. On bardzo dobrze mówi prawdę?

- Tak! Jego angielski jest bardzo dobry.

- A czemu ty, siostró, tak często spotykasz się z tym mężczyzną?

- Z Jimem?

- Tak!

- To przyjaciel - głośno przełknęła ślinę.

- Ale jesteś kobietą mego brata?

- Tak!

- To czemu mój brat ostatnio nie przebywa z tobą? Czy opuściłaś Czarnego Jastrzębia dla tego Jima?

Carolina objęła dłońmi kolana i ciężko westchnęła.

- Nie! W moim sercu nadal jestem kobietą Jacoba.

- I patrząc w niewinne ciemne oczy Ruth, spytała: - Czy Jacob rozmawiał z tobą o mnie?

- Dowiadywał się o ciebie. Co się dzieje z moją kobietą? - pytał. - Jak ona się czuje? Czy dobrze się odżywia? On się o ciebie martwi, siostró. Musisz przenieść to łóżko tam, gdzie mieszka mój brat - i ręką wskazała okno. - Wyrzuć stamtąd konie. Nie trzyma się koni w domu.

Carolina domyśliła się, że Ruth ma na myśli stajnię i po raz pierwszy od tygodni szczerze się roześmiała.

- Zrób to! - mówiła dziewczyna z oczami błyszczącymi z podniecenia. - Ja ci pomogę przenieść tam to piękne łóżko.

- Ach, Ruth! Zrobiłabym to w jednej chwili, gdyby tylko Jacob mi pozwolił. Powiedz, co ci jeszcze mówił o mnie?

- Że mam nikomu nie mówić, że ty jesteś jego kobietą. I ja nikomu o tym nie powiedziałam. Ale ty musisz o tym powiedzieć temu Jimowi, siostró. On bardzo denerwuje mego brata. Widziałam gniew na twarzy Czarnego Jastrzębia. Jeśliby zabił Jima, to byłby straszny kłopot.

- Czemu twój brat mnie p tym nie powie? Wystar-

czy, żeby wspomniał, a już nie będę się widywała z Jimem.

- Tego mój brat nie zrobi. Mężczyzna nie mówi tego swojej kobiecie. Ona sama powinna to wiedzieć.

- Masz rację. Nie będę dłużej udawać, że mogłam, bym zastąpić twego brata kimś innym. Nie będzie nikogo innego. Przekaż Jacobowi, co powiedziałam: Nie będzie nikogo innego.

- Więc przeniesiemy to łóżko?

Carolina uśmiechnęła się przez łzy.

- Nie, tego nie zrobimy. Ale pomogłaś mi wiele zrozumieć. Teraz wiem, co mam uczynić...

Na początku listopada zima nastąpiła już na dobre. Zaczęły się pierwsze niewielkie opady śniegu i temperatura znacznie spadła. Carolina spodziewała się, że wkrótce pokrywa śnieżna będzie dostatecznie gruba na sanne. Wtedy wozy i bryczki zaopatrzy się w płozy i razem z Charliem będzie jeździła sankami do szkoły. Cieszyła się na to, bo niezbyt pewnie czuła się teraz w siodle.

Dziecko coraz bardziej dawało jej o sobie znać. Czuła, że to maleństwo, które ukrywa pod szerokimi spódnicami, zaczyna już żyć własnym życiem. Gdy po raz pierwszy poczuła ruchy dziecka, rozpłakała się z żalu, że nie może pobiec do Jacoba i powiedzieć mu o tym.

Jim Bates z pewnym niedowierzaniem przyjął jej prośbę, by poniechał wizyt. Powiedziała mu to w tak uprzejmej formie, że nie tracił nadziei, iż Carolina zmieni jeszcze zdanie. Łudził się, że jeśli przez jakiś czas będzie się trzymał z daleka, to może gdy nadejdą wakacje, chętniej przyjmie jego konkury. Każdy robi się miłszy latem - myślał.

Marissa i Ruth stały się teraz jej najlepszymi przyjaciółkami i cierpiała przez to, że nie wiedzą nic o dziecku. Wprawdzie dotąd uważała, że należy pilnie strzec tej tajemnicy, ale teraz zdawało jej się, że to tylko pogłębia jej samotność. Postanowiła zwierzyć się Maiiissie. Któregoś popołudnia, gdy piły razem herbatę, powiedziała o tym w możliwie najprostszych słowach:

- Będę miała dziecko z Jacobem.

- Wiem o tym - zaskoczyła ją Marissa, uśmiechając się ze współczuciem.

- Jacob ci powiedział?

- Ale skąd! Nawet się zastanawiałam, czy on o tym wie. Urodzisz na wiosnę?

Carolina przytaknęła.

Przyjaciółka poklepała się po wypukłości swego brzucha.

- Już za parę miesięcy będziesz tak samo wyglądać, moja droga.

- Wiem i przykro mi, że to może spowodować jakieś problemy ze szkołą.

Marissa machnęła lekceważąco ręką.

- A jakie masz plany?

- Jacob proponował mi, żebym jemu oddała dziecko, a sama wróciła do Bostonu.

- Bardzo rozsądnie, ale ty, oczywiście, odmówiłaś?

- Naturalnie! Jeśli nie chce mnie, to na pewno nie dostanie też mego dziecka.

- Staraj się być sprawiedliwa, Carołino. On nie chciał ci zrobić przykrości, po prostu szukał wyjścia z sytuacji.

- Nie chcę takiego wyjścia. To dziecko jest moje i pragnę je zatrzymać przy sobie.

- I, oczywiście, chcesz poślubić jego ojca?

- Jestem już jego żoną albo raczej czuję się nią. Ko-

cham go, Marisso. A co robią ludzie, którzy się kochają? Pobierają się. I wcale sobie przy tym nie wma-
wiam, że nasze życie we dwoje będzie łatwe.

- Zauważyłam, że już nie spotykasz się z Jimem. Czy powiedziałaś mu o dziecku?

- Nie! Nie powinnam go była zachęcać do spotkań. To był błąd. - Paliła się ze wstydu za każdym razem, gdy wracała do tego myśla. - Powiedziałam Jacobowi, że Jim weźmie mnie z radością, ale zrobiłam to tylko przez dumę i złość.

, - Ale czy wiesz, co to znaczy wychowywać dziecko samotnie?

- Tak, myślałam o tym. Wiem, że to nie będzie łatwe, mimo to nie mogę wyjść za mąż za Jima.

- A co zrobisz?

- No cóż, urodzę to dziecko. Jeśli zarząd szkoły się zgodzi, będę dalej uczyła. Tego lata zamierzam rozpocząć nauczanie dzieci lakotyjskich i myślę, że Ruth mi w tym pomoże. Ale podejmę się tego tylko wtedy, jeśli Jacob nie będzie usiłował odebrać mi dziecka - dodała ostrzejszym tonem.

- Przecież wiesz, że on tego nie zrobi. Daj mu trochę więcej czasu, Carolino.

- Dobrze, ale chciałabym dzielić go z nim.

- Wiem, że jestem marnym substytutem, ale możesz dzielić go ze mną.

Ranek pierwszego grudnia był pochmurny i padał niewielki śnieg. Carolina prowadziła właśnie lekcję historii, gdy nagle wiatr zmienił kierunek. Stało się to w ułamku sekundy i od razu zaczęła się straszliwa śnieżycą. Dzieci rzuciły się do okna i zobaczyły, że wszystko, jak okiem sięgnąć, tonie w puszystym śniegu. Cały świat był biały.

- Musimy się jakoś dostać do domu, panno Hammond.

- Może nas tutaj zasypać.

- Ominie nas kolacja - wołały jedno przez drugie.

Gdy Carolina otworzyła drzwi, gwałtowny podmuch wiatru ze śniegiem wepchnął ją z powrotem do klasy. Chłopcy pomogli jej zamknąć drzwi. Pomyślała o tornado i przeszły ją ciarki. Muszę zachować spokój - mówiła sobie. - Jestem odpowiedzialna za bezpieczeństwo dzieci.

- Trzeba poczekać, aż wiatr się uspokoi - zwróciła się do klasy. - W tej śnieżycy nie będziemy mogli znaleźć drogi do domu. - Zaniepokoiła się widząc, jak niewiele jest drzewa przy piecu.

- Rolf - zwróciła się do małego Friedricha - ile drzewa mamy na zewnątrz?

- Ja, ja... proszę pani - jękał się - poszedłem tam, aby narąbać drewno, ale zająłem się czymś innym i na śmierć zapomniałem.

- To bardzo niedobrze. A gdzie jest siekiera?

- Chyba zostawiłem ją na dworze.

- Już jej nie znajdziesz... Zobaczmy teraz, czy mamy dość wody. A co z końmi? - spytała.

- Konie są bezpieczne, proszę pani - odpowiedział któryś z chłopców. - Stoją po osłoniętej od wiatru stronie.

- No dobrze, wobec tego będziemy kontynuowali lekcję. Zanim burza śnieżna ucichnie, możecie odrobić zadania domowe na dwa dni naprzód.

Tymczasem zbliżał się wieczór, a wiatr wciąż wył. Cała klasa skupiła się przy piecu. Małe dzieci Carolina owinęła kocami, które przedtem zdjęto z sań. Niestety, kończył się już zapas drewna i nie zostało im nic do jedzenia z obiadu. Pojemniki były puste. Miała jedena-

ścioro dzieci pod opieką, ani krztyny jedzenia i stygnący piec.

- Słuchajcie, dzieci! - powiedziała spokojnie.
- Czy nie miałyście nigdy ochoty na rozbijanie mebli? Weźmy się za to. Będzie świetna zabawa.

Na ranczo szalała zawieja. Biały całun spowił dom i sparaliżował w nim życie. Jacob usiłował ruszyć konno w stronę szkoły, ale siła wiatru i oślepiająca biel śniegu nie pozwoliły mu postąpić więcej niż parę kroków do przodu. Zostawił konia w stajni i przedostał się do domu, kierując się wyłącznie instynktem, bo niczego nie było widać.

Razem z Charlesem i Marissą czuwał przez całą noc. Patrząc w okna, widzieli tylko matową, szarobiałą jasność. Wycie wiatru doprowadzało ich niemal do szaleństwa.

- Najbardziej się boję, żeby Carolina nie próbowała iść z dziećmi w stronę domu. Chyba tego nie zrobiła, powiedz? - pytała męża Marissa po raz nie wiadomo który. Za każdym razem pocieszał ją, ale gdy po jakimś czasie zapytała ponownie, stwierdziła, że Charles zasnął w fotelu.

- Myślę, że Carolina nauczyła się doceniać siłę wiatru - uspokajał ją Jacob. - Od kiedy zaskoczyła ją ta straszna burza w lecie, wie już, czym to grozi i tym razem zachowa się rozsądnie.

Jacob wciąż usiłował przebić się wzrokiem przez zawieję, lecz choć wyteżał oczy, nie mógł nic zobaczyć: ani budynków na podwórzu, ani parkanu, ani nawet wierzby rosnącej tuż za oknem.

Zwierzęta, które udało się w porę zagnać do stajni, będą już wkrótce domagały się, by je nakarmić i napoić. Robotnicy, grający w karty w baraku, też pewnie

klną, że nie dostali w porę ciepłego posiłku. A jego rodzina - myślał Jacob - siedzi zapewne zaszyta w chacie i ojcu bardziej niż zwykle dokucza dziś kaszel. Kto wie, zresztą, czy ta śnieżycyca nie przyniesie końca cierpieniom. Niejeden z jego ziomków nie przeżyje tej pogody... Współczuł im wszystkim, ale na myśl, że Carolina może leżeć gdzieś martwa pod zwalami śniegu, zamierało w nim serce.

- Czy w rodzinnych stronach Caroliny też się zdarzają takie śnieżycy? - pytała Marissa.

- Nie, tam zimą jest dużo śniegu, ale raczej nie dochodzi do huraganowych zawiei. - Przypomniał sobie burzę, w czasie której poznał Carolinę, jej ciało drżące w jego ramionach i zapach deszczu w jej włosach. Tamtego dnia stała w polu i patrzyła na trąbę powietrzną, jakby to była zabawa, ale bóg Ateyapi dał jej poznać przedsmak śmierci, więc teraz już wie...

Cały czas obserwował wirujący za oknem śnieg.

- Gdy tylko poprawi się widoczność, spróbuję wyruszyć na karpiach, bo koń by ugrzązł w tych zaspach.

- Wiem, że oni żyją - powiedziała cicho Marissa.
- Mój mały Charlie, Carolina i dziecko.

Był zaskoczony.

- A więc ci powiedziała?

- Nie musiała nic mówić. Sama się domyśliłam.

- A mnie się zdawało, że nic po niej nie znać.

- Lada dzień to stanie się widoczne dla każdego.

Carolina czuje już przecież ruchy dziecka. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje teraz twojej miłości.

- Przede wszystkim jest jej potrzebny mąż. Może ktoś taki jak Bates?

- Ona nie kocha Jima. Kocha ciebie.

- Zasługuje na kogoś lepszego.

- Ależ, Jacob, ona nosi twoje dziecko. Jeśli się z nią

nie ożenisz, to będzie je sama wychowywać, a to nie jest łatwe.

- A wiesz, jak wyglądałoby jej życie, gdybym się z nią ożenił? Co miesiąc będziemy chodzili do agencji po przydział żywności. Gdy mnie aresztują za pobicie jakiegoś białego łotra, który ją znieważył, przyjdzie mnie wykupić z więzienia i znowu usłyszysz obelżywe słowa, które już i tak często padają pod jej adresem. Na pewno będzie wtedy żałowała, że nie wyszła za Batesa, Culleya czy kogokolwiek, byle nie za mnie.

- - To prawda, że jeśli się pobierzecie, będzie dużo gadania. Ale z czasem to się uspokoi. Czy myślisz, że moja matka nie musiała słuchać obelżywych słów, że oszczędzono ich mojej babce?

- Wolałbym oszczędzić tego Carolinie...

- Możesz oszczędzić jej chodzenia do agencji po racje żywnościowe. Przecież sam też z nich nie korzystasz. Jesteś wykształcony i masz pracę.

- Uważasz, że mógłbym ją trzymać w stajni?

- To nie! Ale pomyśl, że możesz ją teraz stracić.

- Dojrzała w jego oczach strach, który i jej nie opuszczał. - Możesz stracić i ją, i dziecko na zawsze.

- Pójdę tam i uratuję ją! - zawołał.

- Pomyśl, co by było, gdybyś ją stracił...

- Wtedy słońce zgasłoby dla mnie na zawsze.

- A bez słońca nie można żyć.

- Nie boję się śmierci. Gdy stawką jest uratowanie życia jego kobiecie, Lakota wybiera śmierć. Pozwoliłem Carolinie odejść, więc już dokonałem wyboru, kuzynko!

Wiatr dał nieprzerwanie prawie dwa dni. Gdy się trochę uciszył i Jacob mógł dostrzec zarysy stajni, natychmiast ruszył w drogę. Najpierw opowiednio przygotował się do wyprawy. Bizonową opończę, którą dostał od matki, włożył włosiem do wewnątrz. Na nogi

wdział zimowe mokasyny i legginsy, a na dłonie ciepłe futrzane rękawice. Wziął ze sobą zapas zapalek, *wasnę* i suszone mięso.

Budynek szkolny znajdował się dość daleko od rancha MacAllistairów. Charles i Jim Bates postanowili, że pojedą sańmi zaprzężonymi w ciężkie perszerony. Spodziewali się, że dotrą tam w tym samym czasie, co Jacob na swoich śnieżnych raketach.

Nie mieli racji. Indianin prześlizgiwał się po powierzchni śnieżnych zasp, gdyż w ciężkim śniegu karpie nie grzęzły głębiej niż na dwa palce. Natomiast konny zaprzęg zapadał się w zasy i Charles z Batesem musieli łopatą torować sobie drogę.

Jacob nie tracił animuszu. Panika ogarnęła go dopiero w chwili, gdy z daleka zamajaczył szkolny budynek. Był niemal zupełnie zasypany. Pod śniegiem znalazła się cała strona południowa wraz z drzwiami i oknami. Z komina nie dobywał się dym. Jacob wołał, ale nie było żadnej odpowiedzi. Używając swoich śnieżnych raket jak łopaty, dokopał się do drzwi. Ręce mu drżały, gdy ujął klamkę.

W izbie panował mróz. Nie dostrzegł żadnego ruchu. Okna i drzwi były zasypane, brakowało powietrza. Ogień, który strawił w piecu meble, pochłonał także cały tlen. Jacob ukląkł przy Carolinie. Oddychała. Potem potrząsnął każdym dzieckiem z osobna, i każde wydało z siebie jakiś jęk czy kwilenie. Wszyscy żyli. Dzięki temu, że ogień od pewnego czasu już się nie palił, powietrze mogło się znowu dostać przez komin i piec do izby. Jacob otworzył szeroko drzwi frontowe, zapalił w piecu i tuż przy nim położył Carolinę.

Stopy ją piekły, dłonie parzyły, widziała twarz Jacoba, jak przez pryzmat grubego kolorowego szkła.

Gdy masował jej ręce, poczuła w nich ból, jakby ją kłuto wieloma igiełkami naraz.

- To boli - poskarżyła się.

- Dobrze, że boli - zaśmiał się. - To znaczy, że masz czucie w rękach.

- A dzieci, Jacob?

- Moje ma pierwszeństwo - odparł.

Podniosła się na łokciu, żeby mu pokazać, że jest w dobrej formie.

- Nic mi nie jest. Proszę, zobacz, co z dziećmi.

Kilkoro już biegało po izbie. Kazał im podejść bliżej pieca i pokazał, jak mają sobie rozcierać ręce i nogi. Młodsze popłakiwały, ale starsze od razu posłuchały jego rady. Jacob zdjął bluzę i otulił nią Carolinę. Trzymał ją w ramionach, kołysał jak małe dziecko i ssał przy tym końce jej palców, ogrzewając je językiem.

- Nie widzę, żebyś sobie cokolwiek odmroziła - powiedział. I dodał, szepcząc jej do ucha: - Gdybyśmy tu byli sami, dokładniej bym cię obejrzał, a potem szybko ogrzał.

- Musiałam zrezygnować z ognia, bo nie było czym oddychać. - Skrzywiła się, gdy zdejmował z niej buciki i wełniane skarpety.

- Staralam się nie zasnąć, ale było tak zimno... Ach, Jacob, to boli - jęknęła żałośnie.

Teraz rozgrzewał Carolinie palce u nóg.

- Stopy masz jednak trochę odmrożone! Nie będziesz już więcej nosiła tych głupich bucików, Carolino!

Roześmiała się nagle, a on spojrział na nią z niepokojem, przestraszony, że zwariowała. Ale nie! Uzmysłowała sobie po prostu, że ocalała, a mężczyzna, którego kocha, ssie palce jej stóp i w obecności jedenaściorga dzieci krzyczy na nią, że nosi głupie buciki. To było tak absurdalne, że aż śmieszne. Ale równo-

cznie zrozumiała, że to, co się stało, to cud, to błogostawieństwo życia i że kocha każdy jego przejaw.

- Jacob! - wołał zza drzwi Charles. - Są tam?

- Tak! - odrzyknął. - Są żywi, a jedną nawet, jak zwykle, rozpiera energia.

Wszyscy trzej wzięli się teraz za rozmasowywanie dzieciom rąk i nóg, żeby pobudzić w nich krążenie. Potem Jacob rozdawał przywiezione jedzenie.

- Najbardziej baliśmy się - tłumaczył Carolinie - żeby ci nie przyszło do głowy opuścić szkołę. Po takiej śnieżycy często znajduje się zamrzniętych na śmierć ludzi zaledwie parę kroków od ich domu. Dobrze postąpiłaś, nie wychodząc z dziećmi. Dzięki tobie wszyscy przeżyli - pochwalił ją.

Konie stały w osłoniętym miejscu i dobrze zniosły burzę. Teraz pożerały siano, które Charles przywiózł w swoich saniach.

Wkrótce rodzice zaczęli zgłaszać się po swoje dzieci. I choć niektóre miały niewielkie odmrożenia, wszystkie były dumne ze swej groźnej zimowej przygody. Będą miały jeszcze przez wiele lat co wspominać. Najzabawniejsze wydawało im się rozbijanie mebli, by zdobyć drewno na opał.

Sanie ruszyły w drogę powrotną. Jazda do domu wszystkim wydawała się krótsza, bo nikt już nie bał się tego, co zostanie u celu podróży. Sańmi MacAllistaira powoził Bates. Charles nie wypuszczał z ramion okutanego kocami i smacznie śpiącego synka.

Carolina skryła się pod koszulą Jacoba i przytuliła do jego piersi.

- Wiesz - szepnęła nagle - czuję ruchy dziecka. Wiadę zostało we mnie jakieś ciepłe miejsce tam, w głębi.

Musnął wargami jej czoło.

- Tak, jest tam takie miejsce - powiedział.



Gdy sanie zatrzymały się przed domem, drzwi frontowe gwałtownie się rozwarły i na werandę chwiejnym krokiem wyszła Ruth, krzycząc coś po lakotyjsku. Jacob słuchał jej w napięciu. Zdawał sobie sprawę, że siostra musi być w najwyższym stopniu zdenerwowana, skoro nie potrafi skupić się na tyle, by mówić po angielsku.

- Marissa rodzi! - przekazał natychmiast Charlesowi pierwsze, co powiedziała, a ten oddawszy synka Jimowi, jednym skokiem wydostał się z sań i co tchu pognął do domu.

Jacob zaniósł Caroline na werandę, a gdy tylko stanęła na nogach, zaczął dalej rozpytywać Ruth, co zaszło w domu pod ich nieobecność. W miarę jak słuchał, twarz coraz bardziej mu poważniała.

- Co się stało? - spytał Jim.

- Wygląda na to, że to sprawka Culleya. Ruth mówi, że nagle zjawił się jakiś mężczyzna o dzikim wyrazie twarzy. Wyszedł z jednej ze stajni, gdzie się jakiś czas ukrywał, i domagał się, by mu dały jeść.

- Do diabła! - zaklął Jim. - Nie powinienem był wysyłać wszystkich chłopców do ratowania siana.

Ruth miała przeciętą i spuchniętą wargę, i wzrok cały czas wbity w ziemię. Jacob przemawiał do niej serdecznie, a potem podniósł jej twarz i spojrzał w zapłakane oczy. Były pełne bólu.

Charles wrócił od żony z twarzą szarą jak popiół.

- Pomóżcie mi, proszę - mówił na granicy łoż, zamajającym się głosem. - Marissa straciła dziecko i krwawi, a ja nie wiem, co robić.

- Lód! - krzyknęła Carołina. - Ale go nie mamy - dodała po chwili - więc trzeba go zastąpić śniegiem.

Stała w nogach łożka przyjaciółki i zmartwiała, widząc tam malutkie ciało dziecka, leżące cicho i bez ruchu. Ruth przykryła je szalem i wzięła w ramiona. Usłyszawszy ciche łkanie, Carołina miała przez chwilę nadzieję, że może dziecko żyje, ale szybko zrozumiała, że to płacze Marissa.

Była blada i mokra od potu. Wysoko podniesiona spódnica odsłaniała jej uda i krew, rozlewającą się pod nimi szeroką plamą na prześcieradle.

Carołina wiedziała, jak się powstrzymuje krwotok.

- Wszystko będzie dobrze, Marisso - pocieszała przyjaciółkę. - Ułożymy cię biodrami do góry, głową na dół i obłożymy śniegiem.

Rozejrzała się dokoła.

- Ruth! Potrzebuję twojej pomocy.

Ale dziewczyna siedziała na podłodze w najodleglejszym rogu pokoju i kołysała się tam i z powrotem, trzymając martwe dziecko w ramionach.

- Ruth! - Carołina ponownie ją przywołała, ale nie było odpowiedzi.

Na szczęście Charles z Jacobem przydźwigali właśnie balię pełną śniegu. Wspólnymi siłami przenieśli Marissę na fotel, który ustawili oparciem na podłodze a siedzeniem do góry. Teraz zaczęli okładać jej brzuch i łono śniegiem.

- Marissa straciła dużo krwi - stwierdziła Carołina. - Trzeba ją wzmocnić. Powinna teraz jeść mocne buliony, wątrobę i wszelkie krwiste mięsa. Gdy krwo-

tok się zmniejszy, przejdziemy na zimne okłady. Charles! Poszukaj jakiejś ceraty i płótna.

- Zaraz coś znajdę! - zawołał i szybko wyszedł z pokoju.

Carolina dotknęła ramienia Jacoba, wskazując na Ruth, wciąż jeszcze kołyszącą zawiniątko z dzieckiem. Jacob podszedł do siostry i łagodną perswazją nakłonił ją, by mu oddała dziecko.

- To był Culley - nieoczekiwanie odezwała się Marissa. - Prosił o jedzenie, więc wpuściłyśmy go i nakarmiły. Pytał o ciebie, Carolino. Znowu wspomniał, że będziesz go uczyła czytać. Właściwie cały czas mówił tylko o tobie.

- Co on ci zrobił, Marisso?

- Najpierw zaatakował Ruth, bo mu zwróciła uwagę, że ty jesteś kobietą jej brata. Wpadł w furję i uderzył ją, a gdy próbowałam jej bronić, przewrócił mnie na podłogę. Używał ordynarnych słów. Jacoba nazwał świńskim Indiańcem i groził mu krwawą rozprawą za to, że się ośmielił tknąć białą kobietę. Poszedł za Ruth. Chciałam go powstrzymać, ale znowu mnie pchnął i wtedy zaczęły się bóle porodowe. Ruth usiłowała mi pomóc, ale rzucił ją na podłogę i chyba... ją zgwałcił. A ja zaczęłam rodzić... ten ból, Carolino, ten straszny ból...

Ruth podeszła do brata i płakała w jego ramionach. Carolina odczekała chwilę, a potem zbliżyła się do dziewczyny i szeptem wypytywała, czy nie jest zraniona, czy ją coś boli, ale Ruth uspokoiła ją. Nic jej nie bolało.

- Musimy teraz przenieść Marissę - zarządziła Carolina. - Trzeba zmienić prześcieradło.

- Pomogę ci, siostró - ofiarowała się Ruth, już jakby ośmielona i z podniesioną głową. Przebrały kobie-

tę w świeżą bieliznę i zmieniły pościel. Tymczasem Jacob usiłował niepostrzeżenie wynieść z pokoju zawinięte w szal ciało. Nie uszło to jednak uwagi Marissy.

- Carolino - spytała - straciłam swoje dziecko, prawda?

- Tak, dziecko umarło - potwierdziła dziewczyna.

- To była dziewczynka.

- Tak myślałam - szepnęła Marissa. - Chciałabym teraz pomówić z Charlesem.

- Zaraz go zawołam ~ ofiarowała się Carolina.

- Jacob?

Podszedł bliżej.

- Jestem tu, kuzynko!

- Charles nie powinien ścigać Culleya. Ten kowboj chyba oszalał. Przyznał się, że to on zabił Sandersona, aby pomścić Carolinę. Trzeba powiadomić szeryfa.

Mąż Marissy przyniósł wszystko, co było potrzebne do robienia zimnych okładów i zaraz się do tego zabrał.

- Będziesz wkrótce zdrowa, kochanie - pocieszał żonę.

Wieczorem, gdy Ruth położyła się spać, Carolina zaciągnęła Jacoba do swego pokoju. Usiadła na łóżku, a on przysiadł obok niej.

- Nigdy bym nie pomyślała - mówiła w zadumie - że to Culley. Wydawał się takim nieszkodliwym idiotą...

- Nie ma nieszkodliwych idiotów.

- Ja też byłam idiotką, a teraz Ruth i Marissa za to płacą.

- Ty nie masz z tym nic wspólnego.

- Będziecie go ścigać, prawda? - spytała z rezygnacją w głosie.

- Na razie martwię się o ciebie i siostrę. Culley daleko nie ucieknie.

- Jeśli go zabijesz, powieszą cię i co Ruth z tego przyjdzie?

- Moja siostra nie nazywa się Ruth - rzucił ostro. Spojrzała na niego ze zdziwieniem. - To imię nadali jej misjonarze. Naprawdę nazywa się Wakinyela, Dzika Gołębicą. Carolino, nie jesteśmy tymi, za których uważa nas biały człowiek.

- Wytłumacz mi to jaśniej!

- Ja się nazywam Canska Sapa - to po naszymu Czarny Jastrząb. Zgodziłem się, by mnie nazywano Jacob, ale nie czuję się związany z tym imieniem.

- Czemu mi o tym nie powiedziałeś?

- Owszem, powiedziałem, i to pierwszego dnia, gdyśmy się tylko poznali. Prosiłem, żebyś mówiła do mnie Czarny Jastrzębiu, ale ty uważałaś to za zbyt formalne.

- Bo myślałam, że to nazwisko. Nie rozumiem, dlaczego nie wyprowadziłeś mnie z błędu.

- Sądziłem, że wygodniej ci nazywać mnie Jacob; zależało mi na tym, żebyś czuła się ze mną bardziej swobodnie.

- Do Czarnego Jastrzębia też bym się przyzwyczaiła.

- Bo, widzisz, ja żyję w dwóch światach i w każdym mam inne imię. - Spojrzał w lustro, wiszące na ścianie i przyjrzał się swoim krótko obciętych włosom.

- Jesteśmy zniewolonym, pobitym narodem, Carolino. Ale wcale nie musimy godzić się na rolę, jaką wyznaczył nam biały człowiek.

- Prawdę mówiąc, niewiele o tym wiem...

- Zaraz ci to wytłumaczę: patrz, tu jest ogromny mur białych ludzi - podniósł rękę, by to zademonstrować - a ta wykruszająca się nieduża sterta kamieni to plemię Lakota. Ty i ja jesteśmy małymi kamykami, które w jakiś sposób potoczyły się dalej, poza wyzna-

zione miejsce, i spotkały się pośrodku. Podczas gdy dla mnie jest ważny mur i owa sterta kamieni, ty interesujesz się losem dwóch małych kamyków.

Z czułością dotknęła jego policzka.

- Kamyk zawsze pozostanie kamykiem, jakkolwiek go nazwiesz. Nie wiem, jak was biali wykorzystują. Wiem tylko, że biała kobieta, która siedzi teraz przy tobie, chciałaby cię po prostu nazwać swoim mężem. A pomijając wszystko inne, sądzę, że mamy dość zaprawy, by postawić sobie własny mały mur...

- Nie wiesz, co z nami robią biali? Misjonarze polują na nasze dusze. Rząd trzyma nas w rezerwach, tak jak farmer trzyma w swojej zagrodzie zwierzęta. Zabierają nasze dzieci. Uczą zawodów, które są nam obce i wstrętne. - Głos mu się załamał. - Wykorzystują nasze kobiety. Ale najsmutniejsze jest to, że my im na to pozwalamy. Nie walczyłem z nimi, nie szukałem odwetu i wstyd mi z tego powodu.

Zamyślił się i długo patrzył przed siebie. Carolina, milcząc, gładziła jego czarne włosy.

- Kocham cię całym sercem, Czarny Jastrzębiu - powiedziała nagle - i kocham dziecko, które we mnie żyje. Ale wydaje mi się, że jestem dla ciebie strasznym ciężarem. Dlatego posłucham cię i zrobię tak, jak chciałeś; gdy dziecko się urodzi, odejdę. Jeśli tak zdecydujesz, odejdę... - powtórzyła. - A dziecko zostanie z tobą, nie potrafiłabym ci go odebrać.

Był tak zaskoczony, że nawet nie miał pewności, czy ją dobrze zrozumiał.

- Gdy zbliży się czas rozwiązania - mówiła dalej - zabierzesz mnie do swego domu. Tam urodzę dziecko i wykarmię je piersią. - Uśmiechnęła się przez łzy. - A gdy mnie już nie będzie potrzebowało, opuszczę was oboje. Postąpię zgodnie z twoją wolą... - Chciał

coś powiedzieć, ale powstrzymała go. - Proszę cię, nie podejmuj teraz decyzji. Zaczekaj! Przemyśl to!

Przeraziło go jej postanowienie. Nie czuł się na siłach cokolwiek powiedzieć. Milcząc, potakiwał i gładził ją po twarzy. Chwyciła jego dłoń, przytuliła do warg i ucałowała jej wnętrze.

- Zostań ze mną tej nocy - prosiła. - Trzymaj mnie blisko. Chcę czuć twoje ciepło.

- Ja też niczego innego nie pragnę, *waştelakapi* - szepnął. Położył ją na łóżku i pochylając się nad nią, całował najczulej, jak potrafił.

- Jeszcze raz mi przypomnij, jak brzmi twoje imię po lakotyjsku.

- Canska Sapa - wymówił gorącym szeptem i jak to czynił wiele razy tej nocy, położył rękę na jej łonie. Ta mała wypukłość - myślał - to jego syn lub córka...

- Chciałbym poczuć, jak dziecko się rusza - powiedział.

Odczekała chwilę, a gdy nastąpiły dobrze jej znane drgnienia, przycisnęła jego rękę do łona.

- Teraz! Czujesz?

- Tak, mój syn jest niespokojny.

- A może to córka? Czy byłbyś równie szczęśliwy, mając córkę?

- Syn jest dla mężczyzny kontynuacją tego, o czym kiedyś marzył dla siebie. A córka? Córka zapewnia kontynuację życia narodu, jest darem boga Ateyapi i największym skarbem swego ojca.

- Ono znowu się rusza, czujesz?

- Nosisz je nisko/a nasze kobiety mówią, że to oznacza syna. - Mocniej przygarnął ją do siebie. - Dobrze znosisz ciężę, a gdy przyjdzie czas porodu, będzie przy tobie moja mama. Ona już wiele dzieci odebrała.

- Chcę, żebyś i ty był wtedy ze mną.
- Jak to? Mężczyźni plemienia Lakota nigdy...
- Biali mężczyźni też nie. A jednak chciałabym, żebyś był. Będę z ciebie czerpała siły.

- Kobiety mają dużo siły, a ty masz jej więcej niż inne. Mężczyźni szczycą się swoją odwagą i pogardą dla śmierci. Ale o ile więcej odwagi trzeba kobietom, by żyć i bronić życia. Podziwiam waszą niezłomną wolę życia i waszą wytrzymałość.

Przytuliła się do niego.

- Wiem, że będziesz ze mną, gdy dziecko przyjdzie na świat.

- Teraz muszę na krótko odejść, *waštelakapi*. Miej pieczę nad moją siostrą i moim dzieckiem i dbaj o siebie. Pamiętaj, że jesteś światłem mego życia.

Jacob zamierzał ruszyć w pościg za Cułleyem tuż przed świtem. Gdy wszedł do kuchni, Charles już na niego czekał.

- Lepiej zostań z żoną, MacAllistair, ona cię potrzebuje.

- Przecież to nie zajmie nam wiele czasu.

- Masz słabszego konia, opóźnisz pościg.

Charles chwycił go za ramię.

- Culley zabił moją małą córeczkę i omal nie zabił mi żony. Pójdę za nim.

- Dobrze, ale gdy zostaniesz w tyle, nie będę na ciebie czekał.

Czarny Jastrząb wziął ze sobą nóż, strzelbę i zapas *wasny*. Jechał na oklep. Śnieżne rakiety przewiesił przez grzbiet konia. Charles jechał w siodle i wkrótce pozostał w tyle.

Wszystko wskazywało na to, że Culley udał się na

zachód. Idąc tym tropem, Czarny Jastrząb już około południa dojechał do chaty, w której kowboj przypuszczalnie zatrzymał się na noc. Przez jakiś czas badał okolicę, chodząc na śnieżnych raketach, ale potem znowu dosiadł konia. Sam jadł mało i wątpił, czy Culley ma ze sobą żywność. Sądząc po śladach, niczego nie upolował. Na śniegu nic nie da się ukryć. Jacob wiedział z gorzkich doświadczeń swego ludu, że człowiek uciekający zimą, jest łatwym celem dla wroga. Wkrótce trafił na świeże końskie odchody i już miał pewność, że jego ofiara jest blisko. Uwiązał konia, zostawił przy nim broń i bluzę, a sam położył się nad pobliskim urwiskiem i czekał. Wkrótce dostrzegł jadącego dołem Culleya. Nie oszczędzał wierzchowca, pchał go w wysoki śnieg. Gdy znalazł, się bezpośrednio pod skarpa, Czarny Jastrząb skoczył mu na kark i strącił z konia. Stoczyli się na ziemię, ale błyskawicznie powstali i stanęli naprzeciw siebie. Culley wyciągnął nóż i patrzył na Jacoba dzikim wzrokiem.

- Ośmieliłeś się położyć swoje brudne czerwone ręce na białej kobiecie! - wrzeszczał. - Zabiłem białego za to, że jej dotknął, a ciebie, ty czerwona świnię, potnę na kawałki!

Czarny Jastrząb czekał. Gdy Culley chybił i przeciął nożem powietrze, chwycił go żelaznym uściskiem za ramię, a potem, wykręcając mu przegub dłoni, zmusił do wypuszczenia noża.

Po chwili wydał przerażający okrzyk wojenny i wymierzył kowbojowi potężny cios w oko, a następny kolaniem w krocze. Culley wyjąc z bólu, upadł w śnieg, ale jeszcze ostatkiem sił poderwał się do góry. Na próżno... Znowu upadł i teraz leżał przyciśnięty przez Czarnego Jastrzębia, który klęcząc nad nim na

jednym kolanie, trzymał w ręku nóż i szykował się do zdjęcia skalpu.

Chwycił kępkę jego włosów na czubku głowy i chociaż czuł się w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek Lakotą, przemówił po angielsku.

- Niewiele masz w sobie z mężczyzny, Culley. Szkoda nawet dla ciebie mego czasu. Twój skalp wnie- sie tylko smród do mego obozu. Ale widzisz... los mnie oszukał. Nie miałem nigdy szansy wykazać się odwa- gą, dotknąć w walce ręką żywego wroga ani uderzyć go laską. Nie zdjąłem ani jednego skalpu. Twój będzie pierwszy.

Przyłożył ostrze do jego głowy i zrobił nacięcie. Po- tem mówił dalej:

- Doświadczony wojownik potrafi zdjąć skalp z żywego, zdzierając tylko kawałek skóry. To boli, ale nie zabija. Wielu przeżyło, by o tym opowiedzieć. Ale ja sięgnę głębiej, do samej czaszki.

Pokazała się krew.

- Nie... - jęczał Culley.

- Moja siostra ma czternaście lat, ale nie prosiła cię o litość. Nigdy by tego nie zrobiła. - Raz jeszcze ciął nożem. - Zabiłeś nie urodzone dziecko mojej kuzynki...

- Litości - jęczał Culley.

- Znęcałeś się nad kobietą i dzieckiem, sukinsynu! Cierp tak jak one! - I ciął jeszcze raz.

Rozległ się odgłos wystrzału i straszliwy jęk Cul- leya nagle się urwał. Z małego otworu na jego piersi płynęła krew i wraz z nią ulatywało życie. Na skarpie stał Charles MacAllistair i trzymał w ręku strzelbę.

Czarny Jastrząb ciął nożem po raz ostami, a potem wstał i trzymając w ręku krwawy strzep skalpu, wy- dał triumfalny okrzyk zwycięstwa.

- Co zrobimy z ciałem? - spytał Charles.
- Zostawmy je kojotom. One też chcą jeść. Teraz ustalmy, co powiemy innym.
- Najlepiej, jeśli po prostu stwierdzimy, że nie udało nam się go złapać - zaproponował Charles.
- Strześliłeś, żeby szybko umarł i nie męczył się?
- Chodziło mi przede wszystkim o to, żeby zginął z mojej ręki. - Wskazał na skalp w ręce Jacoba.
- Masz zamiar go sobie zatrzymać?
- Zgodnie z zasadami sprawiedliwości powinien być twój. To ty zabiłeś Culleya. Chcesz go?
- Charles zaprzeczył ruchem głowy.
- Dawniej byłby cennym trofeum, ale dziś nie przyda mi się na nic. - Czarny Jastrząb rzucił skalp na pokrwawione zwłoki Culleya.

Carolina nie zdziwiła się widząc, że Charles powrócił sam. I dla niej, i dla innych było jasne, że Culley nie żyje i że władze mają o niczym nie wiedzieć. O szczegółach się nie mówiło, nikt także nie zamierzał komentować tego, co się stało. Charles powiedział jej tylko, że Jacob bił się z Culleyem i przypuszczalnie połamał mu wszystkie kości. Natomiast zabójcą tego człowieka jest on sam.

- Zastrzeliłem go! - stwierdził krótko. Dodał, że nie wie, gdzie jest Jacob, ale domyśla się, że poluje, bo wspominał, że jego rodzinie potrzebne jest mięso.

Czas mijał i nic się nie działo. Carolina zdawała sobie sprawę, że póki leży duży śnieg i pada wciąż nowy, nie ma szans na wznowienie lekcji. Na razie pomagała Marissie stanąć na nogi, uczyła Ruth angielskiego, miała lekcje z małym Charliem i patrzyła, jak z każdym dniem jej brzuch staje się coraz większy.

Boże Narodzenie obchodzono w tym roku u Mac-

Alłstairów spokojnie i bez wesołości. Na Wigilii nie obyło się, oczywiście, bez ponczu i ciasta z owocami. Nie tylko domownicy, ale i wszyscy pracujący na ran-
czo uczestniczyli w wieczerzy. Najważniejszą osobą był Charlie. Obsypano go prezentami. Od robotników dostał różne drobiazgi, które sami dla niego zrobili, a od rodziców zabawki kupione w sklepie. Nastrój był prawdziwie świąteczny. Ale gdy robotnicy wrócili już do swego baraku, a Charliego położono do łóżka, w salonie zagościł smutek.

Carolina już miała się położyć, gdy usłyszała ciche pukanie do drzwi. Jak zawsze miała nadzieję, że to Jacob. Gościem była jednak Ruth. Carolina postanowiła nazywać ją teraz Wakinyelą.

Dziewczynka ofiarowała Carolinie niezwykle cenny prezent: indiańską kołyskę. Był to pięknie ozdobiony koralikami skórzany becik, od spodu wzmocniony drewnianą ramą, a u góry zawiązywany na delikatne tasiemki z koziej skóry. W miejscu gdzie miała spoczywać główka dziecka, znajdował się mały kapturek. Carolina położyła sobie tę kołyskę na kolanach i z zachwytem dotykała pięknego koralikowego haftu i delikatnej skórki. To był pierwszy prezent, jaki otrzymała dla swego dziecka.

- Tradycja wymaga - tłumaczyła jej Wakinyela - by kołyskę dla przyszłych bratanków czy bratanic przygotowała siostra ioch ojca. - Była dumna, że zrobiła ją bez niczyjej pomocy, bo gdy szykowała kołyski dla dzieci Tokali, była jeszcze mała i pomagała jej matka.

Carolinie, zaskoczonej tym, że Wakinyela wiedziała o dziecku, trochę niezręcznie było tłumaczyć, dlaczego utrzymywała swój stan w tajemnicy.

- Nie chciałam ukrywać przed tobą ciąży, ale wo-

łałam nic nie mówić, nie mając pewności, czy Czarny Jastrząb do mnie wróci.

- Jakżeby mógł nie wrócić, skoro nosisz jego dziecko?

- Być może wróci po dziecko, ale nie wiem, czy się zgodzi, żebym z nim została. Może mnie odesłać z powrotem na Wschód.

- Pozwoliłabyś mu odebrać sobie dziecko?

- Przyrzekłam mu je oddać - przyznała się. - Teraz modłę się, by chciał zatrzymać nas oboje.

- Nie martw się, bratowo - uspokajała ją dziewczynka. - Widziałam, jak mój brat na ciebie patrzy. Byłam przy nim w czasie śnieżnej burzy, gdy umierał z troski o ciebie. Jego serce należy do ciebie. Nigdy nie pozwoli ci odejść.

Czarny Jastrząb udał się samotnie w odosobnione miejsce na wzgórzach. Wiele dni pościł i modlił się, prosząc swego opiekuńczego ducha o wizję. I ukazał mu się ojciec, słaby i z trudem oddychający chorymi płucami. Wskazał ręką na niebo, po którym krążył czarny jastrząb. Jacob zrozumiał, że ojciec go wzywa.

Upolował dwa jelenie, wypatroszył je i zaniósł do domu rodziców. Kobiety ogromnie ucieszyły się mięsem i od razu zabrały się do jego sprawiania. Czarny Jastrząb został sam z ojcem.

Gdy obaj siedzieli przy piecu i pykali z tej samej fajki, Jacob opowiedział ojcu o swojej wizji.

- Widziałem cię, ojcze, jak sięgasz po czarnego jastrzębia. Dlatego przyszedłem.

- A więc bóg Ateyapi wysłuchał mnie. Modliłem się, bym mógł cię jeszcze zobaczyć, nim umrę. Gdy cię ostatnio widziałem, miałeś kłopoty. A teraz?

- Wczesną wiosną moja kobieta urodzi dziecko.

Starzec uśmiechnął się i kiwnął głową z uznaniem.

- To dobra wiadomość, synu. Dzięki niej pożyje może trochę dłużej.

- Problem w tym, ojcze, że nie mogę ożenić się z tą kobietą.

- Dlaczego? Nie kocha cię?

- Kocha, i to bardzo, ale biali ludzie nigdy nie akceptują jej małżeństwa ze mną.

- Czy to znaczy, że zmusili was do rozłąki?

- Nie.

- A więc opuściła cię?

- Nie. - Spuścił oczy i mówił przyciszonym głosem. - Ona mnie nigdy nie opuści, chyba że sam ją oddalę.

- I byłąś zdolny to uczynić?

- Kocham ją, ojcze, ale nie mogę mieć przy sobie białej kobiety.

- Gdy mężczyznę i kobietę łączy miłość, chcą być razem. Czy z białą kobietą jest inaczej?

- Nie. My się kochamy i nie jest dla nas ważne, że ona jest biała, a ja jestem Lakotą. To ludzie, którzy nas otaczają, nie akceptują naszego związku.

Ojciec rozmyślał dłuższą chwilę.

- Widzisz, synu - powiedział wreszcie. - Gdybyś mnie spytał, zanim ją spotkałeś, nigdy bym ci nie rzekł zaślubiać białej kobiety. Zrobiłeś to na własną odpowiedzialność. Wziąłeś ją do swego łóżka, uczyniłeś swoją kobietą. Przyprowadziłeś ją do nas i zachowywała się wśród nas tak swobodnie, jakby była jedną z nas. Ona nas akceptuje. Skoro więc zasiałeś swoje nasienie w jej łonie i ona poczęła twoje dziecko, jak możesz teraz mówić o odesłaniu tej kobiety? Wstyd mi za ciebie, synu.

- Ale czy nie widzisz, ojcze, jakie trudne i bez nadziejne jest nasze życie? Cóż ja jej mogę ofiarować?

Teraz starzec nie na żarty się obruszył. Zadziwiająco mocno chwycił syna za ramiona i potrząsając nim, pytał:

- Czy ty jesteś mężczyzną, synu? A może czegoś zaniedbałem i nie nauczyłem cię, co to znaczy być mężczyzną? Ofiaruj jej swoją miłość i opiekę. Zadbaj o to, by w waszym domu było dużo mięsa i by urodziła ci dużo dzieci. Obiecuj jej, że zrobisz dla niej wszystko, co w twojej mocy. Więcej żaden mężczyzna obiecać nie może. Ten, co obiecuje żonie łatwe życie, jest kłamcą. A czy ona chce dzielić z tobą życie?

- Mówi, że chce.

- To chyba dorosła kobieta. Prawda, synu?

- Tak.

- Więc wierz jej słowom! - ryknął. - Uszanuj ją choć na tyle!

- Ona nie zdaje sobie sprawy, jak będzie wyglądało jej życie przy mnie. Me wie, co ją czeka.

- A ty wiesz? Czy ktokolwiek wie, co go czeka? Czy ja wiedziałem, gdy się żeniłem z twoją matką?

- A gdybyś wiedział, czy ożeniłbyś się i chciał mieć dzieci?

- *Óhan*. Moja kobieta i moje dzieci są dla mnie wszystkim, były i są celem i treścią mego życia. Razem wiele przeszliśmy, ale doczekaliśmy się dnia dzisiejszego i na razie jest dobrze.

Napad kaszlu przerwał mu, a kiedy znowu przemówił, widać było, że bardzo osłabł.

- Jestem starym człowiekiem i moje życie dobiega kresu. Bizony wyginęły i starzy wojownicy plemienia ;ota też giną. Ty będziesz żył w innych warunkach, *'nks*, ale jedno się nie zmienia: twoja kobieta i twoje dzieci muszą być czymś najważniejszym w twoim życiu. Zrób dla nich wszystko, co możesz.

- Łatwo starym dawać rady, synu - zauważył po

chwili żartobliwie - ale przynieś mi na wiosnę mego wnuka. Postanowiłem jeszcze trochę pożyć... - Indianin poklepał syna po plecach.

Czarny Jastrząb ostrożnie nacisnął klamkę i powoli otworzył drzwi. Carolina spała. Leżała na boku przykryta bladoniebieskim szydełkowym pledem. Rękami osłaniała brzuch, jakby nawet we śnie chciała chronić jego dziecko. Przy łóżku stały mokasyny. Uśmiechnął się na ich widok: albo puchną jej nogi, albo nareszcie zmańdżała.

Cicho zamknął za sobą drzwi i dłuższą chwilę stał nad nią, napawając się jej urodą. To już nie była senna zjawa, ale kobieta z krwi i kości, nosząca w swoim ciele cząstkę jego ciała. Jej twarz tonęła w powodzi bujnych włosów, rozsypanych na poduszce. Ta twarz jawiła się w jego marzeniach od dnia, gdy ją ujrzał po raz pierwszy. Widział ją przed sobą w dzień i w nocy. A teraz jego marzenie się zmaterializowało. Przemieniło się w uroczą, ciepłą rzeczywistość.

Jej piersi wydały mu się pełniejsze niż dawniej i nie miała już tak szczupłej talii. Wypełniła ją okrągła wypukłość, pod którą, w głębi łona, kryło się jego dziecko.

Czy miał prawo jej dotknąć? Czy na dźwięk jego głosu, głosu tchórza, Carolina odwróci się z niechęcią, czy się uśmiechnie i otworzy mu swoje serce?

Zamknął oczy i głęboko wdychał zapach jej włosów, a potem, w niemej prośbie o wybaczenie, leciutko dotknął jej skroni wargami. Zdawało mu się, że mu wybaczają nawet przez sen.

- Nie powinna pani zapraszać obcych mężczyzn do swego domu, panno Hammond - szepnął, powtarzając swoje żartobliwe słowa sprzed miesiąca. Otwo-

rzyła oczy i od razu miał ją w objęciach. - Ludzie mogą sobie coś złego pomyśleć - dodał.

Całował ją zachłannie i długo nie dawał dojść do słowa. Lecz w końcu wyrwał jej się radosny okrzyk.

- Jacob!

Po tych wszystkich nocach i dniach, gdy nasłuchiwała, czy nie puka do jej drzwi, po tym uciekaniu się do modlitwy, ilekroć słyszała kroki, które mogły być jego krokami - nareszcie wrócił i był przy niej.

- Czarny Jastrzębiu - poprawiła się - jak mogłeś mnie tak zaskoczyć?

- Nie słyszałaś nigdy o indiańskich podchodach?

- Wszystko zepsułeś! A ja tak starannie przygotowywałam się na twój powrót. - Objęła jego szyję i wdychała zimową świeżość, którą pachniały jego włosy. Coś ścisnęło ją za gardło, zamknęła oczy, by powstrzymać łzy. Mężczyźni nie lubią płaczących kobiet.

- Chciałam się pięknie ubrać i upiąć włosy... - wyrzucała mu. A on wsunął palce w chmurę jej zmierzwionych snem włosów i mruzczał:

- Lubię je właśnie takie, są piękne...

- A w tej sukni wyglądam jak beczka. - Roześmiała się i wychodząc z łóżka, dodała: - Prawdę mówiąc, w każdej sukni wyglądam teraz jak beczka.

Żadna suknia nie mogła zeszpecić obrazu, jaki Jacob nosił w sercu. Przyłożył głowę do jej brzucha, objął jej biodra i spytał:

- A jak ma się mój syn?

- Zaczekaj chwilkę, to cię pewnie kopnie w głowę.

- Co ty? Lakotyjskie dzieci szanują ojców.

W tej właśnie chwili malutka stópka uderzyła w ścianę jej łona. Oboje poczuli to i równocześnie się roześmiali.

- Mój syn ma rację - przyznał samokrytycznie Jacob. - Należało mi się.

Śmiech już dawno przebrzmiał, a oni wciąż patrzyli sobie w oczy.

- Nie opuszczaj mnie, maleńka! - szepnęła.

Ten mężczyzna nigdy o nic nie prosił; tym mocniej chwyciły ją za serce te słowa. Przytuliła jego twarz do piersi.

- Jakżebym mogła? Modliłam się, abyś do mnie wrócił. Pozwól, żebym była ci żoną i matką naszemu dziecku.

- Nie wiesz, jak cierpię przez to, że sprawiłem ci tyle bólu. Co by się ze mną stało, gdybym cię odesłał? Zostałby ze mnie tylko cień człowieka.

- Ja też nie mogłabym dotrzymać słowa. Kijem musiałbyś mnie przepędzić, żebym odeszła.

- Nigdy bym tego nie zrobił. Gdy jesteś przy mnie, moje serce śpiewa z radości.

Długo ją całował, a potem usiadł przy niej na łóżku i wyznał coś, co mu nie dawało spokoju.

- Nigdy nie zapomnę, że tak bardzo mnie kochałaś, iż byłaś gotowa dać mi to dziecko.

Położyła głowę na jego ramieniu i powiedziała pół żartem, pół serio:

- Kocham cię tak bardzo, że mogę dać ci nie tylko to dziecko, ale jeszcze kilkoro innych.

- Musimy znaleźć kogoś w czarnej sutannie, księdza czy pastora, kogo tam zechcesz, żebyś poczuła się naprawdę zamężna.

Wzięła go za rękę i przyciskając kciuk do jego kciuka, przypomniała mu, że zawarli przymierze krwi.

- Przecież już od dawna jesteś moim mężem. A od kiedy ty mnie zacząłeś uważać za swoją żonę?

- Od tej nocy, kiedy przyszedłeś do mnie i powiedziałeś, że chcesz być moja.

- Pozwoliłbyś mi odejść do innego?

Trzymał jej dłoń przy wargach i długo całował.

- Jak ty, złożyłem przyrzeczenie, którego nie mógłbym dotrzymać. Teraz uroczyście składam nowe. Przyrzekam, że od dziś będę walczył o moją żonę i dzieci, o możliwość utrzymania ich i o szacunek dla samego siebie.

- Czy nie powinniśmy ogłosić wszem wobec, że jesteśmy małżeństwem?

Pogłaskał ją po brzuchu.

- A nie uważasz, że to trochę poniewczasie?

- Nie wiem, jakie będę nosiła nazwisko.

- W dokumentach będziesz pewnie miała napisać: Czarny Jastrząb. To dobre nazwisko.

- Wspaniałe! - Wskazując na łóżko, zawołała:

- Odtąd ani jedej nocy nie będę spała bez męża. Albo ty przyjdiesz do mego pokoju, albo ja pójdę do twego.

- Chyba nie myślisz, dziewczyno, że pozwolę ci mieszkać ze mną w kantorku przy stajni?

Przytuliła się do niego.

- Kiedy w końcu zrozumiesz, Jacob, że dla mnie nie jest ważne, gdzie będę, bylebym była z tobą?

- Będiesz ze mną, *waştelakapi*. Do końca życia co noc będę cię trzymał w ramionach. W tym roku przezimujemy jeszcze w twojej starej chacie, ale na wiosnę zbuduję ci dom.

- Czy to czasem nie należy do obowiązków kobiety? - przypomniała sobie, co kiedyś mówił. - Nie : sędzę jednak, żebym potrafiła to zrobić.

- Sam go zbuduję. Już go zaplanowałem w najdrobniejszych szczegółach. Będzie stał blisko obozowiska, gdzieśmy się po raz pierwszy kochali. Drzwi i kuchnia będą od wschodu. Sprawię ci wspaniałą że-

liwny piec kuchenny, żebyś tak jak *Ina* mogła się nim chwalić przed innymi kobietami.

- W lecie będziemy spali w tipi, a gotować będę w altanie, którą postawisz w ogrodzie; tam będzie chłodno i przewiewnie.

- W zimie będę siadywał przed kamiennym kominkiem, który sam postawię. Byłem dobrym mura-
rzem. Myślę, że dam sobie radę także z robotą kamie-
niarską. A skoro ty w lecie będziesz spała ze mną na
ziemi, ja będę spał z tobą w łóżku w zimie.

- Będę prowadziła szkołę i nikt nie zabierze z niej
swego dziecka... Mam nadzieję, że ty i Wakinyela tak-
że będziecie tam ze mną pracować.

- Chciałabyś zrobić ze mnie belfra? Mam lepsze
rzeczy do roboty.

- Możesz nadal hodować konie...

- Ale koni nie można jeść, a wołowina, jaką nam
przydzielają, to tylko skóra i kości. Będziemy hodo-
wać własne bydło.

- Przecież nie jesteście farmerami?

- To prawda, ale jesteśmy dobrymi koniarzami
i świetnie znamy tutejsze łąki i pastwiska. Nauczę się
od MacAllistaira, jak się hoduje bydło. - W jego oczach
jaśniała nadzieja.

- Sami potrafimy się wyżywić. Niepotrzebne nam
będą przydziały.

- I będziemy kształcić nasze dzieci - powiedział
Czarny Jastrząb. A całując ją, dodał:

- *Nimitawa ktelo*. Będziesz moja i tylko moja...

- *Ohinniyan* - szepnęła. - Na zawsze!